



# DZIEWCZYNA W CIEMNOŚCI

## MARION PAUW

Jeden z 5 najlepszych  
thrillerów  
psychologicznych  
2016 roku według  
„Wall Street Journal”

# **DZIEWCZYNA W CIEMNOŚCI**

**MARION  
PAUW**

**Przekład  
MACIEJ NOWAK-KREYER**





Redaktor serii  
Małgorzata Cebo-Foniok

Korekta  
Halina Lisińska  
Anna Raczyńska

Projekt graficzny okładki  
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcia na okładce  
© PanicAttack/Shutterstock  
© majivecka/Shutterstock

Tytuł oryginału  
Daglicht

Daglicht © 2009 by Marion Pauw  
Originally published by Ambo | Anthos Uitgevers, Amsterdam  
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana  
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu  
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition  
Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6142-3

Warszawa 2016. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

[juras@evbox.pl](mailto:juras@evbox.pl)

*Dla Nadji i Jiriego*

# RAY

**P**rzewożenie więźnia i przewożenie świń niewiele się od siebie różnią. I jedno, i drugie musi tylko dotrzeć na miejsce w jednym kawałku. I tak naprawdę to wszystko.

Miałem na rękach kajdanki. Było mi niewygodnie, czułem się niezdarny. Kiedy wsiadałem do furgonetki, musiałem skupić całą uwagę, żeby się nie przewrócić. Moja eskorta, strażnik z kwadratową głową, popchnął mnie. Nie jakoś celowo brutalnie, po prostu szorstko i obojętnie.

– Rusz się.

Jedyne słowa skierowane bezpośrednio do mnie. Zachwiałem się, złapałem równowagę i usiadłem na obitym skajem fotelu.

Ostentacyjne pobrzękiwanie kluczami. Zgrzyt metalu o metal. Klatka się zatrasnęła, ze mną w środku.

Siedziałem już osiem lat. Jako tako przyzwyczaiałem się do monotonnego rytmu moich dni, nigdy jednak nie zdołałem się przyzwycząić do krat.

Furgonetka miała przyciemniane szyby. Po raz pierwszy od dawna znowu patrzyłem na świat zewnętrzny, tyle że przez ciemny, szary filtr. Ale i tak nie mogłem doczekać się przejażdżki. Tego, by patrzeć na mijające nas samochody, drzewa i nastolatki pedałujące na rowerach pod wiatr. Może nawet na pociąg ścigający się z nami wzdłuż autostrady. Albo chłopców na kładkach, wrzeszczących na pędzące pod nimi auta. Rzeczy, których nie pokazują w telewizji, bo są zbyt zwyczajne, a które sprawiają, że stajesz się jeszcze bardziej chory z tęsknoty za światem zewnętrznym.

Furgonetka ruszyła. Przewożono mnie z więzienia w Amersfoort do



Hopper Institute w Haarlemie.

Nie do końca wiedziałem, czy przeniesienie do więziennej placówki psychiatrycznej jest czymś, z czego powinienem się cieszyć. Miałem o wiele za dużo czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Miałem za dużo czasu na wszystko. Bywały dni, kiedy czułem się optymistą. Mniej restrykcyjne zasady. Cała cela tylko dla mnie. Bardziej urozmaicony porządek dnia. Jeden krok bliżej wolności.

Ale bywały też dni, gdy czułem się tak wściekły i sfrustrowany, że w niczym nie dostrzegałem dobrych stron. Kiedy po prostu chciałem wrócić do domu, do swoich rybek. Bardzo martwiłem się o moje rybki. Nocami wyobrażałem sobie, jak pływają brzuskami do góry. Cuchnący stos *zebrasoma*, *holocanthus* i *amphiprion*. Wtedy wrzeszczałem i wyłem, budząc cały blok.

– Znowu ten czubek.

– Hej, świrze, zamknij się, do kurwy nędzy!

– Jutro cię dorwę! Lepiej uważaj, skurwysynu!

Ale tak naprawdę nikt nigdy nie tknął mnie nawet palcem, ani razu. Nie było tak jak w tych serialach w telewizji. Więźniowie spędzali większość dnia na gadaniu głupot. Od czasu do czasu wybuchała bójka o jakiś drobiazg, na przykład zawieruszoną paczkę fajek. Ale nie było żadnych gwałtów i nikt nikomu nie wybijał zębów, żeby lepiej robił laskę.

Zamiast tego po prostu mi dokuczali. Kiedyś pod prysznicem ukradli mi ubranie. Czasem wrywali mi z rąk comiesięczny list od matki i czytali głośno na świetlicy. Prawie codziennie pluli do jedzenia. Ale czy ktokolwiek mnie tknął? Ani razu.

Jeśli nie przestawałem wrzeszczeć, strażnicy kneblowali mnie poduszką. Nazajutrz każdy udawał, że nic się nie stało. Czasem po prostu mnie ignorowano. Miesiącami nikt nie siadał przy mnie w trakcie posiłków. Nie przejmowałem się tym, chciałem tylko, żeby zostawiono mnie w spokoju.

Autostrady A28 i A1 niewiele się zmieniły od 2003 roku. Przyciskałem nos do szyby i usiłowałem zobaczyć, ile się dało: chmury (choć w więzieniu widywałem ich sporo), łąki, a zwłaszcza wodę.



– Hej, przestań ślinić szybę! – zawołał strażnik. Siedział obok kierowcy i odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć. – Siedź prosto.

Chciałem oglądać to, co było na zewnątrz. Nie zamierzałem pozwolić, by mi to odebrali, nie po tym wszystkim, czego mi dotąd odmawiano.

– Za złe zachowanie są kajdany na nogach. – Strażnik znów zwrócił ku mnie głowę. – Ty dupku.

Mruknął to pod nosem, ledwie poruszając ustami, ale usłyszałem. Jasne, że nie wolno było mu tak mówić. Czytałem regulamin. Kiedy człowiek ma za dużo czasu, zajmuje się takimi rzeczami. Eskorta więźnia powinna zadbać, żeby „transport nie zwiększył istniejącego już poziomu stresu”.

Przyzwyczyłem się do wyzwisk. Miałem do czynienia ze znacznie gorszymi rzeczami. Powiedzmy, że określenie „dupek” nie zwiększało u mnie poziomu stresu i strażnik nie zrobił niczego złego. Ale na pewno było to kwestią dyskusyjną. Zastanawiałem się nad napisaniem skargi. Nie byłem jednak pewien, czy w zakładzie psychiatrycznym nadal będę miał tak dużo czasu. Przecież wieziono mnie na zleconą przez sąd rehabilitację – miałem zostać poddany terapii, żeby kiedyś ponownie zintegrować się ze społeczeństwem. Przynajmniej tak napisano w ulotce, którą otrzymałem kilka tygodni przed przenosinami.

– Wiesz, kto to jest? – zapytał strażnik kierowcę, wskazując mnie ruchem głowy.

Wątpiłem, czy wolno im rozmawiać przy mnie na mój temat.

– Pisali o tym w gazetach, pamiętasz? Ten świr wpadł w szal, gdy ładna sąsiadeczka dała mu kosza. Najpierw wyżył się na tej babce, a potem na jej małej córeczce. Miała tylko cztery lata. Kiedy już je zatłukł i zarąbał, to sobie zapalił, wyluzowany jak guma do majtek. Zgasił peta na martwym dziecku. Wyobrażasz to sobie?

Strażnik odwrócił się w moją stronę.

– Mogę się założyć, że ci się podobało, co? Stał ci wtedy?

Przyciskałem nos do szyby. Obok przejeżdżał jakiś SUV. Z tyłu, na krzeselkach w paski zebry, siedziała dwójka dzieci. Chłopiec i dziewczynka, mniej więcej trzyletni, wyglądali na bliźniaki. Oboje mieli jasne, kędzierzawe

włosy. Dziewczynka przypominała Annę, tę małą z sąsiedztwa. Przełknąłem ślinę, aby pozbyć się metalicznego posmaku krwi.

– Możemy wjechać do rowu, niech się skurwiel utopi w tej swojej klatce – odezwał się kierowca, podnosząc głos.

– „To był wypadek. Tak nam przykro”! – Strażnik zerknął przez ramię, aby się upewnić, że słyszę.

– A potem sobie usiądziemy i zapalimy.

– I to wielkiego, grubego skręta.

Patrzyłem na dziewczynkę w SUV-ie. Wydawało mi się, że nasze spojrzenia się spotkały, ale to przecież było niemożliwe, bo siedziałem za ciemną szybą. Dziewczynka miała szeroko otwarte oczy i bardzo długie rzęsy. Jak taka lalka, której oczy wpatrują się w ciebie i zamykają, dopiero gdy położysz ją na plecach.

Podjechaliśmy pod wysoki mur zwieńczony metalowymi szpikulcami. Otworzyła się brama i po chwili znaleźliśmy się na czymś w rodzaju dziedzińca. Zatrzymaliśmy się w jaskrawo oświetlonym betonowym aneksie. Kamery przyglądały nam się ze wszystkich stron.

– Uśmiechnij się do kamery! – zawołał kierowca i zachichotał.

Brama uniosła się, wpuszczając nas do środka.

Dotarliśmy pod jakiś podkowiasty budynek w piaskowym kolorze. Gdy furgonetka stanęła przed wejściem, strażnik wysiadł i grzechotał pękiem kluczy, dopóki nie znalazł właściwego. Wreszcie klatka otworzyła się ze szcęknięciem.

– Wsiadaj.

Wstałem z trudem. Kajdanki ciasno opinały mi przeguby, czułem mrowienie w dłoniach. Wsiadając, o mało nie upadłem. Strażnik podtrzymał mnie, ale zaraz puścił. Na jego twarzy malowało się obrzydzenie.

Popędził mnie przed sobą w górę jakichś schodów. Było mi niedobrze. Strasznie niedobrze.

Rozsunęły się automatyczne drzwi. Weszliśmy do niewielkiego holu; za

kontuarem pod ścianą siedziała kobieta o włosach barwy koktajlowych wisienek. Podniosła wzrok i spokojnie wróciła do prowadzonej właśnie rozmowy telefonicznej. Z kim rozmawiała? Czy rozmawiała o mnie?

Podszedł drugi strażnik i bez słowa zaczął mnie rewidować. Starłem się zachować spokój, gdy mnie dotykał swoimi wielkimi łapskami, przesuwając ręce przy moim kroczu i wewnętrznej stronie ud. Następnie przeprowadzono mnie przez wykrywacz metalu.

Po drugiej stronie czekał na mnie mężczyzna w czerwonym podkoszulku.

– Witaj, Ray – powiedział. – Witaj. Nazywam się Mohammed de Vries, jestem pracownikiem socjalnym oddziału przygotowawczego. To ten oddział, na którym spędzisz jakiś czas. Możesz mi mówić Mo.

– Mo – powtórzyłem. Znałem takich wesołków. Udawali przyjaciół, a później zostawiali bez słowa.

– Najpierw zabiorę cię do gabinetu lekarskiego, na badania na obecność alkoholu i narkotyków. Potem trafisz na oddział przygotowawczy.

– Możecie mi zdjąć kajdanki? – zapytałem.

– Jeszcze nie.

– Dlaczego?

Żadnej odpowiedzi.

– Dlaczego nie? – spytałem ponownie.

– Pokwituje pan? – Strażnik podsunął mu pod nos podkładkę z przypiętą kartką. Człowiek, do którego mogłem zwracać się Mo, wpisał swoje nazwisko i machnął parafką. – Jak paczka od kuriera, co, Ray? – Puścił do mnie oko.

– Dobra, to na razie. – Strażnik wyszedł przez rozsuwane drzwi.

– Idziesz ze mną? – zapytał Mo.

Jakbym miał jakiś wybór.

# IRIS

**J**estem profesjonalistką. Przynajmniej od takiego wniosku zaczynam każdy dzień. Nawet jeśli muszę czasem reprezentować przed sądem panów w średnim wieku, którzy robią paskudne rzeczy młodym, naiwnym kobietom i napychają sobie przy tym portfele.

Zgodziłam się spotkać z Peterem van Benschopem w jednej z tych za drogich restauracji w dzielnicy finansowej. Siedział pod oknem i stukał w ekran smartfona. Trzeba przyznać, że Peter van Benschop był znacznie mniej dystyngowany od reszty van Benschopów. Jako jedyny nie parał się dobrze prosperującym rodzinnym biznesem stoczniovym.

– Pani Kastelein, miło panią widzieć.

Wstał i tak głośno się przywitał, że aż się zastanowiłam, czy przypadkiem nie ma problemów ze słuchem. Podałam mu rękę, spodziewając się miążdżącego uścisku, i nie pomyliłam się.

Usiedliśmy. Zawiesiłam torebkę na oparciu krzesła, złożyłam dłonie i odezwałam się uprzejmie:

– W czym mogę panu pomóc, panie van Benschop?

Zjawił się kelner z pytaniem, czego chcielibyśmy się napić. Poprosiłam o szklankę świeżego soku z pomarańczy. Van Benschop zamówił podwójne espresso.

– Zakładam, że zapoznała się pani ze sprawą?

– Owszem, czytałam pismo od przedstawiciela powoda.

– A co z DVD? – Znowu ten krzywy uśmiezek.

– Również je otrzymałam.

– I jak?

– Powiedzmy, że nie jest to moja ulubiona forma rozrywki. Jednak z prawnego punktu widzenia sprawa jest interesująca.

– Uważa mnie pani za zboczeńca, prawda? Za starego świntucha.

– Czy tak by pan siebie opisał?

– Nie, ale pani tak właśnie mnie postrzega.

Zastanowiłam się. Miał rację. Mimo to z uśmiechem zauważyłam:

– Nie jest pan taki stary.

– Proszę nie zaprzeczać. Pani uważa, że jestem odrażający. Że lubię krzywdzić kobiety. A jednak dostaję mnóstwo listów od wielbicielek. Od dobrze wykształconych, inteligentnych kobiet, takich jak pani.

Kelner przyniósł nam napoje.

– Zaglądała już pani do menu?

– Poproszę miseczkę zupy pomidorowej – odparłam.

– Dla mnie kanapka klubowa z frytkami i keczupem, bez majonezu.

Kelner skinął uprzejmie głową i odszedł.

– Na świecie żyje mnóstwo zagubionych ludzi. W tym również kobiet, na co wskazują listy od pana wielbicielek.

Pociągnęłam łyk soku.

Uśmiechnął się.

– Iris, czy uważa pani, że jak ktoś lubi seks, to coś z nim jest nie tak?

– Nie, ale pańskie gusta erotyczne są nieco... ekstremalne, nieprawdaż?

– Owszem, ale wie pani co? Kobiety to lubią. Bardzo.

– Może jakieś bardzo zagubione kobiety – odpowiedziałam.

– A czy takie kobiety nie mają prawa do odrobiny rozrywki, do odrobiny przyjemności w życiu?

Nie zdołałam się powstrzymać od wypowiedzenia własnej opinii, chociaż wiedziałam, że później nasłucham się za to od Rence'a.

– Czyli uważa się pan za filantropa, który dba o dobre samopoczucie bliźnich?

– Być może.

– Porozmawiajmy teraz o pańskiej sprawie. Jest pan świadomy, że

nagrywanie filmów pornograficznych z nieletnimi aktorami jest nielegalne? To pornografia dziecięca.

– Według dokumentów miała osiemnaście lat. A już zdecydowanie tyle lat miała jej cipa.

Wolałabym, żeby van Benschop mówił jednak trochę ciszej.

– Uważa pan, że sfałszowała dokument tożsamości? Zachował pan jego kopię?

– Jasne.

– Muszę to zobaczyć. Najszybciej, jak to możliwe.

– Ts. No i z tym jest problem. Ma go mój partner w interesach.

– W takim razie powinien pan poprosić swojego partnera o pokazanie mi go. Jeżeli zdołamy udowodnić, że ta dziewczynka...

– Jaka dziewczynka, do cholery? Młoda kobieta. Nalegam, żeby mówiła pani o niej „młoda kobieta”.

Zrobiłam, o co prosił, ale z wyraźnym sarkazmem.

– Jeżeli zdołamy wykazać, że ta młoda kobieta oszukała pana, przedstawiając podrobione dokumenty, to znacznie zmniejszy prawdopodobieństwo postawienia panu zarzutu wytwarzania pornografii dziecięcej. Jednocześnie potwierdzi, że ta młoda kobieta brała we wszystkim udział z własnej woli.

– Mój partner zniknął razem z umowami i częścią mojego wkładu. – Van Benschop siorbnął espresso i się zaśmiał. – Ale bez obawy, dostanie pani swoje pieniądze. Może nawet dorzucę coś ekstra, żeby było za co świętować. Była pani kiedyś na Bahamach?

Po raz kolejny zastanowiłam się, dlaczego akurat mnie przydzielono tę sprawę. Szef przekonywał, że przekazanie Petera van Benschopa kobiecie będzie doskonałym posunięciem. Ale Martha Peters, drugi partner w kancelarii, jakimś trafem okazała się zbyt zapracowana, chociaż to właśnie ona zwykle obsługiwała van Benschopów, zawsze zresztą robiąc z tego wielkie halo.

– Wróćmy do pańskiej sprawy. To, że nie ma pan dostępu do kopii tego dokumentu, komplikuje sytuację. Zakładam, że... – o mało nie powiedziałam

„ofiara”, na szczęście w porę ugryzłam się w język – ta młoda kobieta podpisała jakąś zgodę, coś w rodzaju oświadczenia wyjaśniającego naturę jej... – znowu szukałam odpowiedniego słowa – jej pracy?

W kieszeni zabuczał mój telefon. Zerknęłam pod stołem na wyświetlacz. Pokazywał numer, którego obawiałem się najbardziej ze wszystkich numerów telefonicznych świata. Dzwonili z przedszkola Aarona.

– Pani naprawdę powinna kiedyś polecieć na Bahamy. Ocean jest tam po prostu wspaniały – ciągnął Peter van Benschop.

– Proszę mi wybaczyć, muszę odebrać. – Wstałam i wyszłam na zewnątrz.  
– Słucham?

– Mówi Mika. – W jej głosie brzmiała histeria. Doskonale wiedziałam, o co jej chodzi, mimo że w tym momencie potrafiłam myśleć tylko: „Proszę, nie, po prostu załatw to sama, proszę, daj mi pracować, proszę”.

– Aaron dostał szału. Kiedy kolorował obrazek i jedno z młodszych dzieci zabrało mu kredki, ugryzł je w rękę. Bardzo mocno, do krwi. A teraz wali głową o podłogę i nie chce przestać. Petra mówi, że musisz go natychmiast odebrać.

Nie było sensu nawet próbować negocjacji. Nie wspominając już o tym, żeby powiedzieć: „Wydaję sporą część dochodów na to, aby przedszkole opiekowało się moim dzieckiem przez trzy dni w tygodniu. Nie możecie więc chociaż raz sami się czymś zająć?”

– Natychmiast, Iris – powtórzyła, jak gdybym nie dosłyszała jej wcześniejszych słów. – Nie za pół godziny. Teraz.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Pierwszą osobą, do której zadzwoniłam, był Dawca Nasienia, chociaż wiedziałam, że i tak nie ma to większego sensu. Od naszych wspólnych znajomych słyszałam, że lubi sobie ponarzekać, że tak rzadko widuje syna, ale jak zwykle odezwała się tylko jego poczta głosowa. Potem zatelefonowałam do matki. Właśnie robiła sobie pedikiur, jednak obiecała, że odbierze Aarona ode mnie z domu, gdy tylko wyschną jej paznokcie.

– A nie mogłabyś przyjechać wcześniej? Zafunduję ci drugi pedikiur. Dorzucę szampana i masaż stóp. Proszę.



– Przepraszam, kochanie, ale prostu nie mogę.

Chciałabym móc powiedzieć to samo. Cudownie byłoby oznajmić „po prostu nie mogę” i już.

– Mamo, mam spotkanie z klientem. Masz pojęcie, jak to będzie wyglądało, jeśli teraz wstanę i pójdę?

– Chyba nie oczekujesz ode mnie, że wszystko rzucę? Chętnie pomogę, zresztą często to robię, gdybyś już zapomniała. Ale za Aarona ty odpowiadasz. W końcu jesteś jego matką.

– Nie musisz mi tego mówić – warknęłam. Zauważyłam, że Peter van Benschop z rozbawieniem przygląda mi się zza drzwi. Uniósł obie ręce, jak gdyby chciał powiedzieć: „Co cię zatrzymuje?” Odwróciłam się do niego plecami. W tej samej chwili usłyszałam fuknięcie matki:

– No i co?

– Przepraszam. – Nie cierpiałam jej przepraszać. Niestety, zdarzało się to zbyt często. – Dobrze, odbiorę go i zawiozę do domu, ale proszę, przyjedź po niego jak najszybciej. Zgoda?

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – odparła wyniośle.

Rozłączyłam się i zamiast wrzasnąć i cisnąć cegłą przez drzwi prosto w paskudną gębę van Benschopa, wzięłam głęboki oddech. Wyprostowałam ramiona i wmaszerowałam na salę.

– Zacząłem bez pani – oznajmił van Benschop, wskazując na jedzenie, podane, kiedy rozmawiałam przez telefon. – Aż tak długo to trwało.

Do górnej wargi przykleił mu się kawałeczek sałaty.

– Proszę wybaczyć. Nagła sytuacja.

– Zapewne chodzi o dziecko.

– Po południu zadzwonię do pana, żeby się ponownie umówić. I jeszcze raz przepraszam.

– Samotna matka. Łatwo się domyślić. Czytanie z kobiet to moja specjalność. Mogę jeszcze powiedzieć, że preferuje pani czarną bieliznę. I założę się, że wieczorem przed zaśnięciem próbuje pani czytać, ale zawsze zasypia pani z książką w dłoniach.

O mało nie zachłysnęłam się ze złości.

- Zapłacę rachunek.
- Złapał mnie za nadgarstek.
- W życiu nie pozwoliłem żadnej kobiecie zapłacić rachunku. I nie zamierzam tego zmieniać.
- Regulamin firmy. – Wyszarpnęłam dłoń i wyciągnęłam kartę kredytową.
- Zadzwoń do pana po południu.

Słyszałam, że dziecko wzbogaca życie emocjonalne. Niewątpliwie tkwi w tym ziarno prawdy – od urodzenia Aarona często ogarniało mnie poczucie totalnej niemocy.

Już trzeci raz w tym tygodniu musiałam odebrać go wcześniej z przedszkola, bo się źle zachowywał. A to wcale nie były wszystkie wybryki, tyle że resztą zajęła się moja matka.

Pomyślałam o Dawcy Nasienia, który musiał opiekować się synem tylko co drugi weekend, a i tak uważał się za idealnego dżentelmena. Przecież uznał dziecko i co miesiąc płacił dwieście pięćdziesiąt euro alimentów. To było coś w rodzaju zapłaty za milczenie. Oboje w równym stopniu przyczyniliśmy się do poczęcia Aarona, lecz to moje życie zmieniło się na zawsze, a jego pozostało prawie takie samo jak przedtem.

Gdybym nie urodziła Aarona, zaoszczędziłabym sobie mnóstwo trosk. Jednak dopiero w czternastym tygodniu zorientowałam się, że jestem w ciąży. Tak się właśnie dzieje, kiedy człowiek pracuje po sześćdziesiąt godzin tygodniowo i nie ma nawet czasu, żeby pilnować swojego cyklu menstruacyjnego. Ciągłe spotkania, raporty, rozprawy, układy, wszystko jedno po drugim, tak szybko, że w końcu już nie wiadomo, co się dokładnie robi, ale mimo to jakoś udaje się wszystko wykonać, w dodatku cholernie dobrze.

Zrobiłam badanie USG. Na monitorze zobaczyłam machanie małych rączek i nóżek. Bicie serca. Prawdziwe dziecko. Jak mogłabym je usunąć?

Dawca Nasienia, delikatnie mówiąc, nie był zachwycony perspektywą ojcostwa. Zrobił mi awanturę, twierdząc, że dziecko „prawdopodobnie i tak

nie jest jego”, bo przecież na pewno nie tylko on ze mną spał. „Nie chcesz go usunąć?”, zapytał. Proponował nawet, że się dołoży, co było żałosne, bo w Holandii aborcja jest bezpłatna. Swoje argumenty ukoronował skargą, że to był jego najgorszy seks. Kariera, figura, całe moje życie legło w gruzach, a jeszcze musiałam wysłuchiwać takiego gówna... Staralam się tego do siebie nie dopuścić, bo było tak okropnie gówniarskie. Jednak dotarło. I wtedy powiedziałam Dawcy Nasienia, żeby się pierdolił.

W tamtych czasach wciąż jeszcze wierzyłam w siebie. Zostanę sama, ale przecież jestem młoda, silna, inteligentna. Dam radę. Będę modelową samotną matką, twardą, niezależną kobietą z uroczym dzieckiem. Będę jednocześnie matką i ojcem, opiekunem i żywicielem. Czułam dumę z pęczniącego brzucha. Płakałam ze szczęścia, gdy po raz pierwszy trzymałam Aarona w ramionach. Dwa dni później płakałam z rozpacz, bo nie zdołałam złapać więcej niż dwóch godzin snu pod rząd.

Tydzień po urodzeniu Aarona dostałam list. Oburzony Dawca Nasienia stanowczo domagał się kontaktu z dzieckiem. Nie oponowałam.

Odwiedził nas ze swoją matką. Miała ponure, zawzięte spojrzenie. Dawca Nasienia truchtał za nią. Nie byłam w nastroju, żeby częstować ich ciasteczkami ze słodką biało-niebieską posypką, które dostałam z okazji szczęśliwego porodu.

Matka Dawcy Nasienia bez pytania wyciągnęła Aarona z kołyski i wsunęła synowi w ręce. A on po prostu stał. Nie miał pojęcia, co zrobić z tym dzieckiem, a ja nie wiedziałam, co powiedzieć. Ale jego matka wiedziała. Ułożyła sobie cały scenariusz. Uroczystym głosem zaintonowała: „Aaron, dziecinko, oto twój tatuś”, błędnie akcentując imię wnuka. Gdybym nie była taka wyczerpana, tobym się roześmiała.

– Mówi się Aaron, z akcentem na pierwszą sylabę – wyjaśniłam.

– Oczywiście. Będziemy musieli się nauczyć twojego imienia – zagruchała do dziecka.

– Mamo, proszę – powiedział Dawca Nasienia, a potem zwrócił się do mnie: – Podoba mi się jego imię. Aaron.

Ostrożnie uśmiechnęliśmy się do siebie.

Od tamtej pory Dawca Nasienia i ja nauczyliśmy się nawzajem znosić. Jak się okazało, byliśmy w stanie normalnym tonem wymieniać się informacjami w rodzaju: „Aaron już pił z butelki” albo „Nie chciał spać, a potem rozsmarował kupę na ścianach”. Czasem nawet wypijaliśmy wspólnie kawę, chociaż, jak doniósł mi nasz wspólny znajomy, Dawca Nasienia postanowił „nie dawać mi żadnych nadziei”.

Dawca Nasienia wydał mi się atrakcyjny tylko raz w życiu, kiedy cztery lata temu podczas sylwestra wypiałam za dużo koktajli. Arogancja, z jaką zakładał, że tylko marzę, aby się z nim związać, wkurzyła mnie jak cholera. W sumie byłam zadowolona, że nie daje mi żadnych nadziei. Bo alternatywa by mnie dobiła.

Kiedy przyjechałam do przedszkola, Aaron siedział w kącie, bawiąc się stosem kolorowych klocków. Na mój widok uśmiechnął się szeroko.

– Mamusia!

Podbiegł do mnie niezdarnie, jak to trzylatek, i zarzucił mi ręce na szyję. Podniosłam go i przytuliłam. Tak ładnie pachniał. Rozpoznałabym jego zapach wśród milionów.

– Cześć, pączuszk! Dobrze się bawisz?

Aaron zademonstrował, jak wieża zawala się po wyciągnięciu dolnego klocka.

– Sprytny chłopczyk!

Zabawa natychmiast tak go zaaferowała, że nawet nie zauważył, jak odchodzę. Na środku sali, przy wysepce kuchennej, Petra, Mika i Emily właśnie szykowały owocową przekąskę.

– Wydaje mi się, że już wszystko w porządku – powiedziałam Petrze, dorodnej matronie, przełożonej zespołu dwudziestoparoletnich przedszkolank, które miały kolczyki w pępkach, ale żadna z nich tak naprawdę nie miała ochoty na ugniatanie ciastoliny w gronie trzylatków.

– Tak, bo wiedział, że już jedziesz – odparła sucho.

Wzięłam głęboki oddech.

– Rozumiem, że Aaron czasem daje się wam we znaki. Wiem, że staracie się, jak możecie, i naprawdę was podziwiam za to, jak prowadzicie przedszkole, ale po prostu nie mogę wszystkiego rzucać i pędzić tutaj z byle powodu. Akurat dzisiaj miałam bardzo ważne spotkanie z klientem.

Staralam się jak najuprzejmiej powiedzieć jej: „Obie jesteśmy dorosłe i możemy spokojnie o tym porozmawiać, prawda? Chociaż uważasz, że jestem najgorszą matką, jaką znasz, a moje dziecko to małym terrorysta. I chociaż, jak podejrzewam, zajęłaś się prowadzeniem przedszkola jedynie dlatego, że w ten sposób możesz sobie porządzić nie tylko małymi dziećmi, ale również ich rodzicami”.

Petra wzięła się pod boki.

– Iris, gryzienie to nie byle co. To niedopuszczalne zachowanie. Gdyby tak zrobił ktoś dorosły, trafiłby do aresztu. Akurat ty powinnaś o tym wiedzieć.

– Ale to nie są dorośli.

– Posłuchaj mnie, proszę. Prowadzę to przedszkole już dwadzieścia lat, przewinęło się przez nie sporo dzieci, ale Aaron jest wyjątkowy. Myślę, że powinnaś się zastanowić nad zaprowadzeniem go do psychologa dziecięcego.

– Przyznaję, że potrafi być trudny. Poza tym, jak wiesz, pediatra już dał nam skierowanie do psychologa i teraz czekamy na wizytę.

– Byłoby lepiej, gdyby w domu nie wszystko uchodziło mu na sucho. Powinnaś go choć trochę zdyscyplinować.

Mika i Emily przygotowały owoce. Patrzyłam, jak Aaron wspina się na krzesło i bierze z talerza kawałek jabłka. Zaczął żuć z zadowoleniem.

– Nie macie pojęcia, co się dzieje u mnie w domu.

– Powinnaś się cieszyć, że w ogóle chcemy go tutaj trzymać. A skoro już mowa o kolejkach, to zapewne wiesz, że czas oczekiwania na miejsce w tym przedszkolu wynosi osiemnaście miesięcy.

– Oczywiście, że wiem. Jestem bardzo, bardzo wdzięczna. Czy właśnie to chcesz ode mnie usłyszeć, prawda? A może mam rzucić ci się do stóp i wznosić peany, jaka to z ciebie Matka Teresa?

Jako prawnik uczyłam się prowadzenia negocjacji, sięgania po najlepsze argumenty, dobierania właściwego tonu, grania na odpowiedniej strunie.

Kiedy jednak chodziło o opiekę nad synem, nie potrafiłam skorzystać z tej wiedzy.

– Sadzę, że będzie najlepiej, jeśli zabierzesz Aarona do domu na resztę tygodnia. A w poniedziałek spróbujemy jeszcze raz. – Petra obnażyła zęby w grymasie agresywnej szympanscy. – Powodzenia.

Przegrałam. Przegrałam z kretesem.

Z jakiegoś powodu Aaron nie wiedział, jak ma się zachowywać przy mojej matce. Przypuszczalnie dlatego, że podobnie jak cała reszta świata trochę się jej bał. Nawet ja zawsze czułam się przy niej odrobinę nieswojo. Była niczym sfinks, wydawała się otoczona wieloma niewidzialnymi liniami, których nie wolno przekraczać. Tyle że nigdy nie wiadomo, jak, gdzie i kiedy.

Matka zjawiała się ze szkarłatnymi paznokciami wystającymi z białych sandałów. Wysłuchiwała mojej opowieści, a potem przypomniła poirytowanym tonem, że za dwa dni jedzie na wakacje i nie może opiekować się Aaronem.

– Poza tym to ty miałaś wreszcie zrobić coś dla mnie. Miałaś pilnować mojego domu, pamiętasz?

Podniosła Aarona i wsadziła do swojego auta.

– Jeśli do jutrzejszego wieczora niczego dla niego nie załatwisz, będziesz musiała wziąć wolne do końca tygodnia i sama się nim zajmować. Albo powiesz im, że się rozchorowałaś.

Przypięła Aarona pasami do fotelika. Właśnie po tym można poznać oddaną babcię. Ma bardziej wyszukany sprzęt do opieki nad twoim dzieckiem niż ty sama.

– Nikt nie umrze z tego powodu, że odpuścisz sobie pracę na kilka dni. Ty też nie.

# RAY

Zaprowadzono mnie do małego pokoju z nocnikiem i dużym lustrem na przeciwległej ścianie. Strażnik zdjął mi kajdanki. Potrząsnąłem rękami, aby pozbyć się odrętwienia.

Jakaś pielęgniarka, bez fartucha i w ogóle czegokolwiek, co wskazywałoby na zawodowe związki z medycyną, zaczęła wydawać mi polecenia. Kazała mi opuścić spodnie do kolan, zadrzeć koszulę na wysokość piersi i nasikać do specjalnego kubka.

– Pozwolicie mi to zrobić na osobności?

– Nie.

I żadnych przeprosin, wyjaśnień.

Przywykłem do sikania w obecności innych osób, ale nie w obecności kobiety.

– Wiem, że to nie jest fajne – powiedział mężczyzna imieniem Mo – ale wszystkich nowych sprawdzamy na obecność prochów i alkoholu. Ostatnio mieliśmy parę incydentów z dragami.

– Powtarzam: opuścić spodnie i podnieść koszulę, tak żebym widziała brzuch.

Nie nosiła fartucha, ale mówiła tonem kogoś nawykłego do posłuchu.

Opuściłem spodnie i majtki i stanąłem z obwisłym białym penisem. Byłem wkurzony. Dlaczego muszę sikać na oczach tej okropnej baby, której nawet nie chciało się odpowiednio ubrać? Dlaczego mi to robią?

– Spokojnie – powiedział Mo. – Zaraz będzie po wszystkim.

– Nasikaj do kubka – zarządziła pielęgniarka.



Próbowałem się odprężyć, ale mocz nie popłynął.

– Spokojnie – powtórzył Mo. – Zaraz poleci.

Poczułem narastającą panikę. W lustrze widziałam pielęgniarkę gapiącą się na moje krocze.

– Czy ona nie może patrzeć w inną stronę?

– Nie, nie może. Musi mieć pewność, że nie oszukujesz – wyjaśnił Mo. – Że nie umieścisz w kubku cudzej uryny.

Ciekawe, jak miałbym to zrobić, zwłaszcza że nigdy nie chciałem mieć do czynienia z cudzym moczem albo innymi płynami ustrojowymi.

– Nie da rady. Ona musi wyjść albo przynajmniej patrzeć w inną stronę.

– A już tak dobrze szło... – zaczął Mo, ale kobieta mu przerwała.

– Nie marudzić, sikamy!!!

Zobaczyłem, że Mo się uśmiecha. Więc on też był przeciwko mnie.

– Jeśli nie możesz teraz sikać, to zamkniemy cię w izolatce i poczekamy, aż ci się zachce – oznajmiła kobieta.

W więzieniu też mieli izolatkę. Kiedyś tam trafiłem, jak byłem jeszcze nowy i nie wiedziałem, że najlepiej robić, co ci każą. Trzymali mnie całe trzy dni, aż w końcu nie potrafiłem sobie przypomnieć, jak się nazywam, gdzie jestem i czy w ogóle jeszcze żyję.

Wziąłem głęboki oddech. Napinając się z całych sił, zdołałem w końcu wydusić kilka kropli moczu.

– W samą porę. Wciągaj spodnie – poleciła kobieta.

Kiedy się ubrałem, znowu mogłem jasno myśleć i uświadomiłem sobie, że pielęgniarki prawdopodobnie nie mają prawa zamykać kogoś w izolatce. W każdym razie w więzieniu nie miały. Postanowiłem przy najbliższej okazji dowiedzieć się, jak to wygląda tutaj.

Dostałem własną, prywatną celę. Nie była duża, góra dwa na trzy metry, ale więcej nie potrzebowałem. Prycza, biurko – chociaż miałem nadzieję, że tutaj nie będę miał dużo czasu dla swoich rąk. Prysznic, umywalka, ustęp w osobnej przegrodzie. Bez normalnych drzwi, ale z takimi niewielkimi

obrotowymi. Czyli mogłem spać, srać i myć się na osobności. Zdecydowana poprawa.

Lepiej niż w poprawczaku, w którym spędziłem większość młodości, gdzie były kilkunastoosobowe sypialnie, wspólne natryski i ustępy z tak małymi drzwiami, że nie dało się załatwić tak, aby wszyscy o tym nie wiedzieli. Jak w kiblu puściłem bąka, wszyscy mi bili brawo. Aplauz towarzyszył też zwycięstwu w konkursie na walenie konia pod prysznicem, chociaż akurat mnie kutas ledwo stawał przy tyłu ludziach, dlatego nigdy nie wygrałem. Za to pierdzenie było moją mocną stroną.

Potem był zakład karny Harderwijk, gdzie całymi latami dzieliłem celę i ustęp z drugim facetem. Srał potwornie śmierdząco, chociaż jadł to samo co wszyscy. Siadał na kiblu kilka razy dziennie i zostawiał po sobie najgorszy odór, jaki można sobie wyobrazić. Niczego nie dawało zamykanie drzwi, fetor przenikał przez każdą szczelinę. Często na to narzekałem, nawet pisałem skargi. Adresowałem je do niego, ale także do naczelnika i królowej, która przecież mówiła w telewizji, że chce być królową wszystkich obywateli, a ja wciąż byłem obywatelem, prawda?

Eddie, kolega z celi, tylko ze mnie kpił.

– Właśnie tak śmierdzi prawdziwy facet. Wąchaj, Raynus, i się ucz.

Im bardziej narzekałem, tym robił się gorszy, wreszcie w ogóle przestał zamykać drzwi i odór stał się całkiem nie do zniesienia. Naczelnik przysłał kogoś, żeby kazał mi przestać marudzić, a od królowej nigdy nie dostałem żadnej odpowiedzi.

Przez pół roku musiałem więc wdychać ten smród dwa razy dziennie. Wreszcie zawiesiłem się. Spowolniłem. Zamiast jednego srania dziennie były trzy srania w tygodniu, a potem w ogóle przestałem chodzić do kibla. Brzuch mi napuchł jak bania. Konałem. Nie byłem w stanie jeść ani pić; nawet nie chciało mi się ruszać. Po prostu leżałem na pryczy jak kłoda, a Eddie załatwiał swoje śmierdzące sprawy przy szeroko otwartych drzwiach.

Zgłosiłem się na izbę chorych, gdzie zrobili mi lewatywę. To było bolesne i upokarzające, ale wreszcie opróżniłem kiszki. W wyłożonej zielonymi kaflami łazience lazaretu rozszedł się ohydny smród, jeszcze gorszy od fetoru

mojego towarzysza z celi. Przyniosło mi to nawet satysfakcję.

Kiedy wróciłem do celi, Eddiego już tam nie było, więc ostatnie sześć miesięcy spędziłem we względnym spokoju, chociaż jak zwykle miałem za dużo czasu.

Ostatni raz własny osobny kibel miałem wtedy, gdy wszystko jeszcze było w porządku. Uwielbiałem tamten ustęp. W przeciwieństwie do tych w poprawczaku i więzieniu należał tylko do mnie.

– Twoje rzeczy zostaną dostarczone dzisiaj po południu – oznajmił Mo.

Jego głos wyrwał mnie z zamyślenia. Zupełnie zapomniałem, że wciąż tutaj jest.

– Będziesz mógł urządzić się tak, jak chcesz – ciągnął. – Może masz jakieś rzeczy, które chcesz trzymać na widoku albo powiesić na ścianie. Mamy tu dosyć ostre przepisy odnośnie do gołych bab. Cycki mogą być. Tyłki nie. Inne zasady to: żadnego alkoholu, dragów, komórek oraz Internetu.

– A co z moimi rybkami?

– Masz rybki? Jakie? – Mo usiadł na skraju mojej pryczy jak matka, która chce opowiedzieć swojemu dziecku bajkę na dobranoc albo przynajmniej o tym, co widziała w telewizji. Moja matka często odwiedzała mnie w więzieniu, ale nigdy nie zostawała do wieczora.

– Mam akwarium morskie.

Mo gwizdnął przez zęby.

– Drogie hobby.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc milczałem.

– Jakie masz rybki? – dopytywał.

– Różne: cyrulika, błazenka, szpadelka, kosterę rogatą...

– Powiem o tym szefostwu, dobra? Jeśli akwarium nie jest za duże, mogą na nie pozwolić. – Mo klepnął się po udach i wstał. – Teraz zostawię cię na dwadzieścia minut. Ogarnij się po podróży i zacznij się przyzwyczajać do nowego miejsca. Jak wrócę, zabiorę cię do psychiatry.

– Dobra.

– Potem zapoznasz się z rozkładem dnia. A jutro, jeśli psychiatra pozwoli, przedstawię cię innym osadzonym.

Stalowe drzwi mojej celi zamknęły się ze szczękiem. Na poziomie oczu był mały wizjer zasłaniany klapką. W ten sposób mogli mi się przyglądać, kiedy tylko chcieli.

Przeszedłem od drzwi do końca celi, licząc kroki. Zawróciłem i dla pewności policzyłem jeszcze raz – pięć kroków. Potem usiadłem na pryczy i zacząłem się wpatrywać w świeżo pomalowane białe ściany.

# IRIS

**A**ch, tu jest moja wschodząca gwiazda!

Właśnie czekałam na pocztę w recepcji kancelarii Bartels & Peters, kiedy zjawił się Lawrence Bartels w swojej bajeranckiej bosmance, uszytej gdzieś na włoskiej prowincji. Gdzie konkretnie, stanowiło ściśle strzeżoną tajemnicę, jakby uważał, że inaczej cała reszta świata od razu rzuci się tam, by zdobyć podobną. Skoczył ku mnie z rozpostartymi ramionami, niczym gospodarz talk-show.

– Dzień dobry, *cara amici*. Chodźmy do mojego gabinetu.

Zastanawiałam się, po co mnie wzywa. Najprawdopodobniej Peter van Benschop złożył skargę, uznałam. Wyjścia w połowie spotkania z klientem nie dało się usprawiedliwić, nawet konieczność wizyty w przedszkolu nie stanowiła wystarczająco ważnego powodu.

Niewiele kancelarii prawniczych, o ile w ogóle jakakolwiek, służy bliźnim z czystej potrzeby serca. Bartels & Peters zdecydowanie tego nie robiło. Tu liczyły się tylko płatne godziny pracy. Ale i tak było znacznie lepiej niż na mojej poprzedniej posadzie, w kancelarii zajmującej się międzynarodowymi fuzjami przedsiębiorstw. Tam regularnie budzono mnie w środku nocy, bo jakiś zagraniczny klient koniecznie musiał mieć coś załatwione w godzinach pracy swojej strefy czasowej. Wiele nocy spędziłam przy komputerze z kawałkiem zeschniętej pizzy na podkładce do myszki. Odwołałam wiele urlopów.

Kiedy byłam w ciąży z Aaronem, stało się jasne, że muszę przystopować. I wtedy – zupełnie jak gdyby ktoś w niebiosach osobiście zainteresował się

moją sytuacją – zaproponowano mi pracę w Bartels & Peters. Rzut kamieniem od mojego mieszkania, a w dodatku do biura musiałam przychodzić tylko trzy razy w tygodniu, rzecz praktycznie niespotykana w zawodzie prawnika. To znacznie ułatwiło mi życie. Muszę jednak stwierdzić, że pierwsza linia prawniczego frontu jest niczym w porównaniu z wychowywaniem trzylatka.

Lawrence miał gabinet odpowiedni dla partnera w spółce odnoszącej sukcesy. Było tam biurko o rozmiarach stołu bilardowego, za którym, nawiasem mówiąc, wydawał się jeszcze niższy i bardziej pucułowaty, perski dywan na marmurowej podłodze i jakieś dziwaczne, ale niewątpliwie bezcenne dzieło sztuki na ścianie.

– Siadaj, siadaj! – huknął Rence, jak gdyby stał na scenie i musiał skupić na sobie uwagę dwustuosobowej widowni.

– Zamierza mnie pan ochrzanić? – spytałam ostrożnie.

– O czym ty mówisz? Peter van Benschop właśnie do mnie dzwonił i aż roznosi go entuzjazm. Powiedział, że rzadko spotyka takie twarde kobiety. Co zresztą nie dziwi, biorąc pod uwagę jego upodobania. Oszalał na twoim punkcie.

– Więc nie wspomniał, że musiałam wyjść w połowie spotkania?

Rence'owi zrzędała mina. Machnął ręką, poirytowany.

– Nie chcę o tym wiedzieć. Ciągłe ci powtarzam, żebyś nie była taka cholernie szczerą. Szczerłość to nie jest dobra cecha u prawnika. Prawnik ma być wiarygodny, łapiesz różnicę?

– Przepraszam.

Wybuchnął śmiechem.

– I nie możesz przyznawać się do błędów. Nigdy!

– Skoro nie jestem tutaj, żeby się smażyć na rozżarzonych węglach i błagać o zmiłowanie, to po co?

– Jesteś tu, droga Iris, ponieważ chciałem cię pochwalić za dzisiejszy sukces. To główny i jedyne powód naszego małego tête-à-tête, nie musisz się

tak denerwować. Chciałem tylko powiedzieć: „Dobra robota”. Nie interesuje mnie, co dokładnie zrobiłaś, bo cokolwiek to było, wykonałaś dobrą robotę, a tylko to się liczy.

– W takim razie dziękuję.

– Peter van Benschop przychodzi jutro do kancelarii wysłuchać zaproponowanej przez nas strategii. Chciałby, żeby do końca tygodnia sprawa była już załatwiona.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Słucham?

Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć mu całej prawdy, ale postanowiłam ograniczyć się do suchych faktów.

– Nie mogę przyjść ani w środę, ani w czwartek, a piątek i tak mam wolny. Mogę pracować w domu, ale nie zrobię tyle co tutaj.

– Naprawdę nie możesz?

– Naprawdę. Obawiam się, że okoliczności są poza moją kontrolą.

Rence w milczeniu pokręcił głową, niegdyś zapewne bujnie owłosioną, a teraz pokrytą resztkami siwych kędziorów.

– Przepraszam – dodałam jeszcze.

– Już ci mówiłem, że nie chcę słuchać żadnych wymówek! – wybuchnął. – Żadnych pieprzonych wymówek, Iris! – Do dolnej wargi przylgnęła mu banieczka śliny. Z teatralną przesadą wstał, podszedł do okna i stanął w nim, odwrócony do mnie plecami. Ekscentryczny. Krzykliwy. Męczący.

– W takim razie nie przepraszam. Bo właściwie nie mam za co przepraszać. Słyszał pan kiedyś o urlopie na żądanie? O urlopie macierzyńskim? A może powinnam za jednym zamachem wziąć wszystkie trzydzieści dni zaległego urlopu?

Rence milczał.

– No dobrze – odezwał się w końcu. – Jak już powiedziałem, nie interesuje mnie, co robisz, dopóki dobrze wykonujesz swoją pracę. Dopóki van Benschop jest zadowolony i dopóki ja jestem zadowolony z rachunku, który mogę mu wystawić.

– Proszę się o to nie martwić.



– Nie zgadniesz, kto jest teraz moim klientem...

Był wieczór, a że Aaron miał nocować u mojej matki, siedziałam w barze z przyjaciółką. Tak jak każdy normalny prawnik.

– Nie mam pojęcia. Papież? Och, nie, poczekaj chwilę. – Binnie uniosła palec wskazujący. – Twoją matkę w końcu oskarżono o karygodny chłód!

– Niezłe, ale to nie ona. – Znam Binnie od podstawówki. Kiedy moja matka poprosiła ją, żeby mówiła: „Dzień dobry, pani Kastelein”, zamiast typowego dla niej entuzjastycznego „Hellooo!”, przestały się lubić. Matka jest tak sztywna i zasadnicza, jak Binnie pełna luzu i bałaganiarska. Swojego prawdziwego imienia, Brigitte, nie cierpiała i nie pamiętam, żeby ktoś się tak do niej zwracał.

– No, powiedz mi. – Binnie dokończyła drinka i odstawiła pustą szklanekę na kontuar.

– Peter van Benschop.

– Kto?

– Peter van Benschop, z tej bajecznie bogatej rodziny armatorów.

Binnie rozbłysły oczy.

– Jest singlem?

– Nie mam pojęcia.

– To przecież pierwsza rzecz, jakiej trzeba się dowiedzieć, kiedy ma się takiego klienta. Jak on wygląda? Ile ma lat? Jakiego jest wzrostu?

– Po czterdziestce... Około metra osiemdziesięciu... Wiesz, jak sobie pomyślę, to może być w twoim typie. Lubisz, gdy mężczyzna dominuje, prawda?

– Uwielbiam.

Prawie się przewróciłam, bo potrącił mnie jakiś facet usiłujący zamówić drinka. Wyglądał na typa pracującego w agencji nieruchomości. Brzydki garnitur i bezczelna mina. Białe wino chlapnęło mu z kieliszka na moją pierś, akurat na wysokości sutka. Nawet jeśli zauważył, co się stało, udawał, że nie.

– Hej, uważaj – rzuciła do niego Binnie. – Właśnie ochlapałeś ją winem.

Odwrócił się do nas i zmierzył Binnie spojrzeniem.

– Jezu, aleś ty wysoka.

– Naprawdę?

Przewróciłam oczami.

– Rety, aleś ty wysoka – powtórzył facet.

– Akurat na tyle, żeby zobaczyć, że łysiejesz na czubku głowy. Iris, jak myślisz? Będzie mu do twarzy z łysiną?

– Och, daj spokój. – Wzięłam serwetkę i zaczęłam wycierać zmoczoną bluzkę. Wyglądałam jak karmiąca matka, która zapomniała wkładki do stanika. Cudownie.

– Wątpię, żeby mu pasowała. – Binnie uniosła palec do podbródka i przybrała zamyślony wyraz twarzy. – Ma taką śmieszna, okrągłą głowę. Przepraszam, ale ktoś musi mu to powiedzieć. Obawiam się, że za jakieś pięć lat będziesz wyglądał jak prosiaczek.

Nie zdołałam powstrzymać śmiechu.

– Na twoim miejscu postarałabym się jak najlepiej wykorzystać tych kilka lat, jakie ci jeszcze zostały. Zaczęłabym od próby bycia mniej chamskim. Patrz, jak chodzisz, a jeśli przypadkiem doprowadzisz do jakiejś małej kolizji i oblejesz damę białym winem, nie zapomnij przeprosić.

Przez chwilę patrzył na nią tępo.

– Pizda – warknął.

– Bardzo mi miło, że się przedstawiłeś – odparła Binnie spokojnie i zwróciła się do mnie: – Peter van Benschop, ten milioner. Już kojarzę. Wiesz, przypadłby mi się taki bogacz. Praca dziennikarki jest wspaniała i muszę przyznać, że spełniła większość moich oczekiwań. Mogłam uścisnąć dłoń Nelsona Mandeli, zobaczyć, że George Clooney na żywo jest jeszcze przystojniejszy, ujawniałam różne oszustwa i pisałam artykuły o faszerowaniu szarpejów amfetaminą. Niestety nie pomyślałam, że cały prestiż i te wielkie dziennikarskie nagrody, które na pewno kiedyś zgarnę, mogę sobie wsadzić w buty, bo pieniądze w tym zawodzie są żalotne. Jak długo jeszcze będę musiała wynajmować mieszkanie z kimś na spółkę? Mam szczerze dość mycia po kimś łazienki i słuchania, jak Marie-Ellen jęczy

podczas orgazmu, kiedy ja próbuję wyrobić się na termin. Och, Iris, gdybym wyszła za Petera, byłabyś moją druhną.

– A chciałybyś zostać zakuta w łańcuchy w sadomasochistycznym lochu?

– Co?

– I żeby wciskano ci fiuta do gardła, aż się zakrztusisz, zmuszano do picia moczu prosto ze źródła, poduszano w trakcie seksu...

– Cooo?

Umilkłam na chwilę, dla większego efektu.

– No powiedz! Powiedz! Powiedz! – Binnie aż skręcało z ciekawości.

– Peter van Benschop robi bardzo specyficzne filmy. Poszukaj w Google’u Sikającego Petera. Więcej nie mogę ci powiedzieć, tajemnica zawodowa.

– Hm. Ale jest przystojny?

– Jeśli lubisz typ Geralda Rivery.

– Prawdę powiedziawszy, wolę gorących południowców o zadbanych, zręcznych dłoniach. Tyle że ja im się nigdy nie podobałam, no i niezbyt mnie rajcuje, kiedy podczas francuskiego pocałunku czuję erekcję faceta na kolanie. A tak przy okazji, jak twoje życie miłosne?

– Do bani.

– Nie żartuj. U babki, która wciąż spotyka mężczyzn potrzebujących pomocy? Moim zdaniem prawnik i dentysta to dwa najlepsze zawody do usidlenia faceta.

– Och, daj już spokój.

– Mężczyźni w beznadziejnej sytuacji i całkowicie od ciebie zależni. Narażeni na ciosy, pragnący bezpieczeństwa i ciepła.

– Mogę cię zapewnić, że nie mam głowy do romansów.

– Racja, skarbie, od kiedy masz dziecko, kompletnie olewasz facetów. Ale obudź się! Jesteś młoda, ładna, niezależna, sympatyczna i nie masz żadnych fizycznych defektów. Za dziesięć lat Aaron już nie będzie chciał, żebyś mu matkowała, będą go interesowały tylko motocykle i dziewczyny. Wtedy pomyślisz sobie: „Co ja, do cholery, robiłam przez te wszystkie lata? Może by tak spróbować randkowania w Internecie?”

– Daj spokój.

– Moim zdaniem w ogóle nie jesteś szczęśliwa.

Wzruszyłam ramionami.

Binnie spojrzała na mnie z troską.

– Wszystko w porządku?

Westchnęłam.

– Mam problemy z Aaronem. Boję się, że go wyrzucą z przedszkola.

– Jak to?

– Nieważne. Teraz nie chcę o tym myśleć.

Binnie położyła mi dłoń na ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze.

– Właśnie to próbuję sobie ciągle powtarzać.

Niestety z coraz większym trudem.

# RAY

**B**ylem już badany przez psychiatrów podczas śledztwa. Gdy po kilku dniach przesłuchiwania przez wrzeszczących na mnie gliniarzy zostałem skierowany do Centrum Zdrowia Psychicznego imienia Petera Baana, przygotowałem się na najgorsze. Ale tamci psychiatrzy zachowywali się, jak gdybym był ich przyjacielem. Zapewniali, że próbują mnie zrozumieć. Cokolwiek powiedziałem, kiwali głowami albo mruzcili pełne aprobaty „mhm”.

Te pogawędki były całkiem miłe. Nigdy nie byłem zbyt rozmowny, ale po wszystkim, co się wydarzyło, chętnie wyrzucałem to z siebie.

Opinię psychiatrów odczytano podczas procesu. Skąd mogłem wiedzieć, że zwrócą się przeciwko mnie? Wcześniej psychiatrę spotkałem tylko raz, w poprawczaku. Był naprawdę miły. Zadawał pytania w rodzaju: „Jak się masz?” Nie bardzo wiedziałem, jak mu odpowiedzieć. Ogólnie czułem się całkiem nieźle. Czasem się wściekałem albo czegoś wystraszyłem. Ale zazwyczaj czułem się dobrze. Właśnie to mu mówiłem, a potem gawędziliśmy o ptaszkach w lesie i o tym, który rekin jest najniebezpieczniejszy: żarłacz biały czy może tępogłowy. Tamten psychiatra nigdy nie opowiadał za moimi plecami, że jestem wariatem. Bo oni wszyscy używają różnych trudnych słów, ale przecież ostatecznie chodzi im tylko o jedno: jesteś tym wariatem czy nie jesteś.

Doktor Römerman uścisnął mi rękę i poprosił, abym usiadł na fotelu naprzeciwko niego. Na biurku leżały okulary w rogowych oprawkach i gruba teczka z aktami.

– Panie Boelens, jest pan tutaj już od kilku godzin. Jakie są pana pierwsze

wrażenia?

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć.

– Wie pan, dlaczego tutaj jest?

– Tak – odparłem.

– Może to pan wyjaśnić własnymi słowami?

– A czyimi słowami miałbym wyjaśnić?

Uśmiechnął się.

– Słuszna uwaga, Ray. W takim razie proszę mi powiedzieć, dlaczego pan tu jest.

– Bo skazał mnie sąd. I mój wyrok polega na pobycie tutaj.

– A za co został pan skazany?

– Za zabójstwo Rosity i Anny Angeli. Siedemnastego maja 2003 roku. Nie wiem, o której godzinie.

Zanotował coś na kartce. Próbowałem przeczytać, żeby później nie zaskoczyły mnie niemiło słowa „psychotyczny”, „kompulsywny”, „obsesyjny” albo „dysfunkcyjny”.

– Wie pan, jaki mamy dzisiaj dzień?

– Jasne.

– A może mi pan powiedzieć?

– Pierwszy czerwca. – Zerknąłem na zegarek. – Trzecia po południu, a dokładnie to dwie minuty i dwadzieścia trzy sekundy po trzeciej. Co jeszcze chce pan wiedzieć?

– Jest pan bardzo precyzyjny.

Przytaknąłem.

Znowu coś zanotował. Pismo miał drobne i nieczytelne. Samo to mnie martwiło.

– Ma pan jakieś pytanie?

Przez chwilę byłem zaskoczony. Nie przyszło mi do głowy, że ja też mogę zadawać pytania. Kiedy już oswoiłem się z tą myślą, byłem w stanie spytać tylko o jedno:

– Czy tutaj wolno trzymać rybki? Mam akwarium morskie.

– Będę musiał sprawdzić. Lubi pan opiekować się zwierzętami? Jest pan

opiekuńczy?

– Jestem.

– Również wobec ludzi?

To pytanie zapaliło lampkę ostrzegawczą. Takie samo zadawali mi psychiatrzy z Centrum Baana. Niby niewinne, ale potem z odpowiedzi wyciąga się najróżniejsze okropne wnioski. Postanowiłem nie odpowiadać, zamiast tego skupiłem uwagę na okularach w rogowych oprawkach.

– Kim opiekował się pan w przeszłości? – Doktor spróbował ponownie.

– Nie wiem.

Römerman pochylił się na krześle, skrzyżował ramiona na piersi.

– Nie wie pan czy woli nie odpowiadać?

– Chcę tylko swojego akwarium. Albo jak najprędzej stąd wyjść.

– To rozumiałe, że chce pan wrócić do normalnego życia. I z pewnością możliwe, ale najpierw musi się wydarzyć kilka rzeczy.

– Jakich rzeczy?

– Pierwsza to pańska pełna współpraca. Kiedy zadam pytanie, musi pan przynajmniej spróbować na nie odpowiedzieć.

– Zadawano mi już tysiące pytań, ale odpowiedź zawsze była taka sama: to nie moja wina, że Rosita i Anna nie żyją. A jednak wciąż tutaj jestem.

– Panie Boelens, ja nie zamierzam bawić się w sędziego. Moglibyśmy całymi godzinami dyskutować o winie albo niewinności, ale obaj doskonale wiemy, że z panem coś jest nie do końca w porządku.

Pokręciłem głową. Od kiedy zamordowano Annę i Rositę, starałem się wyraźnie pokazać, że jestem normalny. W każdym razie wystarczająco normalny, żeby zdawać sobie sprawę, co robię.

– Nie miałem z tym nic wspólnego! Kiedy wreszcie to do was trafi?! – Walnąłem pięścią o blat. Okulary Römermana w rogowej oprawie aż podskoczyły.

Doktor nawet nie drgnął.

– Powtarzam, nie jesteśmy śledczymi. Nie zamierzamy robić tego, co zrobiły już policja i sąd. To, czy jest pan winny, czy niewinny, nie ma związku z tematem. Nie radziłbym jednak uparcie negować wyroku sądu. To



może tylko przedłużyć pański pobyt tutaj.

Milczałem, nie bardzo rozumiejąc, co dokładnie ma na myśli.

– Jeżeli jest pan przekonany o swojej niewinności, może pan złożyć apelację od wyroku. Jeśli wątpliwości będą uzasadnione, sąd może je uwzględnić. Ale nawet wtedy dobre zachowanie będzie się liczyć. Udział w terapii, przyjmowanie leków i brak wybuchów agresji, słownej czy fizycznej, zwłaszcza podczas naszych sesji. Chyba pan nie chce, żebym mu wystawił negatywną opinię, prawda?

Teraz zrozumiałem: albo dostosuję się do czegoś, z czym się nie zgadzam, albo sprawy potoczą się jeszcze gorzej. Ta sama stara śpiewka.

– Oceny pańskiego stanu psychicznego dokonamy za dwa lata – oznajmił Römerman. – Jeśli uznamy, że wszystko z panem w porządku, będzie pan mógł opuścić szpital.

Dwa lata w psychiatryku to dużo. Ale mniej niż osiem lat w więzieniu.

– Co mam robić, żeby się stąd wydostać?

– Przede wszystkim stosować się do zasad.

Akurat to nie stanowiło problemu.

– I co jeszcze?

Doktor Römerman zastanawiał się chwilę, po czym odpowiedział:

– Lubisz pisać listy, prawda, Ray? O ile wiem, nawet bardzo. Twoim pierwszym zadaniem będzie napisanie listu do sąsiadki. – Pogrzebał w papierach. – Do Rosity.

– Jak to? Przecież Rosita nie żyje.

– I teraz jest w niebie. Napisz list do Rosity w niebie.

– Nie potrafię napisać listu do kogoś, kto nie żyje.

Römerman westchnął.

– To wyobraź sobie, że jest żywa.

– Co mam napisać?

– To już zależy od ciebie. Najlepiej wszystko, co ci przyjdzie do głowy. Co o niej myślisz, jak się trzymasz i co czujesz w związku z tym... co się wydarzyło.

Skinąłem głową.

– Możesz dać mi ten list pojutrze, na naszej kolejnej sesji – powiedział doktor. – A gdybyś potrzebował więcej czasu, za kilka dni albo nawet w przyszłym tygodniu.

Więcej czasu to ostatnie, czego potrzebowałem.

– Niech będzie pojutrze – oznajmiłem, wykazując chęć do pełnej współpracy.

# IRIS

**P**eter van Benschop zapowiedział się na dziesiątą trzydzieści. Przyszedł punktualnie co do minuty, ubrany w dżinsy i błękitną marynarkę, która wyglądała na bardzo drogą.

Kazałam praktykantowi zaparzyć kawę i zwróciłam się do gościa.

– Dokładnie zapoznałam się z pańską sprawą.

– Obejrzała pani w końcu to DVD? I jakie wrażenia? Interesuje panią moja następna produkcja? *MILFs* to ostatnio prawdziwy hit.

– Najbardziej interesuje mnie aspekt prawny.

– Wczoraj wyszła pani w połowie spotkania, ale ja powiedziałem pani szefowi, że odbyliśmy bardzo owocną rozmowę. – Puścił do mnie oko. – Czyli teraz pani zajmie się mną naprawdę dobrze, prawda?

Przełknęłam zdenerwowanie.

– Tak, oczywiście. Porozmawiajmy o pańskiej sprawie.

– Proszę bardzo. No i jak to wygląda?

Wyjął notatnik.

– Szczerze mówiąc, nie najlepiej... – Zawiesiłam głos, mając nadzieję, że to go zaniepokoi i przestanie zachowywać się jak pajac. – Pańska sytuacja jest na tyle poważna, że sugerowałabym panu zawarcie ugody.

Z zadowoleniem przyglądałam się, jak rzędzie mu mina. Zaczął nerwowo stuknąć skuwką złotego wiecznego pióra.

– Co to dla mnie oznacza? – spytał po dłuższej chwili.

– Możliwe, że będzie pan musiał usunąć film z sieci. I zapłacić panie de Boer jakieś odszkodowanie.

– Już jej zapłaciłem. Dwa tysiące euro. Powiedziałbym, że to nie byle co.

– Rozpatrzmy sprawę punkt po punkcie, dobrze?

Znowu kilka razy postukał piórem. W leżącym przed sobą notesie wielkimi literami napisał „UGODA”.

– Mamy kilka przesłanek, na podstawie których sąd może potencjalnie pana skazać. Pierwsza to produkcja i dystrybucja pornografii dziecięcej.

Widziałam, jak starannie notuje „PORNOGRAFIA DZIECIĘCA”.

– Ponadto wykorzystywanie seksualne, gwałt, a może nawet usiłowanie zabójstwa.

Przerwałam, żeby dać mu czas na zanotowanie kolejnych kluczowych słów.

– Panna de Boer najprawdopodobniej oskarży pana o zmuszenie jej do uczestnictwa. Będzie twierdzić, że była naiwna, a pan wykręcił jej rękę.

– Tak naprawdę to ona sama do mnie przyszła.

– Może to pan jakoś udowodnić?

Zastanowił się chwilę.

– Nie wiem. Być może.

– Wolałabym to wiedzieć na pewno. Przy braku niepodważalnego dowodu sędzia będzie skłonny uwierzyć zeznaniom powódki. Ponadto osiemnastoletnia dziewczyna wzbudza większą sympatię od mężczyzny w średnim wieku z wystającym brzuchem, w przyciasnych skórzanych majtkach. Prawda?

Okraśliłam swoje słowa przyjaznym uśmiechem. Van Benschop nawet nie drgnął.

– Najpierw porozmawiajmy o tym, że de Boer w chwili zatrudnienia przez pana była nieletnia. Filmowanie aktów seksualnych z udziałem nieletnich jest karalne. Przepstępstwem jest także oferowanie nieletniemu korzyści materialnych za odbycie aktu seksualnego. Współżycie seksualne z osobą powyżej szesnastego roku życia za jej zgodą jest legalne. Ale płacenie jej za seks już nie, bo wówczas jest to prostytutka.

– Śmieszne, prawda?

– Tak pan uważa? Czy ma pan dzieci?

Pokręcił głową.

– Nie, z tego, co mi wiadomo.

– Tak właśnie myślałam. W chwili obecnej na pana korzyść świadczy jedynie to, że dziewczyna nie wyglądała na nieletnią.

– Młoda kobieta, pamięta pani? – W głosie van Benschopa słychać było zdenerwowanie. – Młoda kobieta. I to pełna cwaniackiego sprytu, jeśli wie pani, o czym mówię.

Zignorowałam tę uwagę i beznamiętnym głosem kontynuowałam:

– Poza tym filmy, jakie pan kręcił, nie miały być pornografią dziecięcą i nie były skierowane do odbiorcy takiej pornografii.

– Nie, ja nie robię dziecięcego porno. Nigdy nie robiłem. – Uśmiechnął się z wyższością, jak gdyby z tego powodu zasługiwał na Nagrodę Nobla.

– To dobrze, panie van Benschop.

Znowu postukał piórem.

– Produkcja dziecięcego porno to przestępstwo – podjęłam. – Ale fakt, że panna de Boer nie postawiła panu tego zarzutu, świadczy na jej niekorzyść. Z pewnością zmusi to sędziego do zastanowienia się nad motywami, jakimi się kierowała.

Van Benschop przytaknął entuzjastycznie. Przed chwilą przygnębiony, teraz zrobił wesoły. Zupełnie jak małe dziecko.

– Nasuwa się pytanie, dlaczego wystąpiła z powództwa cywilnego. Dlaczego nie poszła na policję? Sądzę, że to oznacza tylko jedno.

Mój klient pochylił się ku mnie, aby nie uronić ani jednego słowa.

– Ona chce pieniędzy. W sprawie karnej oskarża prokurator. W sprawie z powództwa cywilnego obywatele występują przeciwko sobie. Tak jak w tym wypadku.

Van Benschop zanotował: „SPRAWA KARNA i SPRAWA CYWILNA”.

– Przy okazji postępowania karnego możliwe jest wniesienie oskarżenia z powództwa cywilnego. W takich wypadkach decyzja sędziego powinna także dotyczyć odszkodowania dla ofiary. Wtedy jednak odszkodowanie nie jest zbyt wysokie. Dlatego dochodzę do wniosku, że panna de Boer zdecydowała się jedynie na powództwo cywilne, bo chce pieniędzy. Dużo pieniędzy.

– Zawsze to samo – stwierdził Peter van Benschop zmęczonym głosem.

– Powinien pan dziękować swojej szczęśliwej gwiazdce. Gdyby panna de Boer wytoczyła panu sprawę karną, musiałabym poczekać na decyzję sądu. Sąd mógłby uznać, że mamy tu do czynienia z gwałtem, wykorzystywaniem seksualnym lub innym ze wspomnianych przeze mnie przestępstw, a wtedy groziłyby panu co najmniej cztery lata więzienia. Zresztą kto wie, co jeszcze by wyszło przy okazji, gdyby policja zaczęła grzebać w pańskich sprawach.

– O czym pani mówi?

– Niech pan sam mi to powie. Wczoraj wspominał pan, że lubi odwiedzać Bahamy. Czy wobec tego uprawniony będzie mój wniosek, że trzyma pan pieniądze na zagranicznym koncie?

Nie odpowiedział.

– I właśnie o to mi chodzi.

Peter van Benschop znowu postukał wiecznym piórem i podkreślił w notesie słowo „UGODA”.

# RAY

Chciałem, żeby doktor był zadowolony, i żebym mógł wrócić do domu, jednak nie potrafiłem przelać na papier żadnych słów. Tej nocy w łóżku czułem się tak, jak gdybym znowu trafił do Pain de Provence, francuskiej piekarenki przy ulicy Księżniczki Ireny, tam gdzie kiedyś pracowałem. W latach siedemdziesiątych pewien piekarz o nazwisku Pierre Henri przyjechał do Holandii za swoją wakacyjną miłością Margaret i założył patiserię w dzielnicy białych kołnierzyków. W tamtych czasach miejscowi jeszcze nie znali croissantów, bagietek czy brioszek, nawet nie potrafiliby wskazać Prowansji na mapie. Jednak Pain de Provence odniosła wielki sukces. Kolejka klientów przybywających nawet z drogich dzielnic po drugiej stronie miasta stale rosła.

Pierre, gdy nie był już w stanie sam poradzić sobie z pracą, zatrudnił pomocnika. Margaret, teraz jego żona, zajmowała się sklepem. Miała tak donośny głos, że dosłownie słyszeliśmy każde zamówienie.

– Dla tej pani cztery zwykłe croissanty i dwa z czekoladą. Szybko, szybko.

– Pff, croissant po południu – mawiał Pierre. – Wy, Holendrzy, oszaleliście. We Francji sprzedalibyśmy najwyżej sto pięćdziesiąt croissantów dziennie. A tutaj pięćset, sześćset, czasem nawet i tysiąc croissantów w weekend. Jesteście *vraiment* stuknięci na punkcie croissantów.

Zdaniem Pierre'a nic z tego, czego nauczyłem się na kursie piekarskim, tak naprawdę nie było przydatne. Mówiono nam na przykład, aby piec chleb na drożdżach.

– Każdy, *tout le monde*, może pracować z drożdżami – twierdził Pierre. –

Drożdże są dla takiego piekarza, który nie ma *personalité*. Drożdże są dla fabryki, dla robota, dla piekarza, który wolałby zostać murarzem. *C'est incroyable*, że już w szkole uczą, jak być *mediocre*. *Incroyable!*

Pierre używał zakwasu, który trzydzieści lat temu dostał od ojca. Przez pierwszych kilka lat pracy nawet nie mogłem się zbliżyć do La Souche, jak Pierre nazywał ten zakwas. Przechowywał go w specjalnej szafce o regulowanej temperaturze, z dala od wszelkich zagrożeń, Pierre codziennie brał nieco La Souche, aby przygotowywać ciasto na chleb, bagietki albo croissanty. Potem uzupełniał zakwas, żeby nigdy go nie zabrakło.

La Souche należało karmić o określonych porach, a potem umieszczać ponownie w stosownej temperaturze. Pierre nawet z nią rozmawiał.

– Skarbie, jak się dzisiaj czujesz? Jest ci wygodnie?

Do mnie zaś tak mówił:

– Ray, z pieczywem jest jak z robieniem wina. Przede wszystkim chodzi o wycucie czasu i o temperaturę. Pamiętaj, czas i temperatura.

A pewnego dnia zawołał mnie do siebie i polecił:

– Powąchaj.

Podsunał mi pod nos kamionkowe naczynie, w którym mieszkała La Souche.

Pochyliłem się, zamknąłem oczy i powąchałem ostrożnie.

– Czujesz, jaka jest słodka? Świeża, ale nie za kwaśna? Ray, ona jest tym, czym ja jestem. To dzięki niej nasz chleb jest taki chrupiący z zewnątrz i taki miękki w środku. To ona daje mu ten świeży, słodki smak. Bez niej chleb to po prostu mąka i woda. Bez niej jest niczym, *mon fils*.

Nauczył mnie też, jak trzeba się obchodzić z La Souche, bo była, jak mawiał Pierre, „wymagającym i wybrednym kawałkiem ciasta i większy z nią kłopot niż z kobietą”. Wyjaśnił dokładnie, czego La Souche potrzebuje i czego nie lubi, jaka temperatura robi jej najlepiej, w jakich porach należy ją karmić i jaką ilością.

Rok później Pierre powierzył mi pełną odpowiedzialność za La Souche. Uznał, że nawet lepiej od niego wydzielam jej pokarm albo utrzymuję najodpowiedniejszą temperaturę. Jeszcze nigdy nie spotkał kogoś tak



precyzyjnego jak ja.

Po pięciu latach byłem już w stanie samodzielnie zajmować się kuchnią. Pracę zaczynałem każdego ranka o trzeciej piętnaście. Kiedy bagietki, *pains aux noix*, *pains aux céréales*, *pains au chocolat*, *chapatas*, croissanty i brioszki były już w piecu, brałem się do odważania składników. Przygotowywałem wszystkie ingrediencje potrzebne na ten dzień, umieszczając je w niewielkich miseczkach: mąkę, czekoladę, rodzyнки, ziarna słonecznika, ser, pastę z migdałów.

Margaret i Pierre zjawiali o się szóstej trzydzieści, aby wyklądać świeżo upieczone dobra na półkach. Kiedy otwierali o siódmej, a mieszkańcy drogich dzielnic zaczynali ustawiać się w kolejkę wspólnie z co bardziej dystyngowanymi mieszkańcami okolicy („co za wariaci”, mawiał Pierre), wtedy z Pierre’em miesiliśmy ciasto na siedem rodzajów pieczywa i robiliśmy *canelés* i *tartelettes*. Popołudnia poświęcaliśmy croissantom. Układaliśmy masło na cieście, dopóki nie powstały setki warstw.

– Ach, doskonałość – oznajmiał wtedy Pierre. – Absolutna doskonałość.

Pracowaliśmy tak całe lata, a potem Pierre i Margaret sprzedali piekarnię i przeprowadzili się do Francji. Pain de Provence przejął mężczyzna w grubych okularach, który miał zwyczaj klepać mnie po plecach. Zdaniem Margaret robił tak, bo chciał być moim przyjacielem. Mówiła, że jakby na to nie patrzeć, beze mnie piekarnia byłaby niewiele warta.

Na dzień przed wyjazdem Pierre wezwał mnie do siebie. Tulił w ramionach kamionkowe naczynie z zakwasem.

– To najcenniejsze, co mam, *mon bébé*. Dał mi ją ojciec, gdy otwierałem pierwszą *boulangerie*. To ona uczyniła mnie tym, kim jestem. Nie mam synów, a Margaret jest już w takim wieku, że nie może mieć dzieci, więc ofiaruję zakwas tobie.

Po policzkach spłynęły mu łzy.

Sól jest dla zakwasu zabójcza. Prędko zabrałem mu kamionkowe naczynie, aby łzy nie kapnęły do La Souche.

– Ciesz się nią. Daj jej zajęcie. Ufam, że i ty znajdziesz kogoś, komu będziesz mógł ją przekazać, kiedy nadejdzie czas. Ale jeśli nie, oczekuję, że

ją zniszczysz. Obiecasz mi to, Ray? *Tu me le promets?*

– *Oui* – odpowiedziałem.

Kiedy Pierre i Margaret odeszli, nowy właściciel piekarni postanowił ją przebudować. Wcześniej piec i miejsce przygotowywania ciasta miały swoje osobne pomieszczenia za sklepem. Nowy właściciel uznał jednak, że będzie fajnie, jeżeli klienci obejrzą mnie przy pracy. Dzięki temu będą mieli pewność, że wszystko powstaje na miejscu i nie pochodzi z fabryki. Usunięto więc ścianę oddzielającą kuchnię od sklepu, zastępując ją szklaną barierą.

I nagle jacyś ludzie zaczęli się przyglądać, jak obieram jabłka na *tartelettes*, jak ugniatam ciasto spokojnymi, pewnymi ruchami. To mnie zawstydzalo. Traciłem pewność siebie.

Wcześniej każde *couronne*, jakie odmierzałem, ważyło dokładnie pięćset dwadzieścia pięć gramów. Dbałem o to, po prostu to była jedna z ważnych dla mnie spraw. Gdy pojawiła się szyba, *couronne* miewało czasem i po sześćset gramów, bo trzęsły mi się ręce w trakcie przygotowywania składników. Czasem nawet dopuszczałem do tego, aby przypaliły mi się *canelés*. Nie cierpiałem, jak ktoś na mnie patrzył. Dopóki nie spotkałem Rosity. Od tamtej pory ciągle wgapiałem się w szklaną ścianę, aby nie opuścić ani chwili pobytu Rosity w piekarni. Przyzwyczaiałem się w końcu do wścibskich spojrzeń i składniki znowu były idealnie odmierzone.

Ze swoimi sąsiadami nigdy nie miałem zbyt wiele do czynienia. Nie wiedziałem zresztą, o czym miałbym z nimi rozmawiać. Czasem mówili mi „dzień dobry”, wtedy im odpowiadałem. I to wszystko. Na co dzień i tak miałem sporo zajęć. Piekarnia. Moje rybki. Jedzenie. Spanie. Prysznic. Sprzątnięcie. Pranie. Prasowanie. Zakupy. Oddychanie.

W dniu, w którym Rosita została moją sąsiadką, świeciło słońce. Panował upał. Podjechała starą, zardzewiałą furgonetką, razem z jakimś dzieckiem siedzącym na niebieskim, spłowiałym foteliku i mężczyzną o przetłuszczonych włosach, zebranych w kucyk. Rosita wniosła z tym

mężczyzną kilka mebli – brązową sofę, stolik, dwa krzesła i największe podwójne łóżko, jakie kiedykolwiek widziałem.

Mężczyzna wydawał się zmęczony i stary, bardziej zdezelowany od materaca na brązowym, skórzanym tapczanie. Natomiast Rosita była roześmiana; ubrana dosyć skąpo: bardzo krótkie szorty, podkoszulek bez rękawów. Z ciemnych loków kapał pot, tworząc dużą, mokrą plamę na plecach. Uznałem, że chyba nie nosi stanika.

Doszedłem do wniosku, że Rosita to najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem. Piękniejsza nawet od dziewczyn z telewizji, nawet od innych kobiet widywanych przeze mnie na ulicy. Wszystkie kobiety na ulicy miały żółte zęby i też nie nosiły staników, ale ich piersi nie sterczały tak jak u Rosity. Wydawało się też, że bez przerwy krzyczą na mężów. Krzyczały też na swoje dzieci. Krzyczały na wałęsające się psy, załatwiające się po podwórkach, odpowiedzialne za paskudny fetor na ulicy Królowej Wilhelminy, zwłaszcza latem, kiedy topniały śniegi.

Dlaczego te kobiety nie mogłyby się zająć własnymi podwórkami? Te zaniedbane podwórka przed domami naprawdę, ale to naprawdę mnie drażniły. Czasami nocą, przed rozpoczęciem swojej zmiany, brałem sekator i chociaż nie znałem się dobrze na przycinaniu cudzych roślin czy cudzych ogrodów, to przynajmniej wzdłuż ulicy Królowej Wilhelminy wszystkie żywopłoty stały się równe jak drut.

To była ulga, że prawie nie widywałem tamtego starszego mężczyzny o dziwnych włosach, który pojawił się pierwszego dnia. Za to regularnie widywałem Rositę. Lubiłem przyglądać się jej zza ciemnoczerwonych zasłon, wybranych do domu przez matkę. Kiedy tylko wracałem z pracy, czyli jak zawsze po trzeciej po południu, zasiadałem w fotelu pod oknem w kuchni, wyglądając na zewnątrz z nadzieją, że ujrzę Rositę.

Gdy nie padało, zazwyczaj wychodziła na spacer z wózkiem. Z miejsca, w którym siedziałem, widziałem, jak spaceruje chodnikiem, skręcając za róg, w ulicę Księżniczki Beatrix.

Hipnotyzowało mnie to, jak szła – z wysoko uniesioną głową, na obcasach stukoczących głośno wraz z każdym krokiem. A potem były jej biodra. Sposób, w jaki kołysały się na boki w cichym rytmie. Czasem było jeszcze liczenie na głos: „Jeden, dwa, trzy, cztery. Jeden, dwa, trzy cztery”. Nigdy nie gubiła kroku, nawet na najdrobniejszy ułamek sekundy.

Czasem zatrzymywała się, aby pogawędzić z jakimś sąsiadem. Albo ponownie wepchnąć smoczek w usta swojego dziecka. Jednak przez większość czasu po prostu szła, nie zatrzymując się.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak skręca za róg, wyskoczyłem ze swojego domu, i pobiegłem, aby przeczytać tabliczkę na drzwiach. Było na niej napisane: „Rosita i Anna Angeli”. Litery wyryto na brązowym prostokącie. Setki razy powtarzałem: „Rosita, Rosita, Rosita”. To brzmiało jak nazwa aromatycznej brioszki. Takiej z goudą i prowansalskimi ziołami.

Najbardziej lubiłem te chwile, gdy wracała ze spaceru. Wtedy mogłem oglądać jej twarz, chociaż uznawałem, że zagłębienie między obojczykami może być jeszcze atrakcyjniejsze.

Czasem do mnie machała. Potem nurkowałem za zasłonę, a sama myśl, żeby jej odmachać, sprawiała, że cały się trząsałem. Nie było mowy, abym to zrobił.

# IRIS

**M**oja matka wciąż mieszkała w domu, w którym się urodziłam, takim całkiem miłym bungalowu na przedmieściach Amsterdamu. Ojciec zmarł dziesięć lat temu, zaraz po przejściu na emeryturę. Nie mógł się doczekać tych wszystkich podróży, w jakie planował wybrać się z matką, tych godzin, które spędzi na uprawianiu ogródka, tych książek, które zmierzał przeczytać. Kiedy upadł, nie był nawet w połowie *Anny Kareniny*. Atak serca. Dwa dni później już nie żył.

Matka lubiła, gdy zostawałam w domu rodzinnym podczas jej wyjazdu na urlop. Teraz i tak przez kilka dni musiałam sama zajmować się Aaronem, a że pogoda była ładna, więc nie miałam nic przeciwko. W moim mieszkaniu był tylko balkon, dwa na trzy metry. Za mało przestrzeni dla dziecka. A w ogrodzie u matki mieścił się brodzik, gdzie Aaron mógł się pluskać, ile dusza zapragnie, razem ze swoją kolekcją plastikowych wielorybów, podczas gdy ja próbowałabym pracować, skryta pod parasolem.

Ogród był świetny, ale dom mnie wkurzał. Matka miała fioła na punkcie czystości. Kiedy przychodził Aaron, kazała mi okrywać sofę dużą narzutą.

– Kupuję tylko rzeczy najlepszej jakości – oznajmiła. – A jak się o coś dba, to może przetrwać wieczność.

I dlatego każdy przedmiot w jej domu miała własną instrukcję obsługi. Było tam również specjalne mydło do zmywania podłogi w kuchni, воск do drewnianego stołu kuchennego, osobne środki do czyszczenia kolekcji kryształów Swarovskiego, do polerowania piecyka, szampon do sofy i krzeseł. W przedpokoju całą szafę zajmował arsenał środków czyszczących.

Matka zostawiła mi pięć stron rozmaitych zaleceń, żebym jej cennymi rzeczami zajęła się dokładnie z taką uwagą, na jaką zasługują.

W ładną pogodę wszystkie te kłopoty wynagradzał ogród. Aaron uwielbiał też akwarium – takie wręcz absurdalnie wielkie akwarium, które w salonie bungalowu pojawiło się kilka lat temu po prostu znikąd. Aarona wtedy jeszcze nie było na świecie, a ja kończyłam studia, sądząc, że świat stoi przede mną otworem.

– Nie wiedziałam, że lubisz rybki – powiedziałam matce.

– Nie wiesz o mnie jeszcze wielu rzeczy – odparła.

W dodatku to nawet nie było takie zwyczajne akwarium, tylko akwarium morskie, wyposażone w tyle rozmaitych urządzeń, że śmiało mogło konkurować ze sprzętem ze szpitalnego oddziału intensywnej terapii. Ten cały kruchy ekosystem złożony z koralowców, ryb tropikalnych i morskich anemonów należało utrzymywać w stałej temperaturze, nie wspominając o kontroli poziomu zasolenia, pH, cotygodniowej wymianie wody, specjalnych witaminach. Naturalnie, matka miała od tego specjalnego człowieka, i to on odpowiadał za lwią część roboty.

– A co by ci przeszkadzała taka miła, złota rybka w ładnym akwarium? – zapytałam.

– Och, przestań.

– Albo pies? Taki mały, śliczny jamniczek.

– No jasne, a do tego jeszcze to całe pieszczenie się i cudowanie? Do dzisiaj po prostu niedobrze mi się robi, jak słyszę, że dorosły człowiek woła: „Dobra robota, pieseczku”, kiedy ten jego pies w środku dnia załatwi się na ulicy. To nie dla mnie, dziękuję bardzo.

Sama nie wiedziałam, czy to akwarium pasuje do mojej matki. Wydawało się jakieś takie niepotrzebnie skomplikowane, ale przecież podobnie było z kolekcją kryształów Swarovskiego, której blask należało podtrzymywać specjalnymi środkami i drewnianym blatem, wymagającym comiesięcznego naoliwiania.

Po narodzinach Aarona zaczęłam dostrzegać plusy tego gigantycznego akwarium. Zawsze, gdy mój syn nie mógł się uspokoić, co zdarzało się dosyć

często, jechałam do matki i sadzałam go przed akwariem w jego foteliku. Wyglądało na to, że działa kojąco. Akwarium było ulubioną „zabawą” Aarona, wołał je nawet od *Łaskotek Elma* albo samolotu z Playmobila. Mógł godzinami wpatrywać się w falujące korale i jaskrawe, barwne rybki.

Na trzecie urodziny moja matka podarowała Aaronowi encyklopedię ryb morskich. Od tamtej pory musiałam czytać mu ją co wieczór. Potrafił wskazać dowolną rybę i oznajmić z rozanieloną miną: „P-atrz, to jest żaglica”. Albo: „Patrz, to garra rufa!”

Siedziałam z tyłu domu matki i pracowałam nad sprawą van Benschopa. Zaszokowało mnie ostre porno nagrywane przez Sikającego Petera. Obejrzałam DVD, a potem starałam się jak najszybciej o tym zapomnieć. Zwłaszcza że wyraźnie było na nim widać, że „młoda kobieta” najpierw zachowuje się histerycznie, a potem robi się zupełnie apatyczna. Jednak kontrakt to kontrakt, nawet jeśli van Benschop nie wydawał się kimś zdolnym do jego zrealizowania. Robiłam więc wszystko co w mojej mocy, aby skupić się na płynnym pisaniu, porządnym żargonem prawniczym.

Właśnie pracowałam nad zakończeniem, w którym zapraszałam prawnika powódki do dyskusji na temat ugody, kiedy usłyszałam wołanie Aarona:

– Mamusiu, mamusiu!

Uświadomiłam sobie, że go nie pilnowałam i pewnie wszedł do domu. Wołał tak, jakby się czegoś wystraszył. Wbiegłam do środka, spodziewając się zastać roztrzaskaną gablotę albo ogromną plamę na dywanie, której nie zdoła usunąć żaden ze środków z szafy w przedpokoju. Aaron siedział przed akwariem. Gdzieżby indziej?

– Kochanie, o co chodzi?

– Ki-Kon nie żyje. Ki-Kon nie żyje...je...je...je.

King Kong był ulubioną rybką Aarona. Dużą, ciemnoniebieską garra rufa o jasnożółtym ogonku. Unosił się teraz na powierzchni wody, obrócony bokiem, pyszczek miał otwarty, jak gdyby wciąż jeszcze próbował złapać ostatni haust tlenu.

Martwa rybka oznaczała katastrofę. Oznaczała, że trzeba sprawdzić i oczyścić cały zbiornik. Coś takiego już się zdarzyło z miesiąc temu. Wtedy to jeden, jedyny raz słyszałam, jak matka narzeka na akwarium.

- Nie ży...ży...ży...je – znowu zakwilił Aaron.
- Wiem, kochanie. To bardzo smutne.
- Chcę potrzymać Ki-Kona.
- Nie, tego nie zrobimy.

Postanowiłam zadzwonić do tego faceta od akwarium, którego znałam jako Maurice'a. Był wyśmienitym akwarystą morskim – jak nazywano jego zawód. Spotkałam go dwa razy, przy okazji odwiedzin u matki. Nie był jakiś specjalnie towarzyski, ale na pewno znał się na swojej pracy. Znalazłam jego numer, zapisany wodoodpornym flamastrem na kawałku taśmy klejącej i przyczepiony u góry akwarium.

Odpowiedziała mi poczta głosowa. Spróbowałam więc dodzwonić się do matki, ale też nie odbierała. Co roku, razem ze swoją przyjaciółką Liną, wyjeżdżała do jakiegoś słoweńskiego kurortu, gdzie oczyszczała wnętrze, dawała sobie oczyścić pory, wyskubać brwi i codziennie musiała przepłynąć kilometr. Oczyma wyobraźni widziałam już surowego, wschodnioeuropejskiego ratownika, stojącego na krawędzi basenu z kijem w ręku i poganiającego matkę, żeby płynęła. Nie cierpiała spa, ale jeździła tam co roku.

Wyglądało na to, że na razie muszę radzić sobie sama. Uniosłam ciężką pokrywę akwarium i siatką wyłowiłam martwego King Konga. Wydawał się jakiś poplamiony, jego kolory wyblakły, nie miał aż tak soczystoniebieskiej barwy jak wtedy, gdy widziałam go po raz ostatni.

- Ja chcę! – wrzeszczał Aaron. – Ja chcę go potrzymać!
- Kochanie, ale rybek się nie trzyma. Zwłaszcza nieżywych rybek.

Zaniosłam King Konga do kuchni, owinęłam w papierowy ręcznik ozdobiony małymi kotkami i wsadziłam do lodówki. Kiedy ostatnio zdechła rybka, Hannibal, matka wysłała ją na wydział weterynarii uniwersytetu w Utrechcie. Nie pamiętam, czy dostaliśmy jakieś wyniki badań, ale King Konga na pewno też powinno się poddać sekcji.



– Zobaczyć! Chcę go zobaczyć!

– Aaron, on jest w lodówce – powiedziałam. – Ułóż sobie puzzle, dobrze?

– Ja chcę Ki-Kona!

– Pamiętasz te puzzle z rekinem? Z takim wielkim, strasznym rekinem, który tak rozdziawia paszczę, że mu widać wszystkie zęby?

– Ki-Kon.

Jednak na szczęście złapał mnie za rękę i dał się zaprowadzić do salonu.

Uwaga. Muszę poświęcać mu więcej uwagi. Kiedyś jedna z matek z przedszkola powiedziała mi, że mam z nim problemy, bo chcę robić za dużo rzeczy naraz.

– Jak się pogodzisz z tym, że nie możesz robić niczego poza bawieniem się z nim, nie możesz nawet poczytać gazety, w ogóle niczego, to sama zobaczysz, będzie znacznie łatwiej.

Ale kto w ogóle miał na to czas? Zresztą ta sama kobieta opowiadała mi kiedyś, że gdy jej syn miał atak wściekłości, wstawiła go pod zimny prysznic. I mówiła o tym tak, jak gdyby czuła się dumna.

Postanowiłam jednak zastosować się do tej rady. W każdym razie przez najbliższe dwie godziny.

Zarówno sprawa van Benschopa, jak i martwa rybka w lodówce mogły poczekać.

I razem z synkiem po prostu po raz trzeci układałam puzzle z rekinem – siedemdziesiąt pięć części, które trzeba było porozmieszczać w specjalnej kolejności, według wskazówek Aarona. Zadzwoił telefon.

– Dzień dobry. Jestem teraz na kempingu – oznajmił jakiś męski głos, bez zbędnych wstępów. Uznałam, że to na pewno Maurice.

– To bardzo źle – powiedziałam. – Co ja mam zrobić?

– Co ma pani zrobić? Niech mnie pani nie pyta. Powiedziałem pani matce, że w tym tygodniu jestem na urlopie. Niech pani zadzwoni do sklepu akwarystycznego.

– Może pan jakiś polecić?

– Niech pani zadzwoni do Morskiego Świata Van de Akkera, w Amersfoort. To stamtąd jest to akwarium pani matki.

Van de Akker okazał się bardzo uczynny. Natychmiast zaproponował, że zjawi się u mnie zaraz po zamknięciu sklepu.

– Pan przyjedzie tutaj aż z Amersfoort?

– Akwaria morskie to poważna sprawa. Może pani zadbać, żeby dziennik akwarium był pod ręką?

– Dziennik?

– Jeżeli wciąż jest prowadzony.

– Poszukam go.

Znowu spróbowałam zadzwonić do matki, tym razem, żeby zapytać, gdzie jest dziennik. I tym razem odebrała. Kiedy powiedziała „cześć”, usłyszałam jakieś głośne trzaski.

– Mamo – odezwałam się. – Słyszysz mnie? Możesz mi powiedzieć, gdzie znajdę dziennik akwarium?

Usłyszałam, że matka coś mówi, ale niczego nie byłam w stanie zrozumieć.

– Mamo?

Coś zaczęło głośno brzęczeć, potem połączenie się urwało. Spróbowałam zadzwonić jeszcze raz, ale odpowiedziała mi już tylko poczta głosowa.

Musiałam sama znaleźć ten dziennik.

Matka nie tylko miała fobię na punkcie nieusuwalnych plam, pęknięć i zadrapań, ale nienawidziła także, gdy dotykano jej rzeczy. Od kiedy pamiętam, jeden z pokoiów był jej gabinetem, chociaż nigdy nie zdołałam się dowiedzieć, co właściwie w nim robi. Swój gabinet zawsze zamykała na klucz. Nawet ojciec nie mógł tam wchodzić.

Kiedyś korzystając z chwili matczynej nieuwagi – chyba poszła wtedy do łazienki – wetknęłam głowę przez drzwi do tego jej Fortu Knox. To, co ujrzałam, rozczarowało mnie. Biurko, krzesło i ogromna szafa na ubrania. Szafa była zapchana pudłami na akta. Weszłam do środka. Zastanawiałam się nad zawartością tych pudeł. Próbowałam sobie wyobrazić matkę jako

szefową międzynarodowego syndykatu zbrodni, chociaż jakoś trudno było to pogodzić z jej nienaganną trwałą i wyglansowanymi butami. Przyłapała mnie, wpadła w szal. Nawet dostałam lanie.

– Co ty chowasz w tamtym pokoju? – zapytał ojciec. – Co jest takiego strasznego w tym, że dziecko chce tam zajrzeć?

To była jedna z niewielu zapamiętanych przeze mnie sytuacji, gdy naprawdę się pokłócili.

– Ty masz swoje biuro, Iris ma swoją szkołę. Takie dziwne, że też chcę mieć jakieś swoje miejsce?

Weszła do pokoju, usłyszeliśmy, jak zamyka drzwi na klucz.

– Daj jej spokój – powiedział mi ojciec. – Włamiemy się tam kiedyś w nocy, jak będzie spała.

Oczywiście nigdy tego nie zrobiliśmy.

Od tamtej pory uważnie przyglądałam się matce, jednak nigdy jej na niczym nie przyłapałam. Dałam wreszcie spokój, uznając, że w swoim pokoju pewnie zajmuje się jakimiś rachunkami albo haftowaniem. Jeśli szukałam ekscytującego życia, musiałam sama je sobie zapewnić.

Logicznym miejscem do przechowywania czegokolwiek związanego z akwariem było jego poblize – tak mi się przynajmniej wydawało. Otworzyłam kredens, gdzie leżały pokarm dla rybek i paski do testowania pH, a także zapasowe filtry, mikroelementy i szczotka do czyszczenia z alg. Jednak nie znalazłam dziennika, tylko poradnik obsługi odpieniacza białek.

Na okładce starannie wykaligrafowano „R. Boelens”.

Boelens to panięskie nazwisko mojej matki. Jednak na pierwsze imię miała Agatha, a na drugie Antonia. A.A. Boelens, nie R. Boelens. Dziadek i babcia nosili imiona Truus i Jan, umarli dawno temu.

– Tu nie ma dziennika – powiedziałam Aaronowi. I tak mnie nie zrozumiał. – Zajrzemy do regału z książkami. A może do szafy w przedpokoju? A co ty na to, żeby poszukać w szafkach w kuchni? A jeśli nigdzie go nie znajdziemy, to co robimy? – Podniosłam synka i przysunęłam

swój nos do jego noska. – Wtedy będziemy musieli zajrzeć do sekretnego pokoju babci. Co ty na to?

– Ki-kon. Ja chcę zobaczyć Ki-Kona.

– Może znajdziemy tam coś znacznie ciekawszego od nieżywej rybki.

Dziennik znalazłam na dnie szuflady pod akwariem. Także podpisany R. Boelens, tym samym charakterem pisma. Pospiesznie go przewertowałam. Prowadzony był od 1990 roku, przez trzynaście lat. R. Boelens skrupulatnie notował wszystko, co wiązało się z akwariem: jaką rybkę kupiono, jaka zdechła, jaka jest zawartość soli w wodzie, jaka jest temperatura. W połowie 2003 roku charakter pisma się zmienił. Czy to właśnie wtedy akwariem pojawiło się u mojej matki? Jednak nawet tym nowym charakterem pisma pojawianie się i odchodzenie rybek zapisywano dokładnie, podobnie jak skład wody i temperaturę. Tylko był jakiś taki mniej staranny.

Nigdy nie słyszałam o żadnym R. Boelensie. Pomyślałam, że to może nieznan mi wujek, który trafił do domu starców. A może matka dostała akwariem od kogoś o takim samym nazwisku. To wszystko wydawało się jednak dziwne.

Wybiła szósta trzydzieści i właśnie dawałam Aaronowi kolację, ziemniaki z groszkiem purée, kiedy zjawił się pan Van de Akker.

– Ach, jak miło – powiedział nabożnym tonem, jak gdyby wchodził do kościoła. – Jedno z naprawdę najokazalszych prywatnych akwariów morskich w kraju. Ciii... Pamiętam, że w 2001 roku dostało pierwszą nagrodę Holenderskiego Towarzystwa Akwariów Morskich. Muszę przyznać, że wtedy akwariem było po prostu oszałamiające. A i dzisiaj robi wrażenie.

– Kupiono je u pana?

– Tak – odparł z dumą. – On był wtedy jednym z moich najwierniejszych klientów. Pani jest do niego podobna. Ale pani syn jeszcze bardziej.

– Ki-Kon – powiedział Aaron, gramoląc się obok mnie. – Ki-Kon nie żyjeeee.

– Do kogo podobny? Do R. Boelensa?

– Oczywiście. – Van de Akker patrzył gdzieś w przestrzeń. – To straszne, co się stało. Naprawdę, straszne.

Zrobił krok w stronę akwarium, wpatrując się w morskie anemony.

– Mogę prosić o dziennik?

Wręczyłam mu zeszyt w kartonowej okładce. Oczywiście, strasznie chciałam zapytać, co dokładnie się wydarzyło, jednak chwila wydała się nieodpowiednia. Van de Akker przyjrzał się ostatniej stronie zapisków.

– Liczby się zgadzają. Widzę, że sześć tygodni temu dodano trochę żywej skały. Niedługo potem umarł kolejny z naszych małych przyjaciół. To mogłoby oznaczać, że woda została skażona. Tyle że wtedy miałyby to wpływ także na inne rybki.

Wyjął termometr albo coś, co go przypominało, i włożył do wody. Odczytał wynik pomiaru.

– Zasolenie wody w porządku. Czyli że to również nie to.

– Chciałby pan zobaczyć King Konga?

– Zobaczyc Kin-Kona! – podkreślił Aaron.

– Tak, niedługo zobaczysz King Konga. Jak już zjesz kolację. Siadaj i dokończ jedzenie.

– Nie.

– Tak.

– Nie!

Chwyciłam go za ramię i pociągnęłam.

– Najpierw zjesz, potem zobaczysz King Konga – powiedziałam spokojnym i przyjaznym głosem, tak jak zrobiłaby dobra matka.

Zadzwoił telefon. Odebrałam, ale usłyszałam tylko jakieś trzaski. To na pewno dzwoniła matka.

– Halo – powtórzyłam kilka razy.

Usłyszałam tylko pisk, więc odłożyłam słuchawkę.

Tymczasem Aaron wygramolił się ze swojego krzeselka i wrócił pod akwarium.

– Nie – oznajmiłam surowo. – Najpierw dokończysz kolację.

Podniosłam go i stanowczo usadowiłam z powrotem na krzeselku.

Aaron zaczął wrzeszczeć. Od razu pożałowałam, że nie zostawiłam go w spokoju. Jednak musiałam być teraz konsekwentna. Jak się już ustanowi jakieś reguły, trzeba ich przestrzegać. W każdej książce o wychowywaniu dzieci tak piszą.

– Zostań na krzeselku. Czy ty mnie słyszysz? Masz tam zostać, aż talerz nie będzie pusty.

Ledwo słyszałam sama siebie wśród wycia Aarona. Chciałabym mieć jakiegoś pilota, żeby można go było wyłączyć.

Podeszłam do lodówki i wyjęłam papierowe zawiniątko z King Kongiem.

– Tutaj jest – powiedziałam panu Van de Akkerowi na tyle głośno, aby usłyszał mnie poprzez wrzask.

Włożył okulary do czytania i przyjrzał się rybce.

– Przepraszam za ten hałas.

– Nie ma problemu – odparł głośno, aby przekrzyczeć Aarona. Zauważyłam jednak, że na szyi zaczynają mu wychodzić czerwone plamy. Nie był osobą potrafiącą znieść aż taki hałas. Z pewnością pewnie nie bez powodu zdecydował się na pracę z rybkami.

Znowu zadzwonił telefon, dołączając się do tego pandemonium. Podniosłam słuchawkę i od razu odłożyłam. Aaron był jeszcze głośniejszy. Podeszłam do niego i spróbowałam mówić tak spokojnie i stanowczo, jak tylko potrafiłam, chociaż naprawdę miałam ochotę wrzeszczeć.

– Naprawdę musisz przestać. Jeśli nie przestaniesz, to zamknę cię w twoim pokoju i już nigdy nie zobaczysz King Konga. Słyszysz mnie? Przestań!

Aaron patrzył na mnie szklanymi oczyma i dalej wył, jak jakaś straszna maszyna.

Chwyciłam go za ramię, muszę przyznać, że niezbyt delikatnie.

– Przestań. Na litość boską, przestań!

Wciąż miał taki sam szklany wzrok, bez śladu przestachu ani czegokolwiek przypominającego zrozumienie. To jeszcze bardziej mnie rozjuszyło.

– No dobra, to idziesz do pokoju. – Podniosłam go z krzesła. Zaczął dziko

wymachiwać rękoma. Najpierw wywalił na podłogę talerz z jedzeniem, a potem zaczął kopać mnie i bić.

– Przepraszam! – krzyknęłam do Van de Akkera. – Będę za chwilę!

Aaron tak skopał mi biodra, że miałam je w czarnych sińcach. Ugryzł mnie też w prawe ramię. Jednak go nie puściłam. Wrzuciłam go do sypialni i zatrzasnęłam drzwi. Niestety, moja matka nie zaopatrzyła tych drzwi w zamek, inaczej zamknęłabym je na klucz. Słyszałam, jak w środku Aaron rozrzuca jakieś rzeczy.

Otworzyłam drzwi.

– Wystarczy! Dostyc! Niczego nie dotykaj!

Już nie byłam w stanie dłużej się kontrolować. Stałam, histerycznie wydzierając się na dziecko, mimo że w sąsiednim pokoju był pan Van de Akker.

Ponownie zatrzasnęłam drzwi, przycisnęłam dłonie do skroni i wzięłam głęboki oddech. Na litość boską, przecież byłam konsekwentna. A jednak nie zadziało. Dlaczego u mnie nie zadziało? Co ja robię źle? A potem zjawiła mi się w głowie myśl, która nigdy nie powinna do niej przyjść. A co, gdyby Aarona po prostu nie było? Gdybym po prostu w noc, gdy został poczęty, wróciła do domu, gdybym jednak usunęła ciężę, gdyby nasienie kogoś innego okazało się szybsze i miałabym teraz grzeczne dziecko?

Słyszałam, jak po drugiej stronie drzwi Aaron szaleje bez wytchnienia, ogarnięty furią drze papier, wali w coś głową i wrzeszczy. Jak gdyby w tamtym pokoju zamknięto dzikiego pawiana. Już za późno, powiedziałam sobie w myślach. Wyprostowałam ramiona, wróciłam do salonu.

– Dobrze – oznajmiłam Van de Akkerowi, który był na tyle uprzejmy, żeby udawać, że nic się nie stało. Wciąż słyszeliśmy wycie Aarona, ale mogliśmy już prowadzić rozmowę normalnym tonem. Zmusiłam się, aby nie zalać się łzami furii i upokorzenia, a następnie zapytałam:

– Zdołał pan cokolwiek odkryć?

– Nie mam pewności. To może mieć związek z jakąś infekcją bakteryjną. Jeżeli nie ma pani nic przeciwko, wezmę próbkę wody i wyślę z nim – wskazał King-Konga – do laboratorium.

– Świetnie – stwierdziłam. – To wydaje się doskonałym pomysłem.

Pisk nagle ucichł, jak gdyby ktoś użył wyłącznika. Zorientowałam się, że znowu jestem w stanie swobodnie oddychać.

– No dobrze.

– Co do R. Boelensa – odezwałam się. – Kim on jest? Co się z nim stało?

– Nie wie pani? – Van de Akker zdjął okulary i spojrzał na mnie badawczo.

Pokręciłam głową.

Zawahał się.

– Nie wiem, czy jestem odpowiednią osobą, aby pani o tym mówić. Ja, ach...

– Dlaczego nie?

– Przepraszam – odparł stanowczo. – Nie mogę z panią o tym rozmawiać.

– Nie rozumiem. Ten facet ewidentnie jest z nami spokrewniony. Mój syn wygląda tak jak on, sam pan powiedział.

– Proponuję, żeby porozmawiała pani o tym z matką. – Nerwowo przecesał włosy. – A co do akwarium, przypuszczalnie najlepiej będzie wymienić w nim dwadzieścia pięć procent wody, a resztę przefiltrować kilka razy. Zadzwoń do pani, gdy tylko dostanę wyniki badań.

Nagle zaczął wyglądać tak, jak gdyby bardzo mu się spieszyło.

– Czy R. Boelens nie żyje? – spróbowałam po raz ostatni.

Van de Akker nie odpowiedział.

Sypialnia Aarona wyglądała jak pobojuwisko. Leżał w kącie, ssąc kciuk. Wydawał się teraz taki bezbronny. Zaledwie kilka minut temu mogłabym go zamordować, a teraz czułam jedynie zdradziecką, matczyną miłość.

– Hej. – Położyłam się obok synka i przyciągnęłam go blisko siebie. – I po co ci to wszystko było, mały człowieku?

Nie odpowiedział, jednak dobrze było poczuć go tak blisko siebie, wdychać ten jego mocny, karmelkowy zapach, słyszeć, jak oddycha. Zasnął w ciągu piętnastu minut. Postanowiłam dać mu spokój. Ostrożnie zaniósłam



go do łóżka i pogłaskałam po zmierzwionej, brązowej główce.

– Tak bardzo cię kocham – wyszeptalam, mając nadzieję, że mnie słyszy, że wie, że to prawda. – Bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Wiesz o tym, co?

Posprzątałam resztki kolejnego nieudanego posiłku i przeszukałam szafę w przedpokoju, rozglądając się za czymś odpowiednim, by umyć poplamiony warzywami dywan. Znalazłam, a kiedy pachnąca piana robiła swoje, rozmyślałam o tajemniczym R. Boelensie. Trochę już wiedziałam. W 1990 roku kupił akwarium od Van de Akkera z Amersfoort. Akwarium przekazano mojej matce w 2003 roku. Z Boelensem stało się coś strasznego. Coś, co najlepiej ukryć, jak plamę, której nie da się wywabić z dywanu i trzeba zasłonić jakimś meblem. Kim był ten R. Boelens? Stałam pod drzwiami gabinetu, ciągle zamkniętego na klucz, zastanawiałam się, czy jednak nie powinnam spróbować go otworzyć. Oczywiście wiedziałam, że nie mam prawa wtykać nosa w sekrety mojej matki. Musiałam się także zastanowić, czy opłaca mi się ryzykowanie wojny z jedyną opiekunką dla Aarona, na której mogę polegać. Kiedyś z trudem udało mi się od niej uwolnić. Jednak ta wolność dawno już przeminęła. Potrzebowałam jej, do jasnej cholery. Bardzo potrzebowałam.

Przez jakiś czas stałam tak z dłonią na klamce. Mogłabym pogrzebać w zamku kawałkiem drutu. Mogłabym zadzwonić po ślusarza i skłamać, że zgubiłam klucz. Nagle mnie olśniło. Czy Van de Akker nie mówił, że to akwarium w 2001 roku dostało nagrodę Holenderskiego Towarzystwa Akwariów Morskich? Usiadłam do laptopa i poszukałam tego w Google’u, wpisując też nazwisko Boelens. Wyskoczyły mi dwa trafienia. Pierwszym była lista członków Towarzystwa, nazwisko R. Boelens znajdowało się mniej więcej w połowie strony. Ray Boelens. Nazwisko, adres. Mieszkał w małej miejscowości pod Amersfoort. Wiedziałam, gdzie to jest, ale nie pamiętałam, że bym tam kiedykolwiek była.

Drugim trafieniem była lista zawodników piłkarskiej drużyny juniorów z Maastricht. Ten Boelens miał tylko jedenaście lat. Mogłam go skreślić.

Kilka razy wypowiedziałam na głos odnalezione nazwisko.

– Ray, Ray Boelens. Ray.

Brzmiało znajomo, chociaż nie miałam pojęcia dlaczego.

# RAY

**M**o wyjaśnił mi, że na Instytut Hoppera składa się kilka oddziałów. Teraz poszliśmy z oddziału medycznego, gdzie lekarz osłuchał mi serce i pobrał krew na badanie HIV, do oddziału przejściowego.

W ciągu dnia dyżurowało tam dwóch pracowników socjalnych. Mo był jednym z nich. Poza siedzeniem na oddziale – Mo opowiadał, że ulubioną zabawą jest tam karcianka Skip-Bo – od pensjonariuszy oczekiwano też spędzania pewniej liczby godzin dziennie przy pracy i uczestniczenia w terapii. Można było również ćwiczyć na siłowni albo zapisać się do różnych kółek zainteresowań, takich jak klub teatralny lub kółko ogrodnicze.

Uznałem, że teraz będę przebywał głównie na oddziale przejściowym, gdzie stopniowo się przyzwyczaję do pobytu tutaj, a oni będą mnie obserwować i badać, aż wreszcie ustalą, na jaki oddział się ostatecznie nadają.

– Ośrodek podzielony jest na jednostki powiązane z różnymi zaburzeniami psychicznymi. Bo na przykład ludzie z autyzmem potrzebują czegoś innego niż ludzie z psychozą – tłumaczył Mo.

Korytarze pomalowano w łagodne kolory. W poprawczaku często bawiliśmy się kolorami. Psychiatra pokazywał mi jakiś kolor i kazał go nazwać. Można było podać prawdziwą nazwę, na przykład „ceglastą czerwień”, albo wymyśloną, na przykład „hubba-bubba”, co było zresztą jedyną wymyśloną nazwą koloru, jaka kiedykolwiek przyszła mi do głowy. Gdyby teraz mnie zapytano, powiedziałbym, że ściany mają tutaj kolor płetwy ogonowej ryby *Arothon hispidus*.

– Teraz tutaj będziesz jadł. Na lunch zwykle kanapkę albo zupę i sałatkę, wieczorem coś ciepłego. Środa to dzień frytek.

Mo wyjął identyfikator i przejechał nim wzdłuż szarego, plastikowego czujnika. Rozległ się elektroniczny pisk, potem drzwi się rozsunęły.

– Jesteśmy już na oddziale – oznajmił Mo. – Myślisz, że sobie poradzisz?

Pacjenci, a raczej „psychicznie chorzy kryminaliści”, siedzieli przy długim stole, jedząc śniadanie nożem i widelcem. Podawali sobie biały ser, masło i musztardę. Kiedy wszedłem, wszyscy na mnie spojrzeli.

– Chłopcy – oznajmił Mo – powitajcie Raya Boelensa, naszego nowego pensjonariusza.

Spuściłem wzrok na swoje buty. Znoszone, brązowe, sznurowane. Matka kupiła mi je, gdy zacząłem odsiadywać wyrok, osiem lat temu.

– Raynus – oznajmił czyjś znajomy głos. – To jest nasz Raynus.

Poczułem, jak twarz zalewa mi fala gorąca.

– Znacie się? – zapytał Mo.

– Jasne. To Raynus z zatkanym anusem – oznajmił Eddie, mój były kolega z celi. – Chłopaki, kiedyś wam opowiem.

Usłyszałem śmiechy. To mnie zaniepokoiło.

– Ray. – Mo wypowiedział moje imię prawidłowo, z naciskiem. – Chciałbyś podać wszystkim rękę, czy raczej nie?

– No, chodź tutaj, siadaj. – Jakiś zwalisty facet ze srebrnym kolczykiem w kształcie błyskawicy, wysunął krzesło obok siebie.

– Hank, to miło z twojej strony – stwierdził Mo.

Usiadłem. Mo zajął miejsce naprzeciwko.

– Chcesz ciemny chleb czy jasny? – Facet z kolczykiem w uchu pomachał mi przed nosem koszykiem z pieczywem. To był taki przemysłowy, krojony chleb, pozbawiony smaku. „Skórka i miąższ niemal takie same. *Dégoutant*” – powiedziała by Pierre.

– Ciemny.

– Biały powoduje zaparcia, prawda Raynus? – zapytał Eddie.

– No, Raynus – odezwał się jakiś młody mężczyzna z wielkimi dziurkami w zadartym nosie, w które spokojnie dałoby się wepchnąć marmurowe

kuleczki. Bardzo mi się nie podobało, że dawne przezwisko zaczęło się przyjmować. Oczy mężczyzny były tak wyłupiaste, że białko otaczało całą tęczówkę. – Niech zgadnę: nie umiałeś trzymać łap z dala od małych dziewczynek?

– Melvin, myślę, że z tym również miałeś problemy – odezwał się Mo. – A może teraz dajmy Rayowi spokojnie zjeść?

Zrobiłem sobie kanapkę z masłem orzechowym. Nie dlatego, żebym miał ochotę na masło orzechowe, jednak tylko masło orzechowe leżało w moim zasięgu. Staralem się równo rozsmarować je na kromce, ale trzęsła mi się ręka. Wszyscy to widzieli i wszyscy zorientowali się, że się boję.

– Chłopaki, a oglądaliście amerykański *Top Model*? – zapytał jakiś mężczyzna z niewielkim wąsikiem.

Wtedy, ku mojej wielkiej uldze, zaczęto rozmawiać o programie. Powstały dwa obozy. Jedni opowiadali się za Ericą, drudzy za jakąś dziewczyną o imieniu Beverly. Zjadłem kanapkę, potem zrobiłem sobie następną, z pasztetówką, bo tym razem akurat ten talerz znalazł się obok mnie. Słoik z masłem orzechowym gdzieś się oddalił.

– Ray, a ty za którą jesteś? – zapytał Hank, facet z błyskawicą.

– Nigdy nie oglądałem tego programu – odparłem. – Ciekawsze jest Animal Planet albo Discovery Channel.

– Słuchaj, dam ci jeszcze jedną radę. – Hank bliżej przysunął swoje ogromne cielsko. Cuchnął starym tytoniem i miał niewielką bliznę, biegnącą od środka górnej wargi, do dołu nosa. – Jesteś za Beverly, kapujesz? – wyszeptał. – Tak będzie najlepiej, przynajmniej na razie.

Po lunchu Hank powiedział, że idzie na zajęcia z umiejętności społecznych, ale najpierw wybiera się zapalić na dziedzińcu.

– Idziesz ze mną? – zapytał.

Spojrzałem pytająco na Mo. Powiedział, że mogę.

– Ale potem możesz wrócić do swojego pokoju na odpoczynek.

Dziedziniec był takim smutnym splachetkiem żwiru, ciągnącym się

równolegle do wspólnej sali. Można było stamtąd zerkać do wnętrza budynku przez szklaną szybę. Właśnie jakichś dwóch mężczyzn sprzątało po lunchu. Na środku dziedzińca stało wielkie wiadro pełne niedopałków. Hank zaproponował, że skręci mi papierosa, ale odmówiłem. Już sam zapach tytoniu mnie brzydził. Nawet nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak paskudne musi być jego palenie.

Jedna z kamer skierowała się na nas z kliknięciem. Uniosłem wzrok, usłyszałem, jak obiektyw robi zbliżenie.

– Słuchaj, Ray – odezwał się Hank. Teraz, kiedy obok niego stałem, jeszcze wyraźniej widziałem, jaki jest wielki. Jednym, dobrze wymierzonym ciosem pięści spokojnie rozwaliby mnie na miazgę. – Jestem tu już od jakiegoś czasu, więc chcę ci pomóc zrozumieć takie tutejsze, niepisane zasady. Pisanych zasad to już nauczy cię Mo i inne szajbusy, które prowadzą to miejsce. Ale to ja ci powiem, co jest naprawdę ważne, jeśli chcesz, żeby było ci tu dobrze. Od kogo trzymać się z daleka, co mówić, czego nie mówić, co robić, żeby dostać przepustkę albo pozwolenie na widzenie, zwłaszcza takie szczególne widzenie, jeśli wiesz, o czym mówię. Masz szczęście, że mogę być twoim przewodnikiem.

Przytaknąłem.

– Mam w dupie, co zrobiłeś. Wszyscy tu mamy swoje słabości, ale ty mi wyglądasz na miłego chłopaka. – Cisnął niedopałek do kubelka i podkreślił ostatnie słowa. – Naprawdę miłego.

Wtedy Mo wystawił głowę z budynku.

– Idziesz?

Hank poklepał mnie wielką dłonią po ramieniu.

– Pamiętaj, co ci mówiłem. Jestem jednym z niewielu, którym możesz tutaj zaufać.

– Hank, naprawdę doceniam, że chcesz pokazać Rayowi, jak tu wszystko działa – powiedział Mo. Jednak po chwili, kiedy weszliśmy już z powrotem do sali, dodał: – Uważaj na tego gościa.

To mnie zakłopotało. Jak bardzo miałem na niego uważać? Nie znałem skali, którą można by do niego dopasować. Postanowiłem zachowywać

równowagę.

Matka mówiła czasem:

– Ray, dobry z ciebie chłopak.

Jednak najczęściej wrzeszczała:

– Ray, nie bądź takim dupkiem, czy ty nie widzisz, kiedy inni cię wykorzystują? Oni broją, a potem wina spada na ciebie. Albo ciebie podpuszczają, aż coś zrobisz, a potem śmieją się z ciebie do rozpuku. Jesteś jak kiepski show w telewizji. Jak pociąg bez maszynisty. Walisz prosto naprzód, bez żadnych hamulców, bez żadnego systemu ostrzegania, po prostu bez niczego. Czasem robisz takie głupie rzeczy, że do dzisiaj nie potrafię wykombinować, co, do diabła, jest z tobą nie tak.

Myśl o wrzeszczącej na mnie matce przywołała złe wspomnienie. Kiedyś tacy ludzie, co mieszkali przy tej samej ulicy, mieli psa. Małego szkodnika, co gryzł po kostkach każdego, kogo miał w zasięgu. Puszczali go luzem, czasem nawet włąził na nasze podwórko.

Bałem się go. A koledzy powiedzieli:

– Ray, zakład, że nie trafisz tego pieska kamieniem? Zakład? O twoją mamę?

– Jak to o mamę? – zapytałem.

– Ściągniemy twojej mamie majtki, tak że będzie stała z gołą cipką na środku ulicy, jak nie trafisz w tego psa.

Jasne, że nie chciałem, żeby koledzy oglądali moją mamę bez ubrania. Wziąłem od nich kamień. Okrągły i gładki, dobrze leżał w ręku.

– Rzuć nim! Rzuć nim! – wrzeszczeli mi do ucha. Wokół mnie tłoczyło się co najmniej siedmioro dzieciaków. Nie byłem w stanie jasno myśleć.

Pies dreptał samotnie po trawniku, tak z piętnaście metrów od miejsca, w którym stałem. Był na smyczy, wachał papieraek po lodach, leżący na ziemi.

– Rzuć! No, rzucaj!

Uniosłem rękę. Kamień świetnie w niej leżał. Lekko odgiąłem nadgarstek.

– Rzucaj! Rzucaj!

Cisnąłem kamieniem, tak jakby moja ręka nie była ręką, a katapultą. Mój najlepszy rzut. Kamień pomknął przez powietrze i trafił psa między oczy.

Piesek nawet nie pisnął. Zrobił kilka chwiejnych kroków, a potem nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Na chwilę zapadła cisza.

– Chodu! – wrzasnął jeden z dzieciaków. – Ray zabił Bonniego!

Rozpierzchli się w ciągu kilku chwil, zostałem tylko ja i pies. Nie wiedziałem, co mam robić. Świeciło słońce, a zwierzak wyglądał tak, jak gdyby w każdej chwili mógł podskoczyć i ugryźć mnie w kostkę. Jednak minęło pięć minut, a on wciąż leżał na trawie obok papierka po lodach na patyku, nie ruszał się. Nic ciekawego. Postanowiłem, że wrócę do domu i pobawię się Lego Technic.

Tego wieczoru pod naszymi drzwiami zjawiała się sąsiadka. Leżałem już w łóżku, ale obudziły mnie wrzaski. Potem usłyszałem kroki matki na schodach. Gwałtownie otworzyła drzwi do mojego pokoju i krzyknęła:

– To prawda, że rzuciłeś temu psu kamieniem w głowę?!

– Tak, mamó.

Gwałtownie podeszła do łóżka i zaczęła mną szarpać.

– Czy ty, do cholery, zwariowałeś? Jak do twojej tępej pały w ogóle mógł przyjść taki pomysł? Po prostu nie ma dnia, żebyś nie zrobił czegoś niewiarygodnie głupiego. Co ja mam z tobą zrobić?

Ciężko usiadła na skraju łóżka i się rozpłakała. Zacząłem ją gładzić po włosach. Nie miałem pojęcia, co jeszcze mógłbym zrobić. Miała bardzo miękkie włosy, w kolorze piasku na plaży Morza Północnego.

Jednak strąciła moją doń i wypadła z pokoju. Słyszałem jej pełne złości kroki na schodach, a potem jak rozmawia z sąsiadką. Wpatrywałem się w plakat przedstawiający wszechświat, wiszący nad moim łóżkiem i recytowałem: „Merkury leży najbliżej Słońca, potem jest Wenus, a potem Ziemia”. Wiedziałem jednak, że dzieje się coś strasznie złego.

Dwa dni później mama oznajmiła, że zamieszkam w domu poprawczym, co wyjdzie mi na dobre. Tam będą mogli mi udzielić pomocy, której potrzebuję.

– Mamó, ale ja nie chcę się z tobą rozstawać.

– Kiedyś mi jeszcze za to podziękujesz. Zaufaj mi.

Powiedziała to z uśmiechem, więc uznałem, że ma rację.



Ale teraz, chociaż minęło już tyle czasu, ciągle nie byłem wdzięczny. Zastanawiałem się, jak długo jeszcze potrwa, zanim zdołam jej podziękować.

– Chcę wracać do swojej celi – oznajmiłem. – Jestem zmęczony. I smutny. Ale głównie zmęczony.

– Dobrze – powiedział Mo. – Możesz tam zostać do kolacji.

# IRIS

Ulica, przy której mieszkał Ray Boelens, a właściwie przy której kiedyś mieszkał, biegła między rzędami posępnych szeregowców z lat pięćdziesiątych. Po wojnie specjaliści od planowania przestrzennego nie skupiali się na estetyce, wszystko było więc kanciaste i szare, nijakie i niechlujne. Zaparkowałam pod numerem 13.

– Co robimy? – zapytał Aaron z tylnego siedzenia.

– Szukamy Raya. Ray jest właścicielem rybek.

– Ki-Kona?

Kopnęłam się w kostkę, bo uświadomiłam sobie, że wspomnianie o rybkach nie było zbyt rozsądne. Aaron nie prosił o King Konga przez cały ranek, w ogóle zachowywał się nadzwyczaj grzecznie i chciałam, żeby tak zostało. Czasem myślałam, że Aaron jest jak taki grzejnik, który od czasu do czasu musi upuścić nadmiar powietrza. Po dużym wybuchu mój syn zawsze stawał się nadzwyczaj spokojny i grzeczny.

Dlatego, zanim zdołał poświęcić King Kongowi zbyt wiele myśli, szybko powiedziałam:

– Pójdziemy potem na lody, dobrze? Jakie lody byś zjadł? Rożek z polewą karmelową czy lody na patyku?

– Karmel!

– Dobrze. To tak zrobimy.

Podniosłam syna z krzeselka i postawiłam na chodniku.

– Najpierw pójdziesz ze mną jak grzeczny chłopczyk i zobaczymy, co tam jest w środku.

Trzymając się za ręce, ruszyliśmy pod drzwi z numerem 13. Dom wyglądał na bardzo zaniedbany. Miał zapuszczony trawnik, chociaż widać było, że w jakiejś odległej przeszłości troskliwie się nim zajmowano. Posadzono bez, hortensję, ostróżkę. Jednak nie usuwano zwiędłych kwiatów, wszędzie rosły chwasty, a przerośnięty żywopłot wyglądał, jak gdyby za chwilę miał eksplodować.

W oknie wisiała podniszczona zasłona w kolorze ciemnej czerwieni. Zaciągnięta, mimo że dochodziło południe.

Poczułam się nieswojo, jednak zadzwoniłam do drzwi. Bez odpowiedzi. Minęło pół minuty i spróbowałam jeszcze raz. Usłyszałam dzwonek brzęczący gdzieś w środku. Po czasie, który wydawał mi się całymi godzinami, zauważyłam cień gramolący się do przedpokoju.

Otworzono co najmniej cztery zamki i drzwi się uchyliły.

– Słucham? – Przede mną stał mężczyzna około czterdziestki, w brudnych dżinsach i bez koszuli. U jego stóp leżał stos listów, folderów i ulotek reklamowych. Uderzył mnie zapach stęchlizny. Musiałam się powstrzymać od zatkania nosa.

– Ray?

Mężczyzna nie odpowiedział i ruszył w moją stronę, spoglądając agresywnie spod wiszących, przetłuszczonych włosów.

– Czy pan to Ray Boelens? – spróbowałam ponownie.

– On już tutaj nie mieszka. – Mężczyzna brał się do zamykania drzwi.

– A wie pan, gdzie teraz mieszka?

Aaron przykucnął i zaczął bawić się kopertami na wycieracze.

Mężczyzna zaczął się śmiać. Głośno, nieprzyjemnie. Wydał mi się takim typem, którego bawią niemiłe rzeczy.

– Hej, a to dobre! Gdzież, ach gdzie, może być ten Ray Boelens? Powiedziałbym, żeby pani sprawdziła w więzieniu. A jeśli nie tam, to może w piekle.

Chciałam coś powiedzieć, ale facet już zamykał drzwi.

– I powiedz jeszcze panu Cwaniaczkowi, żeby trzymał ręce z daleka od mojej poczty.

Podniosłam Aarona, mamrocząc: „Ale dupek” w stronę drzwi, które właśnie zatrzaśnięto mi przed nosem. Kiedy wracaliśmy do samochodu, usłyszałam jeszcze zamykanie tamtych czterech zamków.

– Ale dupek – powtórzyłam, tym razem głośno.

– Ale dupek – zapiszczał Aaron i wybuchnął śmiechem.

– Myślisz, że to zabawne, prawda? A teraz jedziemy po lody.

Przypięłam Aarona do krzeselka i pocałowałam w czoło.

– Ale dzisiaj był z ciebie grzeczny chłopiec. Bardzo dobrze!

Za rogiem była piekarnia, w której sprzedawano także lody. Czekaając w kolejce przyglądałam się piekarzowi, pracującemu za szklaną ścianą.

– Pieczywo nie jest już tutaj takie dobre, jak kiedyś – oznajmiła starsza pani stojąca obok. – Tamten piekarz, którego kiedyś tutaj mieli, to był mistrz. Ten jest taki sobie.

Razem z Aaronem wzięliśmy lodowe rożki i usiedliśmy na ławce naprzeciwko sklepu. Jeżeli Ray naprawdę siedział teraz za kratkami, to pewnie da się go odnaleźć. Mogłabym sprawdzić dziennik akwarium i poszukać dnia, w którym przestał opiekować się rybkami. A potem jeszcze raz zajrzeć do Google’a. Uznałam, że pewnie powinnam do wyszukiwarki wpisać Ray B., bo w związku z prawem skazanego do prywatności podaje się tylko pierwszą literę nazwiska.

Wyjęłam iPhone’a, wpisałam imię z inicjałem. Przeczytałam nagłówek *Morderstwo*. A także *Ray B., potwór z sąsiedztwa*. W „Wiadomościach Codziennych” napisano, że Ray miał obsesję na punkcie swojej sąsiadki i zamordował ją razem z córką, bo nie odwzajemniła jego miłości.

Poczułam, że coś ściska mi żołądek. Co u mojej matki robiło akwarium mordercy noszącego takie samo nazwisko?

Czekoladowe lody skapnęły na koszulę Aarona.

Wyjęłam chusteczkę z torebki i ją wytarłam.

– Kochanie, musisz szybko lizać, zanim wszystko się roztopi.

Ciała znaleziono w przedpokoju, skąpane we krwi. Kobiętę czternaście razy dźgnięto jakimś ostrym narzędziem, dziewczynkę pięć razy. Niewinne, małe dziecko. Ale najstraszniejsze było to, że na ciele dziecka zgaszono

niedopałek papierosa. Czyli, że po całej tej rzezi Ray przysiadł i zapalił sobie papierosa. Jak ktoś mógł być aż tak zdemoralizowany?

Reszta lodów Aarona spadła mi na but.

Przycisnęłam wyłącznik telefonu, wyjęłam z torebki ostatnią chustkę i usunęła lody z buta. Została paskudna plama. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że powinnam zachować tę chusteczkę do wytarcia Aaronowi buzi.

# RAY

Odważałem rodzynki do *pains aux raisins*. Był poniedziałek, zbliżało się południe. Tak skupiłem się na swoim zajęciu, że aż podskoczyłem, kiedy ona zapytała:

– Mogę wejść?

Znałem ten głos, chociaż jeszcze nigdy się do mnie nie odezwała. Rosita stała przy otworze w szklanej ścianie dzielącej kuchnię od sklepu, z Anną na wózku.

Upuściłem trzymaną właśnie torebkę. Rodzynki potoczyły się po podłodze.

– Przestraszyłam cię? – Szybko się pochyliła i zaczęła zbierać rodzynki. Przez chwilę widziałem jej bieliznę wystającą u góry dzinsów, cienki skrawek czerwieni.

– Proszę to zostawić – powiedziałem szybko, usiłując oderwać wzrok od sterczących pośladków i tego oszałamiającego paska materiału. – Oczywiście nie chodzi o to, żeby zostawiać na podłodze rozsypane rodzynki. Tak nie może być. Ale proszę je zostawić, ja później pozbię. Jak już pani pójdzie. Oczywiście, nie chodzi mi o to, żebym chciał, żeby pani już poszła. Ale myślę, że przecież w końcu pójdzie pani do domu i właśnie wtedy wszystko posprzątam.

Aż nie mogłem uwierzyć, że z moich ust padło tyle słów.

Wstała, uśmiechnęła się do mnie szeroko.

– Jasne, skarbie.

Spojrzałem na Annę. Miała pewnie ze trzy albo cztery lata. Wpatrywała się

we mnie wielkimi, jasnymi oczyma, pod nosem wisiał jej niewielki smark.

– Chciałaby jakiś smakołyk?

– Zapytaj się jej.

Przykucnąłem obok wózka i uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy w dorosłym życiu odzywam się do dziecka.

– Chciałabyś croissanta? A może *pain aux amandes*, brioszkę, *tartelette*...

Dziewczynka tylko się we mnie wpatrywała.

– Myślę, że chciałaby jakąś małą bułeczkę – powiedziała Rosita. – Bułkę maślaną. Masz może?

– Mam tylko bułeczki z kruszonką, nazywają się *petits pain* i właśnie takie powinny być. Ale na jutro upiekę specjalnie dla niej bułeczkę maślaną. W porządku?

– To w takim razie myślę, że teraz na pewno chciałaby jakiegoś małego croissanta.

– Croissanta? Chciałabyś? – Cały czas kuciałem przed wózkiem, mówiąc takim piskliwym głosem, tak jak słyszałem, że mówi się do dzieci.

– Croissanta – powtórzyła Anna. Była naprawdę bystrym dzieciakiem.

Szybko podszedłem do blachy z croissantami, którą dopiero co wyjąłem z pieca. Jedną z rzeczy, w których byłem naprawdę dobry, stanowiło pieczenie croissantów dokładnie takiej samej wielkości. Tak jak gdyby wszystkie wyszły z jednej formy, chociaż każdego lepiłem ręcznie. Jednak zanim pojawiła się szklana ściana, szef powiedział mi:

– Ray, te croissanty wyglądają zbyt perfekcyjnie. Są tak perfekcyjne, że wcale nie wyglądają jak zrobione ręcznie na miejscu.

Kiedy wstawiono szklaną ścianę, klienci mogli już na własne oczy przyglądać się, jak zmieniam miękkie, puszyste ciasto w doskonale uformowane rogaliki. Szef nie miał powodu do narzekania.

Ale i tak postarałem się teraz, jak mogłem, żeby z blachy identycznych croissantów wybrać dla Anny najlepszy rogalik.

Od razu go ugryzła.

– Pyszne, prawda kochanie? – odezwała się Rosita. – I co powiesz naszemu sąsiadowi?

– Dziękuję – oznajmiła dziewczynka z zadowoleniem.

– Już tu ciebie widziałam – powiedziała się Rosita. – Ale nigdy nie unosisz wzroku znad swojej roboty. Wiesz, że ludzie zewsząd przyjeżdżają po twoje wypieki?

Poczułem gorąco na twarzy.

– Nie jesteś dumny?

– Słucham?

Wybuchnęła śmiechem.

– Jesteś zabawny, ale ciebie lubię. – Wyciągnęła rękę. – Mam na imię Rosita.

– Uch... A ja Ray.

– A to jest Anna.

Zastanawiałem się, czy powinienem też ucisnąć dłoń dziecku, ale ono było zajęte swoim croissantem. Podłogę zaścielały teraz i okruchy, i rodzynki. Nie dbałem o to. W zasadzie.

Rosita zaczęła się śmiać. Jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś, kto śmiałby się tyle co ona. Ten jej śmiech był zaraźliwy. Też się roześmiałem. Najpierw tak trochę chichotałem, ostrożnie, bardziej, żeby zrobić jej przyjemność, a nie dlatego, że naprawdę chciało mi się śmiać, bo przecież w sumie nie było tutaj niczego śmiesznego. Potem jednak przerodziło się to w prawdziwy rechot, tak głośny, że aż mój szef wystawił głowę zza ściany.

– Hej, ciszej mi tam.

Rosicie i to wydało się zabawne.

Śmialiśmy się i śmialiśmy, aż wreszcie Rosita musiała chusteczką wycierać łzy.

– Ray, muszę już iść. A następnym razem do ciebie pomacham, a ty mi odmachasz z za tej swojej zasłony. Umowa stoi?

Nazajutrz przyniosłem Annie magdalenkę. To nie była bułka maślana, bo czegoś takiego po prostu nie ma w repertuarze francuskiego piekarza. Pierre



okropnie nie lubił bułek maślanych.

– Pozbawiona smaku, namokła przemysłowa papka – mawiał. – To zbrodnia, że ludzie jadają takie śmieci. *C'est abominable!*

Zadzwoiłem do drzwi Rosity i Anny. Byłem wystraszony, ale także podekscytowany.

Otworzyła mi Rosita. Miała na sobie spodnie od dresu i kusy top, który bardzo wyraźnie ukazywał wgłębienie u podstawy jej szyi. Nie potrafiłem oderwać od niego oczu. Ujęła mój podbródek w dłoń i podniosła mi twarz.

– Tutaj jestem.

– Och, tak. – Wyciągnąłem przed siebie magdalenkę. Opakowałem ją w chusteczkę, a potem wsadziłem do papierowej torby z piekarni.

Wzięła ją ode mnie.

– Co to jest?

– To magdalenka dla Anny. Smakuje lepiej niż bułka maślana. Przynajmniej tak mówiłaś wczoraj. Mówiłaś, że lubi bułki maślane. Magdalenki są miękkie i słodkie. Pomyślałem, że będzie jej smakowało.

– To miło z twojej strony. Dlaczego nie dasz jej sam?

Wcisnęła mi w dłonie papierową torbę, a sama poszła korytarzem w stronę salonu. To był taki sam korytarz jak u mnie. Tyle że w moim nie stał wózek, a na podłodze leżała wykładzina. U Rosity chodziło się po prostu po cemencie. Kiedy dotarła do połowy salonu, odwróciła się:

– Chodź.

W salonie też nie miała wykładziny. Jedynie ten dywanik, który widziałem, jak wносиła ze starszym mężczyzną o długich włosach. Rozpoznałem także skórzaną sofę, drewniany stół i plastikowe krzesła. Na ścianie wisiała fotografia Rosity w ciąży. Nie miała na sobie żadnego ubrania, miała ogromny brzuch, piersi zasłaniała dłońmi, a sfotografowano ją z boku, żeby nie było widać części intymnych. Była jednak całkiem naga. To zdjęcie wydawało się jednocześnie piękne i straszne.

– Patrz, kto przyszedł! Wujek Ray, nasz sąsiad!

Oderwałem wzrok od nagiego ciała Rosity i odwróciłem się w stronę Anny, która teraz siedziała na tapczanie i oglądała telewizję.

– Tak naprawdę to nie jestem twoim wujkiem – wyjaśniłem. Dziewczynka była jednak pochłonięta czterema lalkami o jaskrawych kolorach, które wciąż powtarzały „Aha”. Później dowiedziałem się, że to Teletubisie.

– Anna! Popatrz tam – poprosiła Rosita.

Wcisnąłem jej w dłonie papierową torbę.

– To dla ciebie.

Otworzyła ją i odpakowała magdalenkę z chustki.

– Co się mówi? – zapytała surowo Rosita.

– Dziękuję. – Dziewczynka ugryzła ciastko, nie odrywając oczu od telewizora.

Patrzyłam, jak jej maleńkie ząbki odgryzają małe cząstki nie za lepkiego, nie za suchego, po prostu doskonałego ciasta, a wzrok wciąż ma przyklejony do ekranu.

– To doskonałość – oznajmiłem. – Nigdzie indziej nie znajdziesz lepszego ciastka, nawet we Francji.

– Małe dzieci nie rozumieją takich rzeczy – stwierdziła Rosita. – Nie można mieć do nich pretensji.

Tak rozmyślałem o Rosicie, że nie zauważyłem, że w mojej celi stoi pracownik socjalny w okularach i wpatruje się we mnie. Poczułem się bardzo nieswojo.

– Przyszedłem zabrać cię na kolację – oznajmił.

Wstałem, spodziewając się, że wyjdzie z celi razem ze mną. On jednak został w środku.

– Lepiej się pospiesz – powiedział, nadal nie ruszając się z miejsca.

Wcale nie chciałem zostawiać go samego w mojej celi, ale nie chciałem też kłopotów. Wyminąłem go więc i wyszedłem na korytarz prowadzący do świetlicy. Patrzyłem, czy za mną idzie, jednak nie poszedł.

– Chodź, usiądź koło mnie, mały Raynusku. – Hank odsunął sąsiednie krzesło.

Rozejrzałem się wokół niepewnie. Może ta kobieta o imieniu Jeannie zaraz

się tutaj zjawi i mnie uratuje? Nie zjawiała się jednak. Rozmawiała z jakimś innym wychowawcą.

– Na co czekasz? – Hank niecierpliwie poklepał plastikowe siedzenie krzesła.

Już nie potrafiłem wymyślić, co jeszcze mógłbym zrobić, więc usiadłem.

– I co, nie przeszkadzają ci za bardzo?

– Głównie siedzę w swojej celi.

– W swoim pokoju – poprawiła Jeannie. Podeszła bliżej, usiadła obok. Pachniała konwaliami. Zastanowiłem się, czy tutejszym pracownikom wolno się perfumować. Uznałem, że przypuszczalnie nie.

– Chłopcze, nazwij to sobie, jak chcesz. – Hank puścił do mnie oko.

Na salę wszedł tamten wychowawca w okularach, usiadł po drugiej stronie stołu. Wolałbym, aby nie było go w mojej celi. Nawet po tylu latach w więzieniu nie przywykłem do braku prywatności.

Wtoczyły się dwa wózki z jedzeniem. Czuję zapach rozgotowanych warzyw i przypalonego mięsa.

– Cholera, czy my tu kiedykolwiek dostaniemy wreszcie porządne *chow*? – marudził ktoś z drugiej strony stołu.

– Jak gdyby to curry z ryżem, które tak lubisz, to było coś lepszego – odparł Eddie. – To jest przynajmniej porządne, holenderskie żarcie. Tak się właśnie je, jak się mieszka w Holandii.

– Spokojnie – powiedziała Jeannie. – Może to nie jest *haute cuisine*. ale nie ma się o co kłócić.

– A o co innego mamy się kłócić? – głośno zapytał Eddie. – O to, że za każdym razem, kiedy idę do biblioteki, to słyszę, że *Seventeen* jest wypożyczone? Znowu? Kto to ciągle trzyma?

– Eddie... – Jeannie powiedziała tylko tyle.

– Tak, skarbie?

– Rozumiem, że od czasu do czasu możesz robić się trochę upierdliwy. Ale pamiętaj, że jeśli tak będzie ciągle, to będą też konsekwencje.

Posiłek wyłożono na talerze i rozdano.

– Nie ma nic lepszego od kawałka cielęciny – Hank zaczął odpiłowywać

sobie porcję mięsa. Chybotąła mu się przy tym błyskawica w uchu. – Prawda, Ray?

Ugryzłem kęs ziemniaka. Zupełnie mdły, bez smaku. *Abominable*.

Hank posłał Jeannie badawcze spojrzenie, ona jednak rozmawiała teraz z facetem siedzącym z drugiej strony. Potem on odwrócił się do mnie i zapytał:

– Spodziewasz się jakichś gości?

– Nie całkiem – powiedziałem. – Może.

– Och, dobra, jeśli będziesz spodziewał się jakiegoś gościa, to daj mi znać, dobra?

– Dlaczego?

Zerknął na Jeannie i zaczął szeptać.

– Bo jest kilka takich rzeczy, których tutaj nie można dostać. Potrzebnych rzeczy, jeśli wiesz, o czym ja mówię.

Odciąłem kawałek mięsa i wziąłem do ust. Nie smakowało aż tak źle.

– Powiem ci dokładnie, jak przeszmulować tutaj to, czego ci trzeba. To, przez co człowiek czuje się trochę lepiej, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Jednak taka porada nie jest za darmo. Rozumiesz to, prawda? Przysługa za przysługę, dobra?

Warzywami okazała się fasolka szparagowa. Wciąż jeszcze miała ogonki.

– Hej, Ray. – Jeannie zwróciła się w moją stronę. – To prawda, że byłeś kiedyś piekarzem?

Rozejrzałem się wokół. Wolałem, aby nikt niczego o mnie nie wiedział.

– Tak – wyszeptałem.

– To powiedz mi jedno. Słuchaj, mam w domu maszynę do pieczenia chleba. Dokładnie trzymam się przepisu, ale chleb mi zawsze wychodzi z zakalcem.

– Używa pani drożdży?

– Tak.

– To niech je pani zostawi. Powinna pani używać zakwasu.

– Naprawdę? – Miała ładne oczy, którymi patrzyła na mnie tak, że aż robiło mi się gorąco. Wiele czasu minęło, od kiedy coś takiego czułem. Czego chciała?

– Mogę pani podać przepis. Zakwas łatwo zrobić samemu. – Trochę się jąkałem.

– Raynus popisuje się przed paniami! – zawołał Eddie przez stół na tyle głośno, aby wszyscy go usłyszeli. Chłopaki zaczęli się śmiać.

– Eddie, to twoje ostatnie ostrzeżenie – powiedziała Jeannie. – Jeszcze jedno przewinienie i do końca tygodnia będziesz czas wspólny spędzał w swoim pokoju.

– Uważaj na nią. – Hank pochylił się i szepnął mi do ucha.

Wolałbym, żeby tego nie robił. Miał brązowe zęby, a takie zepsute rzeczy chciałem trzymać z dala od siebie.

– Ona jest z nich wszystkich najbardziej podstępna. Przez pracę tutaj robi się napalona jak diabli. Sam zresztą widzisz.

# IRIS

**P**rzepraszam, co powiedziałaś?

– Mamo, doskonale wiesz, co powiedziałam. Kim jest dla nas Ray Boelens? – Aaron leżał już w łóżku, a słoweńska sieć telefoniczna nareszcie pozwoliła na połączenie.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Znacząca cisza, dająca czas na sformułowanie mającego po niej nastąpić potoku słów.

– Iris, Jezu. Myślałam, że stało się coś poważnego. Próbowalaś się dodzwonić z kilkadziesiąt razy. Nie wiesz, że jestem na wakacjach? Chodzi tylko o jakąś bzdurę, związaną z jakimś tam Rayem Boelensem? Naprawdę musiałaś mi zawracać głowę z takiego powodu?

– To kim on jest?

– To zupełnie nie ma znaczenia.

– Aha! Czyli, że mi nie powiesz. To czyni sprawę jeszcze ciekawszą.

– Iris, przestań. Nie masz żadnych większych zmartwień? Na przykład swojego syna?

Nie zamierzałam dać jej się tak łatwo wyłgać, nawet jeśli uwaga na temat Aarona mnie rozzłościła.

– Nie jestem w stanie stwierdzić, czy to ważne, czy nie, dopóki się nie dowiem, dlaczego przez tyle lat opiekowałaś się jego akwarium.

– Mówię ci, głośno i wyraźnie, że to nie ma nic wspólnego z tobą. A jeśli nadal będziesz uparcie wtykać nos w moje sprawy, to lepiej, żebyś po prostu opuściła mój dom. Poproszę sąsiadów, żeby podlewali mi kwiaty i zajęli się akwarium.

- Czyli... ten Ray Boelens to jednak jest twoja sprawa. W jakim sensie?
- Zostaw swoje prawnicze sztuczki na salę sądową.
- Czym się tak bardzo denerwujesz?
- Niczym – odparła twardo, chociaż trochę za szybko.
- No dalej. Dlaczego po prostu mi nie odpowiesz? To twój brat?

Rozłączyła się. A może słoweński operator uznał, że pora już kończyć tę rozmowę.

Próbowałam zadzwonić jeszcze raz, ale usłyszałam już tylko pocztę głosową.

Zostawiłam jej wiadomość: „Droga mamó, jeszcze nie skończyłyśmy. Oddzwoń”.

Wiedziałam jednak, że nie oddzwoni.

Gdybym miała oceniać ją jako matkę, stwierdziłabym, że była poprawna. Ani zbyt dobra, ani zbyt zła, ani nawet zbyt ludzka. Wszystko robiła dokładnie, podręcznikowo. Kubek herbaty, kiedy wracałam ze szkoły, pożywne posiłki, porządne buty, stosowne zajęcia pozaszkolne i ładna sumka na umeblowanie pokoju, gdy po raz pierwszy wyprowadziłam się z domu. Nie mogłam na nią narzekać.

Kiedy ja i Binnie skończyłyśmy piętnaście lat, brat Binnie dał jej skręta. Pokazała mi blanta między lekcjami francuskiego i ekonomii. Od czasu do czasu za szopą na rowery wypalałyśmy papierosa, ale skręta jeszcze nigdy nie próbowałyśmy. Ze słów Binnie wynikało, że jej brat palił praktycznie codziennie, i to go rozluźniało.

Przyjrzałam się tej stożkowatej rzeczy.

- Gdzie chcesz to wypalić? I kiedy?
- Po szkole w parku – oznajmiła Binnie, jak gdyby to było czymś najzwyczajniejszym pod słońcem.
- Dobra – odparłam. – Zróbmy to.

Joint nie zrobił na mnie jakiegoś większego wrażenia. Przekazywałyśmy go sobie nawzajem – tak robiłyśmy, paląc papierosa; zaciągałyśmy się sumienne, patrzyłyśmy w niebo i czekałyśmy na to, cokolwiek miałyby się wydarzyć. Leżałyśmy na trawie, każda z jedną słuchawką od mojego

walkmana w uchu, słuchałyśmy Womack & Womack.

– Czuję się bardzo zrelaksowana – oznajmiła Binnie. – A ty czujesz już coś?

– Tak myślę.

– Wiesz, że od palenia skręta można dostać łaskotek?

Zaczęła chichotać na próbę.

– Naprawdę?

– Mój brat mówi, że po tym towarze to już w ogóle.

– To byłoby zabawne.

Potem zaczęłyśmy śpiewać słuchaną właśnie piosenkę: *Next time I'll be true. I'll be true. I'll be true.*

Kiedy wróciłam do domu, trochę bolała mnie głowa i chciało mi się spać.

– Spóźniłaś się. – Matka spojrzała na mnie, marszcząc brwi. – Dobrze się czujesz?

Wymamrotałam coś o pracy domowej i już miałam zniknąć w swoim pokoju, kiedy matka mnie zatrzymała.

– Gdzie ty byłaś?

Powęszyła, rozszerzając nozdrza.

– Iris, brałaś narkotyki?

Poczułam, że się czerwienię, i już wiedziałam, że nawet nie ma sensu próbować kłamać.

Spojrzała prosto na mnie z przerażeniem w oczach. Spodziewałam się jakiegoś kazania, tyrady i szlabanu na wyjścia przez co najmniej tydzień. Powiedziała jednak:

– Dzisiaj wieczorem wybierzemy się na małą przejażdżkę. Idź się umyć. Śmierdzisz.

Pojechałyśmy do Amsterdamu. Nie miałam bladego pojęcia, dokąd mnie zabiera. Wjechała jednak do centrum miasta i zaparkowała przy Nabrzeżu Księcia Henryka.

– Wsiadaj.

Ruszyłam za nią w labirynt uliczek i kanałów dzielnicy czerwonych latarni. W tamtych latach nie była jeszcze tym w miarę bezpiecznym



wabikiem dla turystów co obecnie. Miała zakątki, do których nawet policja bała się zapuszczać.

Słońce już zaszło, gdy przechodziłyśmy obok podświetlonych, czerwonych okien. Słyszałam o dzielnicy czerwonych latarni, ale jeszcze nigdy w niej nie byłam. Moja matka kroczyła spokojnie, jak gdyby robiła zakupy w supermarkecie w niedzielny poranek. Tak dyskretnie jak tylko się dało, zerkałam na dziewczyny w oknach, musząc biec, aby nie zostawać z tyłu.

Na ulicy nie było dużo ludzi. Tylko gdzieniegdzie zza zasłonek wymykał się jakiś mężczyzna, znikając wśród nocy. Narkomani zebrali o drobne. Czasem włączyli się jacyś Chińczycy w długich, skórzanych płaszczach.

Skręciłyśmy w boczną uliczkę i zatrzymałyśmy pod rozpadającym się domem. Okna miał zabite deskami, szklany panel drzwi wejściowych stłuczony.

– Jesteśmy na miejscu. Wchodź.

Zawahałam się, wystraszona. Zastanawiałam się, co planuje matka. Szturchnęła mnie w plecy.

– Pospiesz się.

Wkroczyłyśmy do betonowej sieni, cuchnącej stęchlizną i potem. Na murach powypisywano różne hasła. „Walka o pokój to jak pieprzenie się dla dziewictwa”.

– Co my tutaj robimy? – zapytałam, głos mi drżał.

Matka nie odpowiedziała, tylko wepchnęła mnie do ciemnego pokoju. Minęło kilka sekund, zanim oczy przyzwyczyły mi się do mroku. Zobaczyłam, że ktoś zapala światło. Dostrzegłam, że dookoła na podłodze są ludzie. Porozkładani na zniszczonych materacach, ubrani w jakieś łachy, ledwie przykrywające wychudzone ciała. Po kręgosłupie przeszedł mi dreszcz.

Zbliżył się do nas taki chodzący szkielet. Oczy aż wyłaziły mu z oczodołów.

– Masz coś dla mnie?

Wyciągnął przed siebie rękę.

Matka wypchnęła mnie do przodu.

– Jej się zapytaj.

Byłam w ciężkim szoku. Moja matka, która zawsze tak martwiła się, czy umyłam ręce przed posiłkiem, teraz pchała mnie w ramiona jakiegoś ćpuna.

Narkoman podszedł jeszcze bliżej. Śmierdział.

– Co masz? Daj mi, co masz.

Pomyślałam: „A jeśli on wyjmie nóż? A co, jeśli matka chce mnie tutaj zostawić?”

– Mamo – powiedziałam błagalnym tonem.

Trzymała mnie mocno. Nie pozwalała cofnąć się nawet o krok, ani się odwrócić. Miałam piętnaście lat, jednak matka w dalszym ciągu była ode mnie znacznie silniejsza.

Narkoman wyciągnął rękę w moją stronę, chcąc mnie dotknąć albo pogrzebać w mojej kieszeni, sama nie wiem. Po prostu widziałam, jak ta ręka zbliża się do mnie w zwolnionym tempie. Jak szpony sępa.

– Mamusiu, proszę...

Kiedy wychudzona, żółta dłoń miała już za chwilę musnąć mnie po twarzy, matka szarpnęła mną do tyłu. Poszperała w torebce i wyciągnęła banknot o nominale dwudziestu pięciu guldenów. Cisnęła go na podłogę.

– Masz – powiedziała. – Zabaw się. Daj sobie w kanał, aż nie padniesz.

Narkoman rzucił się na pieniądze. Razem z matką wyszliśmy na zewnątrz.

– O to właśnie mi chodziło – oznajmiła, gdy wracałyśmy już do samochodu, pozerane wzrokiem przez alfonsów, dilerów i prostytutki wyglądające ze swoich okien. – To właśnie chciałam ci przekazać.

Wpatrywałam się w akwarium. Patrzyłam na koralowiec pielęgnowany tak czule i z taką troską. Rósł zaledwie kilka milimetrów rocznie, zależnie od jakości wody. Ray stworzył swoim rybkom doskonałe środowisko. A później nagle wybuchnął, mordując sąsiadkę i jej małą córeczkę. To mi jakoś nie pasowało.

Podniosłam dziennik akwarium, zaczęłam go wertować. Prowadzono go bardzo starannie. Ray nie opuścił ani dnia. Atrament nigdzie nie był

rozmazany, nie było też żadnych plam ani okruchów jedzenia. Aż do 2003 roku w książce nie pisał nikt inny. Jednak w owym roku jakaś dziecięca ręka wpisała „King Kong”, a obok, już charakterem pisma Raya wstawiono datę. Dwudziesty piąty stycznia. Wpis zajmował trzy pełne linie, w przeciwieństwie do schludnego charakteru pisma Raya. Jakieś dziecko. Ray był wtedy z jakimś dzieckiem.

Litery zapisane przez to dziecko były rozchwiane, jak gdyby jeszcze nie potrafiło porządnie trzymać pióra. Ile to dziecko miało lat? Cztery? Pięć? Sześć? Zastanowiłam się, czy to może nie jest charakter pisma małej córeczki jego sąsiadki i już sama ta myśl sprawiła, że się wzdrygnęłam.

# RAY

Od tamtej pory codziennie przynosiłem Annie magdalenkę. Zwykle wpuszczano mnie do środka. Rosita parzyła mi filiżankę kawy i rozmawialiśmy tak długo, aż nie powiedziała mi, że mam już sobie iść. Czasem jednak tylko uchylała drzwi, przyjmowała podarunek, mówiąc:

– Ray, nie dzisiaj.

Zapytałem matkę. Wyjaśniła, że to całkiem zrozumiałe, że Rosita nie wpuszcza mnie codziennie. Ludzie nie zawsze mają czas dla innych. To nic osobistego. Zresztą wtedy matka również miała dla mnie bardzo mało czasu. Przychodziła co drugi miesiąc, zawsze coś przynosząc. Obrus i pasiastą poszwę na kołdrę. Wysokie szklanki, obrazek z łódką do powieszenia na ścianie. Uważała, że to ważne, abym miał ładnie w domu.

Zupełnie nie wiedziałem dlaczego. Poza nią nikt mnie przecież nie odwiedzał.

Rosita też rzadko przyjmowała gości, ale jednak częściej od mnie. Starszy mężczyzna, który pomagał w trakcie przeprowadzki, zjawiał się u niej co najmniej raz w miesiącu. Powiedziała mi, że to jej ojczym.

– W takim razie gdzie jest twoja matka? – zapytałem.

Odparła, że jej matka nie żyje. Zmarła na raka wkrótce po tym, jak po raz drugi wyszła za mąż. Rosita powiedziała, że ojczym dobrze opiekował się jej matką i zawsze będzie mu za to wdzięczna.

– Dlaczego tutaj przychodzi?

– Przychodzi, żeby porozmawiać. Naprawić coś u mnie w domu. Zobaczyć Annę.

– Lubisz to?

– Wolę, jak ty przychodzisz. Lepiej się wtedy bawię. On jest miły i w ogóle, i to prawdziwa złota rączka, a to nie do pogardzenia, kiedy jest się samotną matką. Ale czy lubię jego towarzystwo? Tak nie do końca. Szczerze mówiąc, myślę, że przychodzi i mi pomaga dlatego, bo czuje się samotny. Inaczej po prostu pałętałby się po domu. Kiedyś był bardzo bogaty. Miał dobrze prosperującą hodowlę tulipanów, ale wszystko stracił. Nie potrafił przestać pić. – Rosita zapaliła papierosa i kontynuowała. – Gdy poznał moją matkę, był trzeźwy. Powiedział, że nareszcie znalazł szczęście, ale wkrótce potem moja matka zachorowała. Czyli że nigdy tak naprawdę nie dostał tego, czego pragnął.

Nie przejmowałem się jej ojczymem. Jeśli o mnie chodziło, mógł się zjawiać, kiedy tylko chciał, żeby odetkać odpływ albo pomalować coś z drewna. Przejmowałem się za to innym gościem Rosity: ojcem Anny. Miał żonę, z którą nie chciał się rozwieść, i właśnie dlatego nie mógł zamieszkać z Rositą i córką. Jednak do nich przychodził. Nie jakoś regularnie, nie tak jak matka do mnie, tylko od przypadku do przypadku.

– Tylko kiedy mu to pasuje – stwierdziła Rosita, z nieokreślonym wyrazem twarzy. Złości? Smutku?

– Ale co z Anną? Musi się nią opiekować, prawda?

– Ma troje dzieci z inną kobietą, jest z nią żonaty.

– Nie chce z wami zamieszkać?

– Chciałby, ale nie może. Chcesz wiedzieć dlaczego?

Rosita zaciągnęła się papierosem i zaraz wypuściła dym.

Naprawdę nie przychodził mi do głowy żaden powód, żeby ktoś nie chciał mieszkać z Rositą, niezależnie od okoliczności.

– Bo ona była pierwsza. I dlatego ja jestem tu, gdzie jestem. W domu bez wykładowców i z jego dzieckiem. A ona mieszka w luksusowym domu pod miastem i może robić, co jej się podoba. Nie dlatego, że jest ode mnie ładniejsza albo mądrzejsza. Z pewnością też nie dlatego, że jest szczuplejsza.

– Rosita uśmiechnęła się, jednak jej oczy były smutne. – Nawet nie dlatego, że kocha ją bardziej ode mnie. Tylko dlatego, że była pierwsza.

– Potrzebujesz kogoś innego – powiedziałem. Mówiąc to, tak naprawdę myślałem „potrzebujesz mnie”. Ale oczywiście nie potrzebowała.

„Nie nadajesz się do tego, żeby być z kimś w związku – powtarzała mi zawsze mama. – Żadna kobieta nigdy się z tobą nie zwiąże, więc lepiej trzymaj się od nich z dala, zanim wpakujesz się w jakieś kłopoty”.

– Oczywiście, że powinnam to zakończyć – odparła Rosita. – Ale problem polega na tym, że ja go kocham. Nikt inny nie jest mi taki bliski. Nie chcę nikogo poza nim. Czy to ma sens?

Ojciec Anny zwykle pojawiał się w środku nocy. Ale czasem zastawałem go, gdy przynosiłem magdalenkę. Wtedy Rosita prosiła mnie, żebym zajął się dzieckiem.

– Ja i Victor mamy tak niewiele czasu, aby ze sobą pobyć.

Kiedyś Victor stanął razem z Rositą w przedpokoju. Objął ją od tyłu i patrzył na mnie, trzymając głowę na jej ramieniu. Wyglądała wtedy na tak szczęśliwą, że aż ścisnęło mnie w dołku. Z tego, co ja mogłem powiedzieć, to ten Victor nie był nikim specjalnym. Może i był elegancki, jeździł drogim autem, z takich, które rzadko pojawiały się na ulicy Królowej Wilhelminy. Mógł też zachowywać się tak, jak gdyby miał prawo tutaj przebywać, ale i tak postrzegałem go jako mężczyznę, który pozwolił, żeby matka jego dziecka mieszkała w domu bez wykładin. Właśnie tak to wszystko widziałem.

Kiedy Rosita poszła zabrać Annę z salonu, Victor próbował mnie zagadnąć.

– Więc jesteś piekarzem?

Nie opowiedziałem.

– Miło wiedzieć, że ktoś dba o moje dziewczyny, gdy nie ma mnie w pobliżu.

Patrzyłem pod nogi, czekając, aż Rosita i Anna wyjdą na korytarz.

Zabrałem dziewczynkę do siebie, żeby popatrzyła na rybki. Była pierwszą osobą, poza moją matką, która mnie odwiedzała. Mówiłem jej imiona rybek,

a ona je za mną powtarzała.

– Hannibal, François, Maria...

Kiedy siedziała obok, w niebieskim blasku akwarium, starałem się nie myśleć o Victorze rozbierającym Rositę. Pieszczącym zagłębienie między jej obojczykami. Biorącym w dłonie piersi i całującym je. O tym, jak na niej leży i przesuwa się rytmicznie. Dotyka obnażonych części intymnych i je kała.

– Chili, Saturn, Wenus... – kontynuowałem, powtarzając imiona rybek, aby się uspokoić.

Anna i ja siedzieliśmy, patrząc na akwarium tak długo, aż nie zapadła noc, łóżko nie przestało skrzypieć, a samochód Viktora nie zniknął w dole ulicy.

Siedziałem przy biurku w swojej celi, wpatrując się w pustą kartkę. Doktor Römerman kazał napisać list do Rosity, jednak przychodziła mi do głowy tylko jedna rzecz, którą mógłbym jej przekazać.

„Ciągle jestem na ciebie bardzo zły”.

# IRIS

**M**ilutki facet – stwierdziła Binnie, kiedy już opowiedziałam wszystko o Rayu. – Ustaliłaś może, jak jesteście spokrewnieni?

Siedziałyśmy przy stole w jadalni, takim mahoniowym antyku, który w rodzinie mojego ojca przechodził z pokolenia na pokolenie. Sześć miesięcy po tym jak zmarł, jego siostra poprosiła matkę o stół. Najwyraźniej był ich jedyną pamiątką rodzinną. Proponowała nawet, że kupi nowy. „Po moim trupie”, odparła matka.

Od tamtej pory z rodziną ojca kontaktowaliśmy się rzadko. Chociaż tamta ciotka po narodzinach Aarona przysłała pluszowego misia.

– Może to twój brat? – zapytała Binnie.

– Nie ma mowy. – W tej właśnie chwili uświadomiłam sobie, jak słabo znam życie matki z czasów, gdy jeszcze nie znała mojego ojca. Wiedziałam tylko, że przyszłam na świat na samym początku ich małżeństwa.

– Spróbuj się zastanowić. Powiedzmy, twój dziadek i twoja babcia? Mogli mieć drugie, późne dziecko?

Próbowałam to sobie policzyć. Dziadkowie umarli, kiedy byłam jeszcze bardzo mała.

– Notuj sobie – poradziła Binnie, jak zwykle skrupulatna.

Wzięłam długopis i pustą kartkę.

– Myślę, że moja babcia urodziła się między rokiem tysiąc dziewięćset dwudziestym a tysiąc dziewięćset trzydziestym. Matka urodziła się w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym. Ray w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, a ja w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym.



– Jeżeli Ray to twój wujek, twoja babcia, rodząc go, miałyby już sporo po czterdziestce. To możliwe.

– Rzeczywiście sporo.

– Jednak nadal w granicach prawdopodobieństwa. Chociaż, oczywiście, nie wiemy, w którym dokładnie roku urodziła się twoja babcia, czyli że możemy w ogóle podążać w złym kierunku.

– Jeżeli to mój brat, matka musiałaby go urodzić w wieku dwudziestu dwóch lat.

– Totalnie możliwe.

– Miałyby piętnaście lat wtedy, kiedy ja się urodziłam. Gdzie ona by go trzymała przez te wszystkie lata? Może to jakiś kuzyn mojej matki albo ktoś w tym rodzaju?

– Myślę, że to twój brat – oznajmiła Binnie z przekonaniem. Wypiła duży łyk wina. – Bo inaczej, dlaczego twoja matka miałaby sobie zadawać aż tyle trudu z utrzymaniem tego wszystkiego w tajemnicy? I dlaczego byłaby taka drażliwa na tym punkcie? Twoi dziadkowie umarli całe wieki temu. Pewnie są jakieś przepisy dotyczące przedawnienia rodzinnych sekretów?

Napełniłam nasze kieliszki i pociągnęłam długi łyk.

– Racja, Ray mógłby być moim starszym bratem.

Czułam, jak taka perspektywa coraz bardziej mnie oszałamia.

– Chodźmy rozejrzeć się po gabinecie – zaproponowała Binnie.

Zachichotałam, wino zaczynało już uderzać mi do głowy.

– Nie możemy.

– Iris, jeśli masz brata, to matka trzymała z dala od ciebie kogoś, kto jest krwią z twojej krwi. Tyle razy mi opowiadałaś, że jak dorastałaś, to czułaś się samotna. Uważam, że masz wszelkie prawo, aby poznać prawdę.

– Sama nie wiem.

Binnie już wstała.

– Och, przestań udawać, że aż tak się boisz swojej matki!

– Masz rację – odparłam.

– Wiesz, jak otworzyć ten zamek?

– Jasne, że nie.

- No przestań. Jesteś prawnikiem, prawda?
- A ty dziennikarką. I co z tego?
- Nie mów mi, że nigdy nie musiałaś się włamywać do zamkniętego biura albo do ukrytego archiwum po to, żeby dostać w swoje ręce jakieś tajne akta.
- Takie rzeczy dzieją się tylko w filmach. A poza tym jestem najbardziej praworządną dziewczyną na świecie. Nie wiedziałaś?

Binnie wyciągnęła spinkę do włosów i zaczęła gmerać w zamku drzwi do gabinetu.

- Akurat tak otworzysz.
- Masz jakiś lepszy pomysł?
- Poszukajmy klucza – powiedziałam, dopijając wino.

Matka nie ukryła klucza od gabinetu aż tak dokładnie, jak sądziłam. Pewnie dlatego, że mieszkając samotnie, nie musiała już pilnować go przed wścibską córką i ciekawskim małżonkiem. Leżał w jednej z szuflad kredensu, razem z gumkami recepturkami, pęsetą i spinaczami. To okazało się takie proste.

Obróciłam klucz w zamku i pchnęłam drzwi. Serce waliło mi jak młot. Przez całe moje dotychczasowe życie bardzo pilnowano, abym nigdy nie weszła do tego pokoju.

Gabinet wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy zajrzałam tam po raz pierwszy i ostatni, jakieś dwadzieścia lat temu. Takie samo biurko z drewna wiśniowego. Duża, zamknięta szafa. Czarne krzesło.

- No, wejdz – wyszeptała Binnie.
- Co ty tam szepczesz?

I oto wkroczyłam do miejsca Najświętszego ze Świętych. Ostrożnie, jak gdyby matka w każdej chwili mogła wyskoczyć zza drzwi. Trochę pachniało stęchlizną, zdawało się, że rzadko tutaj porządnie wietrzono.

Binnie otworzyła szafę na oścież. Półki ugiwały się pod teczkami dokumentów, stosami gazet i pudłami. Wyciągnęłam pierwszą teczkę z brzegu. Znalazłam w niej plik rachunków telefonicznych z 2000 roku.

– Kto, do cholery, przechowuje takie rzeczy?

Po pół godzinie węszenia niezbyt się posunęliśmy w poszukiwaniach, wyjąwszy odnalezienie pochodzących sprzed ośmiu lat magazynów dla kobiet, rachunków za mieszkanie sprzed dwóch dekad, a także stosu pożółkłych książeczek z krzyżówkami.

– Czy twoja matka ma jakieś hobby? – zapytała Binnie.

– Nie widzisz? Zbiera stare papiery.

Spod pudełka z przepisami powycinanymi z gazet wyjęłam poblakły niebieski skoroszyt.

– Mam szukać w biurku?

– Dobra. – Dostrzegłam, że skoroszyt jest podpisany „Ray”. Przez kilka sekund wpatrywałam się w te trzy litery, upewniając się, że nic mi się nie przewidziało. – Jezu, Binnie, spójrz na to. – Otworzyłam skoroszyt. W środku było pusto. – Och, westchnęłam rozczarowana.

– Daj mi to – powiedziała Binnie.

Wręczyłam jej skoroszyt. Otworzyła go, zaczęła wymachiwać. Ze środka wypadło jakieś zdjęcie.

Podniosłam je z podłogi. Ręce mi się zatrzęsły. Na fotografii był chłopiec, mniej więcej pięcioletni, o zmierzwionych, brązowych włosach. Siedział na małym czerwonym rowerku i uśmiechał się nieśmiało.

Binnie położyła mi rękę na ramieniu.

– Dobrze się czujesz?

– On jest jak druga kropla wody podobny do...

– Do Aarona! – zawołała Binnie. – Włosy, wyraz oczu, popatrz też na te nogi!

Obie wpatrywałyśmy się w chude nogi chłopca, wystające z brązowych butów.

– Założę się, że to twój brat.

Pokręciłam głową. Skoro Ray jest moim bratem, to dlaczego matka utrzymywała mnie w niewiedzy? Gdzie był przez te wszystkie lata? To po prostu nie może być prawda.

– Co teraz zrobisz? – zapytała Binnie. – Odwiedzisz go? Oczywiście, nie

jest już taki młody i na pewno nie jest już taki miłusi.

– „Ray B. Potwór z sąsiedztwa” – powiedziałam, bardziej do siebie, niż do przyjaciółki. Raz jeszcze spojrzałam na chłopca z fotografii. Na kolanie miał duży opatrunek. – Kiedy albo gdzie wszystko poszło nie tak? Jak myślisz, co się stało?

– Teraz robię wszystko co w mojej mocy, aby nie wypowiedzieć żadnej niemiłej uwagi na temat twojej matki.

– Absolutnie.

Wpatrywałam się w zdjęcie, mając nadzieję, że dostrzegę jakiś trop. Taki chodnik, jak za rowerkiem Raya, mógł być jednak wszędzie. Z tyłu rósł krzak dzikiej róży, co też niewiele mi mówiło.

– To oczywiste, że takie porzucenie nie wpływa dobrze na rozwój dziecka. Jak myślisz, ile mógł mieć lat, kiedy przyszedł na świat?

– Myślę, że z piętnaście.

– Sądzisz, że twój ojciec o nim wiedział?

– Nie – odparłam stanowczo, chociaż nie miałam pojęcia, skąd u mnie wzięło się to przekonanie.

– Twoja matka musiała wywalić tego chłopca, kiedy był jeszcze bardzo mały. Inaczej się tego nie da wyjaśnić.

– Może był agresywny i nieposłuszny.

– Ale po co taka tajemnica? Dlaczego go ukrywała?

– Nie wiem – powiedziałam. – Ale wiem, że chcę się z nim spotkać.

# RAY

Zaczynałem już przywykać do rytmu nowego otoczenia. Pobudka o siódmej. Pysznic, ubieranie się. Śniadanie, terapia, obiad, praca, kolacja. O ósmej wieczorem zamknięcie cel i gaszenie świateł. Starłem się być dla innych tak niewidzialny, jak tylko potrafiłem. Pozostali pacjenci mnie przerażali. Głośni. Wścibscy. Przechwalali się swoimi przestępstwami. Im mniej zwracali na mnie uwagi, tym lepiej.

Jedyną osobą, która naprawdę mi dokuczyła, był taki facet, którego nazywali Rembrandtem. Niewysoki, ciemnoskóry typek siedział tutaj zaledwie od trzech tygodni, ale z jakiegoś powodu już po paru dniach każdego miał na zawołanie.

Kiedy tylko wchodził do sali, wszyscy odwracali się i wspólnie krzyczeli: „Się masz, brachu!” Każdemu innemu mówiono po prostu „cześć”.

Następnie kroczył dumnie, żując gumę albo z papierosem zwisającym z kącika ust. Niczym kowboj przechadzający się po saloonie na Dzikim Zachodzie.

– Co za zasrana nora – mówił zwykle.

Nawet wychowawcy dawali mu spokój. Zauważyłem, że Mo ma go na oku, ale nic mi na ten temat nie mówił.

– Właśnie gadałem z tą psycholog o spasionym dupsku. Pytała mnie, co czuję, jak kogoś wykańczam.

Rembrandt ciężko opadł na sofę. Pozostali zgromadzili się wokół niego – poza mną i Rickym. Ricky siedział na podłodze, gadając z telewizorem, a ja, odwrócony plecami, stałem przy oknie, wpatrując się w szary, ceglany mur.

Dzięki odbiciu w szybie widziałem wszystko, co dzieje się w świetlicy, nie musząc w tym uczestniczyć.

– No i ja jej mówię: „A co czujesz, jak gotujesz jajko na śniadanie?” Spojrzała na mnie jak jakaś głupia dziwka, którą zresztą jest. „Słodziutka – nawijam dalej – Tak to właśnie jest. Dla mnie, załatwienie kogoś jest takie łatwe, jak puszczenie bąka albo podlewanie kwiatków”.

Reszta pacjentów zaczęła się śmiać. Jak zwykle.

– Ja się wtedy robię cholernie napalony! – ryknął Eddie. – Nigdy mi tak bardzo nie staje, jak właśnie wtedy, gdy trzymam komuś ręce na szyi i porządnie ściskam. Ściskam, ściskam, ściskam, aż w końcu ciało wiotczeje.

Eddie zademonstrował tę czynność, nieco przesadzając.

– Wystarczy – oznajmił Mo. – Zostaw to sobie na następne spotkanie z psychiatrą.

– Jasne chłopie, jak sobie życzysz – stwierdził Rembrandt. – Po prostu robisz swoją robotę, tak samo jak ja robiłem swoją. Wszystko w porządku. Mo, wiesz, jak jest, prawda?

Pozostali znowu zaczęli się śmiać.

Hank mówił, że Rembrandt to płatny zabójca. Pracował dla wszystkich słynnych szefów mafii.

– On ma kontakty. Lepiej mu nie podpadajmy – wyjaśniał Hank na podwórku dla palaczy. Zawsze prosił, żebym wychodził z nim na papierosa, chociaż nigdy nie paliłem. Wtedy mi opowiadał, za co siedzą pozostali. Hank dostał wyrok za serię napaści kwalifikowanych. Ricky rzucił się na matkę z siekierą, a mój były kolega z celi, Eddie, zwykł gwałcić i mordować kobiety. Musiałem wysłuchiwać historii opowiadanych przez Hanka, bo nie miałem odwagi powiedzieć mu, że od niego śmierdzi i że nie cierpię, jak wydmuchuje mi dym w twarz, i że marznę na tym wietrznym dziedzińcu.

– Tak Rembrandt, naprawdę jesteś twardy – powiedział Mo. – Ale niedługo się nauczysz, że tutaj ci to dużo nie da.

– Naprawdę? Och, już się boję. – Rembrandt wstał z kanapy, wolnym krokiem podszedł do Mo tak blisko, że prawie nie było już między nimi wolnej przestrzeni.

Poczułem, jak jeżą mi się włosy na karku. Nawet Ricky zauważył, że coś się dzieje, i przestał rozmawiać z telewizorem. Jedyne dźwięki, który rozlegał się teraz w świetlicy, pochodził z teleodbiornika.

– Łamiesz zasady – oznajmił Mo. Nie drgnął mu przy tym nawet jeden mięsień. – Przekazałem ci ostrzeżenie. Ty je zignorowałaś. Będziesz więc zamknięty w swoim pokoju przez najbliższych czterdzieści osiem godzin.

Rembrandt nie dawał za wygraną.

– Mohammed, o jakich zasadach ty mi opowiadasz? O zasadach, według których mamy robić wszystko, co nam się każe, jak jakieś stado owiec? O tym, że wolno nam rozmawiać tylko o pogodzie, bo wszystko inne jest zabronione? Że nie pozwala się tutaj nawet na pierdolone porno, przez co nie możemy się spuścić? O to ci właśnie chodzi?

Ramiona Rembrandta wisały swobodnie, jednak było widać, że w każdej chwili może nimi uderzyć.

– No właśnie – podchwycił Eddie, ale nikt go nie słuchał.

– Dobra, Rembrandt, teraz już posunąłeś się za daleko. Czterdzieści osiem godzin właśnie zmieniło się w siedemdziesiąt dwie godziny.

Jeannie musiała usłyszeć to całe zamieszanie, bo podeszła i stanęła obok Mo. Miała na sobie cienką bluzkę, spod której prześwitywał stanik. Jakoś nie sądziłem, żeby to był odpowiedni strój w ośrodku pełnym osób skazanych za przestępstwa na tle seksualnym.

Rembrandt skupił się teraz na Jeannie.

– Dziewczyno, czy ktoś cię ostatnio porządnie zerznął? Bo po tym, jak się ubierasz, to widać, że bardzo ci tego trzeba.

– Dosyć – powiedziała Jeannie. – Wzywam ochronę.

– Zrób to słodka, proszę bardzo. Myślisz, że mnie, kurwa, obchodzi, że spędzę jakiś tam czas w swoim pokoju? Dlaczego sama mnie tam nie zabierzesz?

Mo, tak aby wszyscy widzieli, nacisnął brzęczyk przyczepiony do pasa. Usłyszałem głośne buczenie i drzwi zamknęły się automatycznie.

– Cholera, człowieku! – Rembrandt złapał Mo za kołnierz. – Ja tu właśnie załatwiałem sprawę. Ale z ciebie cipa.

Wraz z każdym słowem potrząsał Mo z boku na bok. Łańcuszek, na którym wisiał identyfikator, pękł i upadł na podłogę.

– Hej, spokojnie – powiedziała Jeannie. Ale jej głos wcale nie brzmiał spokojnie. Piersi ciężko unosiły się i opadały pod białą bluzką. Nie mogłem oderwać od nich oczu. – Puszczaj go albo będziesz miał poważne kłopoty!

– Trzymaj się od tego z dala, dziwko.

Wypuścił Mo i spojrzał na Jeannie tak, jak gdyby miała być następna. Odwróciłem się od okna. Gdybym się nie bał, pospieszyłbym jej na ratunek.

Drzwi się otworzyły i do świetlicy wpadło sześciu strażników z pałkami.

Ricky zaczął głośno zawodzić.

– Przyszli po mnie! Nie zabierajcie mnie! Nie zabierajcie mnie!

– Nie przyszli po ciebie, palancie! – warknął Eddie.

Dwóch strażników obezwładniło Rembrandta i zakuło w kajdanki. Przez cały czas wykrzykiwał różne straszne rzeczy. O Bogu i o cipie matki Mo. Mówił też „wszyscy dostaniecie za to w dupę”.

Strażnicy wywlekli go na zewnątrz. Rembrandt, tuż przed brutalnym wyciągnięciem za drzwi, nagle popatrzył prosto w moją stronę. Rozejrzałem się wokół. Tylko ja stałem po drugiej stronie pokoju.

– Dorwę ciebie! Dorwę ciebie! – wrzeszczał tak bardzo, że aż łamał mu się głos. Nie wiem, czy w sumie to spojrzał na mnie, czy na mur z szarej cegły za oknem. W każdym razie wystraszył mnie jak jasna cholera.

– No i tyle ma z tych wielkich kontaktów. – Hank zbliżył się do mnie. – Dostyc długo posiedzi teraz w zamrażarce.

Nie odpowiedziałem mu. Dlaczego Rembrandt miał coś do mnie? Tak jak chyba każdy w końcu coś miał? Nie przychodził mi do głowy żaden powód. Czy tak jak zwykle znowu przegapiłem jakieś sygnały?

W poprawczaku rozmawiałem o tym z psychiatrą. Pokazywał mi różne wizerunki twarzy. Musiałem określić, czy przedstawieni na nich ludzie są szczęśliwi, źli czy przestraszeni. Później dodał jeszcze twarze ludzi zaskoczonych, czujących ulgę, sarkastycznych i pełnych niedowierzania. Ostatnie trzy oblicza były dla mnie trudne. Nadal miałem kłopot z ustalaniem, która co wyraża. Zresztą, nigdy nie ma się pewności. Przecież nie



można zapytać: „czy ta emocja, którą właśnie czujesz, to jest ulga?”

Mo poprawiał kołnierzyk, a Jeannie miała łzy w oczach. Była smutna, to akurat mogłem łatwo określić. Wszyscy stali bez ruchu. Co powinniśmy teraz zrobić? Wracać do naszych zwykłych zajęć?

– Idźcie do swoich pokojów – polecił Mo. – Wszyscy musimy przez chwilę ochłonać.

Poszliśmy do naszych cel. Nikt nie żartował. Nikt nawet nie mruczał pod nosem. Zabuczało i drzwi się zablokowały. Stałem w pustym pomieszczeniu, myśląc o tym, jak byłoby dobrze, gdyby czekały tu na mnie rybki.

– Hej, Raynus! – usłyszałem okrzyk Eddiego. – Ta twoja mała narzeczona, ta suka, do której tak się wdzięczysz, prawie miała kisiel w majtkach, co?

Wszedłem do kabiny prysznicowej, usiadłem na zamkniętej klapie sedesu i rękoma zasłoniłem uszy.

– Saturn, Maria, Hannibal. François, Margie, Orzeszek, Wenus i Rodzynek. I King Kong. Nie możemy zapominać o King Kongu.

# IRIS

**P**rawnik Kim, de Boer, przysłał nam swoją propozycję ugody. Van Benschop miał usunąć film z Internetu, wypłacić Kim sześciomiesięczną pensję w związku z niezdolnością do pracy, a także dodatkowych sześć tysięcy euro zadośćuczynienia. W sumie około dwudziestu tysięcy euro.

Dokument dostarczył mi kurier. Aaron pluskał się właśnie w napompowanym do połowy dziecięcym baseniku, bawiąc się plastikowymi wielorybami. Przeczytałam dokument, opalając się na leżance.

– Teraz wejść do środka, dobrze? – powiedziałam Aaronowi. – Mamusia musi zatelefonować.

Ledwie zareagował, skupiony na swojej ulubionej zabawie, polegającej, między innymi, na odgrywaniu całych scen z *Gdzie jest Nemo?*

Owinięta w ręcznik, usiadłam przy biurku matki i zadzwoniłam do Petera van Benschopa.

Nie był zadowolony z tego, co usłyszał.

– Już jej zapłaciłem. Zapłaciłem uzgodnioną sumę. Podpisała się na przerywanej linii. Nie wydawało mi się, żeby w trakcie filmowania miała z tym jakikolwiek problem...

– Może dlatego, że była w szoku?

Pożałowałam tych słów, jeszcze zanim je wypowiedziałam. Wyjrzałam przez okno. Aaron wciąż chyba nie zauważył, że weszłam do domu.

– Bardzo śmieszne – powiedział van Benschop.

– Przepraszam, nie będę już robić żadnych sarkastycznych uwag. A teraz, jeśli chodzi o...

- Co mi po prawniku, który mnie bezustannie dyskredytuje?
- Nie dyskredytuję pana.
- Robi to pani.

Westchnęłam i znowu wyjrzałam przez okno. Aaron podrzucał swoje wielorybki i przyglądał się, jak z wielkim pluskiem lądują w basenie. Na zewnątrz było zbyt ładnie, aby przedłużać takie spieranie się o szczegóły.

– Wracając do bieżących spraw, to myślę, że całkiem dobrze orientuję się, w jakim stanie psychicznym była panna de Boer w trakcie filmowania.

Na wideo wydawała się całkiem wesoła, przynajmniej początkowo. Rozchichotana, w króciutkich spodenkach i przejrzystym T-shircie, usiadła na skórzanej kanapie. Po niecałych trzech minutach na jej twarzy pojawiły się jednak strach i obrzydzenie. Pod koniec filmu była apatyczna, prawie jak zombi. Ledwie obejrzałam to do końca.

– Ale czy mógłby mi pan powiedzieć, jaka była po filmowaniu? Poszła prosto do domu?

- Poszła wziąć prysznic, a potem napiła się coli...
- Z panem?
- Chodzi o prysznic? – zapytał skwapliwie.
- Chodzi o colę.
- Napiliśmy się wszyscy razem, cała ekipa.

Wydawało mi się jakieś dziwne, że po obsikaniu i wystawieniu się na najróżniejsze, paskudne rzeczy wciąż można było usiąść razem z ekipą filmową i napić się czegoś zimnego. Jednak postanowiłam nie mówić już niczego, co niepotrzebnie przedłużyłoby rozmowę.

– Czyli, że możemy uznać, że wszystko wskazywało na to, że po zdjęciach panna de Boer była... w dobrym stanie – kontynuowałam.

– Absolutnie.

– Jeszcze coś. Przy lunchu powiedział mi pan, że sama do pana przyszła. Może mi pan opowiedzieć, jak to dokładnie było?

– Zadzwoił do mnie jej chłopak. Powiedział, że jego dziewczyna chce zarobić dodatkową forszę.

Musiałam zdusić poirytowanie.

- To nie to samo, jak ktoś przychodzący z własnej inicjatywy.
- No, w każdym razem tych dwoje do mnie przyszło i zawarliśmy umowę.
- Z kim zawarł pan umowę? Z chłopakiem czy z panną de Boer?
- No, ona ją podpisała.
- Kto prowadził negocjacje?
- Jej przyjaciel.
- Mając takich przyjaciół, nie trzeba już mieć wrogów.  
Musiałam się w końcu nauczyć lepiej kontrolować.
- O co pani chodzi?
- Czy pan nie zauważył, że sama dziewczyna w zasadzie miała w tej sprawie bardzo mało do powiedzenia? Jest pan zupełnie pewien, że zachował się wobec niej w porządku?
- I znowu mnie pani wytyka palcem. A czy nie umówiliśmy się, żeby ją nazywać młodą kobietą?
- Westchnęłam.
- Odwołuję się tylko do pana rozsądku. I ponownie, nie do mnie należy osądzanie pana. To zadanie sędziego. Ja tylko się staram, żeby zobaczył pan, jak to wszystko wygląda z drugiej strony.
- Pani tego nie pojmuje i w ogóle nie chce tego zrozumieć. Pani tylko wytyka palcem. A dlaczego pani nie zapyta, co mną powoduje?
- Aaron nadal beznamytnie bawił się na zewnątrz wielorybkami, a ja, chociaż siedziałam w domu, poczułam jak robi mi się zimno.
- Van Benschop nie czekał, aż mu odpowiem.
- Można to nazywać „hardcore’em”, ale to tylko kolejny sposób uprawiania miłości. Tak właśnie należy na to patrzeć. Zmierzając ku ekstremom, można sięgnąć swoistej ekstazy. Powinna pani postrzegać moje filmy jako odę do uległości ludzkiego ciała.
- Zastanowiłam się, czy van Benschop uczęszczał na jakiś wieczorowy kurs filozofii w miejscowym college’u.
- Oczywiście. Tak jak powiedziałam, działając w dobrej wierze, zrobię wszystko, co mogę, w pana jak najlepiej pojmowanym interesie. Oprę linię obrony na tym, że panna de Boer dokładnie wiedziała, w czym bierze udział,

i podpisała umowę. I tak bardzo chciała wziąć w tym udział, że nawet sfalszowała swoją datę urodzenia. Poinformuję także, że po wszystkim razem z ekipą napiła się czegoś zimnego. Jej chłopaka pozostawiam poza tym wszystkim.

– Jak pani myśli, co będzie?

– Trudno usunąć to nagranie?

– Jeżeli okaże się, że zostałem ukarany, zrobi się bardzo chodliwe.

– W takim razie musimy zaproponować jej znaczną sumę. Na tyle dużą, żeby nie odmówiła. Ale nie za dużą. Bo to już by wyglądało na przyznanie się do winy.

Aaron wygramolił się z basenu i zmierzał właśnie do tylnych drzwi domu, nagi i ociekający wodą.

– Panie van Benschop, zaraz się tym zajmę i rano wyślę panu propozycję kontroferty.

# RAY

**D**zisiaj będziesz miał gościa – oznajmił Mo.

Kiedy siedziałem w więzieniu, kilka razy przyszła mnie odwiedzić matka. Raz też odwiedzili mnie Margaret i Pierre. Każdego lata, gdy w Francji robiło się za gorąco, przyjeżdżali do Holandii. Kiedy usłyszeli, że nie mieszkam już przy ulicy Królowej Wilhelminy, przyszli do mnie, do zakładu karnego. Margaret powiedziała jednak, że to już ostatni raz, bo Pierre zrobił się za stary na podróż.

Pierre się zmienił. Chodził wolniej i co kilka kroków musiał zatrzymać się, żeby złapać oddech. Od drzwi pokoju widzeń do stolika z czterema krzesłami było tylko dziesięć kroków.

– Zmęczyły go te wszystkie lata przepracowane w piekarni – wyjaśniła Margaret. Wciąż mówiła tak samo głośno. – Po prostu nie ma już ochoty nic robić, prawda Pierre?

Przez ten cały czas, jaki ze mną spędzili, dwadzieścia minut, mówiła tylko Margaret. Pierre nie odezwał się ani słowem, nawet na mnie nie spojrział. Również nie powiedziałem zbyt wiele. Miałem wrażenie, że cała nasza trójka jest zadowolona, że Margaret zapełnia ciszę, opowiadając o targu w Grasse.

Ani razu nie wspomniała o Rosicie. Ani o zakwasie.

– To moja matka przyjdzie? – zapytałem, jednak wątpiłem, aby się zjawiała. Szczerze mówiąc, konsekwentnie unikała kontaktu. Nie przyszła nawet zamienić paru słów z doktorem Römermanem, przynajmniej tak mi powiedział. Jednak doktor Römerman mówił również, że już czas, abym zmierzył się z tym, co zrobiłem, nawet jeśli nie zrobiłem niczego.

– Nie. Przychodzi do ciebie jakaś inna pani. – Mo zerknął na listę. – Iris Kastelein.

– Kto to?

– Nie znasz jej?

– Nie.

– Dziwne. Powiedziała, że jest twoją krewną.

W trakcie obiadu Hank siedział obok mnie. Przez ostatnich kilka dni mnie unikał. Nie wiedziałem dlaczego, nie miałem także ochoty go pytać.

Tego dnia podano kotlety rybne. Leżały na półmisku, na drugim krańcu stołu, jednak czułem ich zapach. Miałem ochotę na kotlet rybny.

– Ray, jesteśmy kumplami, prawda?

Półmisek zbliżał się do mnie, ale jeszcze nie był tak blisko, żebym mógł sobie wziąć kotleta.

– Tylko ze mną gadasz, prawda? Tylko ja na ciebie zwracam uwagę.

Hank odwrócił się i wrzasnął:

– Hej, podajcie te kotlety!

Jakiś nowy pensjonariusz, o imieniu Jamal, cisnął w niego kotлетem. Półmisek pozostał na swoim miejscu.

– Jamal, wiem, że jeszcze nie przywykłeś do tutejszych zasad. A jedna z tych zasad jest taka, że nie rzuca się jedzeniem – oznajmił wychowawca w okularach. Nigdy nie pamiętałem, jak się nazywa.

– Za niewłaściwe zachowanie w trakcie posiłków zamyka się w pokoju na dwa dni, to już wszyscy wiemy – odezwał się Hank.

Nie bał się tego wychowawcy. Słyszałem, że pracownik socjalny w okularach czasem przemyca tutaj kokainę. Można ją było kupić po pięćdziesiąt euro za gram. Podśledzałem, jak Eddie mówił Rembrandtowi, że to kokaina świetnej jakości.

Hank wciąż coś gadał. Skupiłem się jednak na czymś innym. Na kotletach rybnych krążących po stole, które jak się wydawało, nigdy nie docierają blisko mnie – ale również na tym, że ktoś przychodzi w odwiedzinę. Nie

wiedziałem, czy to dobre, czy złe wieści. Jediną rodziną, jaką miałem, była moja matka. A ona nie nazywała się Iris Kastelein.

– Czy ty mnie słuchasz? – Hank odetchnął mi prosto w twarz. Cuchnął kotлетem rybnym i tytoniem.

Przytaknąłem.

– Jesteś sprytny. A ja pokażę ci różne sznurki. Bo jesteśmy kumplami i w ogóle. Jasne?

– Oczywiście – odparłem pospiesznie.

– Pokażę ci, jak mógłbyś... – Hank urwał, bo pracownik socjalny przyglądał mu się uważnie. – Hej, nie chcesz zjeść kotleta rybnego?

– Poproszę.

– Do cholery, Deepak, podaj te kotlety rybne, dobra?

Hank zbliżył do mnie półmisek. Został już tylko jeden kotlet. Trochę zgnieciony i pęknięty, ze środka wylewała się biel. Podniosłem go i odgryzłem końcówkę. Smakowała dobrze. Uwielbiałem tę chrupiącą skórę w połączeniu z ciepłą mazią i małymi płatkami ryby wewnątrz.

– Patrzcie, jak on to ciągnie! – zawołał Eddie. – Hej, Raynus, to jak łykanie spermy, co?

Rozległy się gwizdy i wesołe okrzyki.

– Dobra, wystarczy – powiedział wychowawca w okularach.

– Oni już po mnie idą – zawodził Ricky. – Ja to wiem.

– Ricky Sriki, nie powinni ci zwiększyć dawki? – zapytał Eddie.

Wszyscy uznali to za bardzo zabawne.

Kiedy weszła kobieta o nazwisku Iris Kastelein, posadzono mnie już przy stole. Mo wszedł za nią i zajął miejsce na krześle przy drzwiach, obok strażnika.

Mo skinął ku mnie głową.

– Ray, wszystko w porządku?

Iris Kastelein była ładna i młoda, tak jak mieszkanki osiedli dużych domów, specjalnie przychodzące do piekarni i stojące w długiej kolejce po



croissanty.

– Zabawne. – To było pierwsze, co powiedziała. – Mój syn wygląda dokładnie tak samo jak ty.

Ledwie co przysła, a już zaczynałem ją bawić. Nie odpowiedziałem, skupiając się na kontrolowaniu rąk.

Czułem, że zaczynam się wkurzać. Kompletnie mnie peszyła. Czego właściwie chciała?

Usiadła na plastikowym krzeselku naprzeciwko, przyglądając mi się tak, jak czasem robił psychiatra z poprawczaka. Tak jakby wpatrując się w moje oczy, mogła zajrzeć aż do mózgu. Nie lubiłem tego.

– Na pewno się zastanawiasz, kim jestem i co tutaj robię.

Musiałem przyznać, że miała przyjemny, spokojny głos. Sposobem mówienia przypominała prezenterkę z telewizji, a nie mieszkańców ulicy Królowej Wilhelminy. A już na pewno nie tych, co mieszkali tutaj.

– A może ty cały czas wiedziałeś o moim istnieniu? Wiedziałeś?

Zerknąłem na jej twarz. Miała ciemne brwi i rzęsy pociągnięte czarnym tuszem. Tak jak Rosita.

– Myślę, że jestem twoją siostrą. – Jej głos drżał.

Chwilę potrwało, zanim zdołałem się odezwać. To nie miało sensu. Nie mogło mieć. Ta kobieta ewidentnie zwariowała.

– Mógłbyś coś powiedzieć?

– Nie mam siostry.

– To powiedz mi, jak nazywa się twoja matka?

– Agatha Antonia Boelens – wyrecytowałem.

– No właśnie. Agatha Antonia Boelens to także moja matka. Urodziłam się w 1985 roku. Ale co się z tobą wtedy działo?

Tego było jak dla mnie już za wiele. Zacząłem we wszystkie strony wymachiwać rękoma.

Złapała je i przytrzymała, tak jak robiła to Rosita.

Szybko się wyszarpnąłem.

– Przepraszam – powiedziała kobieta, która nazywała się Iris Kastelein i która powiedziała, że jest moją siostrą. – Chcesz szklankę wody albo coś w

tym rodzaju? Można prosić? – odezwała się do strażnika.

Padła odpowiedź „nie”. Nie podczas widzenia.

Iris Kastelein, która powiedziała, że jest moją siostrą, spojrzała teraz na mnie. Bardzo przypominała moją matkę. Miała te same oczy. Byłem zaskoczony, że wcześniej tego nie zauważyłem. Szybko oderwałem od niej wzrok.

– Możesz na mnie patrzeć. Rozumiem, że to musiał być szok. Przykro mi, że to tak na ciebie spadło, ale...

Ponowie spojrzałem na jej twarz. Dostrzegłem, że ma wilgotne oczy. Dlaczego płakała? I czego teraz spodziewała się po mnie?

– Ray, co się z tobą stało? Gdzie ty byłeś przez ten cały czas?

Z wymuszonym spokojem ułożyłem dłonie na krześle i usiadłem na nich. To pomogło.

– Lepiej zadawać mu bezpośrednie pytania – odezwał się Mo, siedzący w kącie.

– Dobrze – odparła Iris Kastelein, która powiedziała, że jest moją siostrą. – Ile miałeś lat, kiedy przestałeś mieszkać z matką?

Mówiła bardzo powoli, jak do jakiegoś idioty, ale i tak jej odpowiedziałem.

– Dziewięć.

– A gdzie... potem... mieszkałeś?

– Możesz mówić do mnie normalnie

– Przepraszam. Oczywiście. Gdzie potem mieszkałeś?

Robiło się tego już zbyt wiele. Ona po prostu przyszła i zadawała mi różne pytania. A skąd miałem wiedzieć, że naprawdę jest moją siostrą? Matka nigdy nie wspominała o żadnym innym dziecku. A już na pewno nie o jakimś całkiem nowym, lepszym dziecku. Ta kobieta na pewno była damą, nosiła elegancki żakiet. Dlaczego matka chciałaby mieć nowe dziecko, po tym jak już się mnie pozbyła?

– Ray ciężko sobie radzi z emocjami – wyjaśnił Mo. – Muszę przyznać, że tego jest trochę dużo.

– Tak, rozumiem, że dużo. Ray, mogę kontynuować? Czy to jednak trochę

za wiele?

Milczałem.

– Gdzie mieszkałeś po tym, jak skończyłeś dziewięć lat? Kiedy opuściłeś dom?

– W poprawczaku.

– To znaczy?

– W domu dla chłopców.

– Ray chodził do szkoły z internatem, dla dzieci sprawiających problemy wychowawcze – wyjaśnił Mo.

Naprawdę wątpiłem, żeby miał prawo podawać informacje na mój temat. Po czyjej stronie w ogóle był? Mojej czy jej?

– To okropne – oznajmiła Iris Kastelein, która powiedziała, że jest moją siostrą i której oczy wciąż były wilgotne. – Po prostu nie wiem, co powiedzieć. To dla mnie nie do wiary, że matka nigdy mi o tobie nie mówiła. Niewiarygodne. Czy ona odwiedzała cię, kiedy byłeś w tej szkole? Czy nadal się z nią widzisz?

Rozmowa mnie męczyła i wprawiała w zakłopotanie, szczególnie wtedy, gdy moją matkę nazywała „matką”. Po prostu brakowało mi energii, żeby odpowiadać na jej pytania. Zauważyłem, że po ścianie wspina się *Pholcus phalangoides*, taki zwyczajny pająk nasosznik.

– Mogę wrócić później? Tak, żebyś miał czas to wszystko przetrawić?

Pająk szykował się do snucia pajęczyny pod sufitem. Tam poczeka, aż złapie się w nią jakiś inny pająk albo insekt, a potem zużyje jeszcze więcej nici, żeby go w nią owinąć. Już mnóstwo razy oglądałem to na Discovery Channel.

– Ray? – odezwał się Mo. – Iris zadała ci pytanie.

– Przepraszam. – Iris Kastelein, która powiedziała, że jest moją siostrą, wpatrywała się we mnie, zwracając do mnie twarz mojej matki obliczem, którego się nie bałem, ale które sprawiało, że robiłem się nerwowy.

– Jestem zmęczony. Chcę wrócić do swojego pokoju.

Wstałem.

– Poczekaj. – Pogrzebała w torebce i wyciągnęła plik fotografii. –

Przyniosłam ci coś.

– Nie wolno pani mu niczego podawać – wyjaśnił strażnik. – Proszę podać to tutaj. My jesteśmy tutaj po to, żeby zadbać, aby pensjonariusz to otrzymał.

– Och.

– Przykro mi – powiedział Mo. – Ale zasady to zasady. Mamy tutaj problem z zażywaniem narkotyków przez pacjentów.

– Rozumiem. – Odwróciła się w moją stronę. – Ray, przyniosłam kilka zdjęć twojego akwarium. Pomyślałam, że mogą ci się spodobać.

King Kong, Hannibal, Saturn i Maria! Orzeszek i François! Usiadłem.

– Z akwarium wszystko w porządku. Matka ma takiego człowieka, Maurice'a, który raz w tygodniu przychodzi się nim zająć. Koralowiec całkiem urósł. A ostatnio przyszedł też pan Van de Akker.

– Van de Akker?

– Tak. – Jej twarz przybrała wyraz, którego nie potrafiłem określić. Czy to był strach, czy może zmartwienie? – Powiedział, że akwarium już nie jest takie wspaniałe jak wtedy, kiedy się nim zajmowałaś, ale wciąż jest w dobrym stanie.

– A rybki? Opowiedz mi o rybkach. – Pochyliłem się do przodu, aby nie uronić ani słowa.

– Co mogę ci powiedzieć? Saturn i Wenus większość czasu kryją się wśród anemonów i...

– Tak? – Już samo to, że słyszałem ich imiona z ust innej osoby, sprawiało mi radość.

– I Margie. Cały dzień pływa tylko w kółko i w kółko. Zawsze tak robiła?

– Zawsze.

– No to wciąż tak robi. Od czasu do czasu bije się z François. Myślę, że to dlatego, że ich terytoria na siebie nachodzą.

Zamknąłem oczy i wsłuchiwałem się w te opowieści, tak jak wtedy, gdy byłem mały i matka czytała mi przed zaśnięciem. Kiedy wszystko jeszcze było w porządku.

– ...Aaron, mój synek, po prostu uwielbia to akwarium. Ma prawie cztery latka i niczego nie lubi tak bardzo, jak wpatrywać się przez cały dzień w rybki. Zna na pamięć nazwy wszystkich gatunków. Jego ulubiony to garra rufa. – Urwała na chwilę. – Pewnie za nimi tęsknisz.

– Za kim?

– Za rybkami.

– Myślę o nich codziennie. Codziennie na głos wypowiadam ich imiona.

– Jestem pewna, że też o tobie myślę.

– Ryby nie myślą. W każdym razie nie tak jak my. Nie potrafią nawet odróżnić jednej osoby od drugiej, więc jak można się spodziewać, że o kimś myślą?

– Sądzę, że twoja siostra chciała być miła – wtrącił się Mo. – Pewnie chodziło jej o to, że naprawdę wspaniale dbałeś o swoje rybki i nikt nie robi tego tak dobrze, jak ty.

– Lubisz być bardzo dokładny, prawda? – zapytała Iris Kastelein, która powiedziała, że jest moją siostrą.

Jednak nie potrafiłem myśleć o niej jako o siostrze. Siostrą zawsze była dla mnie mała dziewczynka, taka jak Anna.

Strażnik wręczył mi plik zdjęć.

– Dla ciebie.

Wziąłem je i przytuliłem do piersi.

– Nie chcesz obejrzeć?

– Jak będę sam.

– Mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić? Potrzebujesz czegoś? Pieniądzy? Jedzenia? Ubrań?

– Chcę tylko wrócić do domu. Do moich rybek.

Wyglądała na zasmuconą.

– Przykro mi, ale nie sadzę, żebym akurat w tym mogła pomóc.

– Nie zrobiłem tego. Trzymają mnie w zamknięciu. Nie pozwolą mi tak po prostu wyjść. A jestem niewinny.

Milczała przez dłuższy czas, wpatrując się we mnie z kolejnym dziwnym wyrazem twarzy.

– Mogę zająć się twoją sprawą. Jeśli chcesz.

Nie rozumiałem, o co jej chodzi.

– Jestem prawnikiem. Przyjrę się twojej sprawie i zobaczę, czy mogłabym coś dla ciebie zrobić. Ale oczywiście, niczego nie mogę obiecać.

– Nie zrobiłem tego. – Tylko takie słowa przychodziły mi do głowy.

– Nie?

– Nie. Nie zrobiłem tego.

# IRIS

**M**o odprowadził mnie do wyjścia z zakładu. To był prawdziwy labirynt korytarzy, kamer monitoringu, drzwi pozamykanych na zasuwę, które należało otworzyć.

– I jak pani myśli, jak poszło? – zapytał Mo. Miał w sobie coś takiego, co sprawiało, że czułam się przy nim rozluźniona. Specyficzną wibrację głosu, dodające otuchy spojrzenie łagodnych, brązowych oczu, pewność siebie zawartą w ruchach ciała. Trudno wskazać coś konkretnego, ale coś takiego istniało. Mogłam uwierzyć, że Mo podobnie wpływa na tutejszych pacjentów.

– Było ciężko. Chociaż powinnam się tego spodziewać.

Przeszliśmy przez dziedziniec obok niewielkiego bufetu. Roilo się tam od mężczyzn. Wszyscy mi się przyglądali. Jakoś dziwnie się poczułam, gdy sobie pomyślałam, że każdy z nich popełnił ciężkie przestępstwo.

– Ale i tak była pani świetna. Zwłaszcza z tymi fotografiami. Przyniesienie ich to było błyskotliwe zagranie.

– Tak pan sądzi?

– Nie zauważyła pani? Na początku był nieufny, tak jak zwykle, ale kiedy zaczęła pani opowiadać o jego rybkach, widziałem, że się odpręży. Gratulacje. Tutejsi terapeuci pracują z nim od miesiący, a nie osiągnęli tyle, co pani w pół godziny.

Poczułam, że się rumienię.

– To na pewno przez pokrewieństwo.

– Jak to możliwe, że pani nie wiedziała o jego istnieniu?

– Moja matka nigdy mi nie powiedziała, że ma drugie, starsze dziecko. Potrafi pan to sobie wyobrazić?

– Musi pani pamiętać, że w latach siedemdziesiątych było inne podejście do tak zwanych trudnych dzieci. Wtedy to było coś, czego się wstydzono, ludzie uważali, że wszystko jest winą matki.

– I tak myślę, że to jakiś kompletny absurd, że matka nawet słowem nie napomknęła o jego istnieniu. Zastanawiam się, kim by się stał, gdyby miał normalne dzieciństwo. Gdyby dorastał w normalnej rodzinie.

Dotarliśmy do bramy. Mo przesunął swoją przepustkę obok czujnika. Drzwi się otworzyły.

– W ludziach takich jak Ray zawsze jest coś tragicznego – stwierdził Mo.  
– Tak naprawdę to jest miły facet.

– Taki właśnie jest, prawda?

– Absolutnie.

Wręczyłam mu swoją przepustkę dla gościa i uścisnęłam dłoń.

– Dziękuję.

Uśmiechnął się.

– Nie ma za co.

– Mo...

– Tak?

– Wierzysz, że Ray... że on tego nie zrobił?

Roześmiał się.

– Nieważne.

Nie miałam zbyt wiele czasu, aby rozmyślać o spotkaniu z Rayem. Z moim bratem Rayem. Całą drogę powrotną zajęła mi rozmowa telefoniczna z Rence'em. Aaronowi pozwolono wrócić do przedszkola, więc dopóki tam był, ja wróciłam do pracy w kancelarii.

– Peter van Benschop skarżył się na ciebie.

Podkręciłam dźwięk w głośniku telefonu.

– Och?



– Chciałbym, żebyś się zastanowiła. Na co mógł narzekać Peter?

– Chyba pan się nie spodziewa się, że dam się podpuścić. Jeśli usiłuje mnie pan złapać na podchwytliwe pytanie, to proszę wymyślić coś lepszego.

– Nieźle. Ładnie i ostro. Właśnie czegoś takiego lubię słuchać.

– Za chwilę przyjadę. Chce pan się spotkać?

– Nie mogę. Nasz kochany Werner B. spodziewa się mnie za pół godziny.

Werner B. był dosyć nieudolnym włamywaczem, a w związku z tym jednym z naszych najwierniejszych klientów.

– Cały czas siedzi w areszcie?

– Zatrzymali go na kolejne dwa tygodnie. Obawiam się, że tym razem nasz przyjaciel tak łatwo się nie wywinie. Iris, ładny unik. Ale rozmawiamy o van Benschopie.

Jęknęłam. Miałam nadzieję, że załatwię sprawę van Benschopa szybko i gładko, ale wyglądało na to, że miała te same wady co pornosy: mnóstwo powtórzeń i długi zanim wreszcie dojdzie się do finału.

– Pozwól, że inaczej sformułuję pytanie. Czy jesteś pewna, że zajmujesz się sprawą Petera van Benschopa najlepiej, jak pozwalają ci twoje kwalifikacje?

– Gdybym zajmowała się sprawą najlepiej, jak pozwalają mi moje kwalifikacje, to zamknęłabym Petera van Benschopa w lochu razem z paroma dominami przed okresem.

– Bądź poważna.

– Drogi panie Lawrence, słowo daję, przysięgam, że poświęcę sprawie pana van Benschopa maksimum uwagi i dalej tak będę robić.

Miałam nadzieję, że zabrzmiałam przekonująco.

– Peter van Benschop uważa, że zbyt pośpiesznie proponujesz ugodę. Co ty na to?

– Chciałabym przypomnieć, że zgodnie z regułami postępowania zawodowego izby adwokackiej zawsze preferowane jest rozstrzygnięcie sporu poza sądem. Ponadto uważam, że proces sądowy byłby tutaj ryzykowny.

Skreśliłam w zjazd prowadzący do południowej części Amsterdamu,

kierując się w stronę kancelarii.

– Nie mamy zbyt wielkiego wyboru. Myślę, że pan van Benschop powinien się cieszyć, że powódka wybrała postępowanie cywilne. Aż boję się pomyśleć, co by się stało, gdyby ta dziewczyna... młoda kobieta poszła na policję.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– W takim razie, gdzie ty w ogóle teraz byłaś? Nie masz nic na dzisiaj.

– Byłam na spotkaniu z potencjalnym klientem.

– A kto to może być? – W głosie Rence'a zabrzmiała podejrzliwość.

– Chciałabym jeszcze przez jakiś czas trzymać to w tajemnicy.

– A może to znowu chodziło o przedszkole twojego dziecka?

Poczułam, że mam ochotę krzyczeć. Odpowiedziałam jednak tak spokojnie, jak tylko potrafiłam.

– Klient jest zamknięty w Instytucie Hoppera. Został skazany za zamordowanie swojej sąsiadki i jej małej córeczki. Może być zainteresowany apelacją.

– Hm.

– Panie Lawrence, apelacja podniosłaby prestiż firmy. – Wiedziałam, że to może go przekonać.

– No dobra. Mała Iris chce się pobawić w detektywa.

– Próbuje mnie pan obrazić?

– Oczywiście, że nie, pączusiu. Jednak wiesz, co się wiąże z apelacją. Zanim się obejrzysz, będzie przy tym pracowała już cała kancelaria i będziemy musieli odpuścić sobie co bardziej lukratywne zlecenia. Nie wspominając o ostatecznych kosztach badań kryminalistycznych, przekopywania się przez nowych świadków i tak dalej.

– Prestiż, panie Lawrence.

Westchnął.

– Wiesz, że nie zdołam się oprzeć.

– Właśnie tak.

Zaparkowałam wóz przed wejściem do siedemnastowiecznej kamienicy nad kanałem.

– Słuchaj, muszę już iść. Przez najbliższych parę tygodni zrób takie małe rozpoznanie. Ale oczywiście najpierw aplikuj o dotację z Pomocy Prawnej.

Kiedy wchodziłam do budynku, Rence akurat wychodził. Odsunęliśmy telefony.

– Jeśli będą wystarczające powody do złożenia apelacji, to zmontujemy zespół. Dobra?

– Świetnie.

– Teraz się postaraj. – Rence pomknął do swojego SUV-a.

Pomachałam mu, a potem weszłam do biura.

– Doskonałe posunięcie – powiedziałam sobie na głos.

Teraz już nie miałam wyboru, musiałam zacząć grzebać w sprawie Raya. Dobre wieści były takie, że dzięki temu miałam okazję lepiej go poznać i jeszcze dostanę za to pieniądze. Złe wieści natomiast takie, że w kancelarii Bartels & Peters obowiązywał ścisły zakaz reprezentowania członków rodziny. Uznałam jednak, że Ray to tak naprawdę ktoś obcy. Nie. Nie pozwolę, żeby moje emocje stanęły mi na drodze.

Ray, „Potwór z sąsiedztwa”. Nigdy bym się tego po sobie nie spodziewała, jednak miałam ochotę wziąć go w ramiona i powiedzieć: „Chodź, wracamy do domu”. To na pewno dlatego, że wyglądał tak samo jak Aaron. Na pewno. Bo w końcu kim był dla mnie ten Ray?

A może chodziło o ten błogi wyraz twarzy, kiedy zaczęłam opowiadać o rybkach? Był wtedy jak dziecko, któremu czyta się bajkę na dobranoc. Czy moja matka w ogóle coś mu czytała? Czy przytulał się do niej wieczorem, w piżamce, ze świeżo umyтыми włosami? Czy go kochała? Czy ktokolwiek go kochał? Kiedykolwiek?

# RAY

**R**osita na ogół była wesoła. Czasem jednak się smuciła, a wtedy otwierała mi drzwi i bez słowa wlokła się z powrotem do salonu. Nigdy wtedy nie wiedziałem, co mam zrobić oprócz ruszenia za nią i ściskania w dłoniach papierowej torebki z magdalenką. Ciężko opadała na sofę i siedziała tak z twarzą w dłoniach.

– Ray! – wołała wesoło Anna. Koniuszki jej ust unosiły się, a oczy otwierały szeroko. Od razu łapała magdalenkę. Nigdy nie kłopotowała się ładnym odpakowywaniem jej z papieru. Po prostu rozrywała torebkę i wkładała całe ciastko do ust.

– Powinnaś poczekać i się nią rozkoszować – tłumaczyłem. – Powinnaś ugryźć kęs, a potem żuć powoli, tak żeby docenić smak oraz konsystencję. Czy czujesz, że jest nieco chropowata na powierzchni i puszysta oraz słodka wewnątrz, taka trochę wilgotna, ale lekka?

Anna zwykle siedziała na kanapie i oglądała telewizję. Nie uważałem tego za dobry sposób spędzania czasu przez dziecko, moja matka też tak nie sądziła. Dlatego postanowiłem kupić Annie duże pudło klocków Lego Duplo. Potem, zawsze kiedy ją odwiedzałem, budowałem coś z klocków, a dziewczynka się przyłączała. Wznosiliśmy zamki, farmy, zamki i dwory. Anna mówiła, że kiedyś naprawdę w nich zamieszkamy. Próbowałem jej wówczas wytłumaczyć, że tak naprawdę nie można mieszkać w zabawkowym domku.

Rosita siedziała na kanapie, czasem z głową w dłoniach, czasem wpatrując się w nas, czasem w telewizor, bywało też, chociaż niezbyt często, że

podchodziła i nam pomagała.

Pewnego dnia powiedziała:

– Nigdy się mnie nie pytasz, jak się mam.

– Nie wiedziałem, że powinienem – odparłem. – Chcesz, żebym pytał?

– Tak, to chyba coś normalnego? Normalni ludzie pytają się siebie nawzajem, jak się mają.

To mnie zabolalo. Zawsze uważałem, że wszystko robię tak, jak należy. Zaglądałem codziennie, zawsze przynosiłem poczęstunek, tydzień temu zajmowałem się jej ogródkiem.

– Nie podoba ci się, że tak mówię.

– Nie. – Czułem się zdenerwowany, nie wiedziałem, co innego mógłbym odpowiedzieć.

– Dlaczego nie? Sam przyznaj, tak naprawdę nie jesteś zupełnie normalny. Chociażby to, że chyba ciągle przesiadujesz sam w domu, gapiąc się na rybki. Albo że tak bardzo przejmujesz się punktualnością, że przynosisz magdalenkę dokładnie o trzeciej piętnaście po południu. To nie jest takie zupełnie normalne, prawda?

Wzruszyłem ramionami. Nie byłem w stanie na nią patrzeć.

– I przestań ciągle machać rękami. Tutaj nie ugniatasz ciasta. – Złapała moje ręce i przytrzymała mi je na kolanach. Miała ciepłe dłonie. Miękkie i ciepłe.

– Albo... ta twoja matka, skoro już mówimy o nienormalności! Czy to normalne, że prawie się z nią nie widzisz, prawie w ogóle z nią nie rozmawiasz?

– Jest zajęta – wymamrotałem.

– Gównu prawda. Chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę? Myślę, że twoja matka powinna być z ciebie dumna. Czy ona w ogóle wie, że pod piekarnią ustawiają się kolejki ludzi, którzy przychodzą tylko po to, żeby kupić twoje croissanty?

– Przypuszczalnie nie.

– Chciałabym jej powiedzieć tak coś od siebie, tej twojej matce. Masz jej numer telefonu?

Ledwie odważyłem się przyznać:

– Nie.

– Nawet nie znasz numeru telefonu do własnej matki? Dlaczego, do cholery?

– Piszę do niej listy, a ona mi odpisuje. Zawsze odpisuje.

– Piszesz listy? Jak to, do cholery? Czy ona w ogóle kiedyś do ciebie zadzwoniła? – Głos Rosity brzmiał teraz wściekłością.

– Czasem dzwoni, jeśli musi przyjść w jakimś innym dniu niż w wyznaczonym terminie.

– Co to znaczy?

– W wyznaczonym terminie. W trzecią sobotę co drugiego miesiąca.

Rosita przewróciła oczyma.

– Dobra. Daj mi jej nazwisko i adres, a ja poszukam jej numeru telefonu. Dostanie za swoje, stara jędza.

Mówiła bardzo głośno, głośniej niż zwykle.

– Jesteś na mnie zła? – Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego tak się zdenerwowała. I naprawdę nie podobało mi się, jak wyrażała się o mojej matce.

Roześmiała się.

– Oczywiście, że nie, głuptasie. Jestem zła na twoją matkę. Jak ona śmie tak ciebie odpychać?

Przysunęła się bliżej. Zagłębienie między jej obojczykami także się zbliżyło, tak bardzo, że ledwie byłem w stanie oddychać. Ujęła moją dłoń w swoją.

– Ray, ona jest twoją matką. Załóżmy, że odesłałabym gdzieś Annę. Co byś o tym pomyślał?

Spojrzałem na Annę, która właśnie skończyła budować zamki i oglądała telewizję.

– Właśnie. Ludzie po prostu tak nie robią.

Znałem tylko numer skrytki pocztowej matki. To jeszcze bardziej rozzłościło Rositę. Zadzwoniła na informację, ale powiedziano jej, że w Amsterdamie jest co najmniej czterdzieścioro Boelensów.

– Masz ją zapytać o numer telefonu, słyszysz? Kiedy następnym razem będziesz do niej pisał. I żeby podała ci swój adres. Chciałabym zobaczyć, jak się wykręca.

Oczywiście, nigdy nie odważyłem się zapytać o to matkę. Chociaż Rosita stale mnie namawiała.

Kiedy następnym razem zastałem Rositę siedzącą z twarzą w dłoniach, przypomniałem sobie, co trzeba zrobić, i zapytałem:

– Jak się masz?

Uniosła nieco głowę i wpatrywała się we mnie spod ciemnych loków. Jej oczy były zaczerwienione, jednak uśmiechnęła się słabo.

– Ray, jak miło, że pytasz.

– Jak się masz? – powtórzyłem, nie wiedząc, co jeszcze powinienem mówić.

– Chodź, usiądź koło mnie. – Poklepała miejsce na kanapie. – Obejmij mnie.

Podszedłem i usiadłem. Nie byłem w stanie się ruszyć, więc chwyciła moje ramię i położyła je sobie na barkach. Siedzieliśmy teraz bliżej siebie niż kiedykolwiek wcześniej.

– Ray, nie tak sztywno, po prostu mnie trzymaj.

Mocniej otuliłem ją ramieniem. Chciałem się dobrze spisać.

– Na początek nie tak mocno. Po prostu delikatnie. Strząśnij rękę, żeby ją odprężyć, a potem obejmij moje ramię. Tak jest dobrze. Bardzo dobrze.

Siedzieliśmy tak przez jakiś czas. Rosita oddychała ciężko, a ja czekałem, co teraz będzie.

– Już tak dłużej nie mogę – powiedziała po jakimś czasie. – Takie życie doprowadza mnie do szału.

Ucichła, a potem jeszcze dodała:

– Teraz powinieneś zapytać dlaczego.

Odchrząknąłem.

– Dobra. Dlaczego? Dlaczego to... uch, doprowadza cię do szału, takie życie?

– Nie widzisz? Jestem sama z dzieckiem, nie mam pracy i nie mam męża.

Ledwie wiązę koniec z końcem. Rozejrzyj się. Czy to można nazwać porządnym domem?

Rozejrzałem się wokół, a moją uwagę przykuło zdjęcie na ścianie, przedstawiające ciężarną Rositę. Poczułem, że sztywnieje mi penis.

– Nie mogę sobie nawet pozwolić na pieprzone wykładziny. Kiedyś byłem ładna i młoda. Mogłam mieć każdego faceta, jakiego chciałam. Faceta z dobrymi zarobkami, ładnymi rzeczami, ale ja musiałam sobie wybrać tego pieprzonego fiuta.

Rosita zanosła się płaczem. Moje ramię podskakiwało na jej ramieniu. Ostrożnie rozpostarłem dłoń i pogładziłem włosy. Nie klepnęła po niej. Pozwoliła mi. Włosy okazały się tak samo miękkie, jak u mojej matki, kiedy byłem mały. Tyle że Rosita miała więcej loków i były ciemniejsze.

– Ale wiesz co? Pewnego dnia stanę się bogata, bardzo bogata. Mam takiego bogatego wujka w Anglii. Ale teraz, co mi po nim? Dopóki on żyje, muszę tkwić w tym śmietniku. I co ja mam zrobić? Ray, musisz mi pomóc.

Poczułem, jak powoli narasta we mnie panika. Czego ode mnie oczekiwała? Czy chciała, żebym zabił jej wujka?

– Już dłużej nie wytrzymam takiego życia. Nie tylko ze względu na siebie, ale też ze względu na Annę.

Nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Potem coś przyszło mi do głowy.

– Jutro pójdziemy kupić ci wykładziny, takie najlepsze, jakie tylko znajdziesz.

– Ale mnie na to nie stać.

– Ja zapłacę. Wykładziny od ściany do ściany. Bo chcę, żebyś miała porządny dom.

Spojrzała na mnie.

– Naprawdę zrobiłbyś to dla mnie?

Przytaknąłem. Poczułem ciepło w środku.

Objęła mnie ramionami i pocałowała w policzek. Poczułem jej słodki zapach oraz piersi przyciskające się do mnie. Mój penis o mało nie eksplodował.

– Och, Ray. – Rosita poklepała się dłonią po ustach. – Nie przywykłeś do



dotykania przez innych ludzi?

Roześmiała się, a ja roześmiałem się razem z nią. Śmialiśmy się długo.

# IRIS

**P**owódka właśnie siedzi w sali konferencyjnej – wyszeptała Claire, nasza recepcjonistka. – Na razie umieściliśmy pana van Benschopa w twoim gabinecie.

Postarałam się nie okazywać złości.

– Następnym razem będę wdzięczna, jeśli zdołasz znaleźć jakieś inne rozwiązanie. Wolę, żeby klienci nie przebywali w moim gabinecie, wtedy kiedy mnie tam nie ma.

– To na polecenie Lawrence’a.

Przewróciłam oczyma.

– Oczywiście.

W gabinecie miałam niewielki stół konferencyjny. Ale to nie przy nim siedział Peter van Benschop. Stał obok mojego biurka, przyglądając się zdjęciu, na którym byłam z Aaronem w zoo.

– Samotna matka, czyż tak właśnie nie mówiłem?

– Dzień dobry, panie van Benschop.

– Jeśli chodzi o kobiety, nigdy się nie mylę. Mogą się uważać za skomplikowane istoty, ale dla mnie są jak otwarta księga.

Gdybyś ty wiedział, co teraz o tobie myślę, to z płaczem uciekłbyś do mamy, przyszło mi do głowy.

– Może pan usiądzie? – zapytałam uprzejmie, wskazując jedno z krzeseł przy stole konferencyjnym. – Chciałabym omówić to, co będzie na

najbliższym spotkaniu.

Zgodził się, nawet wyjął swój notatnik.

– Prawnik powódki zdecydował się na rozwiązanie sprawy w obecności obu stron, co przypuszczalnie oznacza, że zamierza wyeksponować stan emocjonalny panny de Boer.

– Może to pani wyjaśnić? – zapytał van Benschop, a do jego głosu wkradł się agresywny ton.

– Naturalnie, łatwiej byłoby nie musieć stawiać czoła faktowi, że Kim de Boer to po prostu młoda dziewczyna... przepraszam, młoda kobieta. Zwłaszcza kiedy istnieje tylko na papierze. Mam jednak wrażenie, że chcą zagrać jej młodym wiekiem oraz wrażliwością, użyć tego jako karty atutowej.

– Chodzi o to, że zacznie szlochać, czy coś w tym rodzaju?

– Może. Na spotkaniu zostaną powiedziane rzeczy, które wydadzą się panu niesprawiedliwe. Padną żądania, na które pan się nie zgodzi. Jednak chciałabym, aby wstrzymał się pan od zabierania głosu, dopóki pana o to nie poproszę. Czy to jasne?

– O co pani chodzi z tym, że nie mogę się odzywać? To chyba ja jestem pozywany, prawda?

– Prawda. Ale zatrudnił mnie pan jako swojego prawnika. Dlatego proszę pozwolić mi wykonywać moją pracę.

– Ale ja znam Kim.

– A czy właśnie nie od tego zaczął się cały kłopot? Przede wszystkim chodzi o to, aby nie powiedział pan czegoś nierozważnego z prawniczego punktu widzenia.

– Dobra. – Ostentacyjnie zapisał w notatniku: „TRZYMAĆ GĘBĘ NA KLÓDKĘ”.

Nie byłam w stanie powstrzymać śmiechu.

– Jest pan na to gotowy?

– Mam nadzieję.

W sali konferencyjnej z kamienną twarzą czekała na nas Kim de Boer, jej

rodzice oraz prawnik. Zanosiło się na trudną przeprawę.

– Jeśli chodzi o mnie, to chyba nie muszę się przedstawiać? – powiedział van Benschop.

– Wiemy, kim pan jest – odparła matka.

Spodziewałam się jakiejś dysfunkcyjnej rodziny. Otepiałych rodziców, zbyt zajętych upijaniem się i wykazujących zaangażowanie tylko wtedy, gdy w grę wchodzi pieniądze. Jednak pan i pani de Boer siedzieli teraz w starannie wyprasowanych ubraniach, robiąc wrażenie porządnych, statecznych ludzi. Uderzyło mnie, że cała sprawa musi ich bardzo boleć.

Kim de Boer siedziała między rodzicami, bez makijażu. Włosy opadały tłustymi strąkami na jej owalną twarz. Próbowałam odczytać wyraz twarzy, jednak była go kompletnie pozbawiona.

– Wszyscy wiemy, dlaczego się tutaj spotkaliśmy – rozpoczęłam dyskusję.

– Pani de Boer twierdzi, że mój klient, pan van Benschop, odpowiada za szkody wynikłe z utraconych dochodów i wyczerpania emocjonalnego.

– Zgadza się – odpowiedział Adrian de Leeuw, prawnik powódki. Spotkałam go kiedyś na przyjęciu koktajlowym rady młodych adwokatów, z milion lat temu. – Sądzę, że chodzi tutaj o coś więcej niż o szkody finansowe albo kwestie prawne. Tym, o czym chcielibyśmy porozmawiać, jest fakt, że moja klientka – de Leeuw wskazał Kim de Boer, jakbyśmy nie wiedzieli, o kogo chodzi – to młoda dziewczyna, która przez resztę życia będzie borykała się z traumą.

Kim de Boer patrzyła się przed siebie, wciąż z tym samym beznamiętnym wyrazem twarzy.

– Stan umysłu swojej klientki opisał pan już dosyć obszernie w swoim piśmie – stwierdziłam sucho. – Może pan odpowiedzieć na moją kontrofertę?

– Zapoznając się z pani propozycją, odniosłem wrażenie, że nie jest pani świadoma powagi sytuacji. Moja klientka doznała poważnego wstrząsu psychicznego i będzie potrzebowała całych lat terapii.

– Pańska klientka wiedziała, w czym będzie brała udział. Chciałabym przypomnieć panu, że to ona skontaktowała się z panem van Benschopem. Została starannie poinformowana o naturze tej produkcji i podpisała kontrakt.

– I najpierw wszystko sprawdziliśmy, prawda? – wtrącił się Peter van Benschop. – A po wszystkim to nawet napiliśmy się coli.

Mocno kopnęłam van Benschopa pod stołem.

– Tak naprawdę powinniśmy się teraz zastanowić, do jakiego stopnia osobę nieletnią można uznać za odpowiedzialną za swoje czyny – powiedział de Leeuw.

– Była tak chętna, że aż pokazała fałszywy dowód tożsamości. Mój klient nie miał pojęcia o jej prawdziwym wieku. To również mógł pan przeczytać w kontrofercie.

Matka Kim wyglądała tak, jak gdyby lada chwila miała wybuchnąć płaczem. Podejrzewałam, że jej mąż jest właśnie gotów, aby rzucić się przez stół i przerobić Sikającego Petera na miazgę. No, dalej, pomyślałam. Chętnie odsunęłabym swoje krzesło, żeby zrobić mu miejsce.

– Nie mam o tym pojęcia – oznajmił de Leeuw.

– W takim razie, powinien pan czytać uważniej.

– Czy to prawda? – zapytał pan de Boer córkę. – Pokazałaś fałszywy dowód, żeby wziąć udział w tym obrzydliwym... spektaklu?

Wyraz twarzy Kim się nie zmienił.

– Potrzebujemy pani odpowiedzi – powiedziałam.

Wzruszyła ramionami.

– Sądzę, że milczenie oznacza zgodę. – Nienawidziłam za to samej siebie. To nie miało nic wspólnego ze zgodą. Nie mówiąc już o moim sumieniu.

– Powinienem wysłuchać bezpośredniej odpowiedzi mojej klientki – stwierdził de Leeuw.

– Pan myśli, że ja jestem wariatem, czy czymś w tym rodzaju?! – zawołał van Benschop z oburzeniem, jak gdyby to właśnie on doświadczył traumy. – Nigdy nie pozwalałam nieletnim na występowanie w moich filmach. Ma pan pojęcie, jak bardzo kobiety są chętne, żeby to robić? Dobijają mi się do drzwi...

– Pan van Benschop stara się powiedzieć, że nie miał żadnej potrzeby, aby dopuścić nieletnią do wystąpienia w swojej produkcji. Właśnie dlatego wszystkie aktorki mają obowiązek przedstawiania poświadczenia wieku.

Teraz zażądaj kopii tego fałszywego dowodu tożsamości, próbowałam bez słów przekazać de Leeuwowi. Poproś o to. Jednak najwyraźniej telepatia nie była jego mocną stroną.

Zamiast poprosić o pokazanie dowodu, de Leeuw zwrócił się do swojej klientki.

– Kim, czy sfalszowałaś swój dowód tożsamości?

Dziewczyna w końcu drgnęła. Zwinęła się na krześle, jej usta zadrżały. Zaczynała się łamać.

Wszyscy patrzyli na nią wyczekująco. Zdawała się kurczyć.

– To był Rick... On to zrobił – powiedziała w końcu, głosem małej dziewczynki.

– Co zrobił? – zapytał de Leeuw.

Proszę, zakończmy już tę farsę, modliłam się duchu. Postanowiłam, że definitywnie ostatni raz biorę podobną sprawę. Już wolę zajmować się rozwodami.

– Rick zrobił coś z kopią mojego...

– Co do...? – zapytał pan de Boer. – Kim, a niech to szlag. Przecież ci mówiliśmy, że masz już się z nim nie spotykać!

Starannie uszmkowane usta pani de Boer tworzyły teraz cienką, prostą linię. Taką płaską linię, jak na monitorze funkcji życiowych. Brakowało jedynie piskliwego alarmu.

– Mam nadzieję, że dzisiaj w nocy będzie pani dobrze spała – powiedział mi pan de Boer, zanim wyszedł z sali konferencyjnej. – Gratulacje.

Potem zajęliśmy się liczbami i ustaliliśmy sumę nieznacznie niższą od pierwotnej kontroferty.

Nie potrafiłam mu jakoś sensownie odpowiedzieć. Podać usprawiedliwienia, zaprotestować, rzucić replikę. Zwykle powiedziałabym coś w rodzaju „do zobaczenia” albo „proszę jechać ostrożnie”. Jednak nic takiego mi nie pasowało. Patrzyłam więc, jak ta dziewczyna, wspierana przez rodziców, wychodzi z sali. De Leeuw uklonił się niedbale i wyszedł za nimi. Trzasnęły za nimi drzwi.

– No, to było łatwe. – Van Benschop zatarł ręce. – Mogę postawić pani

drinka? Szampana?

– Łatwe? To było łatwe? – zapytałam.

– Tak. Muszę pani powiedzieć, że nie bardzo chciało mi się wierzyć, ale sposób, w jaki pani to przeprowadziła... Była pani wielka. A nie mówiłem, że ze strony Kim to był po prostu wielki stek bzdur?

Odwrociłam się i z niedowierzaniem spojrzałam prosto na niego.

– Jeśli pan naprawdę myśli, że to było łatwe, bo prawo było po pana stronie, to jest pan absolutnie w błędzie. To był po prostu szczęśliwy traf, bo prawnik powódki przegapił jedną, ważną sprawę.

– I tak liczy się rezultat.

– Rezultat? – Musiałam zebrać wszystkie siły, aby na niego nie nakrzyczeć. – Rezultat jest taki, że zdemolował pan ją i jej rodzinę, nie wspominając już o tym, co pan zrobił tym wszystkim innym idiotom – mężczyznom, którzy myślą, że to w porządku męczyć swoje żony, bo pańskie filmy pokazują, jak to się robi. Pan nawet nie ma pojęcia, jakie pan wyrządza szkody.

– Co proszę? Jaka z ciebie nadęta, przemądrzała zołza!

– A z ciebie narcystyczny, oportunistyczny i niemoralny sukinsyn!

Gdy to powiedziałam, drzwi otworzyły się szeroko.

– Coś poszło nie tak? – zapytał Rence, wpadając do pokoju ze zmarszczonym czołem. – Jak pan sądzi, panie van Benschop?

Boże, wisienka na torcie.

– Poszło nam niesamowicie dobrze – odparłam. – Pan van Benschop właśnie miał otwierać szampana. Prawda?

– Aha. Bo aż tak dobrze to nie brzmiało – stwierdził Rence. Położył van Benschopowi dłoń na ramieniu.

– Czy panna Kastelein dobrze się sprawowała?

Nie dałam van Benschopowi szansy na odpowiedź.

– Uważa pan, że byłam niemila? A może wręcz przeciwnie, widzi pan w tym odę do uległości... Tak pan to nazywał, panie van Benschop?

Sikający Peter nie odpowiedział, ale pod kołnierzykiem bardzo się zaczerwienił.

– Dzisiaj przygotuję dokumenty. Wysłać je do podpisania?

– Doskonale – oznajmił szybko Rence. – Iris, cieszę się, że zdołałaś szybko załatwić tę sprawę. Dobra robota. A teraz może pozwolisz mnie oraz panu van Benschopowi zamienić kilka słów?

Wyszłam z pokoju, nie oglądając się za siebie.



# RAY

**K**iedy znów zobaczyłem Rembrandta, byłem akurat na dziedzińcu. Ostatnio pozwalano mi pracować w ogródku. Niektórzy pacjenci mieli swoje grządki z warzywami, inni hodowali kwiaty. Ja strzygłem żywopłoty.

Na centralnym dziedzińcu rosło mnóstwo żywopłotów, dlatego nazywano go czasem Małym Wersalem. Żywopłoty posadzono tak, że tworzyły kwadrat. Rogi kwadratu przecinały ukośne linie, przez co powstawał mały kwadrat w kwadracie. Pośrodku stał posąg nagiego mężczyzny, który jednak miał kamienną przepaskę biodrową. Najwyraźniej zakaz pokazywania obnażonych dolnych części ciała dotyczył także rzeźb.

Co drugi tydzień pozwalano mi przystrzygać wszystkie żywopłoty. Zawsze ktoś miał wtedy na mnie oko, bo pacjentów z sekatorami należało bacznie obserwować.

Zawsze nie mogłem się doczekać dnia strzyżenia żywopłotów. Przypominał mi o czasach, kiedy mieszkałem przy ulicy Królowej Wilhelminy. Kiedy jeszcze miałem swoją pracę. Kiedy jeszcze miałem Rositę i Annę. Kiedy, co prawda, często bywałem samotny, ale nawet w przybliżeniu nie tak samotny jak teraz.

Byłem już w połowie drugiego żywopłotu, gdy zobaczyłem, że na dziedziniec wchodzi Rembrandt. Kilka dni temu opuścił swój pokój, ale jak na razie udawało mi się go unikać.

– Hej, Ray – powiedział, ciskając na trawnik niedopałek papierosa. Zanotowałem w pamięci, aby go podnieść i wyrzucić, kiedy tylko Rembrandt zniknie z pola widzenia.

– Rainman, mówi się, że masz chętkę na tę blond cipkę, jak tam ma na imię, Jeannie?

Nie odpowiedziałem, tylko dalej przycinałem żywopłot. W równym tempie na ziemię spadały kawałki bukszpanu. Jeden, dwa, trzy. Na trzy, nożyce odcinały kolejną gałązkę.

– Myślisz, że jest niezła, co? Powinieneś po prostu się do niej zabrać. Ona bardzo tego chce. To po niej widać, po tym jak się zachowuje.

Jeden, dwa, trzy. Jeden, dwa, trzy.

– Dasz radę, prawda? Jesteś prawdziwym facetem, co?

Przestałem przycinać i rozejrzałem się, aby sprawdzić, co robi strażnik. Właśnie rozmawiał ze swoim kolegą. Miałem nadzieję, że uniesie wzrok i każe Rembrandtowi stąd spadać. Czy nie wiedział, że pacjenta z sekatorem trzeba uważnie obserwować?

Rembrandt zrobił następny krok w moją stronę.

– Zakradnij się za nią i uszczypnij ją w ten tłusty tyłek.

Bąłem się, że teraz on chce mnie uszczypnąć w tyłek. Ręce Rembrandta coraz bardziej się zbliżały. Mocniej zacisnąłem palce na sekatorze.

Strażnik wreszcie się odwrócił.

– I jak tam? – zapytał.

– Świetnie – odparł Rembrandt. – Mały Rainman i ja właśnie sobie gawędzimy.

– Przestań go rozpraszać.

Rembrandt machnął dłonią.

– Dobra, dobra. Patrz, już sobie idę. Spokojnie.

Dalej przycinałem żywopłot. Jednak nie potrafiłem teraz odnaleźć właściwego rytmu.

– Jak ty tego nie zrobisz, to ja zrobię! – Rembrandt zawołał znad ramienia.

– O co mu chodzi? – Strażnik podszedł do mnie. Widziałem, że Rembrandt obserwuje nas z dystansu, i próbowałem skupić się na żywopłocie.

– O nic – wymamrotałem.

Czułem, że do głowy uderza mi gorąco, jak gdybym miał temperaturę. Nie sądziłem, żebym miał chętkę na Jeannie. Chociaż była bardzo miła i

przyniosła mi kromkę domowego chleba. Spróbowałem go i powiedziałem: „Trzeba dodać więcej cukru”.

Musiałem przyznać, że czasem, gdy się onanizowałem, myślałem o niej. Jednak nawet nie mogła się równać z Rositą. Rosicie nikt nie dorastał do pięt. Pomyślałem o jej białych zębach, o dołeczkach, o paznokciach, które były o wiele za długie, i posmutniałem.

– Już nie mam ochoty tego robić – powiedziałem strażnikowi. – Mogę dokończyć jutro?

– Jasne, Ray. Nie ma problemu.

Siedziałem na podłodze, przyglądałem się zdjęciom. Orzeszek, Saturn, Wenus. Trzymałem fotografie przed twarzą i je studiowałem. Rybki wyglądały ładnie. Iris Kastelein, która powiedziała, że jest moją siostrą, miała rację: koralowiec urósł. Moja... nasza matka najwyraźniej bardzo dobrze opiekowała się akwariem, chociaż dostrzegłem, że brakuje kilku rybek. Gdzie podział się King Kong? I gdzie był Hannibal? Zauważyłem także centropygę, której wcześniej nie było. Postanowiłem o to zapytać, kiedy Iris Kastelein, która powiedziała, że jest moją siostrą, znowu mnie odwiedzi.

Matce zawsze z trudem przychodziło odpowiadanie na moje pytania. Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, ale w pewnym momencie po prostu przestałem pytać. Z kolei ona, zanim trafiłem do więzienia, odwiedzając mnie, pytała ciągle o to samo. Co słysząc u mnie w pracy? Czy jadłem? Co to za historia z tą Rositą? Początkowo, słysząc, że zaprzyjaźniłem się z sąsiadką, była zadowolona. Powiedziała mi nawet: „Może mimo wszystko będą z ciebie ludzie”.

Ale potem Rosita i Anna przeszły obok mojego domu, akurat gdy stałem przed nim z matką.

Rosita pomachała do mnie, ja odmachalem.

– To ona? – zapytała matka. – No, to nie da rady.

– Dlaczego?

– Tylko popatrz na jej sukienkę, jest o wiele za krótka. To nieprzyzwoite.

Ona myśli, że ile ma lat? Szesnaście?

Spojrzałem na sukienkę Rosity. Ledwie zakrywała pośladki. Poczulem ukłucie w żołądku.

– Zawsze jej za gorąco. Nie wiem, czy myśli, że ma szesnaście lat. Sądzę, że ma prawie trzydzieści. Ale ją zapytam.

Matka spojrzała na mnie, kręcąc głową.

– Chciałabym móc zobaczyć w tym co zabawnego. W tym, jaki jesteś.

Moja matka nie przepadała za Rositą, a Rosita także nie miała zbyt wiele dobrego do powiedzenia na jej temat. Zawsze byłem między młotem a kowadłem.

– No i gdzie jest twój ojciec?

Rosita lubiła poruszać kłopotliwe tematy. Siedziała ze mną na nowej sofie, z popielniczką na kolanach. Ułożyła nogi tak, że spódniczka się podniosła, a ja mogłem patrzeć na jej brązowe uda. Wydałem na tę sofę sporą część oszczędności.

– Odszedł – powiedziałem. – Nie był w nastroju na dziecko.

– Co ty mówisz, że odszedł? Czyli nawet go nie poznałeś?

– Nie. Opuścił moją matkę, kiedy była w ciąży.

– Mężczyźni. Wszyscy tacy sami.

Wcale nie. Ja bym nigdy nie odszedł. Nigdy nie zostawiłbym Rosity. Chciałem, żeby to wiedziała. Jednak wolała, aby ojciec Anny ciągle ją rozczarowywał.

– Czy on w ogóle próbował się z tobą kontaktować?

– Nie.

– Dlaczego nie?

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem ochoty odpowiadać na jej pytania, nawet jeśli znałem odpowiedzi. Jednak starałem się, jak mogłem. Bo to było ważne dla Rosity.

– Musisz się dowiedzieć, kim on jest. Nie chcesz wiedzieć, skąd się wzięłeś? Przecież masz prawo wiedzieć, prawda? Spójrz na tatę Anny, to

pieprzony sukinsyn, ale przynajmniej Anna go zna. Pytałeś matkę, kim był ojciec?

Zawahałem się.

– Nie – odparłem w końcu.

– Aha. Nie chcesz mi powiedzieć, prawda? No, chodź.

Położyła mi dłoń na policzku i zbliżyła swoją twarz do mojej. Czułem słodki zapach jej perfum, wymieszany z papierosowym dymem. To było miłe i było też straszne.

– Jesteśmy przyjaciółmi. Wiesz o tym, prawda? Jestem po twojej stronie. Spójrz na mnie.

Oderwałem wzrok od zagłębienia między jej obojczykami i próbowałem patrzeć prosto w oczy, tak długo, jak tylko potrafiłem.

– Tak jest lepiej. Nie musisz się niczego bać. Przecież cię nie zjem, głupku.

– Nie jestem głupkiem.

Puściła moją twarz.

– Oczywiście, że nie, skarbie. Nie jesteś głupkiem, daleko ci do głupka. Jesteś najmilszym człowiekiem, jakiego spotkałam, naprawdę. Słyszysz mnie?

Przytaknąłem.

– Ray, mnie możesz zaufać. Dlaczego dusisz w sobie te wszystkie złe rzeczy? Po prostu mi powiedz. Co się stało z twoim ojcem?

– Odszedł.

– To wiemy. A wiesz, dokąd odszedł?

– Moja matka powiedziała, że ojciec odszedł dlatego, że byłem straszną beksą.

– Przecież dzieci płaczą. Czego innego można się po nich spodziewać? Powinieneś widzieć Annę. Tylko wyła i wyła, dzień i noc. Doprowadzała mnie do furii! Ray, wierz mi, wszystkie dzieci drą się wniebogłosey i każdą matkę doprowadza to do szaleństwa, nawet te snobki, które uważają się za idealne.

Spojrzałem na Annę. Oglądała kreskówkę.

– Jeśli twój ojciec cię zostawił, bo nie mógł znieść hałasu, to był zwykłym fiutem. To nie była twoja wina.

– Chcę kupić Annie jakąś rybkę – powiedziałem. – Chcę dać Annie ładną, dużą rybkę, bo lubi patrzeć na rybki. Będzie więc miała swoją własną.

– Jakie to miłe z twojej strony. Ale tak łatwo się nie wykręcisz od odpowiedzi. No, kto był twoim tatą? Co mama ci o nim opowiadała?

Pytałem matkę o ojca już kilka razy. Kiedyś zauważyłem, że większość chłopaków w okolicy, a także dzieciaków w ogóle, ma ojców, którzy grają z nimi w piłkę albo karzą je, gdy zrobią coś złego. Przy obiedzie zapytałem:

– Dlaczego ja nie mam taty?

Usta matki na chwilę zastygły bez ruchu. Potem wróciła do żucia.

– Po prostu nie masz.

– Ale dlaczego? – pytałem. Zwykle nie naciskałem na matkę.

– Bo tak. Ale nie martw się, Ray, raczej się ciesz, że go tutaj nie ma. Jak myślisz, co by powiedział, widząc, jak walisz głową w ścianę, jak to masz w zwyczaju? Albo jak zaczynasz wrzeszczeć w supermarkecie, bo boisz się przechodzić obok mięsa, nawet będąc już dużym siedmiolatkiem? A jak myślisz, co twój ojciec pomyślałby o tym, że obsmarowujesz kupą ściany? Myślisz, że twojemu ojcu to by się podobało?

O tym pewnie nie mogłem powiedzieć Rosicie. Dlatego odparłem:

– Nie wiem.

Zmrużyła oczy.

– Wiesz – powiedziała. – Ale jeśli mi nie wierzysz, to już twoja sprawa.

Nie chciałem, żeby była na mnie zła. Ze wszystkich sił starałam się wymyślić coś, co ją zadowoli. Ale nie miałem zbyt bujnej wyobraźni.

– Moja matka była bardzo młoda. Miała tylko dwadzieścia dwa lata. A mój ojciec... jego nigdy nie było w pobliżu.

Rosita zapaliła kolejnego papierosa i zaciągała się nim, wykonując zamaszyste ruchy ręką.

– Słabo mi się robi od tych mężczyzn odchodzących od swoich kobiet. Potrafią myśleć tylko o pieprzeniu, a kondom im przeszkadza, więc mówią: „Nie czułem się aż tak dobrze”. Chcesz wiedzieć, kiedy się nie czuje dobrze?

Jak się wyciska dziecko z ciała. Ale to już nie ich problem. Och, nie. Dziecko to już nie ich problem.

Przytaknąłem, aby była zadowolona.

– Ty byś nigdy tak nie zrobił, prawda? Jesteś taki słodki.

Poczułem się trochę zakłopotany. Starałem się nie patrzeć ani na nią, ani na jej zdjęcie na ścianie. Patrzyłem więc na kreskówkę Anny na ekranie telewizora.

– Miałeś kiedyś dziewczynę?

– Ee, nie.

Roześmiała się.

– Powinam się domyślić. Taki niewinny facet jak ty. Ale na swój sposób jesteś całkiem przystojny. Jak to możliwe, że nigdy nie miałeś dziewczyny?

Zrobiło mi się nieswojo. Czy ona mnie wyśmiewała?

– Nie zmieniaj tematu. Nigdy nie byłeś z kobietą, prawda?

– Muszę iść do domu – powiedziałem. – Muszę nakarmić rybki i sprawdzić wskaźniki. Muszę przygotować zbiornik na kwarantannę dla nowej rybki.

Położyła mi dłoń na kolanie i przysunęła się bliżej.

– A czasem chodzisz na dziwki?

Teraz to już na pewno mnie wyśmiewała. Wstałem i wyszedłem z pokoju.

– Przepraszam! – zawołała za mną. – Nie chciałam cię urazić.

Jednak wciąż się śmiała.

Nazajutrz nie pojechaliśmy do Amersfoort, ani też następnego dnia. Nie potrafiłem stanąć przed Rositą, nie po tym, co mi powiedziała. Torebkę z magdalenką zostawiłem pod jej drzwiami. Nie byłem pewien – powinienem tak zrobić czy nie powinienem? Ale po prostu nie umiałem inaczej.

Tęskniłem za Rositą. Tęskniłem za naszymi wspólnymi popołudniami. Tęskniłem za tym, jak oboje zaczynaliśmy się śmiać bez powodu, nie mogąc przestać. Tęskniłem nawet za trudnymi pytaniami, które zawsze mi zadawała.

Po dwóch dniach bez niej zobaczyłem, jak pod domem parkuje samochód

ojca Anny. Siedziałem przy oknie, za zasłoną, mając nadzieję, że dostrzegę Rositę. Zrobiło mi się niedobrze. Tak bardzo niedobrze, że myślałem, iż zaraz zwymiotuję.

Wysiadł. Pomyślałem o tym, że jemu wolno oglądać części intymne Rosity, nawet jeśli Rosita wyzywa go od pieprzonych sukinsynów. Mnie nazywała pączusiem, mówiła, że jestem inny niż pozostali mężczyźni. Ale to on mógł dotykać jej piersi, być ojcem jej dziecka, nawet jeśli bardzo złym, i zjawiać się wtedy, gdy mu pasowało.

Pomyślałem, ile razy opiekowałem się Anną, bo on chciał sobie pobyć sam na sam z Rositą, ile razy odzywał się do mnie tym swoim protekcjonalnym tonem. Jak gdyby był ode mnie lepszy, a przecież to ja kupiłem wykładzinę od ściany do ściany, nową kanapę i nowy wózek dla Anny. I zrobiłem tak, chociaż moja matka mówiła, że czterolatka jest już za duża na wózek. Ale wszystko, co robiła Rosita, matka uważała za niewłaściwe albo śmieszne.

Naprawdę chciałem, żeby moja matka była zadowolona. Ale najbardziej na świecie chciałem, żeby zadowolona była Rosita.

Ojciec Anny, krocząc dumnie, podszedł do drzwi wejściowych. Nie wiem dlaczego, ale odwrócił głowę i do mnie pomachał. Z tym swoim szerokim uśmiechem, jak gdybym był jego przyjacielem. Ale ja nie byłem jego przyjacielem. Nie, zdecydowanie nie byłem.

Zniknął mi z pola widzenia. Rosita pewnie otworzyła mu drzwi w białym szlafroku, nie mając nic pod spodem. Patrzyłem na ten jego głupi, niebieski samochód. Pomyślałem: Zrobię tak, żebyś nie mógł już nim jeździć. A jeśli nie będziesz mógł jeździć, to nie będziesz mógł tutaj przychodzić, a wtedy Rosita się przekona, że lepiej jest jej ze mną.

Poszperałem w szufladzie w kuchni i znalazłem duży nóż. Taki duży nóż do krojenia, kupiony przez matkę. Część „zestawu początkowego”, w skład którego wchodziły garnki i rondle, plastikowe pojemniki, talerze oraz sztućce.

Tak naprawdę nie wiedziałem, co zrobić z tym nożem, chociaż już kilka dobrych lat mieszkałem sam. Poza tym nie lubiłem go, był za tępy i nie miał dobrego chwytu. W piekarni miałem znacznie lepsze noże do krojenia jabłek



oraz siekania orzechów. Ale do tego, co zamierzałem teraz zrobić, wydawał się doskonały.

Wyszedłem na zewnątrz z nożem w dłoni. Akurat wtedy, po drugiej stronie ulicy szła jakaś kobieta. Pozdrowiła mnie. Oczywiście nie odwzajemniłem pozdrowienia, bo miała przed domem najbardziej zapuszczony trawnik w okolicy. Potem zobaczyła, że trzymam nóż. Jej twarz stężała.

– Co chcesz zrobić? – zapytała wysokim, piskliwym głosem.

Nigdy wcześniej nie zauważyłem, że ma taki śmieszny głos. Brzmiał, jak gdyby słowa wyciskała z gardła. Podszedłem do jego auta, nie odpowiadając na pytanie.

Granatowy samochód błyszczał, nawet gdy nie świeciło słońce. Rozejrzałem się dookoła. Drzwi Rosity były zamknięte. Mogłem sobie teraz wyobrazić, jak Rosita łapie ojca Anny za rękę, zaciąga go schodami na piętro, do sypialni, a on zdejmuje z niej biały szlafrok. I ona pozwala mu dotykać swoich części intymnych.

Uniosłem rękę i przedziurawiłem prawą, przednią oponę auta. Rozległo się ciche „pfff”. To wszystko.

Pociąłem wszystkie cztery opony. Chlastałem tak długo, aż kobieta po drugiej stronie ulicy zaczęła krzyczeć tak głośno, że Rosita musiała to usłyszeć.

Ale jeszcze nie skończyłem. Nagle zauważyłem na masce jego wozu srebrnego jaguara. Pomyślałem o tym, jak drapieżnik skacze na bezbronną ofiarę. Niewinne zwierzę, w którym bezlitośnie zatopi zęby. Widziałem, jak to robił na Discovery Channel.

Próbowałem zerwać jaguara z maski. Okazało się to niełatwe, mocno go przykręcono. Ale ja byłem wściekły. Kiedy ciągnąłem za jaguara, słyszałem dźwięki wydobywające się z moich ust, takie jakich nie słyszałem jeszcze nigdy dotąd. Nie potrafiłem ich powstrzymać. Ryczałem, tak jak może ryczy jaguar, aż w końcu odłamałem srebrną statuetkę.

Jaguarem rozbiłem przednią szybę auta. To też nie było łatwe. Stawiała opór. Dopiero za czwartym uderzeniem, kiedy szkło pokrywała już siatka pęknięć – jaguar w końcu ją roztrzaskał. Sąsiadka krzyczała, rozsypujące się

szkło zagrzechotało, a ja znowu ryknąłem. Oworzyły się drzwi domu Rosity.

– Jasna cholera! – Ojciec Anny wyskoczył na zewnątrz, mając na sobie tylko bokserki w biało-niebieskie paski. – Czy ci kompletnie odbiło? – Głos mu drżał. Podbiegł do swojego auta. Już się nie uśmiechał, tylko skakał dookoła, szacując szkody. Jęczał, narzekał i przeklinał.

Rosita wyszła za nim w białym szlafroku. Zatrzymała się w pewnej odległość i patrzyła. Nie potrafiłem odczytać wyrazu jej twarzy. Czy to była wściekłość, odraza, wstyd, duma, poníženie czy może triumf?

– Myślę, że lepiej, żebyś tu już więcej nie przyjeżdżał – powiedziałem ojcu Anny. Głośno i wyraźnie.

Odwróciłem się i wróciłem do swojego domu. Odłożyłem duży nóż z powrotem do kuchennej szuflady, a potem umyłem ręce. Poczułem spokój. Dobrze zrobiłem. Zrobiłem coś bardzo dobrego.

# IRIS

**J**ak dzisiaj było? – Nie mogłam się powstrzymać, aby nie zapytać.

– Dobrze – odparła Petra. – To oczywiste, że zachowuje się znacznie lepiej, kiedy się poświęca mu więcej uwagi.

Przykleiłam sobie uśmiech do twarzy. Jeżeli myślała, że znowu dam się sprowokować, to się myliła.

– Świetnie, to do zobaczenia jutro.

Pomogłam Aaronowi włożyć kurtkę i poszłam z nim do auta. Na zewnątrz było chłodno. Mieliśmy kilka tygodni ciepłej pogody, ale potem się załamała i teraz wszyscy czekali na powrót lata.

– Mamusiu, jestem głodny.

– Kochanie, zjemy coś w restauracji.

Nie miałam kiedy zrobić zakupów. Często w porze lunchu robiłam wypad do supermarketu, ale teraz zabrakło mi czasu.

– Nie chcę.

– Pizza. Lubisz pizzę, prawda? Zjemy kawałek pysznej pizzy, a tamten miły pan zawsze potem daje lizaka, pamiętasz?

Przypięłam go do jego krzeselka i próbowałam nakłonić, żeby spojrzał mi w oczy. Popatrzył mniej więcej w moim kierunku, ale to nie było to.

Pojechałam do pizzerii mieszczącej się koło domu mojej matki. Jedzenie nie było tam specjalnie dobre, ale mieli liberalne podejście do dzieci. Wszystkie dzieciaki poniżej piętnastego roku życia dostawały lizaka.

Weszliśmy do pizzerii. Odebrano od nas palta, wskazano stolik z tyłu, obok szyby.

– Chcę do domu – marudził Aaron.

Westchnęłam, rozzłoszczona.

– Przykro mi, ale teraz jesteśmy tutaj. Jutro ugotuję coś w domu. Nie miałam czasu na zakupy. Poza tym, przecież lubisz pizzę, prawda?

Do naszego stolika podszedł kelner. Zamówiłam kieliszek białego wina oraz lemoniadę.

– Chcę do domu – nalegał Aaron.

– Powiem ci coś. Zapytam, czy mogą nam zapakować na wynos. Ale najpierw musisz mieć trochę więcej cierpliwości. – Wydawało się, że podstęp się uda. Jeżeli zdołam go czymś zająć przez najbliższych dziesięć minut, katastrofy da się unikać.

– Powiedz, co dzisiaj robiłeś w przedszkolu? Narysowałeś mi jakiś ładny obrazek?

Aaron zsunął się z krzesła.

– Co ty robisz?

– Idę do domu. – Aaron zaczął człapać w stronę drzwi.

Wstałam, posadziłam go z powrotem na krześle.

– Siadaj. Zaraz pójdziemy do domu, jak tylko dostaniemy jedzenie.

Zaczął jęczeć. No, oczywiście.

– Cicho – skarciłam go niezbyt cicho. Na szczęście było wcześniej, w restauracji jeszcze dosyć pusto. Jednak tych kilku gości już rzucało mi rozzłoszczone spojrzenia.

Podszedł kelner z naszymi napojami.

– To twoja lemoniada – oznajmił. – Na zdrowie, *ragazzo*.

– Nie chcę! – krzyknął Aaron. – Idź!

– Przepraszam – powiedziałam kelnerowi. – To nie był zbyt dobry dzień.

– Czy będzie chciał lizaka?

– Nie zasłużył. Proszę po prostu dać mi rachunek, żebyśmy mogli wyjść, zanim nie będę mogła go opanować.

– Chcę lizaka! Chcę do domu.

– Siadaj! – syknęłam. Bez efektu. Aaron, wymachując rękoma, wywrócił stojącą przed nim szklanę lemoniady.

– Proszę się nie przejmować – uspokajał kelner, spiesząc po ręcznik.

– Zobacz, co narobiłeś! – Złapałam Aarona za rękę. – Teraz masz być grzeczny!

Zaważyłam, że wpatruje się we mnie jakaś starsza para siedząca kilka stolików dalej.

– Za naszych czasów takie sprawy załatwiało się inaczej – oznajmiła kobieta na tyle głośno, żebym mogła ją usłyszeć.

– Suka – mruknęłam.

Aaron nie przestawał wyć, nawet gdy kelner wetknął mu lizaka w rękę ani po tym, gdy wytarto stół i postawiono nową szklankę lemoniady.

– Naprawdę musimy iść – oznajmiłam kelnerowi. – Ma pan dla mnie rachunek?

– Na koszt firmy – powiedział. – To nie pani wina.

Poczułam, że zaraz się rozpłaczę.

Położył mi dłoń na ramieniu.

– Proszę się nie martwić, wszystkim się zajmę.

Potem musiałam wynieść z restauracji miotające się, kapiące i wrzeszczące dziecko. Staralam się znosić to z podniesionym czołem, aby zachować chociaż odrobinę godności. Ale to było straszliwie poniżające. Kolejne publiczne upokorzenie, pokazujące mnie jako Nieudolną Matkę.

Usadowienie Aarona na foteliku stanowiło kolejne upokorzenie.

– Jaki ty masz, do cholery, problem? – Straciłam panowanie nad sobą. Wrzeszczałam histerycznie: – Dlaczego nie możesz po prostu być normalny?

Niewiele brakowało, a uderzyłabym go w twarz. Albo po prostu wywaliła z auta i zastrzeliła. Zamiast tego walnęłam pięścią w oparcie kanapy, centymetry od głowy Aarona.

Natychmiast ucichł, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczyma. Wzięłam głęboki oddech, zapięłam mu pasy.

– Mamusiu, ale ja nie wiem jak – oznajmił, kiedy siadłam za kierownicą i uruchomiłam wóz.

Odwróciłam się, spoglądając na tę zasmuconą, małą buzię o poważnych, wielkich oczach i mało nie wybuchnęłam płaczem. Bo uświadomiłam sobie,

że przecież ma rację.

Tego wieczoru Aaron i ja oglądaliśmy akwarium, układaliśmy puzzle z rekinem i czytaliśmy encyklopedię ryb. Kiedy Aaron leżał już w łóżku, wspominałam nasze zeszłoroczne wakacje na Teneryfie. Cały dzień bawiliśmy się w morskiej pianie. Szukaliśmy muszelek, budowaliśmy zamki z piasku. Pozwalaliśmy falom ściągać nas w morze. Pod koniec dnia, kiedy Aaron zaczął piszczeć, bo nie chciał jeszcze wracać do hotelowego pokoju, połaskotałam go, mówiąc:

– Hej, głuptasie. Cieszę się, że tak dobrze się dzisiaj bawiłeś, tak dobrze, że aż jesteś zły, że już musisz iść. Jednak wiesz co? Jutro to wszystko zrobimy raz jeszcze.

Wtedy czułam się naprawdę szczęśliwa. Miałam nawet wrażenie, że jestem dobrą matką. Uznałam, że niedługo znowu pojedziemy na wakacje.

Zaczęłam się zastanawiać, w jakim stanie znajdował się umysł mojej matki, kiedy odwoziła Raya do poprawczaka? Chociaż bycie matką nie było dla mnie jakiegoś szczególnie łatwe, nigdy bym nie oddała Aarona. Bo ja go kochałam, oczywiście, że go kochałam. Jednak szczerze mówiąc, nie umiałabym żyć z poczuciem winy. Czy miłość matczyna stanowiła inną nazwę syndromu sztokholmskiego?

Może zazdrościłam matce tego teflonu na duszy.

Wróciłam do czytania wycinków prasowych na temat Raya. Znalazłam niewiele wiadomości, wyjąwszy to, że zdaniem osób, które go znały, był bardzo wycofany i zamknięty w sobie. I że pracował w piekarni.

– Zazwyczaj po prostu mijał ludzi bez słowa – opowiadała w „Telegrafie” jakaś sąsiadka. – Nawet gdy się do niego powiedziało „dzień dobry”.

Wydawało się, że ofiara była jedyną osobą, która utrzymywała z nim jakiś kontakt. Przyjrzałam się jej fotografii. Kobieta o śródziemnomorskim typie urody, szerokich ustach i niesfornych lokach. Nie jakaś klasycznie piękna, ale zdecydowanie seksowna. Miała ciemną karnację, jej córka jasną. Rosita wyzywająco uśmiechała się do obiektywu, Anna wydawała się raczej

wycofana.

Po raz kolejny przeczytałam relacje dotyczące morderstwa. Ray zabił sąsiadkę oraz jej córkę jakimś ostrym narzędziem, a potem najwyraźniej usiadł i spokojnie zapalił papierosa. Na ciałach znaleziono popiół, a na ramieniu dziewczynki ślad po zgaszonym niedopałku. Co to wszystko znaczyło? Gwałtowny wybuch wściekłości, po którym nastąpiło spokojne rozkoszowanie się dymkiem. Przywołałam w myślach twarz Raya i usiłowałam sobie wyobrazić, że robi coś takiego. Ten sam Ray, który tak starannie prowadził dziennik akwarium i który przymknął oczy, gdy wspomniałam o jego rybkach. Ray nie mógłby tego zrobić. Po prostu to nie pasowało do całej reszty.

Zaczęłam fantazjować o zdemaskowaniu prawdziwego sprawcy i uwolnieniu Raya z zakładu zamkniętego. Może kiedyś wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie.

# RAY

**K**ontrola narkotykowa o jedenastej – powiedział przy śniadaniu pracownik socjalny w okularach. Wiedziałem już, że ma na imię André.

Rozsmarowywałem miód na kromce pulpowatego chleba z fabryki, tęskniąc za *pain de Boulogne* o chrupkiej skórce, posypanym delikatnymi okruszkami i lekko kwaskowatym. Mógłbym posmarować go tylko świeżym masłem; więcej nie potrzebował.

André westchnął ze złością.

– Możesz na mnie spojrzeć albo przynajmniej dać jakiś znak? Słyszałeś, co właśnie mówiłem?

Uniosłem głowę.

– Tak.

– Co tak?

– Słyszałem.

– Przyjdę do ciebie pięć po jedenastej. Potem zaprowadzę cię do skrzydła medycznego, żebyś oddał próbkę moczu.

Upuściłem nóż. Znowu będę musiał sikać przed tamtą kobietą. Tą kobietą o świdrującym spojrzeniu, która nie miała niczego lepszego do roboty, jak gapić się na mojego penisa. Przez kobiety zawsze jest źle. Straciłem apetyt.

– Denerwujesz się? – zapytał Hank. Zerknął przez ramię, a potem zaczął szeptać: – Wypij dużo wody. Co najmniej trzy litry i twój mocz będzie bezużyteczny, o nic nie będą mogli się przyczepić.

– Co?

– Nie jesteś za bystry, prawda? Pozwól, że ci wytłumaczę. Musisz wypić



dużo wody, żeby rozcieńczyć swoje siki. Wtedy nie zdołają wykryć dragów. Kapujesz?

– Nie biorę dragów.

Zaśmiał się.

– Tutaj każdy bierze dragi. Dzięki temu jakoś dajemy radę przetrwać kolejny dzień.

– O czym tam szepczecie? – zapytał André. – Myślę, że najlepiej będzie, jak podczas posiłków nie będziecie siedzieć obok siebie. Deepak, możesz zamienić się miejscami z Hankiem?

Nie byłem zbyt przywiązany do Hanka. Ale przynajmniej go znałem. Przywykłem do zapachu tytoniu i plam potu pod pachami. Deepak nie był tutaj tak długo jak on.

– Tym złotkom nie wolno ufać – stwierdził kiedyś Hank. – Za dziesięć euro zerzną twoją żonę, a ciebie zastrzelą.

Deepak ciężko usiadł obok mnie.

– Dlaczego mam siedzieć obok tego niedorozwoja? – zapytał głośno. Usłyszałem chichoty.

To był gwałciciel i kiepsko opłacany cyngiel. A jednak śmiał mnie nazywać niedorozwojem. Dlaczego po prostu nie mógł pilnować swoich spraw? Wkurzyłem się. Nie chciałem tutaj być, nie chciałem, żeby jacyś ludzie się do mnie odzywali albo coś o mnie mówili i z pewnością nie chciałem, żeby nazywano mnie niedorozwojem.

– Nie jestem niedorozwojem. – W świetlicy jeszcze nigdy nie odzywałem się tak głośno. W swojej celi czasem tak głośno mówiłem, nawet czasem wrzeszczałem tak jak kiedyś w więzieniu. Ale tutaj, w środku dnia, otoczony przez tych wszystkich krzykaczy, chorych psychicznie skazańców, starałem się trzymać usta na kłódkę tak bardzo, jak tylko potrafiłem.

– No, dalej, mały Raynusię! – zawołał Eddie, gwizdząc przez zęby. – Wydal to z siebie!

Wszyscy się roześmiali. Deepak najgłośniej.

Trząsałem się. Uniosłem nóż leżący przy moim talerzu i zacząłem nim wymachiwać.

André zerwał się z miejsca.

– Dobra, uspokój się. Odłóż nóż i dokończ kanapkę.

– Ta kanapka jest paskudna. – Wymachiwałem nożem, aby podkreślić swoje słowa. – Wy nie macie pojęcia, jak smakuje dobry chleb! Bładego pojęcia. To wy jesteście niedorozwojami! – Poczulem, jak z ust pryska mi ślina. Jej kropelki spadały na ten paskudny chleb, na talerz i na stół.

– Ray, odłóż nóż. Albo za agresywne zachowanie dostaniesz izolatkę – ostrzegł wychowawca.

– No, siadaj – powiedział Rembrandt. Wszyscy odwrócili się w jego stronę. W sali nagle zrobiło się cicho. – Rainman nie chciał niczego złego. Prawda, Rainman? Wszystko w porządku.

Chciałem mu powiedzieć, że nie mam na imię Rainman i że nie wszystko w porządku. Jednak powstrzymywało mnie słowo „izolatka”.

– Rembrandt, ty tutaj nie wydajesz poleceń – stwierdził André.

Ale i tak usiadłem.

– Nie chcę żadnych kłopotów – powiedział André, kiedy szliśmy korytarzami w stronę skrzydła medycznego. Towarzyszył nam strażnik. – Nie bierzesz dragów, prawda?

– Oczywiście, że nie – odparłem.

Przemierzaliśmy dziedziniec ze sklepem, w którym raz w tygodniu pozwalano nam robić zakupy pod nadzorem. Mogliśmy tam nabyć takie rzeczy jak puszkowana fasolka, papierosy i przybory do golenia. Było znacznie drożej niż w zwykłym supermarkecie na zewnątrz. Bardzo na to narzekano. Jeden z osadzonych proponował nawet strajk głodowy, ale nie znalazł poparcia.

Pielęgniarka, która nie nosiła białego fartucha, czekała już na mnie w skrzydle medycznym. Doktor Römerman wyjaśnił mi, dlaczego personel nie nosi kitli: to było celowe, nie chcieli podkreślać różnicy między sobą a nami. Tylko strażnicy mieli mundury. To wprowadzało zamieszanie, bo czasem nie potrafiłem określić, kto tu jest lekarzem, kto wychowawcą, a kto

pielęgniarką. Nauczyłem się, że można ich rozpoznawać po pagerach przypiętych do pasków oraz identyfikatorach zawieszonych na szyi. Kiedy pociągało się za sznurek identyfikatora, wtedy pękał. Słyszałem, że chodzi o to, żebyśmy nie mogli ich nimi zadusić.

– Wiesz, co masz robić – powiedziała pielęgniarka. – Spodnie do kolan, koszula w górę i sikać do pojemnika.

Nie poruszyłem się, tylko wpatrywałem się w pojemnik i lustro obok.

– Osadzony jest dzisiaj trochę spięty – wyjaśnił André. – Podczas śniadania doszło do niewielkiej scysji.

Powoli podszedłem do urynału i stanąłem przed nim.

– Spodnie w dół.

Mozoliłem się z guzikiem dzinsów. Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że miałem problem z jego odpięciem.

– Nie mogę.

– No i znowu – stwierdziła pielęgniarka.

Guzik puścił, rozsunał się zamek rozporka.

– Spodnie w dół.

Na kafelkach było zimno. Pomyślałem o moich rybkach pływających w przefiltrowanej wodzie o neutralnym pH, zawsze utrzymywanej w stałej temperaturze dwudziestu dwóch stopni.

– Hej, nie mam całego dnia!

Ściągnąłem spodnie, a potem majtki. W lustrze widziałem, jak mój penis majta się bezradnie. Złapałem go i podreptałem za André do pojemnika.

– Koszula w górę – rzuciła pielęgniarka.

Puściłem penisa i zadarłem koszulę pod pachy.

– Sikać do pojemnika.

Mój penis nie chciał sikać. Mogłem stwierdzić, że nie zechce. Ale wciąż próbowałem. Z całej siły starałem się, aby poleciały siki.

– Zawsze to samo – marudziła pielęgniarka. – Czy on wypił dzisiaj wystarczająco dużo płynów?

– Tak myślę – powiedział André. – Pięś, Ray?

Z mojego penisa skapnęło kilka kropel. A potem pociekł bardzo wątki strumień.

– Dobra, możesz się ubierać.

Kiedy wciągnąłem majtki i dzinsy, miałem ochotę się rozplakać.

– Saturn, Maria, Hannibal, King Kong – powiedziałem na głos. – Margie i Orzeszek. Wenus i Rodzynek. I François.

– O co mu teraz chodzi? – zapytał strażnik.

Wracając na swój oddział, powtarzałem imiona rybek. Wciąż na nowo.

– Myślę, że będzie najlepiej, jak resztę dnia spędzisz w swoim pokoju – oznajmił André.

Jednak nie dano mi posiedzieć w pokoju. Zamiast mieć resztę dnia na oglądanie zdjęć i układanie ich w odpowiedniej kolejności, musiałem iść do gabinetu terapeuty.

Czekała tam na mnie Jeannie. Nie widziałem jej od kilku dni. Brakowało mi naszych rozmów o zakwasie, który hodowała zgodnie z moimi zaleceniami. Oczywiście, nie miała sprzętu pozwalającego na utrzymywanie zakwasu w stałej temperaturze, jednak wydawało się, że wszystko idzie dobrze.

Lubiłem rozmawiać z Jeannie, dopóki w pobliżu nie było zbyt wielu ludzi. Wydawała mi się kimś, kto zna się na rzeczy. Jednak, z drugiej strony sprawiała też, że się denerwowałem, zwłaszcza po tym, jak Rembrandt powiedział, że powinienem uszczypnąć ją w tyłek, bo właśnie tego chce. Może nawet spodziewa się, że tak zrobię. Zastanawiałem się, czy Rembrandt ma rację.

A jeśli ma, to kiedy będzie ku temu odpowiednia pora?

Kiedyś mnie do siebie wezwała. Stała przy blacie oddziałowej kuchni, robiąc sobie kanapkę, i zawołała mnie przez ramię. Włożyła obcisłe dzinsy. Tyłek miała większy od Rosity, ale może równie ładny.

Podszedłem do niej, nie potrafiąc oderwać oczu od pośladków. Serce biło

mi coraz szybciej. Ledwie mogłem oddychać, taki czułem ciężar w piersiach. To mogła być właśnie ta chwila. Zatrzymałem się zaraz za nią i już miałem wyciągnąć rękę, tak jak mówił mi Rembrandt, kiedy się odwróciła.

– Mógłbyś odkręcić mi słoik? Sama nie dam rady.

– Ray, siadaj. – Głos Jeannie brzmiał inaczej niż wtedy, gdy rozmawiała ze mną o amatorskim wypieku chleba. Nie był przyjazny. Był zimny. Zastanowiłem się dlaczego. Czy zrobiłem coś nie tak? Czy zakwas umarł?

Przy drzwiach stał strażnik. Zwykle zostawałem tylko z terapeutą. Co on tutaj robił? Co się działo?

Jeannie oparła się na stole, złożyła dłonie i wzięła głęboki oddech.

– Kiedy zabrali cię na badanie na obecność narkotyków, przeszukaliśmy twój pokój. To standardowa procedura. Zawsze tak robimy po tym, jak pensjonariusz po raz pierwszy ma jakiegoś gościa.

Gość. To była ta kobieta nazywająca się Iris Kastelein, która powiedziała, że jest moją siostrą. Kobieta, która przyniosła zdjęcia moich rybek. Właściwie to się cieszyłem, że przyszła, ale teraz już nie byłem taki pewien. Przez nią do mojego pokoju ktoś wszedł i dotykał moich rzeczy.

– Kto był w moim pokoju?

– Ja byłem – powiedziała Jeannie. – I jeden ze strażników.

Jeannie w moim pokoju, to jeszcze nie takie złe. Mogłem to znieść. Ładnie pachniała i miała małe dłonie. Ale już strażnik z tymi swoimi dużymi, śmierzącymi łapami, tego nie mogłem zdzierżyć.

– Ku mojej konsternacji znaleźliśmy to. – Uniosła torebkę pełną białego proszku. Kokainę. Wystarczająco dużo razy widziałem ją już w telewizji, widziałem ją także w więzieniu. Tyle że jeszcze nigdy aż tak dużej torebki. Eddie pokazał mi kiedyś swoją działkę. Torebka była taka mała, że mógł ją zwinąć w rulon i schować w nozdrzu. Chociaż myślałem, że coś takiego chyba trochę boli.

– Dobre jest to – opowiadał – że im więcej bierzesz, tym masz większe nozdrza. Przegroda nosowa stopniowo gnije i robi się więcej miejsca do

ukrycia działki. – Zaniósł się śmiechem, aż musiałem zatkać uszy, bo ten jego śmiech doprowadzał mnie do szału.

– Czyje to? – zapytałem. – Nigdy by się nie zmieściło do nosa.

– Nie wszystko naraz, na pewno nie – odpowiedziała Jeannie.

– Skąd to się wzięło w mojej celi?

– Właśnie się ciebie pytam. – Odchyliła się, krzyżując ramiona.

– Nie wiem. To nie moje.

W mojej głowie zaczynała się gonitwa myśli. Starąłem się zastanowić, znaleźć właściwe słowa. Ciągłe nie przychodziły. Powtarzałem więc, raz za razem:

– Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem.

– Nie możemy założyć, że ten narkotyk po prostu sam zawędrował do twojej celi – powiedziała Jeannie. – Ray, naprawdę mnie rozczarowałeś. Więcej się po tobie spodziewałam. – Patrzyła prosto na mnie, nie uśmiechała się. Tymczasem zarówno mój mózg, jak i moje ręce zaczynały już latać na wszystkie strony.

Nie wiedziałem, co robić. Moja matka – ona by wiedziała. Jednak oznajmiła, że nie mogę się już więcej z nią kontaktować.

– Zamierzamy odwołać parę twoich przywilejów na tak długo, aż znowu nie będziemy mogli ci zaufać. Przez najbliższy miesiąc czas wspólny będziesz spędzał w swoim pokoju i nie będziesz już mógł pracować w ogrodzie.

Jej słowa zaczynały z wolna do mnie docierać. Żywopłoty. Nie będę mógł przycinać żywopłotów, Boże! Zawsze to samo! Oskarżają mnie o coś strasznego, a potem zabierają mi jedyne, co kiedykolwiek kochałem. Rositę i Annę. Moje rybki. Piekarnię. Teraz nawet nie mogłem zajmować się żywopłotami.

– Tylko nie żywopłoty – powiedziałem. – Czas wspólny, w porządku, już chyba mniej nie mogłoby mnie to obchodzić. Ale nie żywopłoty! Nie zrobiłem niczego złego! Te narkotyki nie są moje. Przysięgam.

– Narkotyk znaleziono w twoim pokoju, czyli nie ma sensu zaprzeczać. Wiesz, że to będzie tylko świadczyło przeciwko tobie – oznajmiła Jeannie. –

Twoja pierwsza rozmowa kontrolna przypada za osiemnaście miesięcy. Pacjenci, wykazujący oznaki wyzdrowienia, mogą dostać szansę powrotu do społeczeństwa, ale ci, który uporczywie kłamią i odmawiają uczenia się – już nie.

Uczenia się? Tym czego się nauczyłem było, że to bez znaczenia, co powiedziałeś albo co zrobiłeś. Zawsze znajdą sposób, żeby cię dostać. Zawsze. Nie chciałem tu trafić.

– Nie schowałem w pokoju żadnych narkotyków. Ktoś inny to zrobił. Kiedy kazali mi sikać do kubka przed tą kobietą, która nie nosi białego fartucha, a ja nie chciałem tego zrobić. To ktoś inny je schował. To nie byłem ja.

– Przykro mi – powiedziała Jeannie. – Chciałabym, żeby to się nie wydarzyło.

Ja jej dałem przepis na La Souche, a ona mi zabierała żywopłoty. Ogarnęła mnie wściekłość. Naprawdę, wielka wściekłość.

– Tylko nie praca w ogrodzie! – zawołałem, głos mi się łamał. – Czy wy nie widzicie, że zabieracie mi wszystko?

– Ray, uspokój się – powiedziała, ale to tylko bardziej mnie rozeźliło. Chciałem złapać Jeannie i potrząsnąć nią, jak robiła ze mną matka, gdy jeszcze byłem małym chłopcem i nie chciałem jej słuchać.

– Tylko nie praca w ogrodzie! – Teraz już wrzeszczałem. Nawet nie tyle na Jeannie i strażnika, co na cały świat. Na posąg z przepaską biodrową, stojący na dziedzińcu, albo na moją matkę, albo na Iris Kastelein, która powiedziała, że jest moją siostrą. Niech mi ktoś pomoże! Ktokolwiek!

– Nie ogród!

– Wystarczy – oznajmiła Jeannie. – Już skończyliśmy. Wracaj do swojej celi.

Jeżeli wróciłbym do celi, to wszystko by przepadło. Strażnik położył mi dłoń na ramieniu.

– Wstawaj.

Musiałem coś powiedzieć. Musiałem wyjaśnić, ale oni nie słuchali. Nikt nie słuchał. Mój wzrok przykuła taka mizerna roślina w doniczce stojąca na

biurku. Jedną z rzeczy, którymi zajmowałem się w więziennym warsztacie, było przyklejanie na roślinach nalepek z nazwami oraz instrukcjami dla hodowców. Na blacie stała dracena, potrzebująca dużo światła. Czytałem tę naklejkę co najmniej sześćset razy.

Złapałem doniczkę i cisnąłem nią o ścianę. Zielen przemknęła tuż obok głowy Jeannie. We wszystkie strony poleciały odłamki, jeden uderzył mnie w czoło, a ziemia zostawiła ciemną plamę na ścianie.

Jeannie rzuciła się w bok, chociaż doniczka i tak minęłaby jej głowę, a poza tym, przecież nie chciałem jej uderzyć.

Strażnik wykręcił mi ręce i zakął w kajdanki. Zacząłem wrzeszczeć. Jak zwierzę. Może i byłem zwierzęciem i właśnie dlatego ciągle mi coś zabierano. Ale przecież moje rybki też były zwierzętami, a miały wszystko, czego potrzebowały.

Drzwi się otworzyły i mały pokój nagle zaroił się od strażników. Nie pamiętam, żebym sam poruszał nogami. Wywlekli mnie z oddziału, prowadzili korytarzami, przez dziedzińce i przez jakieś inne drzwi. Wrzeszczałem, próbowałem się wyrwać. Chciałem się stąd wydostać. Nie pasowałem tutaj. Nie zrobiłem niczego złego.

Dotarliśmy do celi, w której stało tylko łóżko zasłane papierem. Izolatka. To była izolatka.

– Puście! Puście mnie! – wrzeszczałem. Nikt mnie nie słuchał. Otaczało mnie co najmniej pięciu ludzi, a jednak nikt mnie nie słuchał. – Nie zrobiłem niczego złego!

Rzucili mnie brzuchem na łóżko. Ściągnęli mi spodnie. Opierałem się, jak tylko mogłem, ale ich było zbyt wielu.

– Damy ci zastrzyk – oznajmiła pielęgniarzka bez białego fartucha. Poczulem gwałtowne dźgnięcie w pośladek, potem od razu mnie zamroczyło. Rozebrali mnie spokojnie i starannie.

Co sprawiło, że pomyślałem o Rosicie.



# IRIS

**B**ylaam umówiona na spotkanie z Rence'emm, od jedenastej do jedenastej trzydzieści. Domyślałam się, o co chodzi. Postanowiłam zachować spokój. Nie będę się spierać, łaskawie przyznam, że rozmawiając z van Benschopem, straciłam nad sobą panowanie, obiecuję również, że to się nie powtórzy. Rence potrafił być nieracjonalny, czasem nawet drażniący, ale zwykle szybko mu przechodziło. Miałem nadzieję, że i tym razem tak się stanie...

Wchodząc do gabinetu Rence'a, zauważyłem Marthę Peters, stojącą przy oknie. Niedbale skinęła głową. Przez pierwsze miesiące pracy w Bartels & Peters usiłowałam jakoś się z nią zaprzyjaźnić. W kancelarii pracowało dziewięć osób, a Martha była jedyną kobietą, oprócz recepcjonistki, więc uznałam, że mogłybyśmy lepiej się poznać.

Kiedy dostałam tam posadę, zaproponowałam wspólne wyjście na lunch, jednak Martha odpowiedziała tylko skrzywieniem ust, jak gdyby jakaś natrętna mucha przeleciała jej koło głowy. Skłamałabym, twierdząc, że mnie to nie dotknęło. Poczulaam się urażona, zastanawiałam się, co zrobiłam nie tak. Jednak w końcu mnie olśniło. Tak jak w niektórych podstawówkach zdarzają się nauczyciele potrafiący sprawić, że każde dziecko czuje się jak jego ulubieniec, Martha Peters miała wątpliwy dar sprawiania, iż każdy, niezależnie co robił, miał wrażenie, że robi to źle.

– Sprowadziłem tutaj Marthę – powiedział Rence. – Myślę, że to ważne, aby i ona posłuchała, co stało się wczoraj.

Zastanawiałam się, co oznacza jej obecność. Przełknęłam ślinę.

– Dobrze. Nie zamierzam za nic przeproszać, jednak rozumiem, że wczoraj

byłam trochę obcesowa.

Rence siedział za swoim imponującym biurkiem. Krzesło miał o kilka centymetrów wyższe od krzesła naprzeciwko siebie, przez co zawsze górował nad rozmówcą.

– „Obcesowa” to za mało powiedziane. Stwierdziłbym raczej, że „agresywna”.

– Lawrence... – wtrąciła Martha podirytowanym tonem, jednak nie zakładałam, że przychodzi mi z odsieczą.

– Twoje zachowanie było całkowicie nie do zaakceptowania – kontynuował Rence. – Ponad wszelką miarę. Gdyby van Benschopowie nie byli starym klientami naszej kancelarii, nazwałbym je katastrofalnym.

Czekałam na oficjalną naganę.

Rence ponownie rozsiadł się na swoim krześle, ręce wyciągnął przed siebie na blacie biurka.

– Zastanawiam się, czy jesteś w stanie w wystarczającym stopniu oddzielać życie prywatne od zawodowego.

Poczułam, jak bulgocze we mnie frustracja. Mój głos zabrzmiał znacznie bardziej piskliwie, niżbym chciała.

– To nie jest tak, że mi się podoba to, że w związku z synem jestem odrywana od pracy. Jeśli ma pan problem z tym, że...

– Nie mówię tego ze względu na siebie. – Przerwał mi. – Mówię to ze względu na ciebie. Wciąż jesteś młoda, świat powinien stać przed tobą otworem. A zamiast tego coraz gorzej sobie radzisz. Wiesz, że masz wielkie sińce pod oczami?

– Co pan usiłuje mi powiedzieć? Że mam wpisać w koszty swój Touche Éclat?

– Jakie Touche?

– Touche Éclat – odezwała się Martha spod okna. – Od Yves Saint Laurenta.

– To znaczy?

– Nieważne – powiedziałam.

– Korektor kosmetyczny – wyjaśniła Martha. – Na sińce pod oczami.

Możesz wypróbować.

Rence posłał jej zirytowane spojrzenie i odwrócił się z powrotem do mnie.

– Zastanawiam się nad udzieleniem ci oficjalnej nagany.

Padły więc słowa, których się obawiałam.

– Po prostu... pan się zastanawia?

– I to właśnie mi się w niej podoba – odezwał się Rence do Marthy, tak jak gdyby mnie tutaj nie było. – Jest ostra jak brzytwa. Przypomina mi ciebie z czasów, kiedy byliśmy młodzi.

Mogłam się mylić, ale odniosłam wrażenie, że na twarzy Marthy pojawił się wyraz damskiej solidarności.

– Iris, tak czy siak. Dobrze usłyszałaś. Powiedziałem „zastanawiam się”, a teraz od ciebie już zależy, czy to zastanawianie się pójdzie w odpowiednim kierunku.

Przytaknęłam. Czyli jeszcze mnie nie wylano z pracy.

– A skoro już mam tutaj was obie, to może porozmawiamy o tej apelacji?

– Osadzony przebywa w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym – oznajmiła Martha.

– To interesująca sprawa – powiedziałam, zadowolona ze zmiany tematu, ale jeszcze nie gotowa, aby ujawnić swoje powiązania z tą sprawą. – Facet został skazany za zamordowanie sąsiadki i jej małej córeczki. Miał problem z prawidłowym rozwojem, dlatego wysłano go do zakładu psychiatrycznego. Jednak przysięga, że jest niewinny.

– Od kiedy dowody DNA zaczęły obalać kolejne wyroki skazujące, doszliśmy do tego, że obecnie zakładamy, iż każdy przebywający w więzieniu może być niewinny – oznajmił Rence. – Czyli możemy policzyć za więcej godzin.

– Właśnie – powiedziałam, chociaż wcale nie o to mi chodziło.

– Doskonałe, moja droga. Dostarczenie kancelarii nowego zlecenia to świetna robota i jedna z przyczyn tego, że nie otrzymałaś jeszcze oficjalnej nagany. Jak daleko posunęłaś się w tej sprawie?

– Niezbyt daleko. Nie mam jeszcze oficjalnych akt sądowych, ale mam wszystkie wycinki prasowe.

– Nie daj się mediom zbić z tropu – odezwała się Martha, która ponownie odwróciła się do nas plecami.

– Nie daję.

– Dlaczego jeszcze nie uzyskałaś dostępu do akt sądowych? A czy izba apelacyjna dała już to na wokandę? – zapytał Rence.

– Jeszcze nie. Ale to kwestia dni.

– Bądź na bieżąco. Rób to, co musisz zrobić. Pamiętaj, jak dobry prawnik już w czymś zatopi zęby, to nie puszcza.

Przytaknęłam jak grzeczna dziewczynka.

Zadzwoiłam do Instytutu Hoppera i poprosiłam o rozmowę z Mo, żeby umówić kolejną wizytę. Jednak Mo oznajmił, że Ray teraz siedzi w izolatce i nie może przyjmować gości.

– Za co? – zapytałam.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Po twojej wizycie w jego pokoju znaleziono narkotyki.

– Co takiego?

– Nawet nie wyobrażasz sobie, jaki odchodzi tutaj handel narkotykami. Właśnie dlatego mamy taką zasadę, że zawsze przeszukujemy kwatery naszych pensjonariuszy po pierwszej wizycie kogoś z zewnątrz.

– Ja z pewnością nie przeschmuglowałam żadnych narkotyków – oznajmiłam.

– Chcę ci wierzyć, a tak szczerze mówiąc, tak naprawdę nie trzyma się to kupy. Widzisz, Ray był czysty, miał negatywny wynik testu na narkotyki. Większość biorących narkotyki nie ma aż takiej cierpliwości, żeby czekać, aż zrobi im się testy. Zwykle palą albo wciągają towar, kiedy tylko dostaną go w ręce. A Ray nigdy nie dał mi żadnych powodów, żebym podejrzewał go o zażywanie.

– A ja mogę zapewnić, że na sto procent te prochy nie są ode mnie – powtórzyłam rozgorączkiona.

– W związku z ilością kokainy znalezionej w celi uznano, że Ray był

dilerem.

– Nikt w to przecież nie uwierzy, wystarczy tylko spojrzeć na tego faceta.

– Nie wygląda na kogoś takiego. Ale nie daj się ogłupić. Nie można kogoś oceniać po tym, jak wygląda. Zaczęliśmy dochodzenie, jednak niezależnie od jego rezultatów istnieje możliwość, że trafisz na czarną listę.

– Ale to jakiś absurd! Nie mam z tym nic wspólnego.

– Myślę, że możesz wysłać pismo do administracji.

– Czy jeśli zostanę jego prawnikiem, to coś zmieni?

– Jako jego prawnik będziesz mogła odwiedzać go tak często, jak tylko zechcesz, tylko musisz wypełnić podanie o reprezentowanie go. Jeżeli chcesz, mogę wysłać ci formularz.

– Tak, proszę. Wierzysz mi, prawda? Że nie przyniosłam tych narkotyków?

Cisza.

– Wierzę – powiedział w końcu. – Poza tym problemy z narkotykami były, zanim pojawił się Ray. Mam wrażenie, że ktoś tutaj działa od wewnątrz.

– Cieszę się, że mi wierzysz.

– Proszę wypełnić formularz i mi go odesłać. Dam znać, gdy zostanie udzielona zgoda. Wszystko zwykle zajmuje tak ze trzy dni. Może spotkamy się, kiedy zjawisz się następnym razem? Mogę trochę opowiedzieć o pobycie Raya tutaj.

– Byłabym wdzięczna.

# RAY

**K**ilka dni po tym, jak pociąłem opony ojca Anny, u moich drzwi stanęła Rosita. Widziałem, jak podchodzi, ale szybko schowałem się za podwójnymi plisami swoich zasłon. Moja matka uważała, że plisy wyglądają „bardziej bogato”.

– Wiem, że jesteś! – zawołała przez szczelinę do wrzucania listów, po tym jak trzykrotnie wcisnęła dzwonek. – Otwórz, chcę z tobą porozmawiać.

Nastała chwila ciszy. Potem zawołała:

– Nie jestem na ciebie zła! Przysięgam!

Kolejna chwila ciszy. Wreszcie oznajmiła:

– Nie pójdę, dopóki nie otworzysz drzwi, słyszysz?

Wstałem i wyszedłem do przedpokoju. Na zewnątrz było zbyt zimno, żeby pozwolić Rosicie tak stać aż do wczesnego ranka, kiedy wyjdę do pracy.

Miała na sobie krótką spódniczkę i takie buty, jakie wkłada się do jazdy na motorze.

– Będziesz jeździła na motorze? – zapytałem.

Wybuchnęła śmiechem.

– Oczywiście, że nie, głuptasie. To taka moda.

Przebaczyłem jej to, że nazwała mnie głuptasem, bo tak bardzo ucieszyłem się, widząc, że się do mnie uśmiecha.

– Mogę wejść? – spytała.

– Gdzie jest Anna?

– Mój ojczym zabrał ją do sklepu z zabawkami. Mogę wejść?

– Och, sądzę, że tak. – Szybko ruszyłem przed nią, aby wygładzić sofę.

– Rety, ale masz tutaj czysto! Dlaczego zawsze spotykamy się u mnie? Tu jest znacznie przyjemniej. Masz nawet świece na stole! Ale widzę, że nigdy ich nie zapalasz. Po co je masz?

– Moja matka uważa, że tak jest przytulniej.

– Przytulniej jest, jak się je zapala. Zasuń te kotary i zrób tak, żeby było trochę ciemniej. Masz jakieś zapalki?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, już wyjęła własną zapalniczkę.

– No, dalej, zasuń je.

Kiedy zasunąłem zasłony, pasujące kolorem do sofy i także wybrane przez matkę, Rosita zapaliła świece. Potem usiadła.

– Ray, widzisz, jak teraz jest miło? – W blasku świec jej twarz wydawała się ładniejsza niż zwykle. – Usiądź obok mnie.

Zrobiłem, co kazała. Jak mógłbym inaczej?

Westchnęła.

– Ray, to, co zrobiłeś z jaguarem Victora, było naprawdę bardzo złe.

Milczałem.

– Bardzo złe, ale też bardzo słodkie. – Roześmiała się. – I zabawne.

Śmiałem się razem z nią. Nie dało się inaczej.

Chwyliła i ścisnęła moją rękę. Miała ciepłą dłoń. To była taka ciepła, miękka dłoń. Penis natychmiast drgnął. Nie potrafiłem tego opanować. Chciałem, aby go dotknęła tą swoją miękką, ciepłą dłonią. Ale jednocześnie bałem się.

– Chociaż tak naprawdę, to chciałabym, żebyś wiedział, że żałuję tego, co powiedziałam o... no, sam pamiętasz. Nie chciałam się z ciebie naśmiewać ani nazywać cię idiotą. Wiesz o tym, prawda?

Mój penis sterczał już pionowo. Nie chciałem, żeby znowu się ze mnie śmiała. Założyłem nogę na nogę.

– Dlaczego tak się wierzisz? O Boże, tylko mi nie mów, że... – Wstała i ciasno obciągnęła spódniczkę. – Twoja matka ładnie tu wszystko urządziła, ale nie powiedziała ci, kim jest twój ociec?

Zawsze się martwiłem, gdy zaczynała mówić o mojej matce. Próbowałem wymyślić jakiś sposób na zmianę tematu.

– Wychodzi na to, że z tej twojej nienaganej matki też była niegrzeczna dziewczynka. Wiedziałaś, że twój ojciec jest żonatym mężczyzną? I to żonatym z kimś innym niż twoja matka? Podejrzewam, że jego biedna żona nie byłaby szczęśliwa, dowiedziawszy się o tym? – zaczęła się śmiać.

Odchrząknąłem.

– Chodźmy jutro kupić rybkę dla Anny.

Rosita cmoknęła mnie w policzek.

– Nie chcesz o tym rozmawiać? Dobrze. – Zdmuchnęła świece. – W każdym razie to, o czym chciałam ci powiedzieć, to było to, że Victor nie zgłosi na policję tego, co zrobiłeś z jego autem. Bo widzisz, nie będzie mógł wyjaśnić, dlaczego jego wóz w ogóle stał przy tej ulicy.

Zachichotała i pospiesznie wyszła z salonu, kołysząc biodrami, a mnie zostawiając, siedzącego na sofie. Usłyszałem, jak zatrzasną się drzwi, i patrzyłem na dym spiralnie unoszący się znad zdmuchniętych świec.

Kiedy nazajutrz wróciłem z piekarni, Rosita i Anna już na mnie czekały. Obie wyglądały bardzo elegancko. Rosita miała na sobie sukienkę i granatowy płaszcz, który ostatnio wspólnie kupiliśmy.

– Czuję się jak księżniczka – powiedziała, kiedy go przymierzała. Zapłaciłem za niego, chociaż oszczędności miałem już prawie na wyczerpaniu.

– Ray! – Anna podbiegła i wyciągnęła ku mnie ręce.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy naprawdę chodzi jej o mnie. Zatrzymała się tuż przede mną, nadal z wyciągniętymi ramionami.

– Cześć – powiedziałem. – Jak się masz?

Podąłem jej papierową torebkę z magdalenką. Ale zamiast ją rozrywać, po prostu nadal stała, wpatrując się we mnie.

– Podnieś ją – wyjaśniła Rosita. – Nie widzisz, że właśnie tego chce?

Pochyliłem się i umieściłem dłonie pod jej pachami. Ostrożnie ją podniosłem. Coś takiego robiłem w ogóle po raz pierwszy. Anna zarzuciła na mnie ramiona i pocałowała w policzek. To było miłe, ale też niezręczne.



– Rumienisz się – zauważyła Rosita. – Jakie to słodkie.

Cała nasza trójka poszła na przystanek autobusowy. Anna ciągle mówiła o rybce, którą miałem jej kupić.

– Wiesz już, jaką chcesz? – zapytałem. – Błazenka, ślizgę, pomakantę, garra rufa..?

– Chcę niebieską – powiedziała.

Wróciliśmy do domu ze wspaniałą pomakantą. Van de Akker właśnie miał nową dostawę z Karaibów. To był pierwszorzędny egzemplarz. Anna nazwała go King Kong.

Wspólnie zapisaliśmy ten zakup w dzienniku. Trzymałem jej dłoń w swojej i pomagałem stawiać litery. Słowa „King Kong” rozciągnęły się na co najmniej cztery linijki. Ale mi to nie przeszkadzało.

Już w drzwiach Rosita powiedziała:

– Jest prawie tak, jakbyśmy byli rodziną. Ty, ja i Anna.

Wpatrywałem się w podłogę.

– Dziękuję za wszystko, co dla nas robisz. Jesteś naprawdę bardzo kochany.

Chwyciła mnie za podbródek, uniosła mi głowę i pocałowała w usta. Wargi miała miękkie i lepkie od czerwonej szminki. Co to oznaczało? Czy pocałunek oznaczał, że mnie kocha? Czy chciała za mnie wyjść? A może to jest normalne, że całuje się kogoś, o kim myśli się, że jest bardzo kochany? A co z ojcem Anny? I czy to było właściwe, całować na oczach Anny?

Oderwała ode mnie usta i spojrzała z uśmiechem. Ledwie ważyłem się odwzajemnić spojrzenie.

– Ray, do zobaczenia jutro.

Rosita i Anna ruszyły ścieżką prowadzącą od drzwi mojego domu, skrzyły w prawo, przeszły dziesięć kroków i skrzyły na własną ścieżkę. Machałem im, nawet kiedy już przeszły przez drzwi wejściowe, znikając wewnątrz. Rodzina. Sama to powiedziała. Byliśmy prawie jak rodzina, cała nasza trojka. Myślę, że tamtego wieczoru czułem się szczęśliwy.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że leżę w pojedynczej celi. Pachniało środkami dezynfekującymi. Nie był to jakiś nieprzyjemny zapach. Przypominał środki czyszczące, których używaliśmy w piekarni.

Miałem na sobie nieznajomy ubiór, z czegoś pomiędzy papierem a kartonem. Zatrząsałem się. Było mi zimno. Nie dlatego że w celi panował chłód. Czuję się wychłodzony od wewnątrz.

Tutaj nie było nic do robienia i nic, na co można by było popatrzeć. Tylko tablica i kawałek kredy. Podniosłem kredę, zacząłem pisać. „Droga Matko”. Wytarłem. „Słodka Rosito”. Wytarłem. „Droga Iris”.

Nigdy wcześniej nie miałem siostry, ale zakładałem, że rodzeństwo dzieli się ze sobą tajemnicami. Przecież powiedziała, że mi pomoże. Pisałem i pisałem, aż w końcu zapełniłem całą tablicę. Następnie wszystko starłem i zacząłem od nowa. Pisałem i wycierałem, aż wreszcie powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia. Nawet rzeczy, których nie wolno było nigdy powiedzieć.

# IRIS

Zauważyła mnie, kiedy tylko przeszła przez przesuwne drzwi do hali przylotów. Nie wiem, czy była zaskoczona, jeśli tak, nie dała po sobie poznać. Nasze spojrzenia spotkały się spokojnie. Z matką stała jedna z jej koleżanek od brydża, Lina, która dzieliła z nią zamiłowanie do spa. Przyjaźniły się od lat.

Kiedy Lina mnie zauważyła, szturchnęła matkę łokciem i zaczęła entuzjastycznie machać.

– Czy to nie miłe? Agatha, ale ty masz szczęście! Ja bym musiała mojej Carli zapłacić jakąś naprawdę dużą łapówkę, żeby wyszła po mnie na lotnisko!

Lina objęła mnie i dała soczystego buziaka w policzek.

– Cześć kochanie! Jak to miło znowu cię widzieć! Gdzie jest ten twój mały, kochany chłopczyk?

– W przedszkolu.

– Chodź, Agatha, uściskaj córkę!

Matka trzykrotnie cmoknęła powietrze obok moich policzków.

– Co za niespodzianka, prawda mamó? – powiedziałam z rozmysłem.

Rzuciła mi krzywe spojrzenie.

– Chodźmy do auta, zawiozę cię do domu.

– Cudownie – powiedziała Lina. – Ostatnio taksówkarze ledwie mówią po holendersku. Nie wspominając już o znajomości trasy. To miłe, prawda kochana? – Znowu szturchnęła matkę pod żebro. – Nawet nie wiesz, jaką jesteś szczęściarą, mając tak troskliwą córkę.

– Z pewnością – sarkastycznie stwierdziła matka.

Gdy już Lina wylewnie się ze mną pożegnała, każąc mi obiecać, że przyjdę z Aaronem, matka zapytała:

– Iris, i co to wszystko miało znaczyć?

Ponownie uruchomiłam samochód.

– Mamo, podobało ci się na wakacjach? – zapytałam słodkim tonem.

– Oczywiście, że nie. Jak się mogłam zrelaksować, skoro ty tak węszyłaś?

– Tak naprawdę to ja się zastanawiam, jak ty mogłaś się relaksować, wiedząc, że twój syn siedzi w zakładzie dla psychicznie chorych kryminalistów.

– Czyli wiesz.

– Wcale nie było trudno się dowiedzieć.

Matka wyjrzała przez szybę. Nie musiałam widzieć jej twarzy, aby wiedzieć, że aż pieni się z wściekłości.

– Naprawdę myślałaś, że wiecznie będziesz utrzymywać w tajemnicy fakt, że masz syna?

– Dopóki nie zaczęłaś wtykać nosa w moje sprawy, wychodziło mi to całkiem nieźle.

– Dlaczego akurat ty, ze wszystkich ludzi na świecie? Zawsze tak trulaś i trulaś o odpowiedzialności.

– Iris, nie muszę ci się z niczego tłumaczyć. Nie masz pojęcia, jak było. Przez co musiałam przejść.

Zaparkowałam pod jej domem i wyłączyłam silnik.

– Mogę pomóc ci z walizkami?

– Dam sobie radę – odparła lodowatym tonem. Wysiadła, poszarpała się z bagażnikiem, a potem z pewnym wysiłkiem wyciągnęła z niego walizę.

Poszłam za nią do drzwi wejściowych.

Otworzyła wszystkie trzy zamki i weszła. Walizka zachybotła się niebezpiecznie, kiedy przeciągała ją przez próg.

– Zaprosiłam cię do środka?

– Mamo, ja nie potrzebuję zaproszenia. Jestem twoją córką i nie wywiniesz się od tej rozmowy.

Westchnęła. Na zewnątrz była jak zwykle chłodna i opanowana.

– Nie bez powodu postanowiłam nikomu o tym nie mówić. Przykro mi, że dowiedziałas się o Rayu, ale wolałabym, żebyś już dała temu spokój.

– Dlaczego? O najgorszym już wiem, więc co tu jest jeszcze do ukrycia?

– Po prostu daj mi spokój. I daj też spokój Rayowi.

Weszła do bawialni, ściągnęła pokrowiec z sofy. Potem zaczęła go składać w możliwie jak najstaranniejszy sposób.

– Nie dam. Wręcz przeciwnie, zamierzam przyjrzeć się tej sprawie, aby zobaczyć, czy są jakieś podstawy do wniesienia apelacji.

– Co?! – Matka spojrzała na mnie z odrazą.

– Ray prosił mnie, żeby mu pomóc. A skoro jest moim bratem, zamierzam to zrobić. Już wystarczająco złe jest to, że tyle lat umywałaś od niego ręce. Teraz przynajmniej jednego członka rodziny interesuje to, co się z nim dzieje. Poza tym, jako jego prawnik, mogę odwiedzać go tak często, jak chcę. A mamy całkiem sporo do nadrobienia, nieprawdaż?

– Nie wiem, co ty sobie myślisz, robiąc to, ale pozwól, że powiem ci o jednym. Ray wcale nie jest milutkim, kochanym braciszkiem z twoich marzeń. To znaczy... zakładałam, że wiesz dlaczego siedzi w więzieniu?

– Pozostaje sprawdzić, czy jest winny.

– Iris, ty go nie znasz. Ray może wydawać się bardzo miły i słodki, ale jest niebezpieczny. Jako dziecko było zupełnie nieracjonalny.

– Czy tak było przed, czy po tym, jak oddałaś go do zakładu?

– Nie zapominaj, że kiedy go urodziłam, byłam bardzo młoda. On był po prostu nie do wytrzymania. Myślisz, że Aaron to trudne dziecko? Powinnaś zobaczyć Raya. W ogóle nie mogłam sobie z nim poradzić.

Trudno było mi uwierzyć w to, że moja matka nie mogła sobie z czymś poradzić. Jednak współczułam jej, że było aż tak źle, iż musiała oddać własne dziecko. Spojrzałam na jej twarz. Na ostre linie wokół ust. Dlaczego nie potrafiła okazywać mi emocji?

– Jednak i tak powinnaś mi powiedzieć. Czy ja nie miałam prawa wiedzieć o tym, że mam starszego brata?

– Zabawne... Zawsze chodzi tylko o ciebie. Myślisz, że mnie nie bolało,

że musiałam oddać syna? Bo ja kocham Raya. Zawsze go kochałam i zawsze będę go kochać. To, że musiałam się z nim rozstać, słyszysz Iris, musiałam, było dla mnie bardzo bolesne. A jednak nie, zamiast próbować zrozumieć moje uczucia, natychmiast odnosisz to do siebie. Zachowujesz się tak, jak gdybym zrobiła ci coś strasznego.

– Nie możesz po prostu powiedzieć mi trochę więcej? Może potem zdołam zrozumieć, skąd to się wzięło?

– To jest rozdział mojego życia, który postanowiłam zamknąć, a czego ty po prostu nie potrafisz uszanować. – Odwróciła się i nie oglądając się za siebie, potoczyła walizkę do sypialni.

Nie miałam zamiaru dawać za wygraną, więc za nią poszłam.

– Czy kiedykolwiek odwiedzałaś Raya? W więzieniu albo w zakładzie?

– Tak, przyszłam do więzienia – powiedziała sztywno. Walizka leżała otwarta na łóżku. Ubrania, w jaskrawych barwach, preferowanych przez kobiety po sześćdziesiątce, leżały w schludnie poukładanych stosach. Z boku dostrzegłam stanik w cielistych barwach oraz majtki ściągane sznurkiem. Najwyraźniej wszystko uprała jeszcze w hotelu. To mnie nie zaskoczyło.

Matka musiała zauważyć moje spojrzenie. Chwyliła bieliznę, raptownie jak kot, i wepchnęła do szuflady.

– Nadal go odwiedzasz? On jest strasznie samotny, wiesz o tym?

Moja matka podeszła do komody z naręczem podkoszulków. Odwrócona plecami do mnie, powiedziała:

– Pozwól, że odświeżę ci pamięć. On kogoś zamordował... Co ja mówię... On zamordował dwie osoby, matkę i dziecko. Nie musisz go żałować.

Zwróciła się z powrotem w stronę łóżka, pogmerała w walizce, wyciągając z jej dna opakowany w papier upominek, i rzuciła go w moim kierunku. Wylądował w nogach łóżka.

– Proszę, mam coś dla ciebie.

Bez wątpienia to była butelka jakiegoś alkoholu. Zerwałam cienki papier i przeczytałam etykietę nieznanego, słoweńskiego trunku.

– No, dziękuję.

– Powiedzieli mi, że to miejscowa specjalność. Mam też coś dla Aarona,

ale raczej dam mu to osobiście. Jeżeli wciąż będzie mógł tutaj przychodzić, teraz, kiedy już wiesz, jaką jestem straszliwą kreaturą.

– Jeśli chcesz, możesz sobie Aaronem kompensować Raya do woli. Nie wydaje się, by miał cokolwiek przeciwko.

– Ani tak naprawdę ty.

– Masz rację.

Obie umilkłyśmy.

– Istnieje możliwość, że twój syn, krew z twej krwi i kość z twojej kości, znalazł się w zakładzie zamkniętym, bo niesłusznie go skazano. Czy to ciebie nie martwi?

Pokręciła głową.

– Nie znasz Raya. Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

– Może to, że go nie znam, oznacza, że jestem bardziej obiektywna. – Jasne, że to nie była prawda. Chciałam wierzyć w niewinność Raya tak żarliwie, jak moja matka chciała wierzyć, że był winny.

– Iris, nie masz pojęcia. Nie masz pojęcia.

– I tak chciałabym się dowiedzieć.

Matka weszła do łazienki, aby wrzucić do pralki tych kilka brudnych rzeczy, które wciąż jeszcze leżały w koszyku. Potem oznajmiła:

– Proszę, zostaw go w spokoju. Po prostu trzymaj się z dala od tego. I od mojej przeszłości.

# RAY

**C**zy ktoś tam jest? – Załomotałem w drzwi celi. – Halo?

Bez odpowiedzi.

Rozejrzałem się wokół, mając nadzieję, że znajdę jakąś drogę na zewnątrz. Ujrzałem tylko cztery białe ściany oraz niewielkie, zakratowane okno, wychodzące na spłachetek zieleni. Cella miała jeszcze drzwi z dwoma małymi okienkami, teraz zamkniętymi. Ponownie załomotałem do drzwi. Nic.

Zastanowiłem się, co się stanie, jeżeli zużyję całe powietrze, jakie jest w tym ciasnym pomieszczeniu. Zresztą to już się działo, wraz z każdym oddechem czułem, że płuca dostają coraz mniej tlenu, a oddychanie staje się coraz trudniejsze. Wiedziałem, że na koniec się uduszę.

Kiedyś w akwarium przestała działać pompa powietrza. Odkryłem to o trzeciej nad ranem, gdy wybierałem się do pracy. O tej porze zawsze sprawdzałem akwarium i zapisywałem dane ze wskaźników.

Najpierw moją uwagę zwróciła cisza. Woda nie bulgotała i nie słyszałem monotonnego buczenia pompy. Zerknąłem do akwarium, na rybki. Nie śmigaly między anemonami i nie ocierały się o koral. Tak właśnie było, kiedy je zobaczyłem. Unosiły się pod powierzchnią. Pyszczki miały szeroko otwarte.

Musiałem ratować rybki. Co warte byłoby moje życie, gdyby umarły? Na szczęście obok leżała jeszcze stara pompa, którą mogłem awaryjnie podłączyć. Przypomniałem sobie, jak mówiłem „wytrzymajcie jeszcze trochę”, chociaż rybki nie mogły mnie usłyszeć, jedyne, co mogły, to najwyżej wyczuć jakąś wibrację. A może mówiłem bardziej do siebie niż do



rybek? „Wytrzymajcie jeszcze trochę”. Zainstalowałem starą pompę i wkrótce woda zaczęła znowu bulgotać, a rybki zajęły się swoimi sprawami, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Moim rybkom nigdy niczego nie brakowało. Dbałem o to.

W pojedynczej celi nie było zapasowej pompy ani drogi ucieczki. Niczego.

– Jest tam kto?! – zawołałem ponownie. – Proszę, jest tam ktoś? Muszę wyjść! Duszę się!

Usłyszałem kroki na korytarzu. Odsunęła się mała klapka wizjera i ujrzałem nieznaną twarz.

– Wszystko w porządku?

– Nie – wydyszałem. – Nie mogę oddychać, ja... – Złapałem się za gardło. – Proszę, otwórzcie drzwi. Tlen prawie się skończył.

– Niemożliwe – powiedziała twarz. – Popatrz na sufit. Widzisz te białe wentylatory? Tamtędy wchodzi świeże powietrze. Czyli nie możesz się udusić.

– Nie działa – odparłem. – Czuję, że to nie działa. Duszę się. Chcecie, żebym umarł.

– Masz atak paniki – wyjaśniła twarz. – Spróbuj robić wdechy i wydechy. Jeśli nie poczujesz się lepiej, poproszę doktora, żeby dał ci coś na uspokojenie, w porządku?

– Podrzucili mi narkotyki do pokoju, żeby mnie tutaj zamknąć. A teraz chcecie, żebym umarł. To pułapka. Zwabiono mnie w pułapkę.

– Uspokój się. Pamiętaj, co mówiłem. Spójrz na otwory wentylacyjne w suficie.

– To nie działa. Nic nie działa.

– Chcesz, żebym zostawił otwartą klapkę? Będziesz mógł oddychać przez ten otwór i poczujesz się wtedy lepiej.

Twarz ponownie zniknęła, a ja stanąłem na palcach, żeby moje usta mogły dosięgnąć klapki. Byłem jak François, Maria, Hannibal, Orzeszek, Rodzynek, King Kong i pozostali. Wysysałem tę odrobinę tlenu szeroko otwartymi ustami, czekając na zapasową pompę.

Po kilku godzinach miałem już skurcze nóg i zeszywniałą szyję. Usiadłem

na podłodze. Już się nie przejmowałem umieraniem. Wydawało się nie najgorszą możliwością.

Przynieśli mi jedzenie. Odsunęła się większa klapka i na tacy, razem z plastikowymi sztućcami oraz kubkiem wody wjechał plastikowy talerz spaghetti.

Zerwałem się na nogi.

– Hej! – wrzasnąłem. – Hej, jest tam kto?

Nikt nie odpowiedział. Klapka się zatrzasnęła.

Opadłem na podłogę, trzymając talerz spaghetti. Sos pomidorowy ochlapał moje białe spodnie. Zostawił paskudną, czerwoną plamę. Czerwień na bieli.

Dokładnie jak u Rosity, kiedy nie żyła. Miała na sobie biały top na cienkich ramiączkach. Można było przyjrzeć się jej piersiom – sutkom i w ogóle. Zawsze ubierała się za lekko jak na pogodę. W dniu, w którym umarła, nie było upału. Ale Rosita wolała raczej podkreślić ogrzewanie niż włożyć więcej ubrań. Powiedziała, że najchętniej cały dzień chodziłaby nago.

Biały top był rozdarty i pokryty czerwonymi plamami. Krótka spódniczka też była wysmarowana krwią. Tak dużo krwi, wszędzie krew. Zakręciło mi się w głowie, gdy na to patrzyłem, i aż musiałem zamknąć oczy, bo nie dawałem rady tego oglądać.

Anna miała na sobie różową sukieneczkę, z wyprzedaży w H&M. Tyle że na brzuszku widniała teraz duża, wilgotna plama. Oczy były otwarte, o wyrazie, którego nie potrafiłem określić. Strach? Zaskoczenie? Widziałem niebieskie tęczęwki o ładnej, ciemniejszej krawędzi, jednak oczy już nie lśniły.

Rosita miała oczy na wpół zamknięte. Usta nieznacznie otwarte, jak gdyby się uśmiechała. Nawet martwa, ciągle się śmiała. Nie miałem pojęcia dlaczego. Czy śmiała się ze mnie? Czy wciąż śmiała się ze mnie?

Na podłodze, wszędzie wokół nich, była krew, przypominało to jajko sadzone z pękniętym żółtkiem. Krew nie była bardzo płynna, była lepka i przyklejała mi się do butów. Moje stopy zostawiały ślady na beżowym dywanie.

– Naprawę chcecie państwo takie jasne kolory, gdy w domu jest małe

dziecko? – zapytał nas facet w sklepie. Uznał, że mieszkamy razem, może nawet uznał mnie za ojca Anny. Polubiłem go za to. – Mamy też parę ładnych odcieni w brązowy rzucik.

Jednak Rosita nie chciała u siebie żadnych ciemnych kolorów.

– Beż jest elegancki – powiedziała. – Mają go ci wszyscy bogacze, mieszkający w dużych domach. A jak się pobrudzi, to po prostu kupimy nowy.

Dywan kosztował prawie sześć tysięcy euro, włączając jego ułożenie. To pochłonęło połowę moich oszczędności.

A teraz został zniszczony.

W powietrzu unosił się zapach rdzy. Nie był ostry czy mocny, ale sprawił, że aż ścisnął mi się żołądek. Do tej pory nie wiedziałem, że krew ma zapach.

Wpatrywałem się w talerz spaghetti leżący na kolanach i nie potrafiłem wymyślić, co jeszcze mógłbym zrobić, oprócz po prostu wzięcia się do jedzenia.

# IRIS

**M**artha Peters miała posturę wschodnioeuropejskiej pływaczki. Szerokie plecy, solidne łydki, brak odznaczającego się biustu oraz zacięty wyraz twarzy. Zajmowała prawie cały korytarz.

– Dzień dobry, pani Martho.

Obejrzała się.

– Ach. Akurat to osoba, z którą chciałam się zobaczyć.

– Och?

– Chodź ze mną. Mam dla ciebie niespodziankę.

Nie czekając na odpowiedź, Martha odwróciła się i pomaszzerowała ku schodom. Uznałam, że lepiej za nią pójść, chociaż nie potrafiłam wymyślić, co może być tą „niespodzianką”. Przypominało mi to wizyty u dentysty, kiedy byłam małą. Jak będziesz, bez marudzenia, odpowiednio długo trzymać otwarte usta, to dostaniesz „niespodziankę”. Szczoteczkę do zębów. Hura.

Gabinet Marthy mieścił się na samym szczycie budynku, z dala od zgiełku i hałasu. Przez trzy lata, które przepracowałam w Bartels & Peters, byłam tam może ze dwa razy. Szłam po schodach za rozrośłym zadkiem prawniczki.

Pokój był jasny, oświetlony i niezwykle elegancki, kontrastujący z imponującymi rozmiarami Marthy.

– Siadaj, weź sobie krzesło – powiedziała przyjacielskim tonem, co natychmiast wzbudziło moje podejrzenia. – No, nie patrz się tak, jakbym miała cię ugryźć! Wiesz, że też mam syna?

– Nie wiedziałam. – To było ostatnie, czego się po niej spodziewałam.

– Ma na imię Sam, skończył dwadzieścia dwa lata i niedawno się wyprowadził. Byłam więc pracującą matką, tak samo jak ty.

Pokiwałam głową.

– Zawsze udawało mi się rozdzielać pracę i życie prywatne. Ale w moim przypadku to było łatwiejsze. Im wyżej jesteś na drabinie zawodowej, tym więcej masz swobody oraz przywilejów. Chociażby ten pokój. Kto zauważy, czy jestem w biurze, czy mnie nie ma?

– A nie musi pani mieć odpracowanej swojej liczby godzin, tak jak wszyscy pozostali?

– Ale to ja decyduję, kiedy i gdzie przepracowuję te godziny. Nikt nawet nie śni, aby mnie o to pytać. – Spojrzała na mnie ze złośliwym uśmiechem, pełnym zadowolenia z siebie.

– Świetnie. Ma pani rację. Dlaczego po prostu nie pozbędę się tego dziecka? Przecież zawsze mogę mieć jeszcze jedno, jak już znajdę sobie partnera.

Pokręciła głową.

– Nie bądź taka drażliwa, Iris. To właśnie jeden z twoich problemów, to że wszystko bierzesz za bardzo do siebie.

– To był żart.

– Oczywiście. Dobrze, w każdym razie myślę, że masz szczęście, że nie mieliśmy zbyt dużego wyboru.

Aha, czyli o to chodzi.

– Co pani ma na myśli?

– Nic. – Martha pomachała swoimi ogromnymi dłońmi, jak gdyby z nadzieją, że w ten sposób wymaże ostatnią uwagę. – Nie przeczę, że okazałaś się lepsza, niż się spodziewałam.

– To miał być komplement? I czy się mylę, zakładając, że nie jest to ta niespodzianka, którą miała pani na myśli?

– Och, racja. – Martha pogrzebała w biurku i wyjęła plik papierów. – Proszę.

– Co to jest?

– Sprowadziłaś nowego klienta, prawda? Po prostu chciałam dać ci trochę

na początek.

Spojrzałam na okładkę kartonowej teczki: „R. Boelens. 17 maja 2003–3 marca 2005”.

– Skąd pani to ma?

– Znajomości. Jedyne powód tego, że chodzę na te wszystkie przyjęcia koktajlowe, których ty nigdy nie odwiedzasz. Znajomości, znajomości, znajomości. Swoją drogą, to jest ciekawa sprawa. Nie wiem, czy to wszystko do czegoś doprowadzi, ale naprawdę jest soczysta.

Aaron leżał już w łóżku, a ja rozciągnęłam się na kanapie z aktami, kubkiem herbaty Sleepytime oraz tabliczką mlecznej czekolady z orzechami. Byłam zmęczona i trudno było mi się skupić. Akta okazały się zaskakująco skromne. Składały się na nie raport kryminalistyczny oraz kilka policyjnych wywiadów z sąsiadami. Ray złożył trzy zeznania, za każdym razem coraz bardziej się obciążając. Policja była przekonana, że to wystarczy, aby go przyszpilić. A gdzie przyjaciele i znajomi Rosity oraz jej krewni, kochankowie – i chociażby listonosz?

Ray, według swojego pierwszego zeznania, wrócił do domu wcześniej niż zwykle, bo źle się poczuł. Po drodze zobaczył, że drzwi wejściowe domu Rosity i Anny są lekko uchylone. Wszedł, aby zobaczyć, co się stało. Pierwsze, co zauważył, to była czerwona plama na beżowym dywanie. Otworzył drzwi nieco szerzej i ujrzał dwa ciała, całe we krwi. Przez jakiś czas stał przy trupach, „żeby zobaczyć, co się stanie”. Poczułam, jak ciarki przechodzą mi po plecach.

Potem wrócił do domu. Usiadł tam i oglądał rybki, żeby się uspokoić.

„Nie zadzwoniłem na policję, bo o tym nie pomyślałem”.

W następnych zeznaniach było sporo obciążających fragmentów.

„To jasne, że Rositę i Annę zamordowano jakimś ostrym narzędziem, myślę, że nożem do krojenia, takim, jaki mam w domu”. I jeszcze: „Byłem wściekły, bo Rosita mnie odrzuciła. Kiedy jestem wściekły, to tracę nad sobą panowanie. Czasem robię się taki wściekły, że aż psuję różne rzeczy”.

Nie było tam żadnego przyznania się do winy wprost, ale i bez prawniczego wykształcenia dawało się zauważyć, dokąd to wszystko zmierza. Zeznanie kończyło się słowami: „Niniejszym oświadczam, że wszystkie te słowa pochodzą ode mnie i nie zostały wymuszone żadnymi groźbami ani obietnicami”.

Sięgnęłam na dno teczki i wyjęłam zdjęcie miejsca zbrodni.

Serce ścisnęło mi się na widok martwej dziewczynki. Niewinne dziecko o twarzyczce wykrzywionej strachem. Towarzyszący fotografii raport podawał, że matkę zabito pierwszą, a potem dziecko. We krwi matki zostawiła odciski swoich bucików. Wyciągnięto wniosek, że przybiegła z salonu, a wtedy ją zadźgano. Pomyślałam o Aaronie, śpiącym sobie spokojnie w łóżeczku, razem z pluszową pandą.

Nie znaleziono narzędzia zbrodni. Jednak Holenderski Instytut Kryminalistyki ustalił, że najprawdopodobniej był to nóż do krojenia z kuchennego zestawu Ikei, o niezbyt wyszukanej nazwie Börja, co po szwedzku oznacza „początek”. W samej Holandii, w latach 1990–2009 sprzedano 130 000 takich zestawów. W 2009 roku zmieniono ich wygląd, ręczki noży nie były już brązowe, tylko czarne.

Ray miał właśnie taki zestaw Börja. Według zeznania dostał go w prezencie od matki.

Przypomniałam sobie, jak po raz pierwszy się wyprowadziłam. Matka uznała, że to głupi pomysł, iż nie chcę mieszkać w domu rodzinnym, skoro jest tak blisko miasta.

– Pozwalałam ci przecież wychodzić i przychodzić, kiedy tylko chcesz, prawda?

Ja jednak chciałam mieć własną, studencką norę, gdzie mogłabym aż do rana pić lambrusco, a potem zalec na podniszczonym materacu na podłodze.

Kiedy matka po raz pierwszy zjawiała się, aby obejrzeć mój mierzący trzy na cztery metry pokój w dzielnicy Jordaan, niewiele mówiła. Wszystko jednak zdradził pełen niezadowolenia wyraz jej oczu. Wciskając mi duże pudło, powiedziała: „Nie masz nawet porządnego krzesła”.

Rozerwałam opakowanie w białe prążki, odsłaniając zestaw Börja.

Całkiem zapomniałam tę nazwę, chociaż puste pudełko jeszcze miesiącami stało w przedpokoju jako pojemnik na stare papiery.

– Dziękuję, mamó. – Nadstawiła policzek na znak, że wolno mi dać jej całusa.

Myśl o tym, że matka pojechała wtedy do Ikei, żeby kupić zestawy Börja nam obojgu, była prawie zabawna. Dla siebie kupowała tylko rzeczy najwyższej jakości, ale jeśli chodziło o innych, brała to, co akurat mieli w tym tygodniu na wyprzedaży. W Ikei pewnie sprzedawano te zestawy po dwa w cenie jednego.

Nóż Raya, rzekome narzędzie zbrodni, znaleziono w jego kuchennej szufladzie. Nie znaleziono na nim śladów krwi, były jednak odciski palców Raya, oraz pozostałości substancji o skomplikowanych, chemicznych nazwach, które nic dla mnie nie znaczyły. Nóż był w dosyć złym stanie. Pogięty i wyszczerbiony, zużyty.

Pomimo zadziwiającego faktu, że na ostrzu nie znaleziono śladów DNA Rosity albo Anny, nóż z Ikei uznano za bardzo obciążający dowód.

Wsadziłam do ust kolejny kawałek czekolady. Obiecałam sobie, że od jutra przerzucam się na seler i marchewki.

Potem były zeznania sąsiadów. Jakaś mieszkająca w okolicy kobieta twierdziła, że kiedyś Ray pociął nożem opony samochodu partnera Rosity. Czyli Rosita miała jakiegoś partnera. Dlaczego nie było o nim żadnej wzmianki?



# RAY

**R**osita nazajutrz po tym, jak mnie pocałowała, udawała, że nic się nie stało. Wpuściła mnie, abym dał Annie magdalenkę, jednak potem oznajmiła:

– Ray, jeśli nie masz nic przeciwko... Spodziewam się kogoś.

Miałem nadzieję, że ojciec Anny już nigdy nie wróci, ale oto znowu przyjeżdżał.

Rosita miała na sobie przezrzystą sukienkę. Wyraźnie widać było jej piersi, twarde sutki i w ogóle wszystko. Trudno było patrzeć. Próbowałem sobie wyobrazić, jak dotykałbym tych piersi, trzymał je w dłoniach, ugniatał. Od tej myśli zabolął mnie penis.

– Victor jutro rusza na wycieczkę z rodziną. Ray, wyobraź sobie, oni jadą na Kretę. „To tylko takie małe preludium do lata”. W lipcu spędza trzy tygodnie we Włoszech. A w ostatnie Boże Narodzenie byli w górach na nartach. Ale nie obchodzi go to, że Anna nie była nigdzie poza Zandvoort. „Moja rodzina ma pierwszeństwo”, powiedział. A my kim jesteśmy? Co dla niego znaczymy? Czy my nie jesteśmy jego rodziną? Czy Anna nie ma takiego samego prawa mieć ojca, jak jego inne dzieci?

– Nie wiem.

– Ty nie wiesz? Dobrze, ale ja wiem. Czy kiedyś wyjeżdżałeś na wakacje?

– Nie.

– Nigdy?

Wzruszyłem ramionami.

– Też powinniśmy polecieć na Kretę. Ty, ja i Anna. Wtedy by usiadł i się zastanowił, prawda?

Poczułem nagły przypływ szczęścia.

– Nie wiem, czy nie będę się bał wsiąść do samolotu.

– Jasne, że nie będziesz się bał – powiedziała Rosita. – Ale swoją drogą, to on zaraz przyjedzie i właśnie się zastanawiałam, czy nie mógłbyś na jakiś czas zabrać Anny.

W ogóle tego nie rozumiałem. Rosita chciała ze mną lecieć na Kretę, ale teraz musiałem zabrać Annę, bo jej matka chciała zdjąć ubranie dla tamtego?

Rosita przykucnęła przed Anną.

– Pączusiu, chcesz wyjść z wujkiem Rayem? Może nawet zabierze cię do piekarni? Albo na plac zabaw?

– Chcę zobaczyć King Konga – powiedziała Anna.

– Włóż kurteczkę, dobrze? Na zewnątrz jest zimno. I wiesz co, Ray? – Wyprostowała się. – A gdy już wrócisz, będę miała dla ciebie niespodziankę. Chcę powiedzieć ci coś o twojej matce.

Anna wyszła na zewnątrz, trzymając mnie za rękę. Jej dłoń wydawała się taka krucha, zaledwie kilka kostek pokrytych miękką, delikatną skórą. Kiedy wychodziliśmy, Rosita nam pomachała. Zrobiła to, wystawiając tylko rękę. Resztę swojego kuso odzianego ciała ukryła za drzwiami.

Po drugiej stronie ulicy ta kobieta, która miała zaniedbany trawnik, przyglądała się nam z okna. Też do nas pomachała, ale Anna jej nie zauważyła.

– Co chcesz teraz robić? – zapytałem piskliwym głosem, jakim odzywałem się tylko do Anny.

– Obejrzeć rybki.

– Nie chcesz iść na plac zabaw? A może chcesz na zakupy, tak jak mamusia?

– King Kong – oznajmiła stanowczo.

Dobrze, dobrze.

Kiedy wkładałem klucz do zamka, usłyszałem samochód, z piskiem opon zatrzymujący się pod domem. Odwróciłem się i ujrzałem Victora za

kierownicą błyszczącego auta. Nie miało żadnego wgniecenia, żadnej rysy. Podszedł pod drzwi Rosity, zobaczyłem, jak mu otwiera, nawet nie zdążył zadzwonić. Musiałem przełknąć odrobinę kwasu żołądkowego, który wrócił mi do ust.

Anna i ja weszliśmy do domu i usiedliśmy przed akwariem.

– King Kong, Hannibal, Maria, Orzeszek...

Wydawało mi się, że przez drzwi słyszę kroki na schodach Rosity. Prowadziła ojca Anny na górę. Nidy nie byłem u Rosity na górze. Nigdy. Kiedy Rosita nareszcie zrozumie, że dla niej byłbym zawsze. Powiedziała, że jesteśmy prawie rodziną, ale jak długo jeszcze miałem czekać?

Anna i ja wypowiedzieliśmy imiona rybek, sam już nie wiem ile razy, kiedy wreszcie poprosiła mnie, żebym poszedł z nią nakarmić kaczuszki. Uświadomiłem sobie, że tak bardzo skupiłem się na odgłosach kroków na schodach i skrzypieniu łóżka Rosity, że zupełnie zapomniałem, gdzie jestem.

Anna spojrzała na mnie oczyma, które były prawie tak samo niebieskie jak King Kong.

– Oczywiście – powiedziałem. – Po drodze możemy wstąpić do piekarni po wczorajszy chleb. Chociaż mój chleb trzyma się znacznie dłużej. Nawet po trzech dniach jest jeszcze świeży i pyszny. Ale nie można sprzedawać chleba, który ma więcej niż jeden dzień. Mówi się, że jest czerstwy. Śmieszne.

Pomogłem Annie włożyć kurteczkę. To była ładna, czerwona kurteczka. Kosztowała sto trzydzieści euro. Jednak Rosita uznała, że jest doskonałej jakości i Anna spokojnie może ją nosić także w przyszłym roku. To dobrze, bo moje oszczędności już niebezpiecznie się skurczyły.

Kiedy szliśmy do piekarni, Anna podskakiwała obok, trzymając mnie z ręką. Przyzwyczajałem się do myśli, że lubi moje towarzystwo. Samochód Victora wciąż stał pod drzwiami Rosity. Poczulem wściekłość, ale pomyślałem sobie, nie teraz. Nie kiedy jest ze mną Anna.

W piekarni było cicho. Ludzie zazwyczaj przychodzą po chleb rano,

właśnie dlatego sklep zamykano już o czwartej trzydziści po południu. Kiedy wszedłem tam z Anną, była czwarta piętnaście. Najpierw musieliśmy poczekać, aż jakaś pani zapłaci za swoje *pain de campagne* i dopiero potem mogliśmy iść na zaplecze. Kobieta wzięła chleb, odwróciła się.

– Ach, pan piekarz! – zawołała. – Nie jest pan przypadkiem po złej stronie lady?

– Przyszedłem po czerstwy chleb. Dla kaczek – wyjaśniłem.

– Czy to pańska córka?

– Prawie jesteśmy rodziną – wyjaśniłem. – Prawie.

Pomyślałem, że kobieta wydaje się zaskoczona.

– Od dawna chciałam panu powiedzieć, że pański chleb jest pyszny. Naprawdę, niezwykle.

– Dziękuję. – Rosita chętnie by tego posłuchała. Zawsze mnie pytała, czy otrzymuję jakieś komplementy, a potem mówiła: „Widzisz, Ray, jakim jesteś wspaniałym piekarzem?”

W kuchni, po drugiej stronie szklanej ściany, wciąż paliło się światło. Wszystkie powierzchnie aż lśniły, na podłodze nie było nawet okruszka. W ogóle nie było widać, że wczesnym rankiem ulepiłem tutaj czterysta croissantów, przygotowałem dwanaście rodzajów chleba oraz całą blachę ciasteczek. Wszystko sam. Szef pytał, czy nie potrzebuję pomocnika, jednak cenilem sobie bezpieczeństwo i komfort własnych myśli.

– Chcesz, żebym pokazał ci La Souche? – zapytałem Annę. – Oczywiście, ty nie zrozumiesz, o co w niej chodzi, ale to nieważne. Chodźmy.

Ruszyliśmy na tyły piekarni, do ciepłego kredensu, gdzie La Souche utrzymywano przy życiu w stałej temperaturze piętnastu stopni Celsjusza i przy wilgotności osiemdziesięciu procent.

Otworzyłem drzwiczki, kucnąłem przed kamionkowym garnkiem.

– Ciii, ona śpi – powiedziała stojąca obok Anna.

– Prawda – odparłem, ciesząc się, że to zrozumiała. – Ona śpi, a kiedy się śpi, to się rośnie, wiedziałaś? – Ostrożnie uniosłem róg wilgotnej, bawełnianej szmatki, okrywającej zakwas. – Czujesz, jak pachnie? Powąchaj. Wciągnij powietrze.

Anna powąchała.

– Fuj – powiedziała.

– Po prostu tego nie rozumiesz – rzuciłem do niej, szybko zakrywając La Souche.

Anna patrzyła na mnie przez kilka chwil, oszołomiona, a potem wybuchnęła płaczem.

– Nie rób tak. Stop! – Próbowałem sobie przypomnieć, co Rosita mówiła, by robić, kiedy ktoś płacze. Trochę potrwało, zanim sobie przypomniałem. Trzeba było okazać zainteresowanie.

– Co się z tobą dzieje?

– Mój Boże! – Podeszła do nas dziewczyna, która stała za ladą. Nie słyszałem jej. – O rety, co się tutaj dzieje? – Uniosła Annę. – Co się stało, kochanie?

– Ray jest niedobry – powiedziała Anna.

– Nieprawda – odparłem. – To w ogóle nieprawda.

– Na litość boską, a co wy w ogóle robicie przy szafce? O co chodzi? Co zrobił Ray?

– Niedobry – powiedziała Anna.

– Czy jej mama wie, że ona tutaj jest? – Dziewczyna spojrzała na mnie krzywo.

– Tak. Nie, że jest dokładnie tutaj, ale że jest ze mną.

– Ray się złości – powiedziała Anna. Przestała płakać i wyciągnęła do mnie ramiona.

Zabrałem Annę od dziewczyny i odwróciłem się plecami, tak żeby nie mogła jej dotykać.

– Myślę, że tutaj dzieje się coś dziwnego. Zabieranie małej dziewczynki do podgrzewanej szafki to nie jest coś normalnego. – Dziewczyna oparła dłonie na biodrach. Nie podobało mi się, że tutaj jest.

– Musimy zamknąć drzwiczki albo temperatura sfiksuje. A jakbyś nie wiedziała, kuchnia jest tylko dla piekarza. Powinnaś zostać w sklepie.

„Nigdy nie pozwól, aby ktoś obcy postawił stopę w twojej piekarni – mawiał Pierre. – Ludzie nie mają pojęcia, jakie delikatne procesy tutaj

zachodzą. Tylko robią bałagan”.

# IRIS

**B**yło jasne, że Renzo de Winter, detektyw, który w dziale zabójstw stał na czele zespołu zajmującego się sprawą Raya, nie był zbytnio zainteresowany spotkaniem ze mną.

– Zapewniam panią, że w naszym śledztwie rozpatrzyliśmy wszystkie tropy – powiedział. – Wszystkie fakty wskazują na winę pani klienta. Nie wiem, co ma pani jeszcze nadzieję wygrzebać. Poza tym chyba nie muszę pani mówić, że bez pozwolenia prokuratury nie wolno mi udzielać żadnych informacji na temat tej sprawy.

– Całkowicie rozumiem, że nie może pan niczego powiedzieć oficjalnie. Jestem tutaj tylko, aby pogawędzić i rozeznać się w sprawie. – Wyjrzałam przez okno, chcąc trochę rozluźnić atmosferę. Dwoje młodych ludzi jechało ulicą na rowerach, trzymając się za ręce. Wyglądali na szczęśliwych.

Renzo de Winter westchnął głęboko.

– Słucham?

– Tak nieoficjalnie, to byliśmy przekonani, że sprawa jest bardzo prosta. Boelens dopuszczał się już aktów przemocy, miał motyw, był obecny na miejscu zbrodni i złożył obciążające go zeznania. Były cztery mocne podstawy, aby postawić mu zarzuty. Zasadniczo, nie trzeba więcej niż dwóch z tych rzeczy, aby kogoś postawić przed sądem.

Renzo de Winter spojrzał na mnie zmęczonymi oczyma. Podejrzewałam, że jest młodszy, niż wygląda.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „dopuszczał się już aktów przemocy”? Mój klient nie ma założonej kartoteki.

– Pani klient spędził lata nastoletnie w ośrodku dla trudnej młodzieży. W jego szkolnych aktach napisano, że jak miał dziesięć lat, to zabił psa.

Próbowałam zachować spokojny wyraz twarzy. Jaki dzieciak zabiłby niewinne zwierzę? Może moja matka jednak miała rację. Nie wiedziałam, jakim człowiekiem był Ray.

– Sąsiedzi powiedzieli nam także, że pociął opony w samochodzie partnera ofiary. – Zobaczyłam, że de Winter gmera w imponującej stercie papierów na biurku. – Tutaj to jest. Boelens wypadł na zewnątrz z nożem w rękę i zaczął ciąć opony pana Asschera. Potem odłamał z maski ozdobę w kształcie jaguara, rozbił nią przednią szybę. Nigdy nie widziano, aby okazał z tego powodu skruchę.

Starłam się nie myśleć o nieżywym psie i zamiast tego skupiałam na jaguarze Asschera.

– Czy Asscher zgłosił to na policję?

De Winter westchnął, podirytowany.

– Nie.

– Dziwne.

– A jaka to różnica? Na pewno w warsztacie samochodowym można wygrzebać raport o uszkodzeniach. Pan Asscher musiał mieć swoje powody.

– Na pewno miał. Ale czy może mi pan wyjaśnić, dlaczego policja nigdy nie przesłuchała Asschera w związku z morderstwem?

– To nie było potrzebne.

– Dlaczego?

– Bo kiedy doszło do zabójstwa, pan Asscher był na wakacjach.

– Dobrze. W takim razie może mi pan przedstawić okoliczności, w jakich pan Boelens złożył swoje zeznania?

– O co pani chodzi?

Wyjęłam własny plik papierów.

– Proszę zobaczyć. Tutaj: „To jasne, że Rositę i Annę zamordowano jakimś ostrym narzędziem, myślę, że nożem do krojenia, takim, jaki mam w domu”. To są na pewno własne słowa pana Boelensa?

– Tak.



– Wydaje mi się to trochę naciągane. Zwłaszcza to: „Niniejszym oświadczam, że wszystkie te słowa pochodzą ode mnie i nie zostały wymuszone żadnymi groźbami ani obietnicami”. Wydaje się to nieco zbyt formalnym językiem jak na piekarza, nie sądzi pan? Znając pana Boelensa, jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, aby używał takich sformułowań. Ani też nie wyobrażam sobie pana Boelensa aż tak zakochanego w silnym ramieniu prawa, aby wyrażał się w podobny sposób, żeby chronić funkcjonariusza odbierającego od niego zeznania.

– Pani Kastelein, jestem pewien, że dysponuje pani doskonałym, prawniczym umysłem, ale naprawdę ta sprawa nie mogła już być prostsza. Policjanci to też ludzie, i oczywiście, jeżeli będzie pani dalej grzebać, to na pewno znajdzie pani jakieś literówki czy niezbyt szczęśliwe sformułowania. Ale co z tego? Jesteśmy przekonani, że sprawca został schwytany i właśnie płaci za swoje zbrodnie. Zwyciężyła sprawiedliwość.

– Jaki panu wydawał się Boelens? Czy wydawał się jakiś zmieszany?

De Winter zerknął na zegarek.

– Robi się późno.

– Czy Boelens był komunikatywny? Czy rozumiał, co się dzieje?

– Był ogarnięty paniką. Dlatego że wiedział, co zrobił, i wiedział, że my też wiemy.

– Ogarnięty paniką?

– Ciągle tylko mówił o rybkach. Szalał, wrzeszczał o nich.

– Ach tak... – Przypomniałam sobie dziennik, który Ray tak skrupulatnie prowadził przez te wszystkie lata. Nagrody, które zdobył. To, z jaką czułością, koniuszkami palców dotykał zdjęć rybek, kiedy mu je przyniosłam. – Panikował przez swoje ulubione rybki. A jednak utrzymuje pan, że był w stanie podyktować oświadczenie w takim eleganckim, okrągłym stylu.

– Oczywiście zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby go uspokoić, i obiecaliśmy mu, że zadbamy, żeby zaopiekowano się rybkami. Wie pani, nie jesteśmy potworami.

– A może obiecaliście opiekę nad rybkami w zamian za zeznania?

– Teraz posuwa się pani za daleko. – De Winter znowu spojrzął na zegarek. – Już na mnie pora.

– Istnieją jakieś zapisy z przesłuchania?

De Winter spojrzął na mnie podirytowany.

– Wiem, do czego pani zmierza. Myśli pani, że mam zamknięty umysł, że widzę tylko tunelowo. Ale mogę panią zapewnić, że to jedna z takich spraw, co do których jestem absolutnie przekonany, że mamy właściwego człowieka. Wiem, że po prostu stara się pani wykonywać swoją pracę, ale to jest całkowita strata czasu. Wątpię, aby pani się tym przejęła. Ile godzin policzy pani za naszą krótką rozmowę? Trzy? Cztery?

Staralam się zachować spokój. Mentalnie wylewałam de Winterowi na głowę zawartość całego komisariatu.

– Jestem pewien, że pani szef jest zadowolony – powiedział de Winter.

– Teraz to pan posuwa się za daleko.

# RAY

Iris Kastelein, która powiedziała, że jest moją siostrą, zamierzała również zostać moim prawnikiem.

– Co ona teraz robi? – zapytałem Mo. Siedzieliśmy w tym samym gabinecie, w którym rozbiłem dracnę o ścianę. Mo był jedną z tych niewielu osób, z którymi wciąż chciałem rozmawiać. Wszyscy inni mnie oszukali. Jeannie z tym swoim za kwaśnym, zbyt gliniastym chlebem. Hank ze swoją błyskawicą. Eddie, który nazywał mnie Raynusem. Rembrandt, który nazywał mnie Rainmanem. To oni zostawili narkotyki w moim pokoju.

Nie byłem tak zupełnie pewien, czy mogę zaufać Mo, ale musiałem kogoś takiego mieć, tak jak tłumaczył mi dyrektor poprawczaka: „Wiem, że masz problem z ufaniem innym ludziom, ale jeśli zechcesz zaryzykować, to zaryzykuj i mi zaufaj. Bo musisz mieć kogoś, komu zaufasz”.

Dyrektor nigdy mnie nie zawiódł. Nigdy. Powstrzymał innych od wyśmiewania się ze mnie i zapisał mnie do szkoły piekarskiej. Zabrał mnie do planetarium i zawsze był miły. Często mi powtarzał: „Ray, jeszcze będzie z tobą wszystko w porządku”.

Ale wcale nie było w porządku.

– Iris chce sprawdzić, czy śledztwo w sprawie morderstwa oraz proces sądowy zostały przeprowadzone prawidłowo – oznajmił bardzo powoli Mo. – Proces, który doprowadził do twojego uwięzienia. Sam prosiłeś, żeby ci pomogła, pamiętasz?

Pamiętałem, nawet jeśli czułem się już tym wszystkim zmęczony.

– A potem?

– Nie wiem. Myślę, że to zależy, co wyjdzie z jej pracy. W każdym razie to oznacza, że jako twój prawnik, twoja siostra może cię częściej odwiedzać. Będziesz zadowolony?

Wpatrywałem się w ścianę, w miejsce, gdzie doniczka uderzyła o biały gips. Niczego już nie było widać. Iris Kastelein, która powiedziała, że jest moją siostrą, chciała odwiedzać mnie częściej. Co oznaczało, że przyniesie mi więcej zdjęć rybek i więcej mi o nich powie. Ale również oznaczało, że będę musiał sikać do kubeczka przy tej pielęgniarsce bez białego kitla. A potem znajdą w mojej celi narkotyki i znowu wsadzą mnie do izolatki.

– Wiem, że ciągle mówisz doktorowi Römermanowi, że tego nie zrobiłeś. Jeśli to prawda, to masz właśnie szansę, żeby udowodnić swoją niewinność.

– A potem?

– Potem wypuszczą cię do domu.

Spojrzałem na twarz Mo, który zawsze wydawał mi się taki miły. Pomyślałem o tych wszystkich wizerunkach twarzy, które pokazywali mi na terapii. O tym, w jaki sposób z ust albo oczu można odczytać, czy ktoś jest smutny, czy zadowolony.

– Ray, co cię martwi? Czego się boisz?

– Nie chcę wracać do izolatki – powiedziałem. – Już nigdy.

– To zależy tylko od ciebie – odparł Mo. – Jeśli będziesz przestrzegał zasad, to nie będzie żadnego powodu, aby cię zamykać w izolacie.

– Nie? Nie? To, co wydarzyło się ostatnim razem? Dlaczego wrzucono mnie do izolatki, skoro niczego złego nie zrobiłem? Niczego!

– Rzuciłeś doniczką w głowę Jeannie.

– Powiedziała mi, że już nie będę mógł zajmować się ogrodem. Nie wiesz, że to ja strzygę żywopłoty? To jedyna rzecz, która sprawia, że czuję się dobrze. A do tego ciągle nie mam swoich rybek. Chociaż stale słyszę: „porozmawiamy o tym” i „pomyślimy o tym”. A minęły już tygodnie i wciąż czekam na odpowiedź.

Mo już się nie uśmiechał. Spoważniał. Zmarszczył czoło, a kąciki jego ust się wyprostowały.

– Ray, czy te narkotyki były twoje?

Uderzyłem pięścią w stół.

– Czy ja wam tego ciągle nie tłumaczę? Nie mam żadnych narkotyków! I nie palę! I jak, do cholery, mam się stąd wydostać, skoro nikt mi nigdy nie wierzy? – Mówiłem na jednym oddechu. Zakręciło mi się w głowie.

– Spokojnie. Już dobrze, nie ma się czym denerwować. – Mo pokazał mi, jak mam oddychać. – O to właśnie chodzi. Teraz lepiej. Czujesz się już lepiej? Słuchaj, jest całkiem możliwe, że te narkotyki schował w twoim pokoju ktoś inny. Coś takiego nie zdarzyłoby się po raz pierwszy. Prawdę mówiąc, rozpoczęliśmy dochodzenie, żeby się dowiedzieć, co tak naprawdę się stało.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Ale wracając do Iris, umawiamy następne spotkanie?

– Będę musiał sikać do kubka?

– Istnieje taka możliwość.

Zawahałem się. Nie chciałem już nigdy pokazywać penisa tej kobiecie, która nie nosiła białego kitla, ale musiałem także pamiętać o swoich rybkach. O tym, jak bardzo chciałem, żeby Iris Kastelein, która powiedziała, że jest moją siostrą, mówiła mi o nich.

– Ale niezależnie od wszystkiego i tak, od czasu do czasu, będziesz musiał oddawać mocz do przebadania. Niezależnie od tego, czy będziesz miał gości. Wszyscy są co jakiś czas badani.

Wpatrywałem się w Mo. Chciałem umieć go odczytać, tak jak większość ludzi potrafi odczytywać innych. „Normalnych ludzi” według mojej matki. Chociaż Rosita uważała, że moja matka sama daleka jest od normalności, zaś matka także nie uważała Rosity za normalną. Może Iris Kastelein, która powiedziała, że jest moją siostrą, była kimś normalnym.

– W każdym razie twoja siostra to bardzo miła pani. Ma na względzie twoje jak najlepiej pojmowane dobro.

– Właśnie tak wszyscy mówią. Każdy ma na względzie moje dobro i zobacz, gdzie mnie to zaprowadziło.

Mo się zaśmiał.

– Zaufaj mi.

Mogłem powiedzieć „nie” i nigdy się stąd nie wydostać. Mogłem powiedzieć „tak” i też nigdy się stąd nie wydostać, a nawet sprawić, że będzie mi jeszcze ciężiej. Ale byłaby wtedy szansa, że Iris Kastelein mi pomoże. To mogło zdarzyć się, tylko jeśli powiem „tak”. To było ryzyko. Nie cierpiałem ryzyka.

Potem przypomniałem sobie o rybkach.

– Dobrze, niech ta Iris Kastelein, która powiedziała, że jest moją siostrą, przyjdzie.

Tego popołudnia pozwolono mi wrócić do warsztatu, pierwszy raz od wyjścia z izolatki. Wyglądało na to, że wszystkie rośliny pozaznaczano już etykietami, bo nasza praca polegała na wsadzaniu pustych płyt CD do przezroczystych opakowań.

Wolałem rośliny od płyt CD. Lubiłem dowiadywać się przy okazji, czego potrzeba tym roślinom: dużo światła albo tylko trochę; codziennego podlewania czy tylko raz w tygodniu i czy powinny zimą stać na zewnątrz. CD nie zapewniało tylu przydatnych informacji. Marka nazywała się DTK, a jedyne, co było na płytach, to napis „CD-RW i szybkość 4x–12x, 80minut/700MB”.

Siedziałem przy okrągłym stoliku z pojemnikiem płyt CD przed sobą oraz pudełkiem plastikowych opakowań. Trzeba było wsadzić do tych opakowań co najmniej sto płyt w ciągu godziny. Stawka wynosiła dwa euro. Po pierwszej setce dostawało się dodatkowo dwa centy za opakowanie. Jeżeli zapakowało się mniej niż sto, nie dostawało się nic.

Pracowali tam również Hank oraz paru facetów, których nie znałem. Od kiedy wyszedłem z izolatki, Hank już przy mnie nie siadał. Nie miałem pojęcia dlaczego. Mówił przecież, że jesteśmy kumplami. Kto by pomyślał.

Hank pracował jak szalony, pakował płyty niczym jakiś wariat. Widziałem plamy potu pod jego pachami. Myślałem o towarzyszącym mu zawsze zapachu tytoniu i o tych plamach potu. Powinienem wstać i powiedzieć mu, że jest zdrajcą. Brudnym, śmierdzącym, dwulicowym zdrajcą.

Na ścianie wisiał zegar. Pracowałem już pół godziny, a spakowałem tylko dwadzieścia płyt.

– Co jest, mały Rainmanie? – Podeszedł do mnie Rembrandt i usiadł obok. Wsadzałem kolejne CD do opakowania, ale moje dłonie nie robiły tego, co chciałem. Najpierw płyta nie wślizgiwała się w wyżłobienie, a potem nie byłem w stanie porządnie zamknąć pudełka. Spróbowałem na siłę, ale wtedy pękł jeden z zawiasów. Szybko odłożyłem zepsute opakowanie na stos, mając nadzieję, że nikt nie zauważył.

– Dobrze się bawiłeś w dziurze? Rysowałeś coś fajnego na tablicy?

Wyjąłem z pudła kolejne CD. Tym razem udało mi się włożyć je do opakowania, nie uszkadzając ani płyty, ani pudełka. Poczułem, że zaczynam się pocić. Jeśli nie będę uważał, pot zacznie przeziierać przez moją koszulkę, jak u Hanka.

– Nie mówisz za wiele, prawda szczeniaczku? Lubię to. Nigdy nie można ufać ludziom, którzy za dużo gadają. Im bardziej chrzanią, tym więcej próbują ukryć, ja ci to mówię.

Wetknął CD do opakowania i puszczając oko, odłożył na swój stos.

– Pewnie od tego myślenia, kto cię wrobił, aż ci wypaliło dziurę w tym twoim małym mózdzku.

– Hę?

Rembrandt nachylił się bardziej. Pachniał płynem po goleniu. Pachniał jak taka ciecz w niebieskiej butelce, którą Rosita kupiła mi pod choinkę. Powiedziała, że to jest seksowne. Przycisnęła mi nos do szyi i wciągnęła zapach.

– Hm, Ray, na tobie pachnie świetnie.

Teraz, kiedy Rembrandt siedział tak blisko, prawie kręciło mi się od tego w głowie.

– Ray, ja wiem, kto cię w to wpierdolił.

Znowu pękło opakowanie od płyty.

– Mógłbym ci powiedzieć, Ray Baby. Ale mógłbym ci także nie powiedzieć. To zależy.

Starannie włożył kolejną płytę do opakowania i umieścił na moim stosiku.

Nie wiedziałem, co mam powiedzieć.

– No dalej, pytaj. Wszystko w porządku, właśnie tak, jak uczyła cię mamusia.

Ręce mi się trzęsły i czułem pot spływający po plecach. Gdybym tylko wiedział, czego on chce.

Wyciągnął rękę i dotknął mojego ramienia. Dostałem gęsiej skórki.

– Wiesz, gdzie mnie szukać. I spokojnie z tymi opakowaniami. – Podszedł do stołu Hanka i usiadł tam. Obaj zaczęli ze sobą rozmawiać i się śmiać.

Próbowałem skupić się na CD. Udało mi się już nie zepsuć żadnego opakowania i dotrzeć do dziewięćdziesięciu jeden.

– Ach, nie jest dobrze – stwierdził nadzorca warsztatu. – Chcesz spróbować jeszcze raz, przez następną godzinę, żeby zobaczyć, czy uda ci się zrobić sto?

– Chcę wrócić do swojej celi.

– Do swojego pokoju. W takim razie do zobaczenia jutro. Potem możesz próbować ponownie. A pojutrze będziemy składać piloty do telewizorów. Może lepiej ci z tym pójdzie.



# IRIS

Zaparkowałam pod dawnym domem Raya. Kotary były zaciągnięte. Od kiedy byłam tam ostatnio, nic się nie zmieniło.

Świeciło słońce, ale wiał nieprzyjemnie zimny wiatr. Poszłam pod numer 11, gdzie mieszkały Rosita i Anna. Pomyślałam, że przyjrzenie się miejscu zbrodni może być dobrym pomysłem. Trawnik wyglądał znacznie schludniej niż u Raya. Elegancko przycięty żywopłot z wiecznie zielonych roślin, różane pnącze, bratki. Ten, kto tutaj mieszkał, przywiązywał wagę do szczegółów.

Na tabliczce ozdobionej kwiecistą girlandą widniał napis „Hugo i Phyllis”. Zadzwoniłam. Dzwonek był elektryczny, ale wydał z siebie taki staroświecki odgłos.

Przez matowe szkło dostrzegłam, jak zbliża się czerwona plama, zwieńczona burzą jasnych włosów.

– Dzień dobry. – Kobieta, jak się domyślałam, Phyllis, przywitała mnie wesoło. – Czym mogę pani służyć?

– Tak, dzień dobry. Przepraszam, że niepokoję panią w taki piękny dzień, ale chciałabym zadać kilka pytań.

– Jest pani ankieterką? Bo jeśli tak, to...

– Nie – powiedziałam szybko. – Chodzi o co innego.

– Och? – zdziwiła się kobieta. – Chodzi o dzieci? Coś się stało?

– Nie, w ogóle nie. Chciałam tylko się zapytać o coś, co wydarzyło się tutaj dawno temu.

– Bo nasze dzieci są na kempingu w Dordogne, z naszym wnukiem

Noahem, on ma tylko dziewięć miesięcy. Niech pani sobie wyobrazi! Niemowlak na kempingu! Nie pojmuję tego. Ale to może być niezła zabawa, prawda?

Nie chciałam wdawać się w dyskusję o zagrożeniach wiążących się z zabieraniem niemowlaka na kemping, więc wyjaśniłam:

– Chodzi o poprzednich mieszkańców, Rositę i Annę Angeli.

Phyllis wydała się teraz zdenerwowana.

– Przepraszam, że poruszam tę sprawę. Ale zajmuję się ewentualną apelacją, a to wymaga rozmów z sąsiadami.

– No, nie wiem.

Wyjęłam wizytówkę. Gruby papier, ozdobne litery. W stylu Rence’a, ale robiło wrażenie. Phyllis przyjrzała się kartonikowi.

– Równie dobrze może też pani wejść do środka. – Otworzyła przede mną drzwi na całą szerokość.

Ruszyłam za nią na ten sam korytarz, gdzie osiem lat temu znaleziono ciała Rosity i Anny. Podłogę okrywał dębowy parkiet, ściany pomalowano farbą o brzoskwiniowym odcieniu, nazywanym „toskańskim zachodem słońca”. Nigdzie nie został nawet ślad ponurej zbrodni. Ale czego ja się spodziewałam? Kredowych rysunków wykonanych przez pracowników laboratorium kryminalistycznego?

Phyllis wskazała mi sofę, a sama szybko poszła do kuchni, aby przygotować kawę. Rozejrzałam się. Salon nie był zbyt duży. Usytuowany z tyłu domu, miał okna wychodzące na uroczy ogród.

– Tak, tak, to niezły zbieg okoliczności – powiedziała Phyllis, wychodząc z kuchni z dwoma chyboczącymi się kubkami kawy oraz puszką ciastek na ładnej tacy. – Wie pani, że zaledwie dwa tygodnie temu dostaliśmy list zaadresowany do Rosity? W bardzo dużej kopercie. Powiedziałam do Hugona: „Jak sądzisz, co mamy z tym zrobić?” Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić na policję.

Postawiła kubki na szklanym stoliku kawowym. Pod przejrzystym blatem leżały książki, takie jak *Ptaki w naszym ogrodzie*.

– To dopiero zbieg okoliczności – uznałam.

Podeszła do szafki w kącie pokoju i wyjęła kopertę.

– Oto ten list.

– Od kogo? Wie pani?

Wręczyła mi list. Ozdobnym charakterem pisma wypisano na nim „Burley & Burley, kancelaria notarialna”.

– Pewnie jakieś reklamy. Na państwa miejscu napisałabym na kopercie „zwrot do nadawcy” – odparłam nonszalancko.

– Tak pani myśli? – zawahała się Phyllis. Zauważyłam, że to kobieta zdeterminowana, aby zawsze robić to, co należy. – Nie jestem pewna.

– Mogę zadać pani kilka pytań?

– Oczywiście. – Przysiadła na skraju fotela.

– Kiedy państwo się tutaj sprowadzili?

– Tak z siedem lat temu.

– Czyli byliście państwo pierwszymi, którzy zamieszkali tutaj po morderstwie.

– Zgadza się. Na początku ten pomysł wydawał mi się trochę makabryczny. Ale mój Hugo powiedział: „Nawet nie będzie widać, że to się w ogóle stało”.

– A... było widać? – Dosyć niefortunne pytanie. Co chciałam zyskać przez tę rozmowę, co innego poza zerknięciem na miejsce zbrodni? Phyllis nie знаła Rosity i Anny, nie znała też Raya. Co mi mogła powiedzieć poza tym, co i tak już wiedziałam z raportów policyjnych?

– Policja i spółdzielnia mieszkaniowa zapewniali, że dom został starannie wyczyszczony. Ale na betonie ciągle było widać plamy. Od razu położyłam parkiet. – Nachyliła się do mnie. – Krew wciąż tutaj jest, pod drewnem. Staram się o tym nie myśleć.

– A ściany?

– Zostały odmalowane.

Wypiłam łyk kawy. Phyllis szybko podała mi ciastko z puszki.

– A co z sąsiadami? Czy ktoś rozmawiał z panią o morderstwie?

– Nie rozmawiam z tym mężczyzną, który mieszka obok. On jest... inny. Uważam, że jest dosyć nieprzyjemny. Chociaż muszę przyznać, że jest

zamknięty w sobie. Ale nigdy nie słychać, żeby brał prysznic. Nie widać też, żeby kłopotał się wietrzeniem. – Phyllis pokręciła głową z dezaprobatą. – Wie pani, z kim powinna pani porozmawiać? Z tą kobietą z drugiej strony ulicy, ona całkiem dobrze znała Rositę. Chyba uważa, że Rosita zbyt lubiła mężczyzn.

– Ale miała jakiegoś partnera, prawda?

– Myślę, że miała. Takiego eleganckiego faceta w droгим samochodzie. Pamiętam, jak zaraz po tym jak się sprowadziliśmy, przyjeżdżał od czasu do czasu, parkował pod domem i zaglądał do środka. Aż ciarki mnie przechodziły.

– Powiadomiła pani policję?

– Nie, przecież on tak naprawdę nie robił niczego nielegalnego, prawda? Po prostu patrzył i się czaił. Ale nie lubiłam tego.

– Jest pani pewna, że to był partner Rosity?

– Ta kobieta z drugiej strony ulicy jest pewna. Ona... miała na niego oko.

– Ale nigdy pani z nim nie rozmawiała.

Pokręciła głową.

– Hugo kiedyś wyszedł na zewnątrz. Ale wtedy tamten pośpiesznie odjechał. Och, wie pani, to było zaraz po tym, jak się sprowadziliśmy. Po jakimś czasie przestał się zjawiać.

– Może pani wyjaśnić, co miała pani na myśli, mówiąc „zbyt lubiła mężczyzn”?

Phyllis wzruszyła ramionami i ugryzła kęs ciastka.

– Po prostu tak słyszałam. Ludzie mówią, że była flirciarą.

Wstałam, nie mając już o co pytać. Starłam się nie łypać zbyt pożądliwie na kopertę leżącą na szafce.

– Po drodze zajrzę na pocztę. Chce pani, żebym odesłała ten list?

Zawahała się.

– Wydaje mi się, że miała pani już wystarczająco dużo problemów z tym wszystkim. Zajmę się tym dla pani, przynajmniej tyle mogę zrobić.

– Może mi pani przypomnieć, skąd pani jest?

– Z kancelarii prawniczej – oznajmiłam tak kategorycznie, by nie miała

możliwości protestować.

– Och, w porządku. – Wręczyła mi list.

– Dziękuję za poświęcony mi czas. – Wsadziłam kopertę do torebki. Uścisnęłyśmy sobie dłonie. Dopiero kiedy dotarłam do samochodu, usłyszałam dźwięk zamykanych drzwi wejściowych.

Kobieta mieszkająca pod numerem 20 siedziała już w kuchennym oknie, wyglądając na zewnątrz. Jedną rękę opierała na biodrze, drugą trzymała papierosa.

Podeszłam do jej drzwi z przyjaznym, ale profesjonalnym wyrazem twarzy.

Zanim zdążyłam zadzwonić, drzwi już się szeroko otworzyły.

– Zastanawiałam się, kiedy pani do mnie przyjdzie. – Miała dziwny, zachrypnięty głos.

– Och.

– Tak, bo jeśli na tej ulicy jest ktoś, kto wie o wszystkim, co się tutaj dzieje, to właśnie ja.

– Nazywam się Iris Kastelein – powiedziałam, wyciągając dłoń.

– Geraldine. Proszę wejść.

Wprowadziła mnie do środka. Usiadłyśmy przy małym stoliku okrytym kraciastym obrusem, pod kuchennym oknem. Przenikliwa mieszanka woni dymu papierosów oraz środka czyszczącego aż szczypała w oczy.

– Zwykle tutaj siedzę, chyba że zajmuję się czymś w domu. Tak naprawdę nigdy nie przesiaduję w salonie. Po co patrzeć na podwórko, skoro tutaj coś się dzieje.

Dom Geraldine stał naprzeciwko domu Rosity. Odległość wynosiła około dwudziestu metrów – żeby szpiegować sąsiadów wcale nie potrzeba lornetki.

– Czyli pani zawsze wie, co się dzieje w sąsiedztwie?

– Jasne, ja wszystko widzę – oznajmiła z dumą. – Wiem też, że była pani tutaj tydzień temu, ze swoim dzieckiem. Chyba chłopczykiem? Ładniutki. Domyślałam się, że nie przyszła pani obejrzyć domów i odczytać wskaźników.

– Zaśmiała się.

– Jakie z pani strony rozsądne, tak mieć na wszystko oko. – Miałam nadzieję, że zdołam wytrwać jeszcze trochę w tym zaduchu. – Reprezentuję pana Boelensa, pani byłego sąsiada, jako jego prawnik. Staram się dowiedzieć czegoś więcej na temat zamordowania Rosity i Anny Angeli.

– Tamtego ranka pojechałam na targ. Akurat kiedy coś się wydarzyło, ja kupowałam sałatę po pięćdziesiąt centów za główkę. Nie widziałam więc, jak to się stało. Ale to ja zadzwoniłam na policję. Zobaczyłam, że tamte drzwi są otwarte, i pomyślałam, że coś tutaj nie gra. Podeszłam do jej domu i zobaczyłam, że ona tam leży, ona i jej dziecko. Co za jatka, pani nigdy czegoś takiego nie widziała. Chyba przez miesiąc nie mogłam zasnąć.

Zapaliła kolejnego papierosa. Takiego ekstradługiego, z czarnej paczki ozdobionej złotym logo Playboya. Obok, ulicą, przeszedł jakiś starszy mężczyzna. W geście pozdrowienia uniósł dłoń do swojej fedory w stylu Humphreya Bogarta.

– To stary Col. Był sąsiadem Boelansa z drugiej strony. Z nim też może pani spróbować porozmawiać, chociaż teraz nie zawsze tu jest. Kiedyś powiedział, że Ray potrafił narobić wielkiego zamieszania. Mówił, że ryczał jak zwierzę.

– Często tak robił?

– To zależy. Czasem. Bywało, że całkiem nieźle się trzymał. Zanim zaczął spotykać się z tą kobietą. Ale gdy to zaczęło się psuć, to Boże miej nas w swojej opiece.

– Nie przepadała pani za Rositą, prawda?

Przewróciła oczami.

– Ona była taka... Nie wolno źle mówić o zmarłych, ale... Jak to powiedzieć? Miała kijek w tyłku. Uważała się za lepszą od wszystkich dookoła. A tymczasem przeleciał ją żonaty mężczyzna i żyła z zasiłku. I zawsze robiła słodkie oczy do mężczyzn i ich prowokowała. Całe szczęście, że mój stary mąż, Joe, niczego od niej nie chciał. „Ja chcę prawdziwej kobiety – mawiał – a nie jakiejś takiej laluni”.

– Ale myśli pani, że to Ray ją zabił?

– Był wystarczająco stuknięty. Wie pani, że on w środku nocy wychodził i strzygł sąsiadom żywo płoty? Mój mąż kiedyś na niego wpadł, jak on niósł taki wielki sekator. – Rozłożyła ramiona. – I miał takie szalone oczy, czasem takimi patrzył na człowieka. Mój stary o mało nie dostał zawału. Ale poza tym to tak naprawdę nas nie niepokoił. Ciągłe był w pracy, prawda? Wychodził do piekarni w środku nocy. Wracał do domu parę godzin po południu, a widać było, że gasi światła około ósmej wieczorem. Co to w ogóle za życie? Nic dziwnego, że mu odbiło.

Zapaliła kolejnego papierosa. Zaczynała mnie już boleć głowa, ale naprawdę chciałam wysłuchać, co jeszcze ma mi do powiedzenia.

– Zna pani tego bogatego fiutka, ojca dziecka tej dziewczyny? Ray kiedyś pociął mu opony. Widziałam na własne oczy. Po prostu mu odwaliło. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie oglądałam. To, jak podszedł i pociachał opony nożem! A potem wszystko nagle się skończyło. Uspokoił się i pomaszerował z powrotem do domu, jak gdyby nigdy nic. Powiedziałam wtedy Joemu: „Zapamiętaj moje słowa, to się kiedyś źle skończy”. I rzeczywiście, źle się skończyło. No, ale każdy dostaje to, o co sam się prosi, prawda?

A pani się prosi o raka płuc, pomyślałam.

Wyjrzała przez okno.

– Przykro mi z powodu tej dziewczynki. Naprawdę była taka kochana. Czasem mi machała. Ale z taką matką...

– Myśli pani, że Ray i Rosita byli kochankami?

– Kto tam ich wie? Ray mieszkał tu już jakiś czas, jeszcze zanim ona się pojawiła. Nigdy się z nikim nie widywał poza swoją matką. Czasem go odwiedzała.

Starłam się jakoś ogarnąć myślami fakt, że moja matka tutaj bywała, tu, na tej ulicy. Że prowadziła sekretne życie, o którym nie wiedziałam ani ja, ani mój ojciec.

– Dlatego, kiedy sprowadziła się ta kobieta i zaczęła z nim flirtować, Ray oczywiście zaraz wpadł po same uszy. Ale czy oni to ze sobą robili? Nie mam pojęcia. Nigdy nie widziałam, żeby trzymali się za ręce, czy coś takiego. Nigdy nie spędzili razem nocy – przynajmniej z tego, co wiem...

Nigdy ich nie rozumiałam, tych dwojga. Nigdy. Taka dziwna para.

Byłam już od jakiegoś czasu z powrotem w kancelarii, kiedy w torebce natknęłam się na zapomnianą kopertę. Szukając kluczy, zobaczyłam ją wetkniętą między paczkę wilgotnych chusteczek a mój notatnik.

Nie spodziewałam się żadnego cudu. Przypuszczalnie pismo z jakiejś firmy, której nawet nie chciało się wydawać pieniędzy na aktualny spis lokatorów. List w środku nie ogłaszał jednak „JESTEŚ SZCZĘŚLIWYM ZWYCIĘZCĄ i wygrałeś MILION EURO, jeżeli TERAZ zainwestujesz w plantację drzewa tekowego!”

Był za to starannie ułożonym dokumentem, napisanym takim wysokich lotów językiem prawniczym, w którym lubują się brytyjscy notariusze. Z treści wynikało, że Rosita to jedyny spadkobierca zmarłego niedawno wujka z Anglii. Proszono ją o kontakt z kancelarią notarialną.

To niczego nie musiało znaczyć. Wujek równie dobrze mógł zostawić siostrzenicy długi, jak i majątek. Włączyłam komputer, wpisałam do Google'a nazwisko tego wujka: Richard Angeli. Żadnych trafień.

Zerknęłam na zegarek. Zostało mi piętnaście minut do zamknięcia przedszkola. Dojazd tam zajmował mi co najmniej dziesięć. Cholera. Burley & Burley musieli poczekać do jutra.



# RAY

**R**osita otworzyła mi ubrana w spodnie od dresu i poplamiony sweter. Była blada, miała ciemne sińce pod oczyma, których wcześniej u niej nie widziałem. Przed wizytą ojca Anny wyglądała lepiej. On mógł sobie przychodzić, kiedy tylko chciał, ale nie kłopotał się już tym, aby porządnie się nią zająć.

– Jak tam było z Anną? Co robiliście?

– Dlaczego pozwalasz temu Victorowi przychodzić, kiedy tylko chce?

– Ray, proszę. Nie teraz. – Zdjęła Annie kurteczkę i powiesiła na haku. – Ej, słodziutka, karmiłaś kaczki?

Anna odpowiedziała, że tak. Teraz chciała oglądać telewizję.

– I wpuszczasz go na górę. Dlaczego? – zapytałem, kiedy byliśmy już w salonie, a Rosita włączyła Annie kreskówkę. – Dlaczego? Dlaczego pozwalasz mu siebie dotykać? Czy on dotyka twoich części intymnych? O to chodzi?

Rosita zapaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła.

– Przestań, Ray, proszę. Jestem na to zbyt zmęczona. Wejdz, napij się i zamówimy pizzę. Nalejesz mi kieliszek wina?

Jednak nie zamierzałem pozwolić jej się tak łatwo wymigać.

– Dlaczego? Dlaczego wpuszczasz go na górę?

– Dlaczego wpuszczam jego, a nie ciebie? O to ci chodzi?

Niczego nie powiedziałem. Wystraszyłem się.

Podeszła do mnie tak blisko, że aż cofnąłem się o krok, chociaż byłem od niej o głowę wyższy. Dym popłynął mi w twarz.

– Czy to tego chcesz, Ray? Myślałam, że ty jesteś inny. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

Oddychałem z trudem.

Mrużąc oczy, wypuściła kolejny kłęb dymu prosto w moją twarz. Nie podobało mi się to.

– W takim razie lepiej chodź ze mną na górę, jeśli tak bardzo tego chcesz. No chodź. Pokażę ci moją cipkę. Bo właśnie tak to się nazywa. „Części intymne” to się mówi do małych dzieci.

Zgasiała papierosa w popielniczce, chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w górę schodów. Poszedłem za nią, nie wiedząc, co innego miałbym zrobić.

Sypialnię miała tajemniczą, w niej łóżko pod gładką, czarną kapą. Spora różnica w porównaniu z moją sypialnią, gdzie wszystko było białe, białe, białe. Miłe i jasne, jak mówiła matka.

– Dobrze, teraz się połóż. – Rosita szorstko pchnęła mnie w stronę łóżka. Była silna, jak na kobietę swojej postury. Potknąłem się, straciłem równowagę i padłem na plecy. Materac podskoczył.

Ściągnęła sweter. Pod spodem nie nosiła stanika. Piersi nie miała aż tak okrągłych, jak można by się spodziewać, były raczej spiczaste o dużych, brązowych sutkach. Jednak i tak nie potrafiłem oderwać od nich oczu. Miałem nadzieję, że pozwoli ich dotknąć i weźmie mojego penisa do ust, tak jak widziałem w telewizji.

– Ray, myślisz, że jestem ładna? Czy właśnie to chciałeś zobaczyć?

Objęła piersi dłońmi i ścisnęła.

Nie byłem w stanie mówić. Gardło miałem całkiem ściśnięte. Jej palce zaczęły pocierać sutki, które stwardniały.

– A to Ray? Moje „części intymne”? Też chcesz je zobaczyć?

Przytaknąłem, głowa poruszała mi się tak, jak gdyby była w gęstym budyniu.

Szarpnęła majtki w dół. Zatrzymały się jej na kostkach. Nawet nie kłopotowała się tym, aby z nich wychodzić.

Przyjrzałem się jej miło zaokrąglonym biodrom, które niezbyt się różniły od zdjęcia w salonie, a także wąskiej linii ciemnych włosów, zaczynającej się

pod pępkiem, a kończącej między nogami. Zobaczyłem tam dwa płatki ze sterczącym między nimi małym cypelkiem. Widziałem teraz wszystko, czego w prawdziwym życiu nigdy jeszcze nie oglądałem.

Czułem się tak, jak gdyby do łóżka przygniatał mnie wielki ciężar, sprawiając, że dostałem gęsiej skórki, a mój penis pulsował. Nie byłem w stanie się ruszyć. Mogłem tylko patrzeć.

– Ray, czego byś chciał? Chciałbyś małego pokazu? Chciałbyś patrzeć, jak robię sobie dobrze wibratorem? Chcesz, żebym usiadła ci na twarzy? Tylko mi powiedz. – W jej głosie była wściekłość, większa, niż kiedykolwiek u niej słyszałem.

Gardło miałem ściśnięte, szczęki nieprzyjemnie mi się zwały.

– Ray, chcesz mnie dotknąć? Tego właśnie chcesz? – Podreptała do brzegu łóżka, chodzenie utrudniały jej majtki na wysokości kostek. – Masz, wsadź rękę. No, dotknij mojej cipki. Chcesz tego, prawda? – Rozstawiła nogi tak szeroko, jak tylko pozwalały jej majtki.

Wyciągnąłem rękę. Dłoń mi drżała.

– To tylko cipka. Każda kobieta ją ma. Nawet twoja matka ją ma. Myślisz, że skąd się wziąłś?

Złapała mnie za rękę i przyciągnęła ją do siebie. Zamknąłem oczy. Było ciepło i miękko, jak wewnątrz *canelé*. Moje palce spoczywały nieruchomo, czułem, tak po prostu czułem delikatne pulsowanie krwi w jej wnętrzu.

– Nie masz pojęcia, jak zaspokaja się kobietę, prawda Ray? – zaśmiała się krótko, głośno. – Zakład, że nie wiesz.

Otworzyłem oczy. Nie wiedziałem, czego ode mnie chciała.

– Pieść mnie. Zaczynaj od głaskania cipki, tylko delikatnie.

Zacząłem ostrożnie gładzić jej płatki, cypelek i obszar wokół niewielkiej dziurki, o której wiedziałem, że może się powiększyć, tak aby zmieścił się w niej penis. Ciało było miękkie jak skóra delfina.

Rosita zamknęła oczy.

– Ray, to miłe. Naprawdę jest dobrze. Teraz chcę, żebyś wsadził mi palec do cipki. Czujesz, jaka robię się wilgotna?

Dłoń znowu mi się trzęsła. Znalazłem dziurkę i delikatnie wsadziłem w nią

palec. Było tam lekko i ciasno. Rosita jęknęła. Szybko wysunąłem palec.

– Nie zrobiłem ci krzywdy? – Mój głos brzmiał jakoś inaczej. Ochrypli, prawie szepczący.

– Nie, głuptasie, rób tak dalej.

W dziurce, w cipce Rosity, było wilgotno i nawet cieplej niż na zewnątrz.

– Poruszaj palcem w górę i w dół, a potem z powrotem, do mojej łechtaczki.

Pozwoliłem, aby mój palec ślizgał się w niej, w górę i w dół po chropowatym krajobrazie ciepłego ciała. Kiedy znów go wysunąłem, złapała mnie za rękę i położyła ją tam, gdzie chciała, abym jej dotknął.

– Ray, to jest łechtaczka. Może pamiętasz z lekcji biologii. Musisz ją pocierać.

Zacząłem gładzić palcem ten cypelek. To było łatwiejsze, gdy palce były wilgotne. Słyszałem, jak Rosita ciężko oddycha i jęczy. Napięcie w moim penisie stawało się już nie do zniesienia.

– Teraz zataczaj palcem kręgi wokół mojej łechtaczki. Mocniej. Rób tak dalej, Ray. Zrób mi dobrze.

Spojrzałem na jej twarz. Na przymknięte oczy i otwarte usta, wydające dźwięki, których od niej jeszcze nigdy nie słyszałem. Przycisnęła moją dłoń jeszcze mocniej.

– Ray, nie przerywaj. Rób tak dalej.

Wciąż masowałem cypelek, do przodu i do tyłu, właśnie tak jak chciała. Wtedy krzyknęła, mocno przyciskając moją dłoń. Gwałtownie wypchnęła biodra do przodu i krzyknęła raz jeszcze.

Między jej nogami działy się teraz najróżniejsze rzeczy. Poczułem, jak napinają się mięśnie, robi się jeszcze cieplej i wilgotniej.

Potem było po wszystkim. Przestała krzyczeć, odepchnęła moją dłoń. Na chwilę zapadła cisza, z wyjątkiem kilku nieco ciężkich oddechów. Rosita odchrząknęła i mruknęła:

– Nieźle, jak na początkującego.

Zacząła wciągać majtki, a ja wciąż leżałem na łóżku, czułem się tak, jak gdyby penis zaraz miał mi eksplodować.

– Dobra, teraz idę na dół. Możesz sobie zwalić, jeśli masz ochotę. Na stoliku nocnym są chusteczki.

Odwróciła się, nie patrząc już na mnie. Słyszałem, jak schodzi na dół. Nie miałem już innego wyjścia, jak rozpiąć rozporek i sobie ulżyć.

# IRIS

**N**igdy nie był jakiś specjalnie wylewny, ale od pobytu w izolatce zrobił się już zupełnie niekomunikatywny – oznajmił Mo. – Jedyne sytuacje, kiedy wydaje się chociaż w niewielkim stopniu obecny, to są spotkania w cztery oczy.

– Jak to się stało?

Siedzieliśmy w jednym z pokojów widzeń. Mo zaproponował, że zanim odwiedzę Raya, pokrótce wprowadzi mnie w bieżącą sytuację.

– To jest przypuszczalnie mechanizm obronny, wytworzony jeszcze w młodym wieku. Kiedy świat wokół nie wydaje mu się bezpieczny, wycofuje się do własnego, małego świata.

– Ale czy właśnie tutaj nie powinien czuć się bezpiecznie? Czy nie jest poddawany terapii, badaniom i w ogóle?

– Proszę mi wierzyć, też nie jestem z tego wszystkiego zadowolony.

Mówił takim tonem, jakby naprawdę tak uważał. Zresztą wyglądał na człowieka, który mówi, co myśli. Uświadomiłam sobie, jak niewiele osób, które znam, było tak naprawdę szczerych. I jakże często ja sama taka nie byłam.

– Pozwól, że wyjaśnię, jak funkcjonuje ten zakład, żebyś miała lepsze pojęcie o tym, czego możesz się tutaj spodziewać. Są tutaj również tacy osadzeni, wobec których jakakolwiek terapia okazuje się bezcelowa. Na przykład, psychopaci. Oni są całkowicie niezdolni do zmiany, chociaż widać, że jak się starzeją, to robią się łagodniejsi, w związku z obniżeniem się poziomu testosteronu. – Na chwilę położył swoją dłoń na mojej. – Nie, Ray

nie jest psychopata, daleko mu do tego. Nie martw się.

Przytaknęłam. Czy to było normalne, że mnie dotknął? Czy tak postępował ze wszystkimi krewnymi pacjentów? A może tylko ze mną? Czy między nami istniało coś specjalnego?

– Jeśli psychopata doznaje cudownego „nawrócenia”, to można się założyć, że wynika to z jego kary. Tak naprawdę on nie rozumie, że robienie innym krzywdy jest złe. Jeżeli wypuści się go z więzienia, to następnym razem po prostu będzie staranniejsz zacierał ślady. Na szczęście tutaj są tacy osadzeni, którym terapia pomaga. Tacy, którzy kiedyś mogą powrócić do normalnego życia.

– Zakładam, że Ray właśnie do takich należy.

Milczał przez chwilę. Było wyraźnie widać, że nie ma do przekazania dobrych wiadomości.

– Nie jestem pewien, czy on jest w stanie sobie poradzić. Oficjalnie nie ma nic, co by popierało taką tezę, ale z moich obserwacji wynika, że niektórzy, chociaż niezbyt wielu, nie dają rady. Kiedy tutaj przybywają, wciąż jeszcze potrafią funkcjonować, jednak po kilku miesiącach okazują się praktycznie beznadziejnymi przypadkami. Owszem, są oddziały dające lepsze bezpieczeństwo i opiekę, ale to zawsze trwa, zanim możemy kogoś tam przenieść. Przykro mi to mówić, ale czasem jest już za późno.

Ostatnią rzeczą, jaką chciałam usłyszeć, było, że Ray nie da sobie rady.

– Czyli to nie jest odpowiednie miejsce dla niego?

– Tego nie mówię. Problem polega na tym, że nie ma zbyt wielu alternatyw. Osadzony może dotrzeć do takiego momentu, kiedy już odsiedzi swoje, ale nie należy wypuszczać go na wolność. I co wtedy? – Patrzył na mnie tak intensywnie swoimi miło spokojnymi oczyma, że aż się zarumieniłam. – Przepraszam, nie dałem ci się wypowiedzieć. Jaka była twoja pierwsza reakcja?

– Było mi ciężko, czuję się z nim jakoś związana. Może dlatego, że mój syn jest tak do niego podobny...

– Ile lat ma twój syn?

– Trzy. Jego ojciec i ja nie mieszkamy razem.

Dlaczego mu o tym powiedziałam?

– To wspaniale – odparł Mo. – Nie to, że nie mieszkacie razem, nie o to mi chodziło, ale myślę, że to wspaniale, że macz małego synka.

Poczułam, że się czerwienię. Staralam się kontynuować rozmowę najnormalniej, jak tylko potrafiłam.

– Słyszałam i czytałam o Rayu różne okropne rzeczy. Ale kiedy zobaczyłam go podczas swojej wizyty, to nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby był zdolny do aż takiej przemocy. Wydawał mi się taki naiwny i niewinny.

– Myślę, że w zasadzie to jest miły facet.

– Też tak uważam. I pewnie mnie wyśmiejiesz, ale... czy to możliwe, że on jest niewinny?

– Jesteś taka urocza, zadając ciągle to pytanie.

– Widzisz? Nie traktujesz mnie poważnie.

Uśmiechnął się. Miał ładne zęby.

– Traktuję cię poważnie.

Miałam pewność, że moja twarz robi się szkarłatna. Liczyłam na to, że niczego nie zauważy.

– Nawet jeśli ze względu na ciebie bardzo bym chciał myśleć, że Ray jest niewinny, to do takich instytucji nie trafia się za nic. Ray został dokładnie przebadany przez najlepszych w kraju psychiatrów, specjalistów od kryminologii. Jeżeli oni uznali, że należy go zamknąć w zakładzie psychiatrycznym, to możesz założyć, że jest w nim coś złego.

– Wiemy, że z Rayem jest coś złego. Nie twierdzą, że jest zupełnie normalny. Ale założmy, że nastąpiła pomyłka sądowa i został skazany zupełnie niewinnie. W przypadku Raya to by oznaczało, że nie tylko trafił niewinnie do więzienia, ale potem też wylądował niewinnie w zakładzie psychiatrycznym.

W kącikach ust Mo pojawił się uśmiech rozbawienia.

– To możliwe, prawda?

Czułam się tak, jak gdyby moja już gotująca się twarz miała za chwilę wybuchnąć.



– Owszem. Teoretycznie. – Zerknął na zegarek. – Teraz cię na chwilę przeproszę i pójdę po Raya.

Może goniłam za jakąś zupełną ułudą. Bajką dla dzieci, w której łączą się rozbite rodziny i wszyscy żyją długo i szczęśliwie. Bo już sobie wyobrażałam, jak siedzę przy bożonarodzeniowym stole z Rayem, Aaronem i matką. Dlaczego nie?

Usłyszałam kroki na korytarzu, wyprostowałam się na krześle. Pod pachami czułam lepkość. Miałam nadzieję, że nie czuć ode mnie potu.

Ray wszedł pierwszy, zaraz po nim pojawili się Mo i strażnik.

Przygotowałam się na najgorsze, jednak Ray wyglądał tak samo jak ostatnio. Myślę, że chyba nawet miał to samo ubranie. Unikał mojego spojrzenia, wydawał się bardziej zainteresowany gołymi ścianami pomieszczenia.

– Mamy sobie podać ręce? – zapytałam.

– Lepiej nie – oznajmił Mo, stojący w kącie. – Jeżeli ja i strażnik będziemy mogli potwierdzić, że nie doszło między wami do żadnego kontaktu fizycznego, to Ray może uniknąć kolejnego badania na obecność narkotyków.

Jego głos brzmiał neutralnie i profesjonalnie. Oczywiście.

– Dobra. – Usiadłam.

– Ray, usiądź – polecił Mo.

Ray usiadł jak robot.

Cisza.

– Jak się masz? – zapytałam.

– Nie najlepiej. – Nadal na mnie nie patrzył, ale zaczął bawić się rękoma.

Zerknąłem przez ramię na Mo, który siedział teraz za mną. Skinął ku mnie zachęcająco głową.

– O co więc chodzi?

– Wszyscy są przeciwko mnie. Nie wiem, jak długo tak będą robić. Dopóki nie umrę?

– Ja nie jestem przeciwko tobie – powiedziałam. – Słyszysz mnie? Jestem po twojej stronie.

Przytaknął, chociaż nie wiedziałam, czy dlatego, bo zrozumiał, co mówiłam, czy po prostu rozpoznawał brzmienie mojego głosu.

– Chcę ci pomóc. Ray, pozwolisz mi porozmawiać o twojej sprawie? Czy z tobą wszystko w porządku?

Nie reagował, ale postanowiłam iść dalej.

– Przeczytałam twoje akta. I mówiąc szczerze, trudno znaleźć jakiś oczywisty trop, który mógłby pomóc w udowodnieniu twojej niewinności.

Nadal żadnej reakcji. Gorzej, Ray zdawał się już nie być świadomy mojej obecności.

– Ray? Potrzebuję twojej pomocy. Bardzo chcę reprezentować ciebie jako prawnik i złożyć apelację, ale potrzebuję twojej współpracy.

– Co?

Chociaż to była jedna sylaba, bardzo się ucieszyłam, że w ogóle odpowiedział.

– Apelację. Zwrócić się do sądu o ponowne rozpatrzenie twojej sprawy. Ale potrzebujemy nowych dowodów. Bo w przypadku apelacji obowiązek znalezienia dowodów jest odwrócony.

Po jego twarzy w ogóle nie było widać, aby mnie rozumiał. Po prostu mów dalej, pomyślałam.

– Na twoim pierwszym procesie prokurator musiał udowodnić, że jesteś winny. Teraz jest inaczej, teraz to do ciebie należy udowodnienie, że jesteś niewinny. Tyle że nie możemy wykorzystać żadnych dowodów, które już znajdują się w aktach sądowych. Potrzebujemy nowych argumentów i właśnie ich chcę zacząć szukać. Ale nie mogę, dopóki mi nie pomożesz.

– Och. – Znowu zaczął wymachiwać rękoma, tak jak czasem widywałam u podeksycytowanego Aarona. Musiałam się powstrzymać, aby go za nie złapać i nie uspokoić.

– Jeśli naprawdę jesteś niewinny, pomogę ci się stąd wydostać. Rozumiesz?

Nie mogłam się powstrzymać od zerkania na Mo. Uważnie przysłuchiwał

się naszej rozmowie.

– Tak.

– Co mówisz?

Znowu spojrzął na mnie i ujrzałam podobieństwo. Miał oczy mojej matki i Aarona.

– Chcę moje rybki.

– Uznaję to za odpowiedź „tak”.

Przytaknął.

– Przyniosłam ci kilka zdjęć rybek. Później ci je dam, ale najpierw musimy podyskutować o twojej sprawie. Możesz to zrobić? Możesz mi powiedzieć, co stało się tego dnia, kiedy zabito Rositę i Annę?

Dostrzegłam panikę w jego oczach.

– Jeśli chcesz, możemy zacząć od jakichś innych pytań.

Skwapliwie pokiwał głową. Jak mały dzieciak.

– Kim byli przyjaciele Rosity? Czy w ogóle ktoś ją odwiedzał?

– Ciągle. – Nagle w jego głosie zabrzmiała złość.

– Kto?

– Ojciec Anny.

– Victor Asscher. Wydaje mi się, że go naprawdę nie lubisz.

– Czy go lubiłem? Nie zajmował się Rositą odpowiednio. – Ogarnęła go wściekłość. Oczy aż poczerniały mu z szału i wyglądał tak, jak gdyby zaraz miał eksplodować. Teraz potrafiłam go sobie wyobrazić trzymającego nóż Början. A przecież czy ja i Mo dopiero co się nie zgodziliśmy, że w głębi duszy jest wrażliwcem?

Wyjęłam z torebki notatnik i zapisałam nazwisko. Victor Asscher.

– Dlaczego nie opiekował się Rositą odpowiednio?

– Nie kupił jej wykładziny. I nie kupił jej kanapy ani ubrań.

Stawał się coraz bardziej rozzłoszczony.

– Ray, możemy zrobić przerwę, jeśli czujesz, że za bardzo się denerwujesz. Wszystko z tobą w porządku? – zapytał Mo, stojący za moimi plecami.

– Tak – odparł.

Uniosłam brwi i chwyciłam długopis, ale wtedy sobie uświadomiłam, że nie mam dużo do zapisania. Odwróciłam się w stronę Mo.

– Będzie w porządku, jeśli będę kontynuować?

– Tak myślę.

– Dobrze. Ray, czy Victor i Rosita byli szczęśliwi? Czy im się układało?

Wzruszył ramionami i powtórzył uparcie:

– Nie zajmował się nią odpowiednio.

– A co z jego samochodem? Czy to dobrze, że pociąłeś w nim opony?

– Owszem. – Wydawał się nawet z tego dumny.

– Dlaczego?

– Żeby już nie mógł przyjeżdżać.

– Czy to coś dało?

Nie odpowiedział. Poczulałam, że brnę w ślepią uliczkę.

– A ktoś jeszcze? Na przykład ojczym Rosity, czy on ją odwiedzał?

– Czasem naprawiał jej rzeczy w domu.

– Jaki był?

Znowu wzruszył ramionami.

– Stary. I bardzo siwy. Cesał się w kucyk.

– Czy Rosita kiedykolwiek ci o nim opowiadała? Może był agresywny?

Albo miał problemy z pieniędzmi?

– Dlaczego?

– Bo Rosita odziedziczyła mnóstwo pieniędzy po swoim wujku.

– Czyli, że w końcu umarł – powiedział Ray. Dziwne, ale w jego głosie zabrzmiało jakieś zadowolenie. – Rosicie to by się spodobało.

– Mogę się założyć – odparłam. – Ale teraz jej ojczym weźmie pieniądze.

Ray zdawał się nie dostrzegać związku. Tak naprawdę wydawał się bardzo zmieszany. Postanowiłam na razie pominąć tę sprawę.

– Czy miała jakichś przyjaciół?

– Nie.

– Każdy ma co najmniej jednego albo dwóch przyjaciół.

– Ja nie mam.

Przyszło mi do głowy, że w zasadzie ja również nie mam zbyt wielu

przyjaciół. Najwyraźniej ani ja, ani Ray nie odziedziczyliśmy towarzyskiego genu mojej matki. Nie dla nas były wyjścia z przyjaciółmi na golfa, do klubów, na wspólne kolacje, albo niekończące się rozmowy przez telefon. Próbowałam. Na studiach wstąpiłam nawet do korporacji akademickiej. Paradowałam w granatowej kamizelce, którą nosiły wszystkie moje koleżanki z korporacji. Później sama myśl o tym sprawiała, że aż się wzdrygałam. Ale wtedy było widać, że gdzieś przynależę. Powinnam się przez to czuć dobrze, jednak głównie pamiętałam ciągle zagrożenie: jeden fałszywy krok i wylatujesz.

– Ktoś jeszcze?

– Nie.

– To ułatwia sprawę.

– Co masz na myśli?

– To, że nie muszę przesłuchiwać mnóstwa ludzi, aby się zorientować, jakim człowiekiem była Rosita.

– Och.

– A teraz może coś o niej i o tobie? Byliście dobrymi przyjaciółmi.

Twarz Raya pociemniała, wyduł wargi.

Po odczekaniu kilku sekund postanowiłam spróbować raz jeszcze.

– Czy w ogóle byłeś kiedyś u niej w domu?

– Tak.

– I co tam robiliście?

– Rozmawialiśmy.

– O czym?

Wzruszył ramionami.

– O różnych rzeczach.

Westchnęłam i spojrzałam na zegarek.

– Tak nigdzie nie dotrzemy Ray. Rozumiem, że ci bardzo ciężko mówić o Rosicie. Ale jeśli chcesz, żebym ci pomogła, musisz się przede mną otworzyć i od czasu do czasu coś powiedzieć.

Schowałam notatnik z powrotem do torebki i pomyślałam: Dobrze, to tyle. Może sobie wrzeszczeć, że jest niewinny, ile tylko zechce, ale jeśli odmawia

mi podania czegokolwiek, na czym mogłabym oprzeć apelację, to już skończyliśmy. Bo co ja powiem Lawrence'owi? On wygląda na takiego miłego faceta.

– Ja naprawdę tego nie zrobiłem – powiedział nagle. – Tylko ja nie jestem dobry w opowiadaniu o takich rzeczach. O Rosicie i o A... – Głos mu się załamał. – Bo to jest o uczuciach, a ja nie jestem dobry w uczuciach.

Zamknęłam oczy. On po prostu nie wiedział, jak mi to powiedzieć.

– Naprawdę jesteś pewien, że ich nie zabiłeś? Nawet przypadkowo?

Pokręcił przecząco głową.

– One już nie żyły. Przysięgam.

Wpatrywałam się w niego i miałam wrażenie, że ze wszystkich sił stara się odwzajemnić moje spojrzenie. Może właśnie dlatego mu uwierzyłam. To było tylko takie przeczucie, na niczym nie oparte, jednak w tej właśnie chwili wierzyłam, że mówi prawdę.

– Dobrze – oznajmiłam. – To na tym dzisiaj skończymy. Wrócę pojutrze, a wtedy naprawdę musimy porozmawiać o dniu, w którym umarła Rosita. W porządku?

Odparł „tak” i poprosił o zdjęcia rybek.

– Oczywiście – powiedziałam, wręczając je strażnikowi. – Rybki mają się dobrze, a matka przyniosła nowy odpieniacz białek.

– Gdzie są Hannibal i King Kong?

Bałam się, że zada to pytanie.

– Nie ma ich na żadnym zdjęciu? – zapytałam tchórzliwie.

Pokręcił głową.

– Tak mi przykro. Następnym razem przyniosę ich zdjęcia. Obiecuję, dobrze? Jak mogłabym mu powiedzieć, że nie żyją?

– Świetna robota – powiedział Mo. – Naprawdę, dobrze poszło.

Kluczyliśmy niekończącymi się korytarzami instytutu.

– Tak myślisz? Z gipsowymi krasnalami łatwiej się rozmawia niż z nim.

– Psychiatrze też niewiele powiedział. Nie jest specjalnie wylewny.

– Chciałabym móc się zapytać matkę, czy zawsze taki był. Ale ona nie chce o nim rozmawiać.

– To nic nadzwyczajnego. Większość naszych pacjentów ma trudne relacje z rodzinami. Często pojawia się w tym wszystkim za dużo wstydu. Po obu stronach.

Pomyślałam o swojej matce. Potrafiłam zrozumieć, że wstydziła się, że nie radzi sobie z synem. Jednak nie pojmowałam, dlaczego tak radykalnie zmieniła swoje życie po oddaniu Raya do poprawczaka. Po prostu go wymazała i zaczęła wszystko od nowa.

– Milczysz – zauważył Mo. Prawie już dotarliśmy do wyjścia.

– Muszę przemyśleć mnóstwo rzeczy.

– Wiem. Nie dość, że nagle masz brata, którego chciałabyś lepiej poznać, to myślę, nie wiesz też, kim naprawdę jest twoja matka.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Zgadza się.

– Jeśli zechcesz o tym porozmawiać, to wiesz, gdzie mnie szukać.

# RAY

Zszedłem po schodach do salonu. Rosita siedziała na kanapie, oglądając telewizję i obejmując Annę ramieniem. Patrzyły się na takie żółte, podobne do królika stworzenie, które nawet nie mówiło normalnie. Nie potrafiłem już tego wytrzymać, tego Pick-hatchoo, czy jak to się tam nazywało, a także jego denerwujących koleżków o wielkich, wyłupiastych oczach. Dostawałem przez nich bólu głowy.

Kiedy dotarłem do podnóża schodów, po prostu tam przystanąłem, nie wiedząc co dalej. To, co zrobiła Rosita, nie było normalne. Miałem pewność. Mogła sobie nazywać mnie „głuptasem”, jeśli tylko chciała, jednak to, co ona zrobiła, było totalnie powalone. Powinienem coś jej powiedzieć. Powinienem się zapytać, jak się ma? A może być zły? Nie wiedziałem.

Pomyślałem o tym, co Margaret mówiła mi kiedyś w piekarni:

– Powinieneś kierować się tym, co czujesz głęboko w środku – mawiała. – Tam w środku wiesz najlepiej.

Tym, co mówiły mi moje uczucia w środku, było, że boli mnie penis. Co, do licha, to oznaczało?

Zerknąłem na zdjęcie nagiej Rosity. Teraz jeszcze bardziej mnie martwiło i kłopotąło, bo już wiedziałem, co kryje się między jej nogami.

– Ray? – zapytała Rosita, nie odwracając się, aby na mnie spojrzeć. Jej głowa nawet nie drgnęła. – Myślę, że powinieneś już iść do domu.

W telewizji to kolczaste, żółte coś oraz jego biali kumple o różowych policzkach walczyli właśnie ze smokiem. Strzelali błyskawicami z koniuszków palców.



Otworzyłem usta, moje wargi się poruszyły, jednak głos, który z nich się wydobył należał do mojej matki:

– Patrz na mnie, kiedy do mnie mówisz!

– Co proszę?

Ludziom należało patrzeć w oczy. Tak właśnie trzeba było robić. Wbijano mi to do głowy, od kiedy byłem mały, kiedy jeszcze mieszkałem w domu rodzinnym. Psychiatra w szkole powtarzał mi to samo. Nawet Rosita.

– Słyszałaś mnie.

– Hej, wyluzuj! – Teraz się odwróciła i spojrzała na mnie. Uderzyło mnie, że była teraz nawet bledsza niż wtedy, gdy zaczęła ściągać majtki... Nawet wargi miała białe.

– Złapałaś mnie za podbródek, gdy kiedyś zapomniałem na ciebie patrzeć. A teraz po prostu siedzisz i gdy ze mną rozmawiasz, to patrzysz na te głupie Pokemony.

– Złapałam cię za podbródek, żebyś przestał się gapić na moje cycki.

Przez chwilę milczała. Potem westchnęła.

– Ray, przykro mi, nie powinnam pozwolić, żeby coś takiego się wydarzyło. Proszę, po prostu idź do domu. Jutro spotkamy się na kawie i znowu wszystko będzie normalnie.

– Nie pójdę.

Rosita odwróciła się całym ciałem, o mało nie strącając Anny. Jej oczy wwierciły się w moje. „Oczy to zwierciadło duszy”, kolejna rzecz, jaką powtarzała Margaret. Ale teraz nie widziałem żadnej duszy. Widziałem tylko matowy brąz.

Nawiązywanie kontaktu wzrokowego zawsze stanowiło dla mnie duży problem, ale tamtego dnia mógłbym wpatrywać się godzinami. A może i nawet minęły wówczas godziny.

W końcu wygrałem.

– Proszę bardzo. Stój tam, gdzie stoisz, jeśli masz ochotę. Przekonaj się, czy mnie to obchodzi. – Rosita odwróciła się z powrotem do telewizora i podkręciła dźwięk.

Zasłoniłem uszy. Piskliwie głosiki tego Pik-hathoo i jego koleżków

doprowadzały mnie do szaleństwa – tak jak towarzysząca im muzyka, której też nie potrafiłem znieść.

Spojrzałem przez okno, aby zacząć myśleć o czymś innym. Na zewnątrz było już ciemno, ale podwórko oświetlały uliczne lampy. W dalekim zakątku dostrzegłem niewielki wodospad. Woda wpadała do sadzawki na tyle płytkiej, aby mogły w niej pluskać się ptaki i żeby Anna się w niej nie utopiła.

Przypomniało mi się lato. Wtedy pracowałem w jej ogrodzie codziennie po przyjsciu z piekarni, nie zwracając uwagi na bolące plecy. Chciałem, aby dla Rosity był doskonały. Chciałem, żeby wyglądając na zewnątrz, nie czuła się taka smutna. Chciałem być blisko niej. Zwykle siedziała w środku, ale przy ładnej pogodzie wychodziła na zewnątrz i w bikini opalała się na leżaku. To były najlepsze dni.

Kiedyś, unosząc wzrok, zobaczyłem moją matkę, stała dokładnie na podwórku Rosity. Sadząc krzewy, usłyszałem jej głos.

– Ray, co ty tutaj robisz?

Tak mnie zaskoczyła, że szpadel wypadł mi z ręki, upadając z grzechotem.

– Nie powiedziałaś mi, że przychodzisz.

– A czy muszę mówić? Dlaczego nie jesteś u siebie w domu?

– Bo pomaga mi w ogrodzie – oznajmiła Rosita, która wyszła na zewnątrz.

– Może pani też by pomógł, gdyby znał pani adres.

Miała na sobie krótkie szorty i taki wielki, słomkowy kapelusz. Mówiła, że tak było „totalnie w stylu J.Lo”, cokolwiek miała na myśli.

– Będzie miała pani coś przeciwko, jeśli porozmawiam z synem na osobności?

Rosita oparła dłonie na biodrach.

– Teraz jest zajęty. A to jest moje podwórko, więc...

– Chodź – poleciła mi matka. – Nie mam czasu.

– Ja mam czas – odrzekła Rosita. – Zawsze chciałam zapytać panią o to, jakby to powiedzieć, nieortodoksyjne rodzicielstwo.

– Jasne! Nie sądzę, żeby czterolatka siedząca całe dni przed telewizorem i nadal jeżdżąca na wózku stanowiła przykład dobrego podejścia do

wychowania dzieci.

– Wydaje się pani dobrze poinformowana – oznajmiła Rosita. – Świetnie. Widzę, że Ray mówi pani o wszystkim. Jednak chciałabym wiedzieć, dlaczego pani ledwie zadaje sobie trud, aby się z nim widywać. Biedak nawet nie wie, kto jest jego ojcem. O co tu chodzi?

– Absolutnie nie jestem zainteresowana kontynuowaniem tej rozmowy. Może powinna pani znaleźć sobie jakąś pracę, zamiast mieszać się do cudzych spraw. Ray, idziemy.

Miałem już odłożyć szpadel do schowka i ruszyć za matką, ale Rosita mnie zatrzymała.

– Zgłupiałeś? Chcę, żeby twoja matka mi odpowiedziała. Dlaczego on nie ma pani adresu ani numeru telefonu? Dlaczego?

– Ray. – Znałem ten głos. Był to ton Ostatniego Ostrzeżenia. Jeżeli teraz nie posłucham, dostanę lanie. Matka często musiała mnie łąć, nawet jeśli starałem się ze wszystkich sił.

– Ray, doprowadzasz mnie do szału! – zawołałaby matka. – Co ja mam z tobą zrobić?

W internacie uczyłem się samokontroli. Ćwiczyliśmy ze stoperem. Rysowałem obrazki, ale kiedy zapiszczał stoper, musiałem natychmiast przestać. Potem mogłem rysować dalej. Następnie stop i jeszcze raz zaczynałem. I znowu stop. I tak na nowo, na nowo i na nowo.

– Nigdzie nie idziesz – powiedziała Rosita. – Nigdzie nie idziesz, dopóki ona mi nie odpowie. Słyszysz mnie?

Spojrzałem na matkę, potem na Rositę, a potem znowu na matkę. Obie były wściekłe. Miały ściągnięte brwi, zaciśnięte wargi. Co ja miałem robić? Metoda „na stoper” okazała się nieskuteczna. Jak miałem wybrać?

Potrafiłem wymyślić tylko jedno. Uciekłem. Pognałem do salonu, gdzie Anna powitała mnie radosnym „Ray”, następnie korytarzem, drzwiami, na ulicę. Biegłem aż do piekarni, tam klapnąłem na ziemię obok kontenera na śmieci i siedziałem tak aż do trzeciej rano, kiedy mogłem zacząć swoją zmianę.

Dopiero gdy następnego popołudnia wróciłem do domu, uświadomiłem

sobie, że zapomniałem zająć się rybkami. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy przydarzyło mi się coś takiego. Wypowiadałem imiona, dopóki się nie uspokoiłem. Potem mi przeszło i przyniosłem Annie magdalenkę.

Przez kilka tygodni matka nie dawała znaku życia. Kiedy w końcu znowu przyszła, prace w ogrodzie były już zakończone i zastała mnie tam gdzie zwykle, przy oknie w kuchni, za czerwoną kotarą. Nigdy nie wiedziałem, czy się cieszy z tego, że mnie widzi.

Matka weszła do środka, rozłożyła nowy obrus na stole, przełożyła poduszki na sofie i przestawiła jedną z roślin. Potem oznajmiła, że chciałyby się napić herbaty. Gdybym wiedział, że przyjdzie, przyniosłbym do domu kilka *tartelettes*. Jedynym, co mogłem jej podać, była wczorajsza brioszka. Posmarowałem bułkę masłem i czekałem na jej reakcję.

Ugryzła i przeżuła, nawet o jotę nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Ta kobieta nie jest dobra – oznajmiła, z ustami pełnymi brioszki. – Ona cię po prostu wykorzystuje. Nie widzisz, że ona doprowadza cię do szaleństwa? Potem wyssie cię i cię wyrzuci. Wtedy znowu dostaniesz załamania nerwowego i trafisz do kolejnego zakładu. Chyba tego nie chcesz, prawda?

– Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, to jesteśmy prawie rodziną.

– Ja jestem twoją rodziną. Słyszysz Ray? Ja jestem twoją rodziną i nikt inny.

– Ale ty się ode mnie odwróciłaś.

To był pierwszy raz, kiedy powiedziałem matce coś takiego.

– Słucham? – Milczała przez chwilę, potem cała poczerwieniała. – Nie waż mi się tego więcej mówić! Myślisz, że dlaczego tutaj jestem? Dlaczego w ogóle ciągle tutaj jestem? – Po jej policzku potoczyła się łza. – Ray, kocham cię. Nie zapominaj, że tylko ja ciebie naprawdę kocham.

Stojąc z rękoma na uszach, na dole schodów Rosity i nie wiedząc tak naprawdę dlaczego, zastanawiałem się, czy matka miała rację. Wpatrywałem

się w tył głowy Rosity – oglądała teraz coś innego, jakiś głupi talk-show – i przepełniała mnie chęć, aby ją uderzyć. I znowu przypomniałem sobie, co mówiła Margaret. „Słuchaj tego, co masz głęboko w sobie”. Jednak wiedziałem, że to złe, kogoś uderzyć. Może i nie byłem normalny, ale nie byłem wariatem.

Zdjąłem dłonie z uszu i oznajmiłem:

– Muszę zająć się rybkami.

Nikt mi nie odpowiedział, więc po prostu wyszedłem. Nawet nie zamknąłem za sobą drzwi. Niech ona to zrobi.

# IRIS

**W**iedziałaś, że gdyby Rosita żyła, to zostałaby milionerką? – zapytałam matki.

Stała właśnie w kuchni, przygotowując zapiekankę. Aaron siedział na sofie (oczywiście znowu osłoniętej pokrowcem), przyglądając się rybkom. Z Utrechtu przysłali wiadomość, że śmierć King Konga i Hannibala została spowodowana przez jakiś nieznany organizm. Wysłali ekipę, żeby pobrała próbki wody i przyjrzała się rybkom. Najwyraźniej takie zejścia były dosyć rzadkim zjawiskiem w świecie rybich zgonów.

Moja matka maniakalnie kroїła gotowane ziemniaki w precyzyjne plastry i układała je w naczyniu żaroodpornym, przekładając warstwami bakłażanów i pomidorów. Często przyrządzała to danie. Przypominało trochę musakę, jednak ona zaprzeczała wszelkim podobieństwom.

– Najwyraźniej matka Rosity miała wujka w Anglii, który zbił majątek na biznesie drobiarskim. Zostawił Rosicie dwa miliony funtów.

– Właśnie to nazywa się szczęściem głupiego – stwierdziła matka cierpko.  
– Nie możemy porozmawiać o czymś innym?

– Nie, a dlaczego?

Matka szybkimi, wściekłymi ruchami rozsypywała na zapiekance starty ser.

– Jeszcze nie skończyłyśmy o tym rozmawiać – kontynuowałam. – Dopiero co zabrałam się do tej sprawy, a już zaczęły wychodzić na jaw intrygujące fakty. Chcesz wiedzieć, kto dziedziczy dwa miliony funtów po Rosicie? Możesz zgadywać trzy razy.

Matka wsunęła zapiekankę do piekarnika i zatrzasnęła drzwiczki.

– Nie jestem w nastroju na zgadywanki i nie jestem w nastroju na tę rozmowę.

– Jej ojczym. Normalnie odziedziczyłaby córeczka, Anna. Ale ona też nie żyje. Kolejnym spadkobiercą byłaby matka Rosity. Także nie żyje. I kto został? Ojczym Rosity. On i jej matka byli małżeństwem, więc wszystko przechodzi na niego! Kupa forsy!

– To za niego wyjdź.

– Mamo, bliżej mu do twojego wieku niż do mojego, próbuję ci tylko pokazać, że ktoś skorzystał na śmierci Rosity. Nawet przyznając, że mało prawdopodobne jest, iż to nie Ray ją zabił, to jednak nadal sądzę, że jesteśmy mu winni przyjrzenie się całej sprawie.

Moja matka weszła do salonu. Nagle bardzo ją zajęło układanie zabawek Aarona.

– Po prostu chcę się dowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło. Masz do mnie o to żal?

Matka posłała mi zirytowane spojrzenie i zaczęła wrzucać garści klocków Lego do specjalnego kubelka.

Przyklękłam obok, aby jej pomóc.

– Co ty w ogóle wiesz o tej Rosicie?

– Iris... Mam już dosyć. Po raz ostatni proszę cię, zmień temat.

– No dalej, pomóż mi z tym. Proszę powiedz, czy ją kiedyś spotkałaś? Z tego, co mówiła sąsiadka z naprzeciwka, to nawet często pojawiałaś się u Raya.

– Kilka razy ją widziałam.

– I co?

– Co chcesz, żebym ci powiedziała? Sprytna, mała suka. Taka właśnie była. Dokładnie wiedziała, jak dostać od Raya to, czego właśnie chce.

– Na przykład?

Matka wstała, wzdychając ze złością.

– Dopiero co mówiłam, że nie jestem w nastroju na takie wypytywanie. Jeżeli wszystkim, co chcesz robić, jest marudzenie o Rayu, to lepiej, żebyś

już tutaj więcej nie przychodziła.

Otworzyła kredens i wyciągnęła naczynia.

– Rozumiem, że ciebie denerwuje to, że cię wypytuję. Ale nie możesz mi chociaż wyjaśnić, dlaczego nigdy mi nie mówiłaś o Rayu? I dlaczego nie chciałaś mieć z nim nic wspólnego? Przecież on wciąż jest twoim synem...

Matka gwałtownie odwróciła się w moją stronę.

– Iris, nie jestem ci winna żadnych wyjaśnień. Nie masz pojęcia, co ja przeszłam z Rayem. Nie masz pojęcia.

– To spraw, żebym miała pojęcie. Bo możesz mi wierzyć, będę cię męczyła, dopóki nie uzyskam odpowiedzi!

Matka westchnęła demonstracyjnie.

– No, przez co przeszłaś? Jaki Ray był w dzieciństwie?

Matka oparła dłonie na biodrach.

– Ray był jak rozpędzony pociąg, którego nie dawało się zatrzymać, nawet przy najlepszych chęciach. Po prostu nie dawałam sobie z nim rady. Był nie do wytrzymania. Zawsze wszystko psuł, robił kupę po całym domu, nawet jak już miał osiem lat, no i w końcu potrafił też przez całe godziny walić głową o ścianę. – Sypała faktami, jak gdyby miała je wyuczone na pamięć.

– Mamo, to musiało być dla ciebie okropne.

Naprawdę tak myślałam.

Ściszyła głos.

– Nawet nie potrafiłam przewidzieć, co wywoła u niego atak. Nagle wydawał z siebie ten rozrywający uszy wrzask i wrzeszczał tak długo, aż prawie dostawałam szału. To było jak życie z jakimś dzikim zwierzęciem. Chociaż potrafił też być bardzo słodki. Siadał i godzinami bawił się klockami Lego. Lubił też rysować. Piękne rysunki ptaków i statków kosmicznych, niesamowicie szczegółowe. Ale kiedy mówiłam mu, że już czas odłożyć kredki, to dostawał amoku.

Spojrzałam na Aarona, który wciąż przyglądał się akwariom takim pustym, nieobecny spojrzeniem. Potrafiłam go sobie wyobrazić, jak wędruje w kosmos, daleko poza Drogę Mleczną, wśród miliona dalekich słońc i orbitujących księżyców.



– A potem te wszystkie problemy z innymi dziećmi. Codzienne bójkę. Bo drażnienie Raya zawsze przenosiło wspaniałe efekty. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jaki on potrafi robić się agresywny. I nawet nie chcesz wiedzieć, ile razy musiałam się przez niego korzyć i mówić, jak mi przykro. „Powinnaś być dla niego bardziej surowa”, słyszałam od dziadka. „Dyscyplinuj go, zlej go porządnie, jeśli nie chce słuchać”. I od sąsiadów: „Samotna matka, nie ma pojęcia, jak sobie radzić”. Karałam go, wrzeszczałam na niego, błagałam, szlochałam, przekupywałam, ignorowałam, dawałam klapsy, biłam, biłam mocno, nawet za mocno... To był koszmar.

W opowieści mojej matki było coś niepokojąco znajomego. U mnie też wywoływano poczucie, że nie umiem wychowywać dziecka, mimo tych wszystkich porad, udzielanych przecież w dobrej wierze.

– Kiedy tego wszystkiego było już dla mnie zbyt wiele, wysłałam go do poprawczaka, do szkoły z internatem dla trudnych dzieci. To było – matka z trudem przełknęła ślinę – po tym, jak zabił psa.

Usłyszeć to od matki to było co innego, niż od detektywa de Wintera. Potrafiłam wyczuć zgrozę, wstyd i frustrację kryjące się za jej słowami. Jak ja bym się czuła, gdyby Aaron coś takiego zrobił?

– Zabił psa sąsiadów – ciągnęła matka. – To było straszne. Wystarczająco straszne było już to, że był zdolny zabić. Ale jeszcze bardziej martwił fakt, że w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że zrobił coś złego. Właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że Ray stanowi zagrożenie dla społeczeństwa. I że już dłużej nie mogę za niego odpowiadać. – Posłała mi drżący uśmiech. – No i proszę, powiedziałam ci.

Ja i matka rzadko kiedy się dotykałyśmy. Jednak teraz, pod wpływem impulsu, objęłam ją i przez chwilę się przytulałyśmy. To była niezręczna chwila, ale jakoś przez nią przebrnęłyśmy.

– Co wy robicie? – zapytał Aaron z sofy.

Szybko się od siebie odsunęłyśmy, jak gdyby przyłapano nas na czymś gorszym.

– Kochanie, niedługo będzie kolacja – oznajmiła moja matka, podchodząc

do Aarona i przeczesując mu włosy dłonią. Zawsze mnie zdumiewało, że tak łatwo przychodzi jej okazywanie czułości wnukowi, w przeciwieństwie do wyraźnej trudności, jaką miała pod tym względem w stosunku do mnie. – Jak tam rybki?

– Wenus się dziwnie zachowuje – stwierdził Aaron.

Wenus była brazylijskim strzępielem: fuksjowa od przodu i jaskrawożółta z tyłu. Razem z Orzeszkim, swoim towarzyszem, większość czasu spędzała w grocie, takim plastikowym czymś ozdobionym koralem i anemonami. Mimo jaskrawych barw Wenus była małą rybką, łatwą do przeoczenia.

Teraz pływała przy samej powierzchni, pyszczek miała szeroko otwarty. W tej samej pozycji, w jakiej znalazłam King Konga. Wciąż żyła, ale pozostawało pytanie, jak jeszcze długo.

– Boże, te przekłete ryby – powiedziała matka. – Co teraz zrobimy?

– Wsypujemy antybiotyki do wody?

Matka pokręciła głową i podeszła do stolika.

– Po prostu sobie zanotuję, żeby jutro zadzwonić do Utrechtu, bo inaczej zapomnę. Gdybym nie miała głowy przytwierdzonej do tułowia, to teraz pewnie bym zapomniała jej zabrać. Ostatnio bardzo trudno mi się skupić.

– Ray chętnie znowu by się nimi zajął.

– Jak sobie to wyobrażasz? To ogromne akwarium w jego celi? – Matka odłożyła wieczne pióro, takie eleganckie, złote.

– Możliwe, że w niedalekiej przyszłości wyjdzie na wolność.

– Nadal się upierasz, aby zajmować się tym śmiesznym nonsensem?

– Tak.

– Wiesz, że to bezcelowe.

– Mamo, większość spraw, którymi się zajmuję, jest bezcelowych.

Usłyszeliśmy „dzyń” dochodzące z kuchni. Nie-całkiem-musaka była gotowa.

# RAY

**C**zy będzie dobrze, jeśli usiądę obok ciebie? – Jeannie patrzyła na mnie, usiłowała być przyjacielska. Unosiła kąciki ust, a oczy nieco zmrużyła.

Wszyscy na nas patrzyli. Jeannie powinna zostawić mnie w spokoju. Czy ona nie rozumiała, że nie chcę z nią rozmawiać? Z nikim nie chciałem rozmawiać, oprócz Iris Kastelein, która powiedziała, że jest moją siostrą, i może oprócz Mo, któremu ufałem, bo musiałem komuś zaufać. Jednak Mo siedział teraz obok Jamala.

Może jeszcze moja matka byłaby kimś, z kim mógłbym rozmawiać. Minęło bardzo dużo czasu, od kiedy widziałem ją ostatni raz. Wtedy odwiedziła mnie w więzieniu. Powiedziała:

– Ray, nie oszukuj się. Lepiej, że tutaj jesteś. Przynajmniej nie muszę się już o ciebie martwić.

Nic nie mówiłem, więc Jeannie uznała, że wolno jej siedzieć obok mnie. Zrobiłem sobie kanapkę z wątrobianką. Posiłki zwykle kończyły się tak, że jadłem akurat to, co trafiło na mój skraj stołu, nawet jeśli jedyną rzeczą, którą uznawałem za możliwą do przyjęcia, okazywał się czekoladowy krem do smarowania pieczywa.

– Jesteś na mnie zły, prawda?

Przytaknąłem z ustami pełnymi chleba.

– Wiem, że to żadne usprawiedliwienie, ale naprawdę było mi przykro wysłać cię do izolatki. Jednak wpadłeś w taki szal, że nie miałam wyboru.

Wyjrzałam przez okno, mając nadzieję, że Jeannie zrozumie aluzję i przestanie się do mnie odzywać. Na murze siedział mały rudzik. Rzadko się

tutaj takie widywało, zresztą rzadko widywało się tutaj ptaki, nawet na dziedzińcu. Najwyraźniej nie chciały tu być.

Pomyślałem o własnym podwórku, gdzie zawsze roiło się od wróbli, sikorek i rudzików. Potem pomyślałem o rybkach. Naprawdę, bardzo, ale to bardzo chciałem odzyskać swoje rybki.

– Słuchasz mnie?

W myślach widziałem Wenus, Saturna, King Konga i François płynących prosto na ścianę akwarium. Za każdym razem, kiedy ich pyszczki uderzały w przejrzystą barierę, słyszałem ciche „stuk”.

– Ray?

Stukot robił się coraz głośniejszy, a rybki przepływały mi przez głowę. Chciały na zewnątrz. Na zewnątrz.

Nie mogłem powstrzymać się od krzyku. A może wylem? Wiedziałem tylko, że z mojego gardła wydobywa się jakiś straszliwy dźwięk.

– Uspokój się. – Usłyszałem, jak z oddali mówi do mnie Jeannie. Położyła mi dłoń na ramieniu, ale ją strąciłem. Nie chciałem, żeby ktoś mnie dotykał, a zwłaszcza żeby ona mnie dotykała.

Uruchomił się brzęczyk. Ten sam brzęczyk, który brzmiał, zawsze kiedy dochodziło do bójki albo Rick zaczynał czymś rzucać w telewizor. Po kilku chwilach drzwi się otworzyły i na salę wpadło dwóch ochroniarzy.

Wykręcili mi ręce za plecy, zmuszając, abym się pochylił. Na stół zaczęły spadać wielkie krople wilgoci. Spadały z moich oczu. Płakałem. Właśnie tak. To się robi, kiedy czuje się smutek. Uświadomienie sobie tego w jakiś dziwny sposób mnie uspokoiło. Już nie wrzeszczałem, tylko chlipałem.

– Wstawaj! – Jeden ze strażników szarpnął mnie za ramię. Bolało. Bardzo. Musiałem zrobić to, co mi kazali.

– Czekajcie. – Mo podszedł do nas i zaczął wymachiwać mi czymś przed twarzą. To była biała chusteczka. – Ray, chcesz wytrzeć sobie nos?

Przytaknąłem.

– Puśćcie go na chwilę, dajcie mu wytrzeć twarz.

Strażnicy zrobili to, co kazał im Mo.

Wziąłem od niego chusteczkę, otarłem oczy i wydmuchałem nos. Kręciło

mi się w głowie, ale przestałem płakać.

– Myślę, że już się uspokoił – powiedział Mo do strażników. – Możecie go tutaj zostawić. Wątpię, żeby trzeba było zabierać go do izolatki. Ale dzięki za pomoc.

– Mo – odezwała się Jeannie tonem, którego nie potrafiłem zinterpretować.  
– Co ty robisz?

– Później ci wytłumaczę.

Strażnicy wyszli. Wszyscy milczeli. Potem Rembrandt zawołał:

– Brawa dla Mo!

Wszyscy zaczęli klaskać.

Czułem się trochę tak, jak gdyby oklaskiwali także mnie.

Mo pozwolił mi przez resztę dnia zostać w celi, żebym doszedł do siebie. Drzwi nie były zamknięte, mogłem wyjść, kiedy tylko chciałem. Przez jakiś czas przyglądałem się nowym fotografiom rybek. Przypiąłem je obok innych. Jednak najpierw posortowałem w kolejności alfabetycznej, a następnie według koloru.

Rozmyślania o różnych sposobach sortowania zdjęć rybek okazały się tak czasochłonne, że postanowiłem nie iść na kolację. Mo zaproponował, że przyniosą mi jedzenie do celi, ale nie byłem głodny.

– Dobrze, ale jutro wracasz na regularne posiłki – oznajmił Mo i zostawił mnie samego.

Ponad godzinę później rozległo się pukanie do drzwi. To był André.

– Dobry wieczór, Ray.

Szybko pozdejnowałem fotografie ze ściany. Nigdy nie było wiadomo, co planuje André.

– Chciałem tylko powiedzieć, że przyszedłem na swoją zmianę, po Mo.

– Dobrze.

Czekałem, aż sobie pójdzie. Ale on wszedł do celi i zamknął za sobą drzwi. Mocno chwyciłem dłońmi krawędź łóżka, aby powstrzymać się od wymachiwania nimi.

André usiadł obok.

Trochę się od niego odsunąłem, cały czas trzymając się ramy łóżka, tak samo mocno, jak trzymałem dłoń matki, kiedy prowadziła mnie do poprawczaka, gdy miałem dziewięć lat. „Patrz Ray, stół do ping-ponga. Będziesz się tutaj dobrze bawił”.

– No więc – powiedział.

– Więc – powtórzyłem.

– Wszystko w porządku?

Pokiwałem głową.

– Doszedłeś do siebie po pobycie w izolatce?

Przytaknąłem ponownie.

– To dziwne, prawda, te narkotyki w twoim pokoju? – Pracownik socjalny podrapał się po brodzie. – Masz jakiś pomysł, skąd się tam wzięły?

Pokręciłem głową.

– Nie masz?

– Nie.

– Jesteś pewien?

Przytaknąłem.

– Świetnie. – Wstał, otworzył drzwi, ale chyba zmienił zdanie. – I w ogóle nikt z tobą o tym nie rozmawiał?

Pokręciłem głową, ale w tej właśnie chwili uświadomiłem sobie, że to nieprawda. Ktoś ze mną o tym mówił. Rembrandt.

André ponownie zamknął drzwi.

– Nie wydajesz się tego jakiś bardzo pewien. Zastanów się jeszcze raz.

Puściłem ramę łóżka. Natychmiast dłonie zaczęły latać mi jak szalone.

– Zostaw mnie samego! – krzyknąłem.

Zadźwięczał brzęczyk, sygnał, że drzwi od celi zostaną zamknięte na noc.

André zamrugał zza swoich szkieł.

– Boelens, mam na ciebie oko. Nie próbuj niczego głupiego, dobra?

Wyszedł z celi.

W przeciwieństwie do wszystkich innych nocy, tej nocy zamknięcie w celi było niczym wybawienie.



# IRIS

**N**azwisko Oskara Koola nie pojawiało się w aktach sprawy, jednak musiał być bardzo dobrze znany Rosicie, a w dodatku miał motyw – nawet jeśli swój cel osiągnąłby dopiero po wielu, wielu latach.

Ray całkiem trafnie go opisał. Kool, chociaż dawno skończył sześćdziesiątkę, nosił włosy długie z tyłu, a krótkie z przodu. Jego skóra miała taki pergaminowy wygląd, charakterystyczny dla kogoś, kto całe życie palił papierosy. Kiedy go znalazłam, był akurat na podwórku i rąbał drewno.

– I jak, słyszał pan już wieści?

Nie zareagował. Nie powiedział ani „tak”, ani „nie”, lecz po prostu spoglądał na mnie ponuro, ściskając siekierę.

– Z tego co wiem, dostanie pan niezły spadek. Wie pan?

– Czego pani ode mnie chce? Jeśli chce pani jakiś zasilek, to mogę od razu pani powiedzieć, że przyszła pani pod zły adres.

Zamachnął się siekierą i rozrąbał kłodę potężnym uderzeniem, obsypując moje palto drzazgami. Cofnęłam się o krok.

– Przyszłam porozmawiać o Rosicie i Annie. Jestem prawnikiem Raya Boelensa.

– Raya Boelensa.

– Zna go pan, prawda?

– Miły chłopak.

Poczułam, że moja twarz jaśnieje.

– Miły chłopak? – powtórzyłam.

Cały czas miałam nadzieję, że wreszcie usłyszę o Rayu coś pozytywnego,



taką nadzieję, jaką ma porzucony kochanek wyczekujący przy telefonie, chociaż powinien już od dawna wiedzieć, że nic z tego. I oto proszę – telefon jednak zadzwonił.

– To prawda. Dopóki do nich nie poszedł i nie zadźgał ich na śmierć.

– Racja.

Jednak pomyłka. Znowu nie to.

Kool mieszkał w niewielkim domu na wsi, chociaż może lepszą nazwą byłaby „rudera”. W dachu były dziury, a drewno aż prosiło się o malowanie. Podwórko zagracały maszyny, które wyglądały tak, jak gdyby nikt nie tykał ich od lat sześćdziesiątych.

Kool położył na pieńku następną kłodę i opuścił na nią siekierę. Moją uwagę zwróciło to, jakie błyszczące i zadbane było narzędzie, w porównaniu z innymi sprzętami w obejściu i brudnym kombinezonem Koola. Kłoda rozpadła się na pół.

– Jest pan jedną z pierwszych osób, które powiedziały o nim cokolwiek pozytywnego.

I znowu milczał.

– To jednak jest niezwykle. To znaczy niezwykle jest, że właśnie pan nazwał Raya Boelensa miłym chłopakiem – spróbowałam raz jeszcze.

– Nie powinien robić tego, co zrobił. Co do tego nie ma dyskusji. Ale ona go robiła w konia. Tak samo jak jej mamusia. Obie dobrze wiedziały, jak wyssać faceta do cna.

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Jednak Koolowi nagle rozwiązał się język.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. To były dobre kobiety, obie. Ale trzeba było wiedzieć, jak z nimi się obchodzić. Jak z bezpańskim psem. Nigdy nie wiesz co dostaniesz. Czy będą cię kochać, czy zamierzają cię porzucić, czy ugryzą cię, czy polizną dłoń. Znosi się na mroźną zimę. – Zmienił temat, nie robiąc pauzy. – Wszyscy mówią, że na Ziemi coraz cieplej, ale kości mówią mi coś zupełnie innego.

– Ma pan kominek?

– Kozę.

– Przytulnie.

– Dzięki niej mniej płacę za ogrzewanie. Przytulność w ogóle mnie nie obchodzi – oznajmił świeżo upieczony milioner.

– Mieszka pan sam?

– Tak. Nie przez cały czas. Ale żaloba nie jest seksowną, co? No, może na początku jest. Zwłaszcza była po śmierci Rosity i Anny. Wie pani, kobiety chcą się człowiekiem zająć i ulżyć w bólu. Chcą upiec ci szarlotkę i nalać drinka. Chcą rozmawiać z tobą całymi godzinami. Opowiadasz ciągle tę samą, starą historię i w pewnym momencie już dokładnie wiesz, w którym miejscu zaczną szlochać. Ale tak mniej więcej po miesiącu uznają, że powinieneś się już pozbierać, że czas przestać płakać i jęczeć. Chcą się trochę zabawić. Zabawić! Kto ma wtedy nastrój do zabawy? – Splunął dla podkreślenia swoich słów. Brązowa plwocina wylądowała niecałe trzydzieści centymetrów od moich zamszowych butów.

– To dlaczego pan myśli, że Ray zabił Rositę i Annę?

Oskar Kool odłożył siekiere na pień.

– Już pani mówiłem. Doprowadziła go do szału. Była ślicznotką i zdołała okręcić sobie tego chłopaka wokół małego palca. Widziałem, jak go naciąga na nową sofę albo na nowy telewizor. „Prezencik od mojego sąsiada”, oznajmiała mi rozpromieniona. Odpowiadałem wtedy: „Niczego nie dostaje się za darmo. Przez ciebie ten chłopak chodzi napalony jak kocur”. Wtedy się śmiała. Twierdziła, że Ray dał jej te wszystkie rzeczy, bo nie wiedział, co robić z pieniędzmi. „Od czasu do czasu głaszczę go po głowie – mówiła. – Powinien się z tego cieszyć”. – Kool pokręcił głową. – Dokładnie jak jej matka. Zawsze tylko potrafiła brać, brać, brać. Ale żeby się odwzajemnić? Nic z tego.

– To nie brzmi zbyt romantycznie.

– Nie ma czegoś takiego jak romantyzm. Kiedyś pani sama się o tym przekona.

– Wiedział pan, że pańska żona ma wuja, Richarda Angeli?

– Raz go spotkałem, na naszym ślubie. Elisa nie utrzymywała z nim bliższych kontaktów, poza tym, że wysyłali sobie kartki na Boże Narodzenie.

– A Rosita? Znała go?

– Była na naszym ślubie, więc na pewno wtedy się z nim spotkała. Ale ta rodzina nie była ze sobą jakoś blisko. Prawdę mówiąc, moja żona nie utrzymywała też zbyt bliskich kontaktów z Rositą. Chociaż może byłoby inaczej, gdyby poznała tę małą. Mogę się założyć, że uwielbiałaby przechwalać się swoją małą wnuczką.

– Czy pańska żona wiedziała, że Richard jest bogaty?

– Kiedyś mi powiedziała, że jej wuj ma mnóstwo pieniędzy. Ale to wszystko – odparł nonszalancko. Zbyt nonszalancko? Zastanowiłam się.

– Na pewno miał mnóstwo pieniędzy.

Oskar Kool znowu uniósł siekierę. Między jego kciukiem a palcem wskazującym były wytatuowane trzy kropki.

– Jasne, że miał.

– Te pieniądze przydałyby się na remont farmy.

– Pewnie tak. – Postawił na pieńku kolejną kłodę. Jasne było, że jeśli chodzi o niego, uważa rozmowę za zakończoną. Drzazgi zaczęły lecieć we wszystkie strony. Widziałam pot ściekający mu z czoła. Zachowywał się tak, jak gdyby już mnie tutaj nie było. Uświadomiłam sobie, że jeśli chcę nakłonić go do dalszej rozmowy, muszę zmienić temat.

– Czy Rosita miała jakichś wrogów, o których pan wiedział?

– Hm. – Podrapał się po brodzie. Znowu dostrzegłam te trzy kropki na jego dłoni. – Nie sądzę, aby ludzie jakoś specjalnie za nią szaleli. Jednak wrogowie to za duże słowo.

– A co z przyjaciółmi? Miała jakichś przyjaciół?

– Tak myślę. Ale nie takich naprawdę. Chociażby ten dzień, kiedy się przeprowadziła do domu przy ulicy Królowej Wilhelminy. Myśli pani, że ktoś zjawił się, żeby jej pomóc? Nie, tylko stary Oskar przybył na ratunek. Kiedy w jej domu trzeba było coś naprawić, to też wiedziała, gdzie mnie szukać.

– Nie miała przyjaciół ani wrogów, pan był u niej złotą rączką. Czy jeszcze ktoś ją odwiedzał?

– Oczywiście, Ray. I tamten dupek, Asscher.

– Ojciec Anny.

– Ojciec to za wielkie słowo jak na kogoś, kto robi kobiecie dziecko, a potem zostawia ją z problemem.

– Ale on się nią opiekował, prawda? Czyż do niej nie przychodził?

Kool głośno parsknął.

– Co to był za fiut! Miał mnóstwo szmalu, ale czy zachowywał się porządnie? Akurat. Za moich czasów takie sprawy wyglądały jednak inaczej.

– Czy to możliwe, że on je zabił?

Uśmiechnął się drwiąco.

– Chyba w pani snach. Boelens to zrobił. Nie ma wątpliwości.

Uniósł siekierę i znowu zaczął rąbać jak szalony. Nietrudno było wyobrazić go sobie z nożem. Ale czy był zdolny do morderstwa? Do popełnienia z zimną krwią wyrachowanego zabójstwa wobec mglistej perspektywy uzyskania jakiejś tam fortuny? Chyba że pomógł biologicznemu ojcu Rosity, co też było całkiem możliwe. W takim wypadku okazałby się niezwykle cierpliwy. Osiem lat! Jemu samemu daleko przecież było do młodzieniaszka.

Wpatrywałam się w trzy kropki na jego dłoni. Taki sam tatuaż widziałam, pracując przy wielu sprawach związanych z kryminalistami. Różnie go interpretowano. Zwykle jednak oznaczał „jebać policję”.

Robili go sobie nawzajem osadzeni w areszcie.

# RAY

Po tym wielogodzinnym oczekiwaniu pod drzwiami Rosity, wreszcie wróciłem do domu. Kiedy tylko tam dotarłem, zacząłem oglądać rybki. Patrzyłem, jak pływają dookoła akwarium, wydając się zawsze w dobrych humorach, chociaż ich nastroju nigdy nie mogłem być pewien. Sądzę jednak, że czuły się szczęśliwe, bo zawsze miały kogoś, kto się nimi opiekował. Ja byłem tym kimś.

Na wszelki wypadek sprawdziłem wszystkie wskaźniki akwarium, chociaż zrobiłem to już dzisiaj rano i miałem zrobić później, zanim pójdę do pracy. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Świadomość tego mnie uspokoiła. Wziąłem prysznic i położyłem się spać.

Zwykle wstawałem o trzeciej rano, ale teraz obudziłem się po północy, bo usłyszałem krzyki dobiegające z domu Rosity. Hałas dochodził z jej sypialni. Wziąłem szklankę i przycisnąłem do ściany, aby lepiej słyszeć, co wrzeszczą.

– Czy ty zwariowałaś? Jak mogłaś się z nią kontaktować? Jak mogłaś! Czy ty masz pojęcie, w jakiej to mnie stawia sytuacji? – Pomyślałem, że to chyba głos ojca Anny. To nie był pierwszy raz, kiedy widziałem jego samochód, parkujący w środku nocy. Zgodnie z tym, co opowiadała Rosita, jego żona czasem spała z dziećmi w domu jej matki, a wtedy Victor spędzał noc właśnie z Rositą.

Usłyszałem, że Rosita coś odpowiada. Nie krzyczała, mówiła spokojnie. Nie byłem jednak w stanie zrozumieć, co dokładnie, niezależnie od tego, jak mocno przyciskałem ucho do szklanki.

– Nie wciskaj mi tego kitu! – odwrzaskiwał Victor. – Wiesz, co możesz

zrobić? Możesz iść do diabła! Ja już mam ciebie dosyć! Jutro wyjeżdżam na wakacje, a potem koniec. Słyszysz mnie?

Potem znowu głos Rosity. Jednak nie było słycać, co dokładnie powiedziała. Victor także mówił już znacznie ciszej.

Stałem jeszcze chwilę z uchem przyklejonym do szkła, intensywnie nasłuchując, ale niczego więcej nie zdołałem wyłapać. Potem usłyszałem kroki na schodach oraz trzaśnięcie drzwi wejściowych. Przez okno zobaczyłem, że ulicą jedzie ten głupi samochód Victora Asschera. Słyszałem, jak Rosita płacze.

Dotarło do mnie, że ta kłótnia to dobra wiadomość. Bardzo dobra wiadomość.

Już nic nie powstrzymało Rosity, Anny i mnie od stania się rodziną. Prawie już byliśmy rodziną – Rosita sama tak powiedziała. Poza tym było jeszcze mnóstwo innych oznak. Przychodziłem do nich codziennie i dotykałem części intymnych Rosity, a Anna była do mnie przywiązana. Teraz naprawdę będziemy nierozłączni.

Byłem tak podekscytowany, że nie mogłem zasnąć. Wstałem i poszedłem do piekarni znacznie wcześniej niż zwykle i upiekłem za dużo croissantów.

– Myślałeś, że dzisiaj jest niedziela? – zapytał mój szef.

Po pracy wybrałem magdalenkę dla Anny. Tym razem przewiązałem papierową torebkę czerwoną wstążką. Jakby na to nie spojrzeć, była okazja do świętowania. Nie potrafiłem nawet iść normalnie, całą drogę przebyłem, podskakując.

Nacisnąłem dzwonek do drzwi Anny i Rosity.

Czekałem długo. Może Rosita była akurat w łazience? Po jakimś czasie nacisnąłem dzwonek ponownie. Nikt nie otwierał. Zawiesiłem torebkę z magdalenką na klamce i wróciłem do siebie. Dlaczego jeszcze nie było jej w domu? Kopnąłem drzwi, rozbijając o podłogę wazę, którą dostałem od matki. W ogóle nie pomogło. Zmusiłem się do spokoju. Kilka razy wyrecytowałem imiona wszystkich rybek. To już coś dało. Serce przestało mi walić, w głowie się nie kręciło. Postanowiłem zrobić sobie coś dobrego do jedzenia.

Dzień wcześniej przyniosłem sobie *pain de figues*, który świetnie

smakował z owczym serem. Krojąc ser, odniosłem wrażenie, że coś słyszę przez ścianę. Dźwięk był stłumiony i docierał jakoś tak z oddali, ale nie dało się go z niczym pomylić: *Tinky Winky... Dipsy... Laa-Laa... Po...*

Znałem tę piosenkę. Ugryzłem kęs pysznego *pain de figues* i uświadomiłem sobie, że skoro słysząc telewizor, Rosita i Anna na pewno są w domu. Co oznaczało, że Rosita specjalnie mi nie otworzyła.

Wspiąłem się po niewielkiej furtce prowadzącej do jej ogródka i zerknąłem przez okno do jej salonu. Rosita siedziała obok Anny na kanapie. Miała na sobie spodnie od dresu oraz top na ramiączkach. Stopy były bose. Paliła papierosa. I chyba siedziała w domu przez cały czas, a jednak nie otworzyła mi drzwi. Anna żuła swoją magdalenkę. Czerwona wstążka leżała u jej nóg.

Potem Rosita mnie zobaczyła. Spojrzała prosto na mnie. Musiałem ją wystraszyć, bo drgnęły jej ramiona i upuściła papierosa na sofę. Tę sofę, którą jej kupiłem. Złapała żarzący się niedopałek i zaczęła pocierać miejsce, w którym upadł. Anna też mnie dostrzegła. Jej usta uformowały się w słowo: „Ray!” Nawet do mnie pomachała.

Po prostu stałem pod oknem. Nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić. Rosita wstała z kanapy. Pomyślałem, że chyba zamierza mnie wpuścić, bo ruszyła w stronę tylnego wejścia. Otworzyła je nieco i wytknęła głowę.

– Ray, co ty tu robisz? Nie możesz po prostu na jeden dzień zostawić mnie samą?

Wziąłem głęboki oddech i postanowiłem, że po prostu to powiem. To, na co czekałem od tak dawna. Na co miałem nadzieję, o czym marzyłem. Teraz nadeszła odpowiednia chwila.

– Przyszedłem, żeby być rodziną. Z tobą i z Anną.

Przez chwilę nic nie mówiła. Potem wybuchnęła śmiechem.

Ale przecież to, co powiedziałem, wcale nie było zabawne.

Kiedy już trochę ochłonęła, oznajmiła:

– Ray, no dajże spokój. Ty chyba nie myślisz serio, że moglibyśmy być rodziną? Naprawdę, skąd u ciebie taki pomysł? Myślę, że jesteś słodki i bardzo miły, chociaż wczoraj wcale tak nie myślałam, kiedy stałeś pod schodami i nie chciałeś wyjść, ale w porządku, może to była moja wina. Ale

teraz już posuwasz się zbyt daleko. Ray, my jesteśmy sąsiadami. Nawet przyjaciółmi. Ale rodziną? Daj spokój, tak nigdy nie będzie.

– Ale przecież sama powiedziałaś. – Ruszyłem w stronę drzwi, chcąc wziąć ją w ramiona. Przytulić i pocałować, tak jak robią ludzie, którzy należą do siebie nawzajem.

Rosita jednak odskoczyła.

– Po moim trupie!

Zatrzasnęła mi drzwi przed nosem, przekręciła klucz w zamku i pospiesznie zaciągnęła zasłony.

Wpatrywałem się w żółte zasłony, a przez głowę przewalały mi się słowa, jak rodzynki w maszynie do mieszania ciasta na chleb. Nagle pojąłem straszliwą prawdę. Oszukała mnie. Powiedziała, że jesteśmy prawie jak rodzina. Ale „prawie” oznacza „jeszcze kilka schodków do przejścia”. Jednak tych kilka schodków nie istniało. Nie istniało wtedy, nie zaistnieje jutro i w ogóle ich nie ma.



# IRIS

**N**astępny na mojej liście był Asscher. Niełatwo było go namówić na spotkanie. Poddał się dopiero, gdy napomknęłam, że jeśli sobie życzy, mogę go w tej sprawie odwiedzić w domu. Umówiliśmy się w motelu przy autostradzie, gdzie, jak podejrzewałam, często przyjeżdżali komiwojażerzy oraz bywalcy portali randkowych. Stoły były okryte łośosiovymi obrusami i stały na nich niewielkie wazoniki z kilkoma gerberami przybranymi listkami fasoli. W ten sposób próbowano stworzyć odrobinę przytulności w tym obskurnym miejscu.

Potrafiłam zrozumieć, co Rosita widziała w Victorze. Nie był jakoś specjalnie przystojny, jednak emanował niezaprzeczną męskością. Całkiem nieźle, jak na księgowego. Wysoki, barczysty, włosy nosił nieco dłuższe, niż można było się spodziewać po człowieku w szarym, dobrze skrojonym garniturze oraz pasiastym, jedwabnym krawacie.

– Powiedziałem już pani przez telefon, że nie mam nic do dodania. Wszystko, co wiem, powiedziałem policji. I nie mam też wiele czasu.

– Rozmawiał pan z policją? Dziwne...

Nie starał się kryć irytacji.

– Co pani uważa za dziwne?

– Pana zeznanie nie figuruje w aktach.

– Racja. I co wtedy?

Wpatrywałam się w niego pytająco tak długo, aż wymusiłam odpowiedź.

– Kiedy popełniono morderstwo, byłem z rodziną na Krecie. O wszystkim dowiedziałem się z gazety. – Przełknął ślinę.

– Kiedy był pan jeszcze na Krecie czy gdy pan już wrócił do domu?

– W kafejce, w jakiejś greckiej rybackiej wiosce. Akurat mieli tam holenderską gazetę sprzed trzech dni. W niej o tym przeczytałem.

Wyobraziłam sobie Asschera, w otoczeniu żony i dzieci, czytającego przerażającą wiadomość o swojej kochance.

– To musiało być okropne.

Zobaczyłam, że zaczyna się denerwować.

– Chciałby pan szklanę wody?

Pokiwał głową.

Gdy wróciłam z wodą, Asscher wysmarkał się w starannie wprasowaną, niebieską chusteczkę. Uderzyło mnie to, jak bardzo jest staroświecki. Nie znałam nikogo innego, kto używałby lnianej chusteczki do nosa, nie wspominając już o kimś, kto by ją prasował.

– Przepraszam – powiedział Asscher. – Nie przywykłem do rozmów na ten temat.

– Rozumiem. Musiał pan się czuć bardzo osamotniony, utrzymując taki sekret.

– Tak. – W jego oczach znowu pojawiły się łzy. – Czy naprawdę musimy to wszystko rozgrzebywać?

– Bardzo mi przykro. Postaram się przeprowadzić to tak łagodnie, jak tylko się da. Porozmawiajmy o tym, panie Asscher, dlaczego pańskie zeznanie nie zostało dodane do oficjalnych akt sprawy.

– Może mi pani mówić Victor. – Uśmiechnął się przez łzy. – Na początku w ogóle nie planowałem iść na policję. Nie ze względu na siebie, ale żeby oszczędzić moją żonę, Millie. Wiadomość o tym, że miałem kochankę i dziecko złamałaby jej serce.

Wydałam z siebie pomruk współczucia. Rence zwykł mawiać: „Budowanie zaufania polega głównie na wydawaniu w odpowiednich momentach, stosownych, podnoszących na duchu dźwięków”.

– Po kilku tygodniach zacząłem czuć wyrzuty sumienia – kontynuował Asscher. – Bo co, jeśli właśnie ja znam brakującą część informacji? Poszedłem na policję, ale nie wydawali się tam zbyt zainteresowani.

Wysłuchali mojej opowieści i tyle. Zapytałem, czy chcą, żebym podpisał jakieś zeznania albo coś w tym stylu, jednak powiedzieli mi, że sprawa jest już rozwiązana.

Uniosłam brwi.

– Rozumiem.

– To była szybka sprawa. To zrobił Boelens. Ten facet nie był normalny.

– Czy to właśnie on kiedyś pociął panu opony?

– Tak. Próbowalem ją przed nim ostrzec. Zwłaszcza po tym incydencie z przecięciem opon. To, jak to robił, jak wariat, było przerażające... „Ten człowiek jest niebezpieczny – oznajmiłem Rosicie. – Trzymaj się od niego z daleka”. Ale nie. Powiedziała, że on jest przyjacielem... Przyjacielem! „On nie jest taki sam jak ty albo ja – mówiła – ale ma dobre serce”. Jasne, teraz mamy tego dowód, prawda? Wie pani, ile razy Rosita została dźgnięta? Czternaście!

– Ma pan jakiś pomysł, dlaczego Rosita uważała go za przyjaciela?

Wzruszył ramionami.

– Myślę, że głównie dlatego, żebym czuł się zazdrosny. Jak gdybym mógł być zazdrosny o kogoś takiego jak tamten facet. Wciąż go jeszcze widzę, jak wraca do domu z pracy, z jednym z tych paskudnych ciasteczek, jakie przynosił Annie. Codziennie przynosił jej jedno. Wyobraża sobie pani? Czasem też opiekował się Anną. Nie uważałem tego za jakiś szczególnie dobry pomysł, ale Rosita mówiła, że nic się nie stanie. Jeśli teraz na to spojrzeć... – Znowu się wysmarkał.

– Proszę się nie spieszyć.

– To dla mnie trudne.

– Wiem.

– Cholera. Zwykle tak się nie rozklejam.

– Jako księgowy przypuszczalnie rzadko ryzykuje pan jakieś zaangażowanie emocjonalne.

Rozśmiał się.

– Czy Rosita miała jakiś wrogów? Albo jakieś długi?

Asscher zastanawiał się przez jakiś czas, następnie pokręcił głową.

– To była dziewczyna z charakterkiem. Czasem istna tykająca bomba. Ale wrogowie? Nie sądzę.

– Nie do końca rozumiem, co pan ma na myśli. W jakim sensie była tykającą bombą?

Zawahał się.

– Wie pani, była taka narwana. Latynoski temperament.

– Czy dla takiej dziewczyny z charakterkiem jak Rosita nie było czymś trudnym granie przez cały czas drugich skrzypiec? Chodzi o jej pozycję w stosunku do pańskiej żony.

Gdybym miała zaufanie Asschera, byłoby łatwiej. Jednak stalowa bariera zatrasnęła się teraz z hukiem.

– Nie rozumiem, jaki to ma związek? Dokąd pani zmierza?

– Próbuję lepiej poznać tych ludzi, którzy znali Rositę Angeli. A jest pan jednym z nich.

– Prawie już zapomniałem, że jest pani prawnikiem Boelensa. Proszę go ode mnie pozdrowić. I powiedziec mu, że gdy wyjdzie już z tego zakładu, to nie będzie mu łatwo.

Próbowałam wymyślić coś, co by nakłoniło Asschera, żeby rozmawiał dalej, ale on już wstał. Wyciągnął ku mnie dłoń.

– Do widzenia.

Zostałam sama przy stoliku, skonsternowana. Najwyraźniej trafiłam w jego czuły punkt. Nie potrafiłam sobie wyobrazić tego, by Rosita czuła się zadowolona ze swojego statusu kochanki. Wydała mi się kimś, kto chce być zawsze numerem jeden. Bo inaczej dlaczego Asscher powiedział, że starała się wzbudzić u niego zazdrość?

Kiedy wyciągałam portmonetkę, nagle do głowy przyszła mi jeszcze jedna myśl.

Czy Rosita zagroziła Asscherowi, że powie jego żonie o ich związku?

# RAY

**P**owiedz mi – odezwała się Iris Kastelein. – Kiedy jeszcze mieszkałeś w domu, to jaka była matka?

– Wściekła – odpowiedziałem. – Prawie zawsze była wściekła.

Roześmiała się. Nie wiedziałem dlaczego. Czy się ze mnie naśmiewała?

– Dlaczego była wściekła?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie jestem w tym dobry.

– To znaczy?

– Ciągłe chcesz, żebym opowiadał o uczuciach i w ogóle. Nie jestem dobry w uczuciach. Nie wiedziałaś?

Roześmiała się ponownie.

– Nie chciałam cię wprawiać w zakłopotanie. Mam opowiedzieć coś o sobie? Jestem przecież twoją siostrą.

Miałem już powiedzieć, że nie, ale przypomniałem sobie psychiatrę ze szkoły. „Pokazuj, że interesują cię inni ludzie”. Dlatego pokiwałem głową.

– Matka często się na mnie nie wściekała. Powiedziałabym raczej, że była obojętna. Jak gdybym stanowiła projekt, który jeszcze należy ukończyć. Na szczęście miałam tatę, mojego ojca. – Milczała przez chwilę, zmarszczyła czoło. – Mój ojciec zmarł dziesięć lat temu. Czy wiesz, kim jest twój ojciec?

Zaczęło mi się robić ciepło. Tak ciepło, że ledwie byłem w stanie oddychać.

– Mogę zdjąć sweter? – spytałem Mo.

– Dlaczego?

– Duszno mi tutaj.

– Masz coś przeciwko? – zapytał Mo Iris Kastelein.

– Jasne, że nie.

Ściągnąłem sweter. Teraz siedziałem naprzeciwko niej w białym podkoszulku. Trochę pomogło, ale nadal było gorąco.

– Mówiliśmy o twoim ojcu – przypomniała Iris Kastelein. – Wiesz, kto to jest?

Zacisnąłem zęby, zgrzytając nimi na boki. Rozległ się odgłos tarcia.

– Czy w ogóle coś ci o nim mówiła?

Dlaczego zawsze zadawali mi pytania, na które nie potrafiłem odpowiedzieć? Kto jest twoim ojcem, kto jest twoim ojcem, twój ojciec to, twój ojciec tamto, a ja przecież nie miałem pojęcia. Czy oni wszyscy myśleli, że sam się jej o to nie pytałem? Czy myśleli, że jestem idiotą?

– Przepraszam – powiedziała Iris Kastelein. – Przeszanę cię o to męczyć. Wiesz, ja zawsze miałam wrażenie, że coś jest nie w porządku. Jak teraz się na to spojrzysz, wiele rzeczy można zrozumieć. Dlaczego, na przykład, matka co jakiś czas wychodziła na pokazy ogrodnicze i upierała się, że tata ma zostać wtedy w domu. I ten jej sekretne gabinet. Wiedziałeś o tym? W domu był taki pokój, do którego wstęp miałam surowo wzbroniony. Matka była pod tym względem bezwzględna.

Spojrzała nad moim ramieniem na coś w pomieszczeniu. Odwróciłem się, podążając za jej wzrokiem, i dostrzegłem, że patrzy na Mo, siedzącego w kącie. Po co to robiła?

– Kolejna sprawa – oznajmiła Iris Kastelein. – Nakłoniłam tutejsze strażę, żeby postarały się dowiedzieć, w jaki sposób narkotyki trafiły do twojej celi.

– Pokoju – odezwał się Mo z kąta. – Tutaj mówimy „pokój”.

– Och, w porządku.

Nagle wydało się, że także Iris Kastelein zrobiło się gorąco. Ale przyszła tutaj w eleganckim żakiecie, z białą bluzką pod spodem. „Żakiecik-srecik” mówiła Rosita. Nie lubiła takich kobiet jak Iris. Była całkiem tolerancyjna, nawet w stosunku do wścibskich sąsiadów, ale nie znosiła wystrojonych ludzi.

– Zawsze myślą, że są lepsi od innych. A dlaczego? Bo akurat mają więcej pieniędzy na koncie? Bo perły, które noszą, są prawdziwe? Nawet nie widać różnicy. Trzeba ugryźć, żeby się dowiedzieć. Mogą pocałować mnie w dupę.

Zastanawiałem się, czy Iris Kastelein uważa się za lepszą od innych.

– Tak czy owak – powiedziała – wyjaśniłam, że przypuszczalnie nie masz nic wspólnego z narkotykami, które znaleziono w twoim pokoju. Nie jesteś ani ich użytkownikiem, ani dilerem. Nigdy nie miałeś pozytywnego wyniku badania moczu, a wychowawcy nigdy nie zaobserwowali u ciebie zachowania sugerującego zażywanie narkotyków. Nieprawdaż?

– Tak.

– Właśnie. Zażądałam dokładnego śledztwa, mającego wyjaśnić, co się naprawdę stało.

Skrzyżowała ramiona i spojrzała na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, jak gdyby jej usta chciały się śmiać, ale oczy już nie. Bo kiedy ludzie się uśmiechają, to nieco mrużą oczy. Oczy Iris Kastelein pozostawały zaś szeroko otwarte.

– Jaka teraz jesteś? – zapytałem.

– To znaczy?

– Jaka teraz jesteś? Zła? Smutna? Przestraszona? Zadowolona?

– Zdeterminowana – odparła.

– Och.

– Wiesz, że rozmawiałam z Victorem Asscherem? – zapytała Iris.

– To zły człowiek.

– Wciąż bardzo przeżywa śmierć Rosity i Anny.

– Oni się pokłócili – oznajmiłem. – Dwa dni przed śmiercią Rosity. Wybiegł od niej w środku nocy i już więcej nie wrócił.

Iris pochyliła się ku mnie nad stołem, lekko mrużąc oczy.

– Jak myślisz, o co się pokłócili?

– Komuś o czymś powiedziała. Słuchałem, jak o tym krzyczą, w środku nocy, prosto przez ścianę.

Wydawało się, że moje słowa bardzo ucieszyły Iris Kastelein. Przysunęła się jeszcze bliżej.

– Jesteś pewien?

Przytaknąłem.

– I to właśnie o to się kłócili?

Przytaknąłem raz jeszcze.

– Interesujące.

Tym razem nie przytaknąłem.

– Miałam wrażenie, że w tej jego historii coś się nie zgadza. Myślisz, że Rosita mogła szantażować Victora, że opowie jego żonie o ich relacji?

– Skąd mam wiedzieć? – Zacząłem przyglądać się białym ścianom, szukając na nich pajaków. Może zdołałbym jakiegoś złapać i zabrać do swojej celi. Wtedy miałbym swoje zwierzątko.

Iris Kastelein odchyliła się na krześle.

– Wiem, że to dla ciebie trudne. Ale musimy porozmawiać o dniu, w którym umarły Rosita i Anna. To ty je znalazłeś, prawda?

Nagle znowu poczułem, że jest mi bardzo gorąco. Poczułem, jak po plecach spływa mi pot, chociaż miałem na sobie tylko podkoszulek.

– Tak – wykrztusiłem. – Tak.

– Jak to się stało?

– Zobaczyłem, że drzwi są otwarte i wszedłem do środka. Tam leżały.

– I już nie żyły?

Tamta cała krew. Widziałem ją w myślach. Staralem się otrząsnąć, ale nie mogłem się jej pozbyć.

– Ray? – zapytał Mo. – Słyszałeś pytanie?

– Tak – wyszeptałem. – Już nie żyły.

– Czy zanim wszedłeś do środka, widziałeś coś jeszcze? Czy jeszcze ktoś był na ulicy? Sąsiedzi? Ludzie, których znałeś? Jacyś obcy?

Staralem się zastanowić, ale trudno było sobie przypomnieć, co dokładnie wydarzyło się siedemnastego maja 2003 roku. Nocą, w ciemnościach mojej celi, wszystko robiło się bardzo ostre i wyraźne. Jednak ciężko było próbować o tym rozmawiać.

– Nie – odparłem, chociaż daleko mi było do pewności. – Nie sędzę.

Iris Kastelein zapisała coś w notatniku. Ta rozmowa zaczęła mnie



męczyć.

– Chcę już wracać do celi.

– Proszę, jeszcze trochę.

Chciałem być tak silny, aby odpowiedzieć na jej wszystkie pytania. Jednak maszyna do mieszania ciasta obracająca się w mojej głowie sprawiła, że wszystkie myśli już mi się pomieszały.

– Naprawdę, myślę, że już czas – oznajmił Mo ze swojego kąta. – Nie chcemy, żeby u Raya podniósł się poziom stresu.

– Och, dobra, jasne.

Wstałem.

– Pa, pa, Iris.

Kiedy odprowadzał mnie strażnik, usłyszałem, jak Iris odzywa się do Mo:

– Po raz pierwszy usłyszałam, że wypowiedział moje imię.

# IRIS

Iris! Juhu!

Nie znam wielu osób, które dzisiaj jeszcze witają się, wołając „juhu”, więc się domyśliłam się, że to pewnie któraś z przyjaciółek matki. Była pora lunchu i właśnie pobiegłam do supermarketu, żeby kupić coś na szybki posiłek dla siebie i Aarona. Spaghetti po bolońsku. Jedliśmy to na kolację co najmniej dwa razy w tygodniu.

Odwróciłam się i zobaczyłam Linę. Trzymała torbę ziemniaków i machała do mnie jak szalona, chociaż dzieliło nas tylko kilka metrów.

– Kochanie, jak miło cię widzieć!

– Cześć, Lina! Nie wiedziałem, że przychodzisz tutaj na zakupy.

Lina mieszkała niedaleko mojej matki, w Buitenveldert. Ten śródmiejski market leżał daleko od jej środowiska naturalnego.

– Jestem właśnie w drodze na malowanie paznokci z moimi słodkimi dzieciaczkami z zespołem Downa – powiedziała, puszczając oko, przy czym z trudem drugie, niemrugające oko utrzymywała otwarte.

– Och?

– Twoja matka ci nie mówiła? Uczę plastyki i techniki dzieci upośledzone umysłowo. Co srode, po południu.

– Tak naprawdę, to matka nigdy mi o niczym nie mówi. Zwłaszcza ważnych rzeczy. A swoją drogą, to od jak dawna się znacie.

Lina, marszcząc brwi, spojrzała na wyłożony kafelkami sufit marketu.

– Przypuszczalnie co najmniej tak ze trzydzieści pięć lat. Twoja matka wtedy właśnie wprowadziła się do naszej okolicy. Znałam jej sąsiadkę. Ona

nie żyje już od lat, ale nie będę cię zamęczać sprawami starych pań. To były urodziny tej sąsiadki, tam się poznałyśmy. Agatha wtedy praktycznie nikogo tutaj nie знаła. A ja właśnie wyszłam za mąż i przestałam pracować. W tamtych czasach tak właśnie było. I tak się właśnie poznałyśmy. Kiedy ty i Carla się wyprowadziłyście, założyłyśmy kółko brydżowe, ale to już całkiem inna historia.

– Czy już wtedy znała mojego tatę?

Zmarszczka na czole Liny jeszcze bardziej się pogłębiła, jak gdybym poprosiła ją o pomnożenia trzystu sześćdziesięciu pięciu razy sześć tysięcy osiemset dziewięćdziesiąt trzy.

– Nie, kiedy poznałam Agathę, twojego taty jeszcze nie było na horyzoncie. Poznała go dopiero sześć miesięcy po tym, jak się tutaj sprowadziła. Wciąż jeszcze pamiętam, jak stała taka zarumieniona. „Lina – powiedziała. – Wyjdę za tego człowieka. On się mną zaopiekuje”.

Bałam się, że zmarszczka na czole Liny zaraz mnie pochłonie.

– Czyli początkowo mieszkała w innym domu.

– Nie...! – odparła Lina, dramatycznie podkreślając to słowo. – Nie... Już wtedy miała ten bungalow. Wtedy to było naprawdę coś. Niezamężna kobieta z własnym domem. Po cichu wszystkie jej trochę zazdrościłyśmy.

Zastanawiałam się, skąd matka miała pieniądze na ten bungalow. Teraz podobne domy kosztowały ponad milion. Wiedziałam, że chodziła do jakiejś szkoły dla sekretarek, ale nigdy nie słyszałam, żeby opowiadała o jakiejś swojej pracy. Zawsze, bez zastanowienia, zakładałam, że to mój ojciec kupił dom. Kto wie, może matka miała jakiegoś bogatego wujka, który zostawił jej spory majątek, tak jak Rosita.

– Jak myślisz, skąd miała pieniądze?

Lina wzruszyła ramionami.

– Pewnie miała jakieś oszczędności.

– Z czego oszczędności?

– Mnie nie pytaj. Mówiła mi, że miała dobrą pracę.

Miała dobrą pracę i jednocześnie opiekowała się małym dzieckiem? Wydawało mi się to mocno naciągane.

– Dziwne – powiedziałam.

– Owszem, wydaje się dziwne. Ale nic nie poradzisz. Im starszy się człowiek robi, tym mniej rozumie. – Zerknęła na zegarek. – Ojacie, która godzina? Muszę już lecieć, kochanie. Moi specjaliści, mali przyjaciele już na mnie czekają.

Wydała z siebie okrzyk, który zabrzmiał mniej więcej jak „tudlidu”. Uznałam, że to takie pożegnalne zawołanie ludzi po sześćdziesiątce. Energicznie wymaszerowała z działu warzywnego ściskając torbę ziemniaków.

Kiedy pospiesznie wrzucałam do koszyka paczkę selera, słoik sosu do spaghetti, ćwierć kilo organicznej mielonej wołowiny i paczkę tartego parmezanu, zastanawiałam się, czy Lina wiedziała o Rayu. Miałam dosyć uzasadnione podejrzenia, że niekoniecznie.

Po powrocie do kancelarii zadzwoniłam do działu ksiąg wieczystych. Po chwili znałam już odpowiedź: dom kupiono w 1983 roku za sto pięćdziesiąt tysięcy guldenów. Gotówką, bez kredytu. Wtedy to musiała być astronomiczna suma.

– Moja ulubiona dziewczynka! – Nie słyszałam, jak wchodził Rence. Nie miał zwyczaju wmaszerowywać ot tak do mojego gabinetu. Zwykle, to on wzywał mnie do siebie.

Rence usiadł na krawędzi mojego biurka i założył nogę na nogę. Nosił czerwone skarpety.

– Jak ci idzie śledztwo w sprawie Boelensa?

– Hm – mruknęłam.

– No, dalej, powiedz. Z kim rozmawiałaś, co mówią akta, jakie są pierwsze wrażenia?

– Wszystkie relacje są ze sobą zgodne. Każdy, z kim rozmawiałam, mówił to samo. Ray Boelens to osoba zaburzona, sąsiadka go wykorzystywała, potem go odrzuciła, a on się wściekł. Nigdy się nie przyznał, ale złożył dosyć obciążające zeznania. Nie tylko miał motyw, ale był też na miejscu zbrodni i

mniej więcej przyznał się do posiadania narzędzia zbrodni. Niezbyt to wszystko pomocne.

– Z kim do tej pory rozmawiałaś?

– Z sąsiadami. Z przyjaciółmi i krewnymi ofiary...

– I co?

– Dobra. Ten ojczym to dosyć podejrzany typ. Siedział za handel narkotykami. Bez Rosity i Anny stał się jedynym spadkobiercą fortuny pozostawionej przez wujka swojej żony. Można by powiedzieć, że to brzmi jak motyw, gdyby nie przedział czasowy. Czy pan popełniłby morderstwo, a potem całymi latami czekał, aż wujek żony wreszcie sobie umrze? Nazwałabym to planowaniem z naprawdę dużym wyprzedzeniem.

– Hm.

– Potem ten jej kochanek. Boelens słyszał, jak Asscher i Rosita pokłócili się niedługo przed morderstwem. Słyszał, że Asscher krzyczy coś w stylu: „Nie powinnaś jej mówić”. Może Rosita opowiedziała jego żonie o ich relacji. Można by powiedzieć, że miałyby wiarygodny motyw. Tyle że kiedy popełniono morderstwo, Asscher akurat był na Krecie na wakacjach.

– Wynajęty zabójca?

Wzruszyłam ramionami.

– To możliwe.

Rence podniósł zdjęcie przedstawiające mnie i Aarona w zoo. Przyjrzał mu się.

– A co ty o tym myślisz? Sądzisz, że Ray Boelens jest niewinny? Czy istnieje chociaż jedna rzecz, która by na to wskazywała?

– Poza jego własnym stwierdzeniem?

Rence przytaknął i odłożył fotografię.

– Szczerze mówiąc, to nic. No, może poza tym, że Ray nie pali, a sprawca zgasił na dziewczynce niedopałek. Nie, żeby to był jakiś bardzo przekonujący argument.

– Jasne – rzucił Rence. – A jakie ty masz przeczucie?

– Nie mogę powiedzieć, abym na tym etapie miała na myśli coś konkretnego.

Podskoczył i gwałtownie pokręcił głową.

– Nie, nie chodzi mi o to, co masz na myśli! Chodzi mi o twoją intuicję! No dalej, Iris. Co ci mówi twoje serce, kiedy patrzysz na Raya Boelensa?

– Czuję się zmieszana – odpowiedziałam ze znużeniem.

– Jesteśmy teraz na takim etapie, że albo wyznaczamy do tego cały zespół, albo dajemy sobie spokój. Z tego co mi mówisz, wnoszę, że raczej to drugie.

Zawahałam się. Jeśli wyjdzie na jaw, że Ray jest moim bratem i że spędzam przy jego sprawie nieproporcjonalnie dużo czasu, to będę miała spore kłopoty. Ale nie chciałam zostawiać Raya na lodzie. Nie teraz, kiedy wiedziałam, że Asscher i Rosita kłócili się przed jej śmiercią. Zawsze mogłam zrezygnować później.

– Chciałabym zrobić jeszcze jedno podejście do Asschera. Miał dobry motyw i tak jak pan powiedział, wcale nie musiał dokonać tego morderstwa osobiście. Mógł kogoś wynająć.

– Chciałabyś, żebym przyjrzał się jego dossier?

– Poproszę.

# RAY

**N**oc po tym, jak Rosita zasunęła mi kotarę przed twarzą, nie mogłem zasnąć. Jednak, co dziwne, wcale nie rozmyślałem o niej, tylko o dniu, w którym matka oddała mnie do poprawczaka.

Mieliśmy ze sobą taką małą walizkę z kilkoma moimi rzeczami. Była tam bielizna na tydzień, trzy pary spodni, pięć podkoszulków, dwa swetry i encyklopedia ptaków.

– Ray, resztę zawsze mogę ci przynieść później.

Rozmiary walizki dawały mi nadzieję, że pobyt w poprawczaku okaże się tylko tymczasowy. Bo przecież matka wiedziała, że nie mogę żyć bez swojego Lego Technic albo kolekcji skamielin.

Ale kiedy zapytałem ją, jak długo tam będę, nie spojrzała na mnie. Patrząc na drogę, odparła:

– Nie mam pojęcia.

Byłem duży jak na swój wiek, na tyle duży, aby w aucie móc siedzieć z przodu. Właśnie dlatego innym jeszcze trudniej było uwierzyć, że jestem opóźniony emocjonalnie. Przynajmniej słyszałem, że matka tak tłumaczy naszemu sąsiadowi moje zachowanie. Później mi również to wyjaśniała:

– Ludzie widzą dużego dzieciaka, ale nie rozumieją, że w środku jesteś jeszcze bardzo mały.

Moja matka i ja byliśmy rodziną, a jednak powiedziała mi, że polubię poprawczak. Chwaliła komfortowe sypialnie, urozmaicone menu oraz huśtawki na dziedzińcu.

Zostawiła tę małą walizkę w schowku, w którym miałem trzymać swoje

rzeczy. Kiedyś zamykano go na klucz, ale chłopcy gubili swoje klucze, więc szkoła przestała im je wydawać.

– Kiedy już pożegnamy się z twoją matką, nie wolno ci płakać – oznajmiła pielęgniarka, prowadząca nas po poprawczaku. Objęła mnie ramieniem, jak gdyby chcąc pokazać, że należę już do niej, a nie do matki. Od razu strząsnąłem jej ramię.

– Idziemy już do wyjścia. Kiedy już tam dotrzemy, uściskaj mocno mamę i pomachaj jej na do widzenia, jak duży chłopiec. W porządku? Ray, nie rozczaruj swojej mamy.

Czekałem, aż matka jej wyjaśni, że jestem opóźniony emocjonalnie, ale nie zrobiła tego. Powiedziała jedynie:

– Prawda, że te małe doniczki z rzeżuchą, pomalowane przez dzieci, są bardzo ładne?

Pielęgniarka się uśmiechnęła.

– Zawsze prowadzimy tutaj z dziećmi zajęcia plastyczne. Poza tym rzeżucha jest smaczna i zdrowa.

– Myślę, że odpowiednie żywienie to bardzo ważna sprawa. Chociaż Ray niezbyt przepada za warzywami. Zawsze każę mu najpierw zjeść zdrowe rzeczy, a dopiero potem mięso.

– Przekażę to – odparła pielęgniarka.

– Dobrze byłoby także, gdybyście państwo pozwolili mu uczestniczyć w przygotowaniu jedzenia. Albo gdyby mógł hodować warzywa w ogrodzie.

Głos mojej matki brzmiał jakoś inaczej. Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że zaciska wargi w prostą linię i bardzo mruga.

Dotarliśmy do wyjścia.

Tak naprawdę to nie wierzyłem, że matka zamierza mnie tutaj zostawić. Sądziłem, że to raczej takie Ostatnie Ostrzeżenie: „Jeszcze tym razem pozwolę ci wrócić ze mną do domu. Ale ostrzegam, jeśli następnym razem będziesz niegrzeczny, to zostawię cię tutaj na dobre”.

– Pora się pożegnać.

Matka ujęła moją głowę w obie ręce i pocałowała w buzię. Potem objęła mnie ramionami tak mocno, że aż się bałem, że mnie udusi. Jej pierś unosiła



się i opadała ciężko.

– To trudne, prawda – powiedziała pielęgniarka. Poklepała moją matkę po ramieniu.

Matka ścisnęła mnie tak mocno i tak długo, że nie sądziłem, że w ogóle wypuści. Jednak wreszcie to zrobiła. Miała siniaka na policzku i zaczerwienione oczy.

– Niech pani lepiej już idzie – odezwała się pielęgniarka. – Tak będzie najlepiej.

Moja matka otworzyła usta, aby coś powiedzieć, jednak nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Odwróciła się i ze spuszczoną głową szybko poszła w stronę parkingu.

Machałem, lecz matka się nie obejrzała. Dopiero przy samochodzie odwróciła się i zawołała:

– Ray, bądź grzeczny, słyszysz?! Bądź grzecznym chłopcem!

Byłem grzecznym chłopcem. Nawet nie płakałem, prawda? Tak jak kazała pielęgniarka.

Łzy płynęły tylko nocą, kiedy leżałem w łóżku.

Przyzwyczailem się w końcu do poprawczaka, nawet do tych złych rzeczy, jak dzieci, które się nade mną znęcały albo śmiały się ze mnie. Gorsze były takie dni, kiedy nic się nie działo. Dni, gdy siedziałem w świetlicy poprawczaka, tej, o której moja matka mówiła, że jest przytulna i miła. Ale co mi po tej całej przytulności? Jak gdyby kilka poduszek w kwiatki, kubek herbaty i ciasteczka mogły uczynić mnie szczęśliwym.

# IRIS

**W** morzu volkswagenów i zwykłych saabów, jaguar zdecydowanie się wyróżniał. Uznałam, że Victor Asscher nie zmienił gustu co do aut. To był najnowszy model z beżową, skórzaną tapicerką. Wyjąwszy pomięty daszek z tyłu, samochód wyglądał nienagannie, jak gdyby dopiero co wyjechał z salonu.

To był schludny człowiek, niezwykle wręcz schludny. Pomyślałam o opakowaniach po batonikach Mars, o pustych kartonikach po soku i nawet skórkach od banana, zaśmiecających podłogę mojego auta. Pod tym względem znajdowałam się na przeciwległym biegunie, ale też jeździłam starym volkswagenem golfem.

Przyszło mi do głowy, że przypuszczalnie właśnie ta schludność pozwalała Asscherowi przez lata wieść podwójne życie. Był dobry w sprzątanii bałaganu, jaki za sobą pozostawiał.

– Powiedziałem już pani wszystko, co było do powiedzenia. – Victor spokojnie mnie minął, w dłoni trzymał już kluczyki do auta.

– Zastanawiam się...

– Wyrażę się inaczej. Powiedziałam pani już więcej, niż chciałem powiedzieć. I poza tym nie mam żadnego obowiązku współpracować z panią przy tym śledztwie. Jeśli ma pani jakieś dalsze pytania, to polecam rozmowę z moim prawnikiem.

Wcisnął przycisk kluczyków. Reflektory jaguara rozbliły.

– Mogę zapytać pana żonę, jeśli pan nie odpowie.

– Lepiej nie.

– A dlaczego?

– Nie było dnia, żeby mi czymś nie groziła. Rosita lubiła stawiać na swoim. Ale wiedziałem, że tak naprawdę nie zrealizuje żadnej ze swoich gróźb.

– Naprawdę? To o co była ta wielka awantura tuż przed jej śmiercią. Nie była właśnie o to?

– Nic nie pamiętam.

– Dziwne. Większość ludzi tak szybko nie zapomina podobnych kłótni, jeśli ich kochanka zostaje zamordowana dwa dni później. Rosita groziła, że powie Millie o waszej relacji, prawda? I niezbyt to panu pasowało.

– No i co w takim razie? Pani mnie oskarża o zamordowanie Rosity? O zamordowanie własnego dziecka? Teraz pani posuwa się już za daleko.

– Mogę sobie wyobrazić, że obawiał się pan, że Rosita i tak powie Millie. Niezbyt miła perspektywa. I oczywiście mógł pan poprosić kogoś, aby wykonał za pana brudną robotę.

– Po raz ostatni proszę panią, żeby pani odeszła. – Wyciągnął telefon z kieszeni spodni i wybrał jakiś numer. – Chyba że chce pani się przekonać, jak to jest zostać wyprowadzoną przez ochronę?

– Dobrze, już sobie idę.

Odłożył telefon.

– Dziękuję.

Na parkingu minął nas jakiś starszy pan. Miał na sobie trzyczęściowy garnitur i opierał się na lasce. Intensywnie nam się przyglądał.

– Dobry wieczór, panie van Benschop – powiedział Asscher.

Van Benschop? Czy to był ojciec Petera van Benschopa? Przyglądając się twarzy mężczyzny, doszłam do wniosku, że widziałam go już kilka razy w kancelarii, kiedy przychodził spotkać się z Marthą Peters. Czyżby Asscher był jego księgowym?

– Asscher, no nie, tak się nie rozmawia z kobietą. – Zerknął na mnie. – Zwłaszcza z tak czarującą kobietą.

– Dobry wieczór panu – powiedziałam.

Przystanął i spojrzał na mnie, marszcząc brwi.

– Czy ja pani nie znam?

– Pracuję w kancelarii Bartels & Peters. Mógł mnie pan tam widzieć.

Wyciągnął rękę.

– Antoine van Benschop.

– Iris Kastelein.

Natychmiast puścił moją dłoń i powiedział, dosyć gwałtownie:

– Dobrze, no to miłego dnia. Panno Kastelein. Victorze.

Skinął głową do Victora i ruszył dalej parkingiem.

– Pani właśnie odjeżdżała – przypomniał Asscher groźnym tonem.

Parking już całkiem opustoszał, więc wydawało się to najrozsądniejsze, co można było zrobić.

# RAY

**K**iedy tamtego ranka o trzeciej piętnaście zjawiłem się w pracy, byłem wykończony. W domu Rosity nie paliło się światło. Zasłony w kuchni miała zasunięte, co tylko przypomniało mi o wczorajszym dniu, gdy Rosita zaciągnęła kotarę mi tuż przed twarzą, jak gdyby już nie chciała mnie oglądać.

Mocno przygryzłem dolną wargę. Czekala na mnie La Souche, nie wspominając już o czterystu croissantach do upieczenia, dwunastu rodzajach chleba oraz *tartelettes*. Postanowiłem jednak zapomnieć o magdalenkach. Już nigdy nikomu nie będę piekł magdalenek.

Najpierw włączyłem światło i rozgrzałem piekarnik. Potem wyjąłem La Souche z ogrzewanej szafki. Zwykle, robiąc to, mamrotałem do niej: „Dobrze spałaś, *ma chérie*? Jest ci wygodnie?” To, jak pachniała, ta gąbczastość jej struktury, zawsze udzielała mi odpowiedzi. Jednak teraz nie byłem w stanie prowadzić takiej rozmowy. Zacząłem mieszać składniki dwunastu różnych odmian chleba: *pain au céréales*, *galette*, *pain de seigle*, *baguette* i całej reszty. Następnie przychodziła kolej na poprawki i na pieczenie. Wszystko we wczesnych godzinach rannych. Świeże bochenki trafiały do pieca. Wkrótce, uderzający do głowy, kwaśny i nieco słodkawy zapach pieczonego chleba falami płynął przez kuchnię. Uświadomiłem sobie, że takie rutynowe czynność i znajoma woń własnego chleba uspokajają mnie.

O wpół do siódmej, kiedy przychodził właściciel, robiłem wszystko zgodnie z harmonogramem. Pierwszych sto croissantów było już gotowych i miałem spędzić jeszcze kilka godzin na pieczeniu reszty dziennej produkcji, a

potem zając się przygotowaniami do następnego dnia.

Właściciel i ja niewiele ze sobą rozmawialiśmy. Było inaczej, niż przyzwyczałem się przy Margaret, która prawie nigdy nie przestawała mówić, nawet jeśli nikt jej nie słuchał. Właściciel i ja powiedzieliśmy sobie dzień dobry, a przez szklaną ścianę widziałem, jak rozkłada pieczywo na półkach oraz wsadza do kasy drobne na rozmianę.

Pojawili się pierwsi klienci, chcący kupić świeże croissantsy i *pains au chocolat*. Zastanawiałem się, czy Rosita zatrzyma się przy piekarni. Pomyślałem, że może jednak tu przyjdzie, wypijemy kawę i wszystko znowu będzie normalnie. Czuję złość, ale miałem też nadzieję, tę samą nadzieję, którą żywiłem przez wszystkie dni, miesiące oraz lata spędzone w poprawczaku, że moja matka w końcu przyjdzie i zabierze mnie do domu. Powinienem wiedzieć, że taka nadzieja nie ma sensu.

Wyglądałem przez okno od chwili otwarcia sklepu, dlatego miałem sporą trudność ze skupieniem się na pieczeniu chleba. Kolejną partię croissantów zbyt długo trzymałem w piecu. Gdy zadzwonił budzik, usłyszałem go gdzieś z tyłu głowy, nie myśląc jednak, że przecież powinienem wyjąć rogaliki.

Dopiero gdy do kuchni wbiegł właściciel, dostrzegłem, że jest aż sino od dymu.

– Ray! Co się tutaj dzieje? – Otworzył drzwiczki pieca. – Cholera! Nie nastawiłeś budzika? – Wyciągnął blachę poczerniałych croissantów.

Nogi zaczęły mi się trząść.

– Co się z tobą dzieje? Jesteś chory, czy co? Chcesz iść do domu?

Opryskałem twarz zimną wodą i wziąłem głęboki oddech. Skup się, powiedziałem sobie. Skup się na swoich codziennych zajęciach. Pomyślałem o tym, co powtarzał Pierre: „To jak robienie wina. Czas i temperatura. Czas i temperatura”.

Udało mi się upiec jeszcze pięćdziesiąt croissantów i dwadzieścia bagietek. Nie wyglądały tak perfekcyjnie, jak zazwyczaj. Trochę zbyt blade, niejednakowego kształtu. Właściciel uniósł brwi, ale niczego nie powiedział.

Około dziesiątej rano byłem już gotów do zagniatania ciasta na jutrzejsze croissantsy. Wyjąłem La Souche z ogrzewanej szafki. Wyglądała na znużoną.

Karmiłem ją dzisiaj, lecz jej to nie ożywiło. Była blada i jakaś taka zbita. Pachniała kwaśno. Nie tak przyjemnie, kwaskowatym ciastem, lecz niemiło.

– Co się z tobą dzieje? – wyszeptalem. – *Ma chérie*, co się z tobą dzieje?

Zamknąłem oczy i czekałem na odpowiedź. Czy źle ustawiłem temperaturę ogrzewanej szafki? A może jeszcze była głodna? Czy powinienem obniżyć pH? Otworzyłem oczy i starannie przestudiowałem ciasto. Cukier, nagle przyszło mi do głowy. Należało ją posłodzić. Dałem więc jej dwie łyżki stołowe cukru i odstawiłem do ogrzewanej szafki.

Przez kolejną godzinę nie mogłem już zrobić nic innego, poza żywieniem nadziei, że zakwasowi się polepszy. Nie mogłem robić ciasta na croissanty z La Souche będącej w takim stanie. Tymczasem nie spuszczałem oka ze sklepu, na wypadek gdyby pojawiła się Rosita.

Do jedenastej Rosita wciąż nie przychodziła, a stan La Souche się pogorszył. Skurczyła się, wydawało się, że ma problemy z oddychaniem. Zerknąłem do sklepu, gdzie szef i jedna z dziewcząt obsługiwali klientów z drogich dzielnic. Wydawało się, że nie mają pojęcia o dramacie, rozgrywającym się w kuchni.

– *Ma chérie* – błagałem. – Nie opuszczaj mnie. Zostań ze mną.

Po policzku spłynęła mi łza. Czuję ją, ale w tym stanie umysłu jej nie otarłem. Mieszanka wody, protein, sodu, potasu, lizozymu i całej reszty skapnęła więc do zakwasu. Zakwas dzielnie walczył przez kilka chwil.

– Nie! – wrzasnąłem. – Nie, nie!

Łzy nadal płynęły, a ja widziałem, jak bezbronny zakwas zapada się, powoli, ale nieubłaganie. Nie mogłem ani przestać płakać, ani ratować La Souche. Byłem jak sparaliżowany. Zdołałbym ją ocalić, gdybym w porę odzyskał zmysły. Ale ich nie odzyskałem. Po prostu pozwoliłem, aby to się wydarzyło.

Byłem już spokojny, kiedy zdjąłem fartuch i klucząc między klientami, zmierzałem w stronę wyjścia. Słyszałem, jak szef woła: „Dokąd idziesz?” Nie miałem mu nic do powiedzenia.

Na ulicy było cicho. Wszyscy poszli na targ, urządzany w mieście raz w tygodniu. Niebo zasłaniały chmury i wiał chłodny wiatr, chociaż był już maj. Uświadomiłem sobie, że swoje palto pozostawiłem w piekarni na wieszaku, ale nie miałem ochoty po nie wracać.

Kiedy skręciłem w naszą uliczkę, zobaczyłem, że drzwi Rosity i Anny są otwarte. Starłem się pamiętać o tych wszystkich mądrych wskazówkach, jakie dostałem od psychiatry w poprawczaku. Na przykład: „Jeśli ktoś nie patrzy ci w oczy, lepiej trzymaj się od niego z daleka”.

Nie powinienem iść do domu Rosity. Jednak wciąż miałem nadzieję, że to wszystko okaże się po prostu nieporozumieniem. Że Rosita powróci i znowu będziemy prawie jak rodzina. Zmierzając ku jej drzwiom, złamałem w krzakach kilka martwych gałązek. Teraz, kiedy La Souche nie żyła, miałem cały czas świata, aby zajmować się ogrodem Rosity.

– Rosita?! – zawołałem. Nie odpowiedziała. Znowu nie chciała ze mną rozmawiać. Moja nadzieja natychmiast ponownie zmieniła się we wściekłość. Okłamała mnie i zachowywała się, jak gdybym nie istniał. Ale przecież istniałem, bardzo istniałem. Tak łatwo się mnie nie pozbędzie.

Powoli pchnąłem drzwi.



# IRIS

**D**ni, w które moja matka godziła się zaopiekować Aaronem, zawsze stanowiły dla mnie upragnioną ulgę. Przychodziłam do niej do domu, gdzie zastawałam ich oboje siedzących na sofie i pogrążonych w lekturze albo bawiących się grą Latający Miś Polarny. Matka miała już gotową kolację, wystarczyło tylko odwiesić płaszcz, usiąść i jeść. Wspólny posiłek zawsze stanowił pretekst do miłej pogawędki, a około siódmej wieczorem razem z Aaronem wsiadałam do auta i jechałam do domu. Jednak od kiedy dowiedziałam się o Rayu, pogawędki się skończyły. Przecież nie mogłam rozmawiać wyłącznie o pogodzie, skoro chciałam się dowiedzieć tylu rzeczy.

– Mam za sobą ciekawy weekend – powiedziałam znad pieczonej wieprzowiny, frytek, marchewki i groszku.

– I znowu to samo – stwierdziła matka, a potem zaczęła z furią piłować mięso.

– Wiesz, że Ray w ogóle sobie nie radzi? Wychowawca obawia się, że będzie musiał resztę życia spędzić w zakładzie.

– A wiesz, że byłam wczoraj u lekarza z tą infekcją paznokcia? – oznajmiła głośno matka. – Zapisał mi taką maść, którą mam stosować dwa razy dziennie.

– Niedługo przeniosą go na inny oddział. Tam w końcu dostanie właściwą opiekę. Mamo, czy on zawsze taki był?

Ona zaś po prostu kontynuowała:

– No i poszłam do apteki. Z Aaronem. Kobieta za ladą powiedziała: „Pani wie, jak należy postępować przy takiej grzybicy paznokcia, prawda?”

Odparłam: „Pani wybaczy, ale to jest infekcja. I bardzo byłabym wdzięczna, gdyby pani mówiła ciszej i nie ogłaszała poufnych informacji całemu światu”.

– Mamo, usiłuję ci coś powiedzieć.

– Ja też usiłuję ci coś powiedzieć.

Gdyby nie była moją matką, przysięgłabym, że spojrzała na mnie z pogardą.

– Chcę jeszcze – odezwał się Aaron.

Moja matka położyła mu na talerzu więcej marchewki i frytek, a potem wszystko razem ugniotła.

– Jak to robisz, że tak ładnie je? – zapytałam. – Ja muszę go namawiać do każdego kęsa.

– Oto cała ironia macierzyństwa. Kiedy już masz dobrze opanowane postępowanie z dziećmi, twoje dziecko akurat dorasta, wyprowadza się z domu, a ty zostajesz z wiedzą oraz doświadczeniem, które nie są ci do niczego potrzebne.

– To właśnie dlatego w wielu kulturach jest czymś normalnym, że wychowywaniem dzieci zajmują się babcie. Teraz mi powiedz, od kiedy chciałybyś się do tego zabrać.

– Ha! Chyba ci się śni!

– Ale posiadanie partnera pewnie robi jakąś różnicę, prawda? Nie trzeba robić wszystkiego samemu i można z kimś omówić różne sprawy. Ma się kogoś, kto pozwoli ci raz na jakiś czas się wyspać albo popilnuje dziecka, kiedy idziesz na fitness, żeby pozbyć się stresu i zadbać o linię. Jesteś świetnym przykładem, bo znasz oba sposoby wychowywania. Przy mnie miałaś tatę, a przy Rayu byłaś sama, prawda? A może nie byłaś? Tak w ogóle, kto był ojcem Raya?

Matka wydeła wargi.

– Zły temat?

Matka podniosła serwetkę, zaczęła Aaronowi wycierać buzię.

– Jaki grzeczny chłopiec. Wszystko zjadłeś, pączuszk. Teraz możesz odejść od stołu.

Aaron zgramolił się z krzesła.

– Babciu, mogę posiedzieć ci na kolanach? – zapytał.

– Możesz. – Rozpostarła ramiona i pomogła Aaronowi się wspiąć. Przytuliła go mocno.

Patrzyłam na nich z mieszanymi uczuciami. Moja matka porzuciła pierwsze dziecko i udawała, że nie istnieje. Drugie dziecko wychowała z lodowatą perfekcją. Ale wnuk był dla niej wszystkim. Nigdy nie widziałam, aby zaniedbywała Aarona. Byłam zadowolona, chociaż jednocześnie uważałam, że to nie było sprawiedliwe.

– No to kto jest ojcem Raya i gdzie teraz jest? – rzuciłam ostro.

Zamiast mi odpowiedzieć, pogłaskała wnuka po głowie, ze słowami:

– Młody człowieku, powinieneś iść do fryzjera.

Rozzłoszczona, wzięłam się do sprząwania ze stołu.

– Mogłabyś przynieść budyń waniliowy?! – zawołała za mną matka.

– Jędza – warknęłam w stronę lodówki.

– Gdzie pracowałaś, zanim poznałaś tatę? – spróbowałam znowu, kiedy układałyśmy naczynia w kuchni.

– Przez jakiś czas pracowałam jako sekretarka – padła burkliwa odpowiedź.

– Wiesz, że nigdy mi o tym nie mówiłaś? W jakim biurze pracowałaś?

– A jakie to ma znaczenie? – Matka zaczęła zawzięcie szorować kafelki szmatką i zielonym płynem. – Wiesz, ja nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz normalnie rozmawiałyśmy. Ostatnio każda rozmowa zmienia się w przesłuchanie. Pewnie powinnam być ci wdzięczna, że nie świecisz mi lampą w oczy.

– Mamo. Wszystko ci się myli. To jest właśnie normalna rozmowa. W każdym razie to powinna być normalna rozmowa. O nas, o tobie, o mnie. O ważnych sprawach. A my zawsze rozmawiałyśmy tylko o talonach do supermarketu i plastycznej operacji powiek Liny. To nie było normalne.

– Co proszę?

– Nigdy o niczym nie chcesz dyskutować. Nawet teraz, kiedy dowiaduję się najróżniejszych rzeczy o twoim życiu, takich, które dla mnie też są ważne. Mamo, kim ty naprawdę jesteś? Nie mam bladego pojęcia.

Matka wetknęła mi szmatkę w dłoń i odeszła.

– Dobra, ty dokończ.

Rozejrzałam się. Kuchnia była już nieskazitelnie czysta.

# RAY

**M**am dla ciebie dobre wieści.

Zebrałem się w sobie. To, co inni uważali za dobre wieści, zwykle okazywało się wieściami najgorszymi z możliwych. Jednak oczy Mo tak błyszczały, że uznałem, iż tym razem to rzeczywiście może być prawda.

– Niedługo przenosisz się na nowy oddział, taki, na który lepiej pasujesz. Doktor Römerman chce się z tobą zobaczyć, aby o tym porozmawiać. Też tam będę.

Przytaknąłem. Każdy musi mieć kogoś, komu można ufać, a ja miałem Mo.

– Mogę ci coś powiedzieć w sekrecie? – Mo pochylił się tak, że jego twarz znalazła się blisko mojej. Poczułem się nieswojo. – Na nowym oddziale dostaniesz większy pokój. I teraz możesz zgadywać trzy razy, na co będziesz miał tam miejsce.

Nie ważyłem się powiedzieć o rzeczy, której pragnąłem najbardziej na świecie.

Mo zaczął dłońmi wykonywać ruchy pływających rybek.

– Ale jakby co, to o niczym nie mówiłem, dobra?

Wyszedł ze świetlicy, zmierzając do pokoju wychowawców, a ja zostałem sam, jak zwykle stojąc przy oknie. Moje rybki! Czy naprawdę chodziło mu o to, że oddadzą mi moje rybki?

Podniosłem ręce nad głowę i zacząłem biegać po świetlicy jak piłkarz, który właśnie strzelił gola. Krzyczałem z radości, biegając tam i z powrotem. Robiłem tak, dopóki Richard nie zasłonił uszu dłońmi i nie zaczął jęczeć.

– Dosyć! Dosyć!

Wtedy Mo wystawił głowę z pokoju i powiedział:

– Ray, wiem, że jesteś szczęśliwy, ale już troszkę się uspokój, dobra?

– Robię, co mogę – odpowiedziałem.

– Ale jeszcze nikomu ani słowa, zrozumiałeś?

– Dobra.

Doktor Römerman wyjaśnił mi, o co chodzi z przeniesieniem na inny oddział. To był oddział autystyczny, przeznaczony dla osób mających problemy z emocjami, właśnie takich jak ja.

Miałem tam trzymać się ścisłego harmonogramu dnia oraz chodzić na terapię.

Świetnie! – chciałem krzyknąć. A teraz powiedz mi o rybkach!

Jednak patrzył na mnie siedzący obok Mo, więc starałem się kontrolować.

– Kiedy cię tutaj przyjmowaliśmy, prosiłeś o coś – oznajmił doktor Römerman. – Zapytałeś, czy mógłbyś mieć akwarium w pokoju.

Pochyliłem się do przodu.

– Tak, tak?

– Postanowiliśmy spełnić twoją prośbę.

– To znaczy, że dostaniesz swoje rybki – wyjaśnił Mo, mrugając porozumiewawczo.

– Ale – dodał doktor Römerman – najpierw musimy wziąć po uwagę rozmiary akwarium. Jeżeli jest za duże, damy ci pozwolenie na mniejsze. Czy to będzie jakiś problem?

Pokręciłem głową.

– François! Maria! Hannibal! King Kong! Saturn! Wenus! Orzeszek! Rodzynek! Margie!

– Rozumiem – stwierdził doktor Römerman. Włożył swoje okulary w rogowej oprawie i zaczął coś zapisywać w notatniku. – Sadzę, że przeniesiemy cię w następną środę. Jeżeli chcesz, możesz dzisiaj razem z Mo obejrzeć nowy oddział. Masz ochotę?

– Będziemy mogli przyjrzeć się twojemu nowemu pokojowi i zdecydować, gdzie postawimy akwarium – dodał Mo.

I znowu ogarnęło mnie nieopisane poczucie szczęścia. Pod wpływem nagłego impulsu objąłem Mo, opierając mu głowę na ramieniu.

– Już dobrze, dobrze – powiedział doktor Römerman z uśmiechem.

Mo poklepał mnie po plecach.

– Ray, cieszę się, że jesteś szczęśliwy.

Oddział autystyczny z wyglądu w ogóle nie różnił się od oddziału przejściowego. Miał taką samą kanapę i takie same krzesła obciążone niebieskim materiałem w czerwone prążki. Był również stolik kawowy z jasnego dębu, żółty, poliestrowy dywan, a nawet rośliny stały dokładnie w tych samych miejscach.

Większości pensjonariuszy akurat nie było w świetlicy. Wychowawca z oddziału autystycznego wyjaśnił, że przebywają na terapii albo są pracy. Był to starszy mężczyzna z brodą i głębokim, spokojnym oraz wyrazistym głosem. Zastaliśmy tylko dwóch pensjonariuszy. Mieli właśnie jakąś przerwę między zajęciami.

Nie przywitali się. Nie wydawało się nawet, aby zauważyli nasze przybycie. Jeden siedział na kanapie i czytał książkę o paprociach, a drugi układał puzzle z tysiąca pięciuset kawałków.

Podobało mi się tutaj.

– Będziesz miał więcej swobody – oznajmił nowy terapeuta. – Ale wszystko powoli. Przez pierwszych kilka tygodni pozostaniesz pod ścisłą obserwacją. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zaczniesz dostawać coraz większą niezależność. Na przykład będziesz mógł sam chodzić do biblioteki albo do kantyny.

– Mogę obejrzeć swoją celę?

– Twój pokój. Muszę cię tylko ostrzec, że jest w nie najlepszym stanie. Pomalujemy go i dostaniesz nowe meble.

Weszliśmy na korytarz, wzdłuż którego ciągnęły się stalowe drzwi,

zaopatrzone w małe klapki. Moja cela mieściła się na samym końcu. Wychowawca wstukał jakiś kod. Drzwi się odsunęły.

Wszedłem do pustego pokoju. Cuchnęło w nim potem, na jednej ze ścian była wielka, wilgotna plama.

– Jeszcze tu nie posprzątało – oznajmił pracownik socjalny. – Ale ostrzegałem.

Zacząłem liczyć kroki. Od jednej ściany do drugiej mogłem zrobić dokładnie osiem kroków. Czyli miałem metr więcej niż do tej pory. Zdecydowana poprawa. Nowa cela była także szersza i miał okno wychodzące na pusty mur.

– Co ty na to? – zapytał Mo.

– Bardzo ładnie – powiedziałem.

– Oczywiście wszystko dla ciebie umyjemy. Tego już tutaj nie będzie. – Pracownik socjalny wskazał wielką plamę na ścianie, jak gdyby umknęła mojej uwadze.

– Świetnie – oznajmił Mo. – Jeżeli tam postawimy twoje łóżko, będziesz miał miejsce na swoje akwarium.

– Och, tak, słyszałem o tym – odezwał się nowy wychowawca. – Akwarium morskie, prawda? Jakie masz rybki?

– Wszystkie rodzaje. Pomakantę, garra rufę, błazenka, ślizgi.

– Mamy jeszcze jednego pensjonariusza, który trzyma rybki. Tyle że on ma tylko dwie złote rybki w misie.

Mo zerknął na swój zegarek.

– Ray, musimy wracać. Już prawie koniec mojej zmiany.

Po raz ostatni rozejrzałem się po pustym pokoju.

Wcale nie jest źle, uznałem.



# IRIS

Lawrence zaprosił mnie na krótką przechadzkę dookoła Vondel Park.

– Dzisiaj jestem za bardzo niespokojny, aby siedzieć w fotelu. Poza tym wszystkie spodnie robią mi się za ciasne, a ja nie uznaję diety.

W drodze do parku po wyrazie jego twarzy widziałam, że jest zdenerwowany. Kiedy już dotarliśmy na miejsce, zapytał:

– Co ty sobie myślałaś, idąc do Asschera? Ten facet od zawsze był księgowym rodziny van Benschopów. Nie widzisz, że to nas stawia w złym świetle?

– Ale skąd ja miałam wiedzieć, że to jest księgowy van Benschopa?

– Rozpoznanie – rzucił – Czy ci o tym nie mówiłem?

– Przepraszam – odparłam. – Właśnie sama to odkryłam. Ale jak pan wie, on miałby bardzo dobry motyw.

– W ogóle nie chcę o tym słuchać. Chcę ci tylko powiedzieć, że nie wolno ci się już nigdy do niego zbliżać ani do rodziny van Benschopów! A co do rzeczy, którymi masz się zajmować... – Dysząc i wzdychając, zaczął mi przedstawiać wnioski, jakie wyciągnął z lektury mojego raportu. Ledwie dotrzymywałam mu kroku.

– Naocznych świadków jest bardzo niewielu, jak sama ustaliłaś, zaś Boelensa ewidentnie przymuszono do złożenia zeznań. Widzenie tunelowe – powiedział z zamaszystym ruchem ręki. – To powinna być mantra powtarzana przez każdego obrońcę w sprawie karnej w dwudziestym pierwszym wieku.

Pokiwałam głową na znak, że się z nim zgadzam. Ledwie ominęłam sporą

kałużę.

– Jednak istnieje sporo mocnych dowodów, wskazujących na udział Boelensa w podwójnym zabójstwie Angeli. Na początek, ewidentnie był obecny na miejscu zbrodni. Ustaliło to laboratorium kryminalistyczne, nie ma cienia wątpliwości. Mówimy o śladach krwi ciągnących się od ich domu do jego domu. – Nagle Rence się zatrzymał. Stał pochylony, z dłońmi na udach, i łapał oddech.

– Może powinniśmy nieco zwolnić. Podczas ćwiczeń ważne jest zachowanie sił – powiedziałam.

– Nie ma mowy. – Rence podźwignął się. Twarz miał czerwoną, a włosy tak rozwiane, że odsłoniły łysinę.

– Jutro zabiorę swoje buty do biegania. Od teraz róbmy tak codziennie.

– Super.

– Śmiejesz się ze mnie?

– Oczywiście, że nie.

Rence znowu przyspieszył kroku. Park był prawie opustoszały, chociaż dzisiaj, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, wyrzało słońce.

– Nieważne. Porozmawiajmy za to o narzędziu zbrodni. Nożu z Ikei. Raport laboratorium kryminalistycznego nie stwierdza, że nóż Boelensa na pewno był narzędziem użytym do zamordowania ofiar. Holenderski Instytut Kryminalistyczny określił prawdopodobieństwo na siedemdziesiąt dwa procent. To dużo, ale to jeszcze nie jest sto procent. Muszę także dodać, że na nożu nie odnaleziono śladów DNA ofiar. Możliwe, że Boelens starannie go oczyścił. Sam zawsze radzę klientom używać do tego Brillo.

Rence zrobił przerwę, aby dać mi możliwość zaśmiania się ze swojego dowcipu.

– Każdy wie, że rzeczy z Ikei to szajs. Dlaczego lampka Höteknöte jest taka tania? Bo po spędzeniu godziny w kolejce, żeby ją kupić, starcza dokładnie na półtora dnia, dwie godziny, trzy minuty i czternaście sekund. Potem jest do wyrzucenia. Mógłbym się założyć, że jeśli tego noża użyto by do dźgnięcia kogoś czternaście razy, to biorąc pod uwagę, że my, ludzie, składamy się w sześćdziesięciu procentach z wody, ale mamy również

niesamowicie twarde kości oraz mocne ścięgna, to... – Rence dyszał już tak bardzo, że ciężko było go zrozumieć.

– Chodźmy trochę wolniej – zaproponowałam.

– To tak łatwo nie będzie. W każdym razie potrafię sobie wyobrazić, że nóż nie wyszedłby z takiego użytkowania bez szwanku. Może czubek by mu się zagiął albo ostrze się poluzowało. Może powinniśmy sprawdzić, jak coś takiego wpływa na nóż z Ikei. Chociaż... – Spojrzał na mnie, marszcząc brwi. – Założmy, że zdołamy udowodnić, że ten nóż nie był narzędziem zbrodni. Wciąż pozostaje nam kwestia obecności Boelensa na miejscu przestępstwa.

– Na tym nożu były jakieś inne substancje, o takich skomplikowanych, chemicznych nazwach. Nie miałam czasu, żeby się dowiedzieć, co to dokładnie – oznajmiłam.

– Ach, to. Zapytałam znajomego w Instytucie Kryminalistyki. To jest wulkanizowana guma.

– Co takiego? – Gwałtownie przystanąłam.

– No dalej – powiedział Rence, nie zwalniając nawet odrobinę. – Idź dalej. Aby się z nim zrównać, musiałam przebiec kilka kroków.

– Taka guma jak w oponach samochodowych? – zapytałam.

– W oponach samochodowych, gumowych pokryciach, kablach...

Znowu się zatrzymałam.

– Co pan mówi?

Tym razem Rence był na tyle uprzejmy, aby na mnie poczekać. Twarz miał okropnie zaczerwienioną.

– Wie pan, że niedługo przed morderstwem Boelens pociął opony w samochodzie kochanka Rosity? Jeżeli to z tych opon pochodzi guma na nożu, to on nie może być narzędziem zbrodni.

– Bo...?

– Bo jeśli Ray dokładnie umył nóż, aby usunąć wszelkie pozostałości DNA tych dziewczyn, dlaczego są pozostałości gumy? Na pewno je także by wyczyścił.

– Interesujące – stwierdził Rence. – Ale oczywiście nie wiemy, jak bardzo

trwałe są pozostałości gumy. Może ich się nie da osunąć, nieważne, jak mocno się szoruje. Poza tym tego nie można użyć jako nowego dowodu.

– Dlaczego nie?

Rence, podirytowany, pokręcił głową i ruszył dalej, chociaż na szczęście już wolniejszym krokiem.

– Iris, czy ty nie rozumiesz? To jest już w aktach sądowych. Tyle że obrońca nawet się nie kłopotał, żeby tam zaglądać. Przypadek, z wielką szkodą dla Boelensa, a nam nic nie daje. Nie, ja jestem bardziej zainteresowany obecnością Boelensa na miejscu zbrodni. Co ten facet tam robił?

– Tego jeszcze nie ustaliłam, jest małomówny.

– Może powinienem złożyć mu wizytę?

– Nie wiem, czy to ma jakiś sens. On jest wyjątkowo nieufny. Nawet swojemu psychiatrze nie powiedział, co się wydarzyło. Ciągłe tylko powtarza, że jest niewinny.

Rence uważnie przyglądał się mojej twarzy.

– A może jest jeszcze jakiś inny powód tego, że nie chcesz, żebym spotkał się z panem Boelensem?

Poczułam, że się czerwienię.

– Co pan ma na myśli?

– Nic.

Próbowałam się zastanowić, czy to rozsądne, przyznawać się, że Ray jest moim bratem. Było możliwe, że Rence już wiedział. Ale skąd? Na wszelki wypadek oznajmiłam lekko:

– Och, mam mnóstwo powodów. Zna mnie pan.

– Nie martw się. Tu nie chodzi o to, że nie pomogę ci przy apelacji w sprawie twojego brata – oznajmił nonszalancko.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze, chociaż mogłam się domyślić.

– Skąd pan wie?

Rence ojcowskim gestem położył mi dłoń na ramieniu.

– Chodź, wracamy do kancelarii. – Po kilku krokach zdjął rękę. – Wiedziałem, jak tylko usłyszałem jego nazwisko.

– Boelens?

– Zgadza się.

– Wiedział pan od razu.

– Oczywiście. – Wydawał się bardzo zadowolony z siebie.

Próbowałam znaleźć jakiś związek, ale daleko nie dotarłam.

– Ale my nawet nie nosimy takiego samego nazwiska. Czyli pan zna moją matkę?

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, to tajemnica zawodowa.

– Och, proszę. Skąd pan zna panińskie nazwisko mojej matki?

– Pamiętaj, że od dawna jestem prawnikiem, podobnie jak Martha. Tak między nami, to poznaliśmy całkiem sporo osób.

– Czyli pan zna moją matkę?

– Nie znam jej osobiście. Znam ludzi, którzy ją znają i tak...

Przypomniałam sobie dziwną rozmowę, jaką odbyłam z Martha jakiś czas temu. Co ona powiedziała? Że zatrudniając mnie, nie miała większego wyboru? Czy moja matka miała z tym coś wspólnego?

– Niech mi pan powie. Nie może mnie pan zostawiać w takiej niewiedzy.

– Może nie powinnaś milczeć o tym, że twój nowy klient jest twoim przyrodnim bratem. Jak się wyraziłaś? To będzie prestiż dla firmy, czy coś takiego? Cały czas miałem nadzieję, że w końcu sama mi powiesz.

Co mogłam na to odrzec?

W milczeniu powróciliśmy do kancelarii. Przed wejściem Rence powiedział:

– Jednak ci to wybaczone, dziecko. – Westchnął.

I znowu mi wybaczał, jak gdyby cała moja historia zatrudnienia w Bartels & Peters stanowiła jeden niekończący się potok kłamstw i oszustw.

– Co teraz? – zapytałam, kiedy dotarliśmy do miejsca w holu, gdzie musiałam wejść po schodach, a on skręcić w lewo, do swojego biura.

– Dziecko, po prostu idź z tym dalej. Twoją teorię o gumie przekażę do rozpatrzenia specom od kryminalistyki. A ty musisz namówić Boelensa, żeby się przed tobą otworzył, jeśli chodzi o dzień morderstwa. Co on robił na miejscu zbrodni? Dlaczego wyszedł wcześniej z pracy, skoro zazwyczaj nie

wychodził przed trzecią po południu? Właśnie to musimy wiedzieć.

– Bardzo ciężko wyciągnąć od niego jakieś informacje – odparłam. – Przez połowę czasu wydaje się w ogóle nie słuchać, co do niego mówię.

– To jest kolejna przeszkoda, którą musimy przezwyciężyć. Myślę, że chciałbym spotkać się z nim osobiście, nim zainwestuję więcej czasu i energii w jego sprawę. Nie dlatego, że uważam, że poszłoby mi z nim lepiej niż tobie, ale dlatego, że zawsze lepiej mieć jeszcze opinię drugiej osoby. Zwłaszcza że, jak sądzę, możesz zbyt zaangażować się emocjonalnie. Właśnie dlatego mamy zasadę, że klientem nigdy nie zostaje członek rodziny.

– Załatwię, żeby następnym razem mógł pan przyjść razem ze mną – oznajmiłam.

– I trzymaj się z dala od Asschera. I od rodziny van Benschopów.

Rence rozstał się ze mną, po wielkopańsku skinąwszy głową.

# RAY

**S**iedzieliśmy przy śniadaniu. Zwykle nie cierpiałem takiego wysiadania na wspólnych posiłkach, ale teraz wiedziałem, że niedługo odzyskam rybki, więc było to do zniesienia.

– No, słyszałem, że dołączają cię do innych Rainmenów.

Przez ostatnich kilka dni Rembrandt siadał obok mnie. Zwykle nie reagowałem, gdy się do mnie odzywał, ale tym razem przytaknąłem.

– Wielką niewiadomą pozostaje to, gdzie nasz ziomeczek André – ruchem głowy wskazał pracownika socjalnego w okularach – zamierza teraz chować swój towar. Ale hej, on przecież znajdzie sobie kolejnego frajera, jeśli wiesz, o czym mówię?

André patrzył w naszą stronę. Zmrużył oczy skryte za okrągłymi oprawkami.

Rembrandt ściszył głos do szeptu.

– On wie, że o nim mówimy. Tylko spójrz na te sprytne, świńskie oczka. Próbuje czytać nam z ruchu warg.

– Żadnego plotkowania przy stole – odezwał się André. – Tu nie pensja dla dziewcząt.

– Oż cholera! A ja już jestem taki zmęczony tymi włochatymi facetami. A ty, Rainman? – Szturchnął mnie łokciem w żebra. Zamarłem bez ruchu, wpatrując się w masło orzechowe rozsmarowane na chlebie z fabryki. – A skoro już mowa o dziwkach, to kiedy ta nasza mała, napalona wychowawczyni wraca do pracy? Skoro ty odchodzisz, może teraz ja powinienem brać się do dzieła. Rainman, szepniesz za mną słówko?

– Wiesz, że takie rozmowy ściągają kłopoty. Daję ci pierwsze ostrzeżenie – oznajmił André.

– Za co? Nie zrobiłem nic złego! – Czarny kowboj uniósł ręce, jak gdyby chcąc w ten sposób podkreślić swoją niewinność.

– Doskonale wiesz, o czym mówię.

– Spoko brachu. Luzik. – Rembrandt poczekał, aż wychowawca odwróci się, i zagadnął siedzącego obok Hanka. Potem przysunął się blisko mnie.

– Na twoim miejscu odpłaciłbym mu za to, co ci zrobił. Nieźle ci namieszał, prawda? Chyba że ci się podobało w dziurze. Co, Rainman? Staje ci, jak te papierowe gacie ocierają ci się o fiuta? – Rembrandt odgryzł kęs kanapki i żuł, szeroko otwierając usta. Odwróciłem głowę w drugą stronę.

– Niedługo znajdziesz się już na innym oddziale, a wtedy będzie za późno.

Miałem nadzieję, że śniadanie zaraz się skończy. Jednak zobaczyłem, że pracownik socjalny w okularach wyjmuje z kosza następny kawałek chleba. Czyli mieliśmy jeszcze co najmniej pięć minut.

– Wiesz już, co zrobisz? – Cuchnący oddech Rembrandta popłynął mi w twarz. Odsunąłem się od niego, najdalej jak mogłem, i starałem się myśleć o swoich rybkach.

– Brachu, przyciśnij go. Powiedz, że wiesz, że to zrobił. Potem patrz, jak zareaguje.

Wenus. Saturn. Hannibal. King Kong. Orzeszek. Rodzynek.

– Rembrandt. Ostrzeżenie numer dwa. Przy śniadaniu nie ma szeptania. Jeszcze jedno ostrzeżenie i będziesz zamknięty w swoim pokoju.

– Och, tak? – Rembrandt wstał. Wszyscy przestali żuć. Wyjąwszy może Richarda, który, jak zwykle, wycinał różne kształty z chleba. Dzisiaj choinkę z masłem i dżemem.

Nagle Rembrandt ściągnął spodnie i zamachał penisem.

– Wiesz, co możesz mi zrobić? Możesz ssać mi fiuta. – Zaczął wymachiwać tą brązową rzeczą. – Ssać mojego wielkiego, czarnego fiuta – powtórzył.

– Teraz sam prosisz się o kłopoty – oznajmił drugi wychowawca, ten nowy. Nie widywałem go często.



– Wiem, że tego chcesz. Spójrz tylko na ten rozmiar! Nie to, co ten maluch, którego nosisz w gaciach. – Rembrandt wymachiwał penisem niecałych trzydziści centymetrów ode mnie. Reszta chłopaków zaczęła wiwatować, jak gdyby to było coś dobrego.

Zanurkowałem pod stół.

– Daję ci ostatnią szansę, żebyś wciągnął te gacie, a potem wzywam ochronę i wszyscy wiemy, jak to się skończy.

– Pierdol się, skurwysynu – usłyszałem Rembrandta. Ze swojej kryjówki pod stołem widziałem, jak podciąga spodnie.

– Świetnie – oznajmił André. – Ale i tak masz szlaban na co najmniej tydzień. Koniec śniadania.

Zostałem tam, gdzie byłem. Wyszedłem spod stołu dopiero, kiedy wszyscy już od niego wstali.

Kiedy miałem dyżur w kuchni, musiałem zbierać naczynia, przenosić je do małej kuchni, wkładać do zmywarki, a jedzenie chować do lodówki albo spizarki. Nagle okazało się, że nie jestem już sam w małej kuchni, wszedł do niej również wychowawca w okularach. Przestraszyłem się, że podsłuchał, co Rembrandt mówił na temat konfrontacji z nim, jeszcze zanim zaczął wymachiwać penisem. Pospieszenie wsadziłem resztki pieczywa z powrotem do chlebaka, skupiając się na swoim zadaniu.

– Co to, do cholery, było, to podczas śniadania?

Czyli znowu kłopoty. Starłem się myśleć o rybkach i miałem nadzieję, że on odejdzie.

– Czy ty udajesz głuchego? Kiedy wreszcie zrozumiesz, że Rembrandt nie mówi ani słowa prawdy?

Otworzyłem lodówkę, położyłem ser i masło na półce.

– Nie, w każdym razie nie po to tutaj przyszedłem. Chciałem powiedzieć, że będziesz miał dzisiaj gościa.

Nie spodziewałem się teraz Iris Kastelein, ale to była dobra wiadomość. Będę mógł jej powiedzieć, że dostanę z powrotem swoje rybki. Będzie

zadowolona. Wiedziałem, że będzie.

– Przychodzi twoja matka. To jej pierwsza wizyta, prawda?

Zastygłem bez ruchu. Słoik dżemu, który właśnie trzymałem, wyślizgnął mi się z dłoni. rozbijając na kafelkach podłogi. Wszędzie rozbryzwał się czerwony dżem.

– To cię tak wystraszyło? Dlaczego?

Milczałem, wpatrując się w czerwony bałagan. Wspominałem ostatnią wizytę matki, w więzieniu. „To koniec – oznajmiła. – Nie mogę już więcej się z tobą widywać. Po prostu nie wytrzymam tego dłużej”. Wtedy nie płakała ani też nie uściskała mnie na pożegnanie.

– Słyszałeś, co mówiłem? – André poklepał mnie po ramieniu.

Nastąpiła długa cisza. Nie wiedziałem, co mam zrobić albo co powiedzieć.

Odchrząknął.

– Widzę. Dobra. To ja przyjadę po ciebie około jedenastej. Świetnie sobie poradzisz ze sprzątnięciem tego bałaganu, prawda?

# IRIS

**W** każdy środowy wieczór, od siódmej trzydzieści do dziesiątej trzydzieści, moja matka grała w brydża w klubie seniora, kilka przecznic od domu. Kółko brydżowe nosiło żartobliwą nazwę Siwe Komórki, która nawiązywała nie tylko do siwych włosów graczek, ale również do przekonania, że brydż pozwala zachować młodość szarych komórek. Matka farbowała włosy. Zawsze powtarzała, że pozostanie blondynką aż do dnia swojej śmierci. Musiałam nawet obiecać, że ufarbuję jej włosy, zanim ją wystawią w trumnie.

W domu matki paliło się światło na korytarzu i jeszcze jedna mała lampa w salonie. Jeśli chciałeś pokazać, że nikogo nie ma w domu, to właśnie najlepiej było zostawić jedno zapalone światło, niczym latarnię, prowadzącą statki do portu. Staralam się to wytłumaczyć, ale zdaniem matki, złodzieje przecież nie odważą się włamać, widząc światło, nawet tylko małej, dziennej lampki w rogu pokoju.

Aaronem opiekowała się teraz Binnie. Wcale nie byłam pewna, czy to dobrze się skończy. Po tym, jak zajmowała się nim ostatnio, znalazłam u niego we włosach gumę do żucia. Tylko w stosunku do matki żywiłam całkowite zaufanie w kwestii opieki nad Aaronem, ale przecież nie mogłam jej poprosić, skoro zamierzałam się włamać do jej domu.

Czułam się zdenerwowana. Wcześniejszy powrót matki z brydża był niezbyt prawdopodobny, ale jednak możliwy. A ona, delikatnie mówiąc, byłaby niemiło zaskoczona, zastając mnie tutaj.

Skoro matka odmawiała powiedzenia czegokolwiek o Rayu albo jego

tacie, postanowiłam sama przeprowadzić drobne śledztwo. Ostatnim razem, szukając w jej gabinecie jakichś tropów, skupiałam się na Rayu. Tym razem chciałam znaleźć coś, co doprowadziłoby mnie do jego ojca.

Na palcach przeszłam przez salon, chociaż nikt nie mógł mnie usłyszeć – i poświeciłam latarką na małe biurczko matki.

W ciemnościach akwarium wyglądało upiornie. Rzuciło zielonkawoniebieską poświatę, niczym podwodna jaskinia. Ryby pływały spokojnie, rozkosznie nieświadome tego, co się dzieje.

Otworzyłam szuflady, przyjrzałam się ich zawartości. Wyciągi z konta bankowego matki, gwarancje, rachunki za gaz, wodę i prąd. Pudełko gumek recepturek oraz spinacze do papieru. Mapa Amstelveen, bilety autobusowe, dwie pocztówki z Hiszpanii sprzed dwóch lat, które przysłał dawny kolega ojca. Przewertowałam jej książkę adresową. Znalazłam tyle nieznanych nazwisk, że nic mi to nie dało.

Mój wzrok przykuło złote, wieczne pióro leżące na biurku. Często widziałam, jak matka nim pisze, ale nagle dostrzegłam jego podobieństwo do pióra Petera van Benschopa. Obróciłam je w świetle latarki i dostrzegłem napis: „Van Benschop Shipping Co”.

Skąd matka to miała? Takie pióro było za drogie, żeby dawać je jako gadżet reklamowy. Ktoś je musiał podarować. Podniosłam książkę z adresami i znowu skupiałam na niej uwagę. Jak miał na imię tamten starszy mężczyzna, którego spotkałam na parkingu, gdy rozmawiałam z Victorem Asscherem? Znalazłam pod A. Antoine. Bez nazwiska.

– Aha – powiedziałam na głos. Ilu Antoine’ów może tutaj być? Wyjęłam komórkę i wybrałam numer. Po kilku sekundach, usłyszałam jakiegoś starszego mężczyznę, mówiącego: „Halo?” Szybko się rozłączyłam, dziękując sobie, że własny numer zastrzegłam.

Moja matka знаła Antoine’a van Benschopa. Rodzina van Benschopów była od dawna jednym z największych klientów Bartels & Peters. Czy to matka poprosiła Antoine’a van Benschopa, żeby kancelaria Bartels & Peters dała mi pracę? Doskonała posada: praktycznie za rogiem i na dodatek w niepełnym wymiarze godzin. Jeżeli teraz na to spojrzeć, jej otrzymanie

faktycznie wydawało się aż za dobre, żeby było prawdziwe. Zanim urodziłam Aarona, odzywali się do mnie headhunterzy, co nie dziwiło. Jednak gdy zaszłam w ciążę, oferty zupełnie przestały napływać.

Matka nakłoniła mnie do szukania innej pracy. Niechętnie wysłałam kilka ofert, jednak wydawało się, że żadna kancelaria prawnicza w kraju jakoś nie kwapi się do zatrudniania młodej, samotnej matki na niepełny etat. Tuż przed tym, jak miałam już iść na urlop macierzyński, zadzwonił do mnie Lawrence. Akurat szukał kogoś na niepełny wymiar godzin. Za bardzo się ucieszyłam i zbyt dużą poczułam ulgę, żeby się dziwić. Koledzy mi zazdrościli.

– Będiesz pracowała w kancelarii w niepełnym wymiarze godzin? Naprawdę? Nie do wiary!

Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym większej nabierałam pewności. To nie był przypadek, że zaoferowano mi tę pracę. Martha już to zasugerowała, Rence, jak się okazało, pośrednio znał moją matkę, a van Benschop, na dźwięk mojego nazwiska zareagował niczym pies zapędzony do kąta. Pozostawało pytanie: skąd matka знаła Antoine’a van Benschopa i dlaczego mogła domagać się od niego przysługi?

Dwie godziny spędzone przez Aarona pod opieką Binnie minęły bez żadnej katastrofy. Obudził się tylko na chwilę, wtedy dała mu trochę soku. Byłam zachwycona.

– Mogę tylko zgadywać – oznajmiła Binnie, gdy opowiedziałam o swojej wizycie w domu matki. – Pozostaje pytanie, jak dobrze twoja matka go zna. Zaczynam myśleć...

– ...że Antoine van Benschop to ojciec Raya.

– Aż trudno w to uwierzyć, ale to zaczyna tak wyglądać. Co wiesz o tym Antoine? Przyglądałaś się kiedyś bliżej temu swojemu, jak ty tam mówisz, przyszłemu teściowi?

Binnie oparła dłonie na skroniach, co, jak twierdziła, pomaga jej w myśleniu – i zamknęła oczy.

– Antoine van Benschop – wymamrotała kilka razy. – Zacznijmy od tego,

że jego nazwisko wcale nie brzmiało kiedyś van Benschop.

– Co?

– Pierwotnie nosił jakieś inne nazwisko, coś w rodzaju Blumenveld, Parrotpiss czy jakoś tak, nieważne. Kiedy się ożenił, przyjął nazwisko żony.

– No! Zakładam, że miał ku temu dobry powód?

– A jak myślisz? Papa van Benschop, stary ojciec Barbary, nalegał, żeby jego zięć przyjął rodowe nazwisko, jeśli chce przejąć rodzinny interes.

– Dobra...

– Teraz mi się przypomina – kontynuowała Binnie, puszczając skronie. – Przypomniałam sobie, że Antoine pracował u van Benschopa i niemal został wepchnięty w ramiona Barb przez papę.

– Prawdziwa miłość.

– Prawdziwa miłość – zgodziła się Binnie.

– Kto by nie pokusił się na posag w postaci Van Benschop Shipping Co?

– Ja bym nie odmówiła.

– Moja matka kiedyś pracowała jako sekretarka. Może właśnie tam pracowała. Może tam poznała Antoine'a van Benschopa.

– Ale co teraz zamierzasz zrobić? Skonfrontować się z matką? Zadzwonić do Antoine'a?

– Może i jedno, i drugie.

– Wiesz, co jest obłędne – zauważyła Binnie. – Jeżeli Antoine jest ojcem Raya, to Ray jest przyrodnim bratem Sikającego Petera.

Złapałam się dłońmi za głowę i jęknęłam.

– Nie martw się, przynajmniej ty nie jesteś z nim spokrewniona – dodała Binnie ze śmiechem.

Nazajutrz rano, o dziewiątej trzydzieści, zadzwoniłam do sekretariatu van Benschopa.

– Pan van Benschop zjawia się tylko we wtorki i środy. Obawiam się, że musi pani zadzwonić w przyszłym tygodniu.

– Muszę z nim pilnie rozmawiać – powiedziałam. – Może byłaby pani taka

uprzejma i przekazała, że Iris Kastelein z kancelarii Bartels & Peters chciałyby porozmawiać z nim na temat pewnej ważnej sprawy.

– Mogę to zanotować. Ale niczego nie mogę obiecać. Pan van Benschop sam decyduje.

– Jestem tego pewna.

Antoine van Benschop oddzwonił jeszcze tego samego dnia. Rozmowa była krótka. Zanim zdążyłam cokolwiek wyjaśnić, powiedział:

– Trzymaj się od tego z daleka.

– Co pan ma na myśli?

– Doskonale wiesz, co ja mam na myśli. Jeżeli jesteś rozsądną dziewczyną, zostawisz to wszystko w spokoju.

– Dobrze! Sądząc po pańskiej gwałtownej reakcji, właściwie nie mam innego wyjścia, jak uznać, że to pan jest ojcem Raya Boelensa.

– Tutaj nie ma nic do uznawania – stwierdził i się rozłączył.

# RAY

**M**atka weszła do pokoju widzeń w milczeniu. Niedbale skinęła głową w moją stronę i usiadła na krześle naprzeciwko. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, była wielka broszka w kształcie pszczoły, przypięta do czerwonego swetra. Potem zobaczyłem, że ma nieco krótsze włosy, niż kiedy widziałem ją ostatnim razem. Opływały twarz niczym małe fale. Chciałem móc sięgnąć ręką i ich dotknąć.

Złożyła dłonie, opierając łokcie na stole.

– Pewnie się zastanawiasz, co ja tutaj robię.

Uświadomiłem sobie, że się trzęsę. Wepchnąłem dłonie pod uda, aby mi nie latały. Czy ona zamierzała mnie przytulić? Czy zamierzała powiedzieć, że jestem jej synem i zawsze będzie dla mnie, chociaż już nie mieszkamy razem?

– Jak rozumiem, poznałeś już swoją siostrę – zaśmiała się nieco, ale nie sądziłem, aby to był szczerzy śmiech – a ona zaproponowała ci pomoc w twojej sprawie.

Przytaknąłem. Iris Kastelein. Moja młodsza siostra.

– Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. – Matka spojrzała na mnie surowo swoimi niebieskimi oczyma, obwiedzionymi czernią. Nigdy nie dawała się zwieść moim rozmiarom. Doskonale wiedziała, jaki mały jestem w środku.

– Ale najpierw porozmawiajmy o czymś innym. Jak rozumiem, pozwolono ci na trzymanie akwarium w pokoju?

– Tak! Od przyszłego tygodnia! – Nagle poczułem niepokój. – Mogę



mamo, prawda?

Uśmiechnęła się.

– Oczywiście, kochanie. Możesz mieć swoje akwarium. Dopóki jesteś grzeczny i nie łamiesz żadnych reguł.

– Jestem grzeczny, naprawdę jestem.

– Dobrze. Wiem Ray, że się bardzo starasz.

– Tak. – Wyjąłem dłonie spod nóg. Były już spokojne, położyłem je na kolanach.

– Ale pojawiło się kilka nowych reguł, których musisz przestrzegać. Reguł, o których dotąd nie wiedziałeś.

– Dobrze.

– Mógłby pan przynieść nam kawę? – Moja matka poprosiła André.

– Oczywiście – powiedział i opuścił pokój razem ze strażnikiem. To mnie zaskoczyło. Mo nigdy nie przynosił odwiedzającym niczego do picia. I nigdy też nie wychodził z pomieszczenia.

– Ray, nową regułą jest – z wolna oznajmiła moja matka – abyś przestał wszystkim opowiadać, że jesteś niewinny.

Nie byłem pewien, czy dobrze ją usłyszałem.

– Mamo, ale ja jestem niewinny!

– Kolejna nowa reguła – mówiła moja matka, spokojnie i ze współczuciem – jest taka, że masz teraz mówić, że popełniłeś to morderstwo. Pod tym warunkiem będziesz mógł trzymać tutaj rybki. Zrozumiałeś?

Pokręciłem głową i znowu wsunąłem dłonie pod nogi, tak na wszelki wypadek.

– Ray, zabiłeś Rositę i Annę. Napiszesz to w liście do swojej siostry. Masz jej kazać skończyć z tym głupim węszeniem. I oznajmić, że najlepiej będzie, jeżeli już się więcej nie zobaczycie. Już nigdy. – Matka wyjęła notatnik i długopis, stanowczym ruchem położyła przede mną. – Zapisz to, co powiedziałam.

– Nie – oznajmiłem. – Nie zrobiłem tego, naprawdę tego nie zrobiłem! Wiesz o tym. I nie chcę też pisać listu do Iris Kastelein. Chcę, żeby dalej mi pomagała.

Spojrzała na mnie chłodno.

– No dobrze. Nie chciałam tego robić, ale nie zostawiasz mi wyboru. – Pochyliła się, aby wyjąć coś jeszcze z torebki. Puskę na ciastka.

Gdzie był ten wychowawca w okularach? Gdzie był strażnik?

Matka uniosła pokrywkę, wyjęła zmrożony wkład chłodzący. Pod spodem leżało coś owiniętego w papierowy ręcznik z wizerunkami małych kotków. Odwinęła to.

– Sam się o to prosiłeś.

Spod papieru wyłoniła się okaleczona rybka. Chociaż rozcięto ją z obu stron, natychmiast ją rozpoznałem. To był Hannibal. Widziałem jego wnętrzności.

Drugą rybką w papierowym ręczniku okazał się King Kong. On również był rozcięty. Nie mogłem na to patrzeć. Tylko nie King Kong! Nie mój majestatyczny King Kong, którego kupiłem dla Anny!

– Teraz napiszesz dokładnie to, co ci każę, albo w twoim akwarium nie zostanie żadna rybka.

Wiedziałem, że moja matka nie żartuje. To było jej Ostatnie Ostrzeżenie.

Kiedy matka dyktowała list, a ja spisywałem jej słowa, nawet nie myśląc, co oznaczają, starałem się nie płakać. King Kong! Hannibal! Moje najlepsze, moje najpiękniejsze rybki. Zawsze dla mnie były, pływały sobie spokojnie w doskonale zrównoważonym świecie akwarium, gdzie poziomy pH były dokładnie takie, jak powinny, i gdzie codziennie otrzymywały dokładnie taką samą porcję pokarmu, dokładnie o tej samej porze.

– Wróciliśmy – usłyszałem André. Wszedł razem ze strażnikiem. Matka właśnie kazała mi podpisać list.

Pod tekstem napisałem swoje nazwisko.

André kaszlnął, z uniesionymi brwiami wpatrując się w martwe rybki na stole. Matka szybko zawinęła je w papierowy ręcznik i wetknęła z powrotem do puszek.

– Już pani skończyła, pani Boelens? – zapytał.

– W rzeczy samej. – Głos mojej matki brzmiał zupełnie normalnie. Podniosła notatnik i oderwała górną kartkę. – Proszę, to do wysłania pocztą.

Moje usta otworzyły się i wydobył się z nich skowyt. Walnąłem pięściami w stół.

– Nie, nie, nie!

– Lepiej dajcie mu coś na uspokojenie – poleciła matka.

Wstała, kładąc mi dłoń na ramieniu.

– Tak będzie najlepiej. Uwierz mi Ray. Za kilka dni dostaniesz swoje akwarium i zapomnisz o całej sprawie.

Wyszła z pokoju, a zaraz za nią André.

Strażnik dał mi jeszcze trochę powrzeszczeń, aż wreszcie poklepał mnie po ramieniu.

– Czas już się zamknąć.

Jednak nie byłem w stanie, chociaż starałem się używać sposobów wyuczonych podczas terapii w poprawczaku. Najpierw wziąłem głęboki wdech przez nos. Potem wydech przez usta. Odetchnąłem tak kilka razy, starając się uspokoić. Działo tylko kilka sekund, potem zaczynałem znowu wrzeszczeń, waląc pięściami w stół.

– Przestań. – Strażnik zaczął mną potrząsać. – Przestań, do cholery!

Pokiwałem głową i próbowałem przestać, naprawdę, ale po prostu byłem zbyt zdenerwowany.

Strażnik uderzył mnie w twarz. Nie dostrzegłem zbliżającego się ciosu. Głowa odskoczyła do tyłu, uniosłem dłonie ku bolącemu miejscu.

– No – powiedział. – Teraz wracamy do twojego pokoju.

# IRIS

**P**o prostu tego nie pojmuję – oznajmiłam Mo. Przysunął się nieco bliżej i dotknął mojej dłoni. To było bardzo miłe z jego strony, że zjawił się zaraz po tym, jak zadzwoniłam. Chociaż dziwnie patrzyło się na niego, siedzącego na poplamionej sofie w moim salonie. Aaron już poszedł spać. Na szczęście tym razem zasnął bez problemu. – Dlaczego Ray nie chciałby mnie już więcej widzieć?

– Tak, trudno to zrozumieć.

– Czy coś się stało? Na oddziale? Podczas jego sesji u psychiatry?

– O niczym nie wiem. Wręcz przeciwnie, wydawał się w siódmym niebie w związku z przenosinami na inne piętro.

– Na jakie piętro?

– Na oddział autystyczny. Widzisz, on tam będzie bardziej zadowolony. Pensjonariusze są tam znacznie spokojniejsi, bardziej zamknięci w sobie. Poza tym Ray będzie mógł w swoim pokoju trzymać akwarium.

– To świetnie! Ale może właśnie dlatego napisał ten list? Teraz, kiedy wreszcie odzyskał swoje rybki, już nie czuje potrzeby bycia wolnym.

– Możliwe. Ale dlaczego miałby przez to nie chcieć się już z tobą komunikować? Miałem wrażenie, że zaczynały mu się podobać twoje wizyty.

Poczułam, że się rumienię, nawet jeśli nie był to tak zupełnie komplement. Skupiłam się na ponownej lekturze listu, który przysłał mi Ray. Nadal mi się to nie trzymało kupy. Tyle czasu upierał się, że jest niewinny, aż nagle, tak czarno na białym, przyznawał się do morderstwa, na kartce A4, domagając się też, żebym się więcej z nim nie kontaktowała.

– Myślisz, że coś zrobiłam źle?

– Oczywiście, że nie. Byłaś wspaniała. Myślę, że rozmawiałaś z nim właśnie tak w sam raz. Bardzo starał się nawiązać kontakt i odpowiedzieć na twoje pytania, chociaż było mu niezwykle ciężko. Przez te wszystkie miesiące tylko ty go odwiedzałaś. On tego szybko nie zapomni, możesz mi wierzyć.

– Ale jednak zawiodłam.

To zabrzmiało znacznie dramatyczniej, niż planowałam, na domiar złego poczułam, że oczy wypełniają mi się łzami. Płacz w obecności Mo to była ostatnia rzecz, jaką chciałam zrobić.

Widać było po nim, że przywykł do obcowania z ludźmi odczuwającymi silne emocje. Pokręcił głową i poklepał mnie po ramieniu.

– Nie zawiodłaś. Dlaczego w ogóle tak myślisz?

Wydałam z siebie drżące westchnienie.

– Sądzę, że po prostu jestem zmęczona. – Do tej pory nie uświadamiałam sobie, jaki odczuwam stres przez sprawę Raya.

– Kto by nie był? Spójrz tylko, z czym się borykasz. To spory ciężar! Zrobić ci herbaty czy coś?

– Byłoby świetnie! – Mój okrzyk chyba zakłopotał nas oboje. Poczułam, że do policzków znowu napływa mi krew. Mo nagle przestał patrzeć w moją stronę. – Uch, przepraszam.

Odchrząknął.

– Nie masz za co przepraszać, ja...

Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Może chodziło o to, że po raz pierwszy usłyszałam jakąś niepewność w jego głosie, a może wydawało mi się, że może widzę go ostatni raz. Nachyliłam się i pocałowałam go w policzek.

Przez chwilę tylko patrzyliśmy na siebie. Potem chwycił mnie w ramiona i odwzajemnił pocałunek. To było dobre. Całowaliśmy się jeszcze trochę. Po raz pierwszy od lat poczułam się kimś innym niż zestresowaną, samotną, pracującą matką.

– Mamusi? – Oboje unieśliśmy wzrok i zobaczyliśmy Aarona, stojącego w pokoju z pluszowym misiem w ramionach. – Co ty robisz?

Nie miałam pojęcia, jak odpowiedzieć.

– Ja... ee. – To było wszystko, co wydobyło się z moich ust.

– Ty jesteś na pewno Aaron – odezwał się Mo. – Ja mam na imię Mo. Właśnie miałem zrobić mamusi herbatę. Też chciałbyś się czegoś napić?

Aaron nie odpowiedział, tylko się w nas wpatrywał.

Mo wstał i ruszył do kuchni, jak gdyby chodziło o najnormalniejszą rzecz na świecie. Niedługo potem wrócił z dzbankiem herbaty, dwoma kubkami i szklanką soku jabłkowego. Wszystko niósł na paskudnej, plastikowej tacy, którą matka przywiozła mi z poprzednich wakacji w spa.

– Proszę bardzo – powiedział do Aarona, wręczając mu sok.

Aaron wziął szklankę i wydawał się bardzo zadowolony, że może popijać sok przy mnie na kanapie, przytulony do mojego ramienia.

– Oddział autystyczny? Czyli, że Ray ma zaburzenia społeczne? – zapytałam, aby rozmowa toczyła się dalej.

– To jest jeden z punktów widzenia. Autyzm stanowi sprawę bardzo złożoną. Najnowsze badania pokazują, że ludzie dotknięci autyzmem nie potrafią filtrować rzeczywistości, tak jak my to robimy. Wyobraź sobie, że bezustannie jesteś świadoma tykania zegara, poblasku telewizora u sąsiada, jaskrawej barwy tej poduszki, tego, że w tamtym wazonie są dokładnie dwadzieścia trzy kwiaty i...

– Dwadzieścia siedem – poprawił Aaron. – Chcę wracać do łóżka.

Wstał i ruszył w stronę swojego pokoju, więc poszłam za nim i go podniosłam. Zastanowiłam się, czy powiedzieć coś synkowi o Mo, ale Aaron zamknął już oczy, zaczął głęboko oraz spokojnie oddychać. Spojrzałam na jego słodką buzię, uświadamiając sobie, że naprawdę, ale to naprawdę go kocham i cokolwiek się stanie, nigdy nie opuszczę. Już nie dbałam, czy stracę pracę i co powiedzą opiekunki z przedszkola. Ja i on należeliśmy do siebie nawzajem. Dotknęłam jego miękkich włosów, mając nadzieję, że śni mu się coś miłego.

Kiedy wróciłam, Mo siedział znów na kanapie. Usiadłam obok.

- Przepraszam – powiedziałam.
- Wygląda na wspaniałego dzieciaka – przyznał Mo.
- Bo taki jest.

Potem nachylił się i pogładził mnie po policzku.

- Wiesz, że nie mam w zwyczaju przychodzić na wizyty domowe.
- Poczułam, że się rumienię.

– Rozumiem. Ale wiesz, na czym polega teraz ironia losu? Nigdy nie miałam żadnego konkretnego dowodu na niewinność Raya. Nieważne, z kim rozmawiałam, nieważne, czego się dowiadywałam, wszystko ciągle wskazywało właśnie na Raya jako prawdopodobnego sprawcę. Ale kiedy wreszcie natknęłam się na jakiś trop mogący wskazywać jego niewinność, a raczej to mój szef się natknął, Ray zmienił zdanie i muszę zrezygnować.

- Nadal uważasz, że jest niewinny, prawda?

– Tak, nadal. Nie mieści mi się w głowie, żeby mnie okłamywał. Nie sądzę, aby w ogóle był zdolny do kłamstwa. A co ty myślisz?

– Może nie kłamał. Może naprawdę wierzył, że jest niewinny. Ale Iris, tylko chwilę się nad tym zastanów. Oczywiście, że on to zrobił. Wszystko pasuje, prawda? Mężczyzna opóźniony w rozwoju, sąsiadka, która wyprowadziła go z równowagi, podła matka, która go dręczy, aż do dziś.

- O co ci chodzi? Moja matka nie kontaktowała się z Rayem od lat.

– Akurat całkiem niedawno go odwiedziła.

- Co? Dlaczego mi o tym nie powiedziano?

– A czemu? Co w tym takiego dziwnego?

- Uwierz mi, wszystko. Ale gdzie ty słyszałeś, że ona była taka straszna?

Kto ci powiedział?

Wzruszył ramionami.

- Mój kolega, Stephen, podsunął mi taką myśl.

– A co dokładnie powiedział?

– Pamiętam tylko główną ideę. Chodziło o to, że matka Raya – i też twoja – to jakaś straszna jędza. Przepraszam.

- Dlaczego on tak twierdził?

– Sądzę, że był przy tym, jak przyszła do Raya.

– Ale dlaczego powiedział, że moja matka to jędza? Była nieuprzejma?

– Tak naprawdę o tym nie dyskutowaliśmy, nie byliśmy aż w takiej zawiści, żeby ci coś powiedzieć. Jednak Stephen bez ogródek stwierdził, że twoja matka równa się złym wieściom. W każdym razie jego zdaniem.

Zastanawiałam się, dlaczego matka mogła wyrzucić na nim tak złe wrażenie. Zazwyczaj była damą w każdym calu. Niepokoiło jedynie to, co skrywała pod tą powłoką.

– Czy moja matka mogła powiedzieć Rayowi coś takiego, żeby nie chciał mnie już więcej widzieć?

– Możliwe. Dlaczego nie?

– Jak myślisz, czy jej wizyta została nagrana? Tutaj wszędzie są kamery ochrony, prawda?

– Obawiam się, że nagrania są kasowane co dwadzieścia cztery godziny.

Zeskoczyłam z sofy. W głowie miałam teraz gonitwę myśli. Bez wątplenia, coś się stało między moją matką a Rayem. Chwyciłam telefon i wcisnęłam Mo w rękę.

– Mógłbyś, proszę, zadzwonić do ochrony zakładu?

– Już jest za późno. Naprawdę, to nie ma sensu.

– I tak do nich zadzwoń. Może jeszcze mają te nagrania.

Rozmowa telefoniczna zajęła kilka chwil. Mo wyjaśnił strażnikom sytuację, a wszystkim, co ja usłyszałam, były słowa takie jak: „ach, rozumiem”, „czyli...” oraz „dobra”.

Kiedy już odłożył słuchawkę, ledwie potrafiłam zachować spokój.

– Co powiedzieli?

– Lepiej wracaj na tę sofę – powiedział. – Bo jesteś ogromną szczęściarą.

– Naprawdę? – Usiadłam obok.

– Wygląda na to, że cała działalność Stephena jest właśnie badana, w związku z podejrzeniem o udział w przemyśle narkotyków, dlatego zachowano wszystkie nagrania z jego udziałem.

– Fantastycznie, kiedy możemy je odebrać?



– Tutaj jest problem. Nie mogą ich udostępnić. Ale pozwolą mi „wpaść” jutro, kiedy „akurat będą przeglądać” nagrania.

– Super! – zawołałam.

– Dlaczego? Szczerze mówiąc, to tak naprawdę nie wiem, czego szukasz.

– Słuchaj, myślę, że moja matka zmusiła Raya, żeby przestał ze mną rozmawiać – oznajmiłam. – I mam nadzieję, że nagrania pokażą, co się naprawdę wydarzyło.

– Ale one są bez dźwięku.

– To zatrudnię kogoś, kto potrafi czytać z ruchu ust.

– Nic cię nie powstrzyma, prawda?

# RAY

Siedziałem przed swoim akwariem, przyglądając się rybkom. Wpatrywałem się w Wenus i Orzeszka, co jakiś czas wychylających pyszczki z grotu, a potem czmychających do niej z powrotem. Patrzyłem na Margie, zataczającą niewielkie kółka. Przyglądałem się François, który nieco urósł, od kiedy widziałem go ostatnio, prawie dziewięć lat temu... Jak dobrze, że ryby długo żyją, gdy dobrze się nimi zajmujesz. Mieliśmy spędzić ze sobą jeszcze wiele lat.

– Przyzwyczajcie się – powiedziałem im. – Na początku jest ciężko, ale zobaczycie, w końcu zacznie wam się tutaj podobać.

Wychowawca z oddziału autystycznego powiedział, że jeśli chcę, mogę stać przy akwariu cały dzień. Tym razem nie przyjdą i mnie nie zabiorą, jak wtedy, gdy ostatnio przyglądałem się rybkom. Pamiętam, że kiedy wpychali mnie do radiowozu, wciąż wykrzykiwałem imiona rybek.

Wszystko wydarzyło się zaraz po tym, jak znalazłem Rositę i Annę. Staralem się nie myśleć o tym, co zobaczyłem, kiedy pchnąłem drzwi i ujrzałem je leżące na korytarzu. Takie spokojne. Martwe.

– Hej, Anna. Cześć, Rosita – wyszeptalem. – Prawie byliśmy rodziną. Prawda? – Jednak Rosita mi nie odpowiedziała. Po prostu leżała, wpatrując się w sufit. Wreszcie znalazła sposób, aby odciąć się ode mnie raz na zawsze. Bardzo przez to posmutniałem.

Dotknąłem Rosity. Położyłem palce na zagłębieniu między jej obojczykami, na *fossa supraclavicularis*, najpiękniejszym miejscu na całym świecie. Skórę wciąż miała ciepłą. Nie wiem, jak długo tam siedziałem.

Wiem, że w pewnym momencie do moich nozdrzy dotarł zapach krwi, sprawiając, że się zakrztusiłem.

Pobiegłem z powrotem do swojego domu. Kiedy wszedłem do przedpokoju, zobaczyłem torbę na śmieci, której tam nie zostawiłem, usłyszałem również szmer odkręconej wody.

– Ray! – To moja matka się myła. Zaszokował ją mój widok, a mnie zaszokował jej widok. Upuściła coś do umywalki i wytarła dłonie w ręcznik.

– Co ty tutaj robisz?

Patrzyłem na nią, chcąc coś powiedzieć, jednak nie potrafiłem znaleźć słów.

– Dlaczego nie jesteś w pracy?

– Nie mogłem już dłużej pracować – powiedziałem.

Matka spojrzała na moje stopy. Zbladła.

– Wszędzie na podłodze jest krew!

Matka wybiegła na korytarz i otworzyła drzwi wejściowe.

– Chryste, zostawiłeś krwawe odciski stóp na całej drodze z ich domu do swojego. O mój Boże!

Wróciła do kuchni i zaczęła owijać w gazetę to, co upuściła do zlewu.

– Dlaczego nie zostałeś w pracy? Powinieneś dzisiaj zostać w pracy. Jezu Chryste, Ray! – Oczy miała całe we łzach. Wyjęła ze zlewu pakunek zawinięty w gazetę i wyniosła na korytarz. Poszedłem za nią, zobaczyłem, jak wrzuca go do worka na śmieci.

– Nie mogę zostać. Przykro mi, ja... – Mojej matce rzadko kiedy brakowało słów. – Po prostu nie powinieneś się tutaj pojawiać. – Pokręciła głową. – Teraz nie będę mogła ci pomóc. Przepraszam, ale musisz radzić sobie sam. – Podniosła worek na śmieci i przez salon ruszyła do tylnego wyjścia. – Muszę iść. Przepraszam. Nie chciałam, żeby to się tak skończyło.

Tuż przed tym, jak wyszła, odwróciła się i poklepała mnie po ramieniu.

– Ray, słyszysz, nikomu nie możesz powiedzieć, że mnie dzisiaj widziałeś. Nieważne, kto cię będzie pytał. – Od jej uścisku aż bolały mnie ramiona. Moja matka była bardzo silna. – Ray, spójrz na mnie. Skup się. Ray, przyjdą tutaj i cię zabiorą. Chcę, żeby tego nie zrobili, ale możesz winić tylko siebie.

Tego ranka nigdy nie powinieneś przychodzić do domu. Ale jeśli im powiesz, że tutaj byłam, nie będę mogła zajmować się twoimi rybkami i kto wie, co się z nimi stanie. Rozumiesz? Nie widziałeś mnie tutaj. Nawet o mnie nie wspominaj.

Potem wyszła, a ja wróciłem do mojego akwarium i usiadłem przed nim, recytując imiona rybek, dopóki znowu się nie uspokoilem. A potem przyszli i mnie zabrali, tak jak zapowiadała moja matka.

Teraz rybki były ze mną w mojej celi i już nie musiałem ciągle powtarzać ich imion. Czułem spokój. Nic nie mogło mi się już przydarzyć. Wreszcie byłem bezpieczny.

Zamknąłem oczy i wsłuchałem się w szum pompy. W domu akwarium stało na dole, więc nie słyszałem go, zasypiając. Cieszyłem się, że tutaj akwarium stało niecałe dwa metry od mojego łóżka i cały czas mogliśmy na siebie patrzeć: ja i moje rybki. Uwielbiałem dźwięki wydawane przez urządzenia akwarium. Uwielbiałem rzucany przez nie delikatny, metaliczny poblask.

Światło dnia, powiedział kiedyś Van de Akker. Żarówki w akwarium naśladują światło słońca, przefiltrowywane przez wodę w słoneczny dzień – takie jest pięć metrów pod powierzchnią oceanu. Lubilem je znacznie bardziej niż zwykłe słońce, dlatego postanowiłem, że już nigdy więcej nie będę odsuwał zasłon.

# IRIS

**W**chodzenie do domu mojej matki bez naciskania dzwonka zaczynało już wchodzić mi w krew. Jedyna różnica między tą wizytą a poprzednią polegała na tym, że obecnie zjawiałam się w biały dzień. Wetknęłam klucze do zamka i szeroko otworzyłam drzwi. Kiedy tylko to zrobiłam, usłyszałam jak moja matka woła: „Kto tam?” Z przyjemnością usłyszałam w jej głosie niepewność.

Poszłam korytarzem do salonu, gdzie zastałam matkę siedzącą na sofie z rozpostartą przed sobą gazetą, którą musiała właśnie czytać. Zaskoczona, uniosła na mnie wzrok.

– Mamo, to niezbyt miłe, gdy ktoś tak po prostu wchodzi do twojego domu, prawda? – powiedziałam. – To musi być dosyć straszne tak nagle usłyszeć klucz przekręcający się w zamku, kiedy jest się całkiem sam w domu i nikogo się nie spodziewa. A może ty nigdy nie doświadczyłaś tego uczucia? Czy ty w ogóle masz jakieś uczucia?

– Jezu, Iris. – Moja matka teatralnym gestem przycisnęła dłoń do serca. – Przez ciebie o mało nie dostałam zawału! Co ty sobie myślisz, tak wchodząc tutaj w samym środku dnia? Przecież wiesz, że chcę, żebyś zawsze naciskała dzwonek, zanim wejdziesz.

– Wiem. Tak naprawdę to wiem o tobie całkiem sporo.

– Słucham? Znowu zaczynasz? Masz już przestać, słyszysz mnie, Iris? Mam już dosyć tych bzdur. Będę wdzięczna, jeśli już stąd wyjdiesz. Teraz.

Usłyszałam jakiś dźwięk dochodzący z kuchni, jak gdyby coś tam przesuwano. Zastygłam bez ruchu i nasłuchiwałam. Cisza. Coś mi się

musiało wydawać. Mój wzrok przykuła pusta przestrzeń tam, gdzie przez tyle lat stało akwarium. Nadal widziałam jego kontury; ściany należało pomalować na nowo.

– Mamo, czy to nie wspaniałe, że Ray znowu ma swoje akwarium?

Moja matka nie odpowiedziała.

– Jakie to szlachetne, że pozwoliłaś mu je zabrać. Wiem, jak bardzo przywiązana byłaś do tych rybek. Zwłaszcza nieżywych. Zastanawiam się jednak, jak nakłoniłaś laboratorium w Utrechcie, żeby ci je odesłało? Co im powiedziałaś? Że chcesz je pochować w ogródku, z malutkim nagrobkiem oraz kwiatami?

– O czym ty mówisz? – Matka uniosła gazetę, udając, że czyta, jednak widziałam, że jej oczy tylko przesuwają się po literach.

– A może powiedziałaś im prawdę? Że potrzebujesz tych biednych rybek, aby nabrać swojego syna?

Opuściła gazetę.

– Teraz już posuwasz się za daleko. Mam dosyć tych bzdur. Może jesteś krwią z mojej krwi, ale sądzę, że nie zawaham się wezwać policji, jeśli nie wyjdiesz z mojego domu.

– Nie, ty się nie zawahasz, aby zrobić coś takiego komuś, kto jest krwią z twojej krwi. Teraz już o tym wiemy.

– Dzwonię na policję – powiedziała, jednak się nie poruszyła.

– Zrób to. Ty i ja możemy sobie miło pogawędzić, czekając, aż przyjadą. Bo przez tych parę miesięcy dowiedziałam się o tobie kilku ciekawych rzeczy. Dowiedziałam się, że masz syna i że ten syn ma ojca, i że ten ojciec nazywa się Antoine van Benschop. I że kiedy zaszłaś w ciążę, Antoine van Benschop zapłacił ci niezłą sumkę. I że kiedy ja też zaszłam w ciążę, to zrobił mi przysługę, załatwiając odpowiednią posadkę, za co, mamo, muszę ci podziękować. Czy wy przez cały czas byliście ze sobą w kontakcie? Czy nadal się widujecie?

– Przestań – powiedziała matka. – Przestań, przestań, przestań.

– Przepraszam, ale nie przestanę. Ja tylko troszeczkę odsłoniłam powierzchnię fascynującego, sekretnego życia Agathy Antonii Boelens.

- Które w ogóle nie jest twoją sprawą.
- Mylisz się. Właśnie, że jest moją sprawą. Nie dlatego, że jestem twoją córką, ale dlatego, że Ray jest moim bratem.
- Oszczędź mi tych sentymentalnych bzdur. Nie wiesz nic o Rayu.
- Myślę, że wiem. I dochodzę do wniosku, że ty i Rosita jesteście z jednej gliny. Tak jak ona dałaś się uwieść zonatemu i bardzo młodo zaszłaś w ciążę. Czy to dlatego tak nią gardziłaś?
- Kanapowa psychologia. – Moja matka ponownie uniosła gazetę, ale widziałam, że trzęsą się jej ręce.
- Dlaczego, chociaż raz w życiu, nie powiesz mi prawdy? Co ty w ogóle wyprawiasz? Przekupujesz personel zakładu psychiatrycznego dla kryminalistów. Grozisz pacjentowi. To są czyny podlegające karze, mamó, za to się idzie do więzienia. Czy nadal utrzymujesz kontakty z Antoine’em van Benschopem?
- Tak.
- Gdzie, kiedy, jak często?
- Nie tak często jak kiedyś. Ale ciągle jesteśmy ze sobą w kontakcie. – Wyraźnie niechętnie się do tego przyznała.
- Sypiałaś z nim, kiedy byłaś żoną taty?
- Tak. – Wyzywająco wysunęła podbródek.
- Przez chwilę nie potrafiłam wykrztusić z siebie słowa. Myślałam o swoim dobrodusznym ojcu, o tym, jak wielbił moją matkę, jak zawsze spełniał jej prośby, aż do irytującej przesady.
- Jak ci się to udawało? Jak to już długo trwa?
- Czterdzieści pięć lat – oznajmiła z pewną dumą matka.
- Czy ty oszalałaś? Co ty sobie myślałaś? Że on kiedyś porzuci ten swój stoczniowy biznes, żeby być z tobą?
- Nie. Zawsze wiedziałam, że nigdy tego nie zrobi.
- A jednak się z nim spotykałaś. Dlaczego?
- Bo go kocham – rzuciła.
- Pokręciłam głową.
- Trudno uwierzyć, żebyś była zdolna kogokolwiek kochać. Porzuciłaś

Raya, mnie nigdy nie okazywałaś żadnego prawdziwego uczucia, przez te wszystkie lata zdradzałaś uwielbiającego cię męża i... no dobrze, jest Aaron. Kochasz Aarona, prawda? Gdyby nie on, pomyślałabym, że jesteś jakimś robotem.

Matka nie okazywała żadnej reakcji, nawet nie mrugała. Miałam ochotę uderzyć ją w twarz. Mocno uderzyć.

– Dobrze, nic nie mów. Potrafię sama świetnie uzupełnić wszystkie luki. – Wzięłam głęboki oddech, mówiąc powoli i z naciskiem wypowiadając każde słowo. – Nie chcesz, żebym przyglądała się sprawie Raya, bo obawiasz się, że na jaw mogą wyjść pewne rzeczy, które są... niewygodne. Na przykład twój romans z Antoine'em van Benschopem. Ale czy to jedyny powód? Wiesz, zabicie kogoś nożem Början nie jest łatwe. Jakość Ikei nie jest zbyt wysoka. Po wzięciu takiego noża na badania, laboratorium kryminalistyczne ustaliło, że nie sposób kogoś dźgnąć nim w pierś czternaście razy. Przy siódmym albo ósmym ciosie, ostrze zazwyczaj pęka. Ponadto nóż Raya już swoje przeszedł, użyty do pocięcia opon w jaguarze Victora Asschera. Nie, moja mamo, narzędziem zbrodni przypuszczalnie był doskonałej jakości nóż szefa kuchni, kształtem i rozmiarami podobny do Börjana. W laboratorium kryminalistycznym sądzą, że to mógł być Wüsthof, a dokładnie mówiąc dwudziestotrzycentymetrowy nóż szefa kuchni Le Cordon Bleu. Wykuwany z jednego kawałka stali. Niezniszczalny. Zatem, kiedy przeczytałam raport, pomyślałam sobie: Cholera, znam kogoś, kto ma taki wyszukany, niemiecki nóż.

Matka nieruchomo siedziała na sofie.

– Proszę, mów do mnie. Co ja mam o tym wszystkim myśleć? Mamo, potrzebuję twojej pomocy. Proszę, wytłumacz mi, jak to się wszystko stało. Wiem, że ty wiesz. Czy kazałaś Rayowi zabić Rositę? Czy dałaś mu ten nóż? A może... – Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić takiej alternatywy.

Moja matka cały czas siedziała, nie mrugnawszy nawet okiem. I znowu poczułam ochotę, aby ją spoliczkować tylko po to, aby jakoś zareagowała.

– Już skończyliśmy. Ty jesteś skończona.

To nie był głos mojej matki. To był męski głos. Prawie upadłam do tyłu,



na szklany stolik kawowy.

Z kuchni wyszedł Antoine van Benschop, trzymając w ręku dwudziestotrzycentymetrowy nóż z kolekcji Cordon Bleu Wüsthofa.

– Czy może o ten nóż ci chodziło?

Staralam się nie okazać, jak bardzo jestem wstrząśnięta, widząc Antoine’a tutaj, w domu mojej matki.

Antoine podszedł bliżej. Zastanowiłam się, czy nie rzucić się do ucieczki, ale nie potrafiłam uwierzyć, że ten starszy pan naprawdę mnie zaatakuje, zwłaszcza w obecności mojej matki. Postanowiłam, że spróbuję zachować spokój. Zimną krew. Będę nieporuszona. Uznałam, że panika może jedynie pogorszyć sytuację.

– Słuchaj Iris, twoja matka nie jest morderczynią. Po prostu zrobiła to, co miała zrobić – oznajmił Antoine autorytarnym tonem, który przypominał mi jego syna, Petera.

– Mamo, co ty zrobiłaś? – zapytałam. – Czy to ty zadźgałaś Rositę? I jej córeczkę? Małą Annę o blond kędziorkach jak aniołek?

– Nie miałam wyboru – odezwała się wreszcie moja matka. – Chciałabym, żeby było inaczej. Chciałabym móc to wszystko zmienić, jednak Rosita nie pozostawiła mi wyboru.

Nogi zaczęły mi drżeć.

– Ty ją zabiłaś. Ty?

– Rosita nas szantażowała. Asscher wszystko jej o nas powiedział. Groziła, że powie to żonie Antoine’a i jego teściowi. Nie rozumiesz, że wszystkim zrujnowałoby to życie? Moje życie, życie Antoine’a, życie rodziny van Benschopa. Iris, nawet twoje życie. A co ze stoczną? Zostałaby zrujnowana cała ta cholerna firma! Trzeba ją było powstrzymać. Ale tym, co martwiło mnie najbardziej... – Matka umilkła na chwilę i wydawało się, że przenikają ją emocje. – Najbardziej mnie martwiło to, jak ta mała, brudna dziwka doprowadza Raya do szaleństwa. Wiedziałam, że to tylko kwestia czasu, jak coś w nim pęknie. Myślisz, że znasz Raya, ale ty go nie znasz. Nie wiesz, jaki potrafi być, kiedy przestaje nad sobą panować. Po prostu nie mogłam do tego dopuścić.

– Czyli, że zrobiłaś to wszystko dla Raya? Naprawdę się spodziewasz, że uwierzę, że miałaś na myśli tylko jego dobro. Trudno w to wierzyć, kiedy zamiast ciebie siedzi za kratami, zamknięty w zakładzie psychiatrycznym i...

– Usłyszałam, że drży mi głos.

– Dosyć! – Antoine machnął nożem w moją stronę. – Twoja matka cię ostrzegała, żebyś się trzymała od tego wszystkiego z daleka, ale ty po prostu musiałaś dalej prowadzić to swoje głupie śledztwo, prawda?

Przyszło mi do głowy, że Rosita, tuż przed tym jak ją zabito, patrzyła na czubek tego samego noża. Próbowałam jakoś przemówić do matki.

– Dlaczego pozwalasz, żeby on mi groził? Dlaczego pozwoliłaś wsadzić Raya do więzienia? Jesteśmy twoimi dziećmi!

Matka pokręciła głową. Wydawała się smutna, jednak trudno było jej ufać.

– Nigdy tego nie planowałam. Zrobiłam wszystko, co mogłam, aby trzymać go od tego z daleka. Skąd mogłam wiedzieć, że akurat tamtego dnia wcześniej wyjdzie z pracy? Nigdy nie przychodził wcześniej do domu. Nigdy. Ale teraz jest już za późno. Ray może sobie mieszkać w zakładzie zamkniętym razem ze swoimi rybkami i być tam bezpieczny. I wiem, że się ze mną nie zgodzisz, ale zapewniam cię, że tak jest właśnie lepiej.

– Ale co z tą małą dziewczynką? – zapytałam. – Jak mogłaś jej to zrobić? Nie tylko ją zadźgać, ale jeszcze zgasić na niej papierosa...

Teraz moja matka płakała.

– Ona powinna być w przedszkolu, tak jak każdego ranka. Skąd mogłam wiedzieć, że... po prostu nagle wybiegła i Antoine...

– Antoine? – Spojrzałam na stojącego obok starszego mężczyznę. I znowu uderzyło mnie jego podobieństwo do Petera. – Też tam byłeś? To ty zabiłeś dziewczynkę i zgasiłeś na niej papierosa?

– Próbował chronić Raya! – wykrzyknęła moja matka. – Ray nienawidzi palenia, dlatego my...

– Wystarczy – powiedział Antoine. – Iris, nie zostawiasz nam wyboru. Tak jak Rosita nie zostawiła nam wyboru.

Potem zniemacka skoczył na mnie i złapał mnie za szyję. Był zaskakująco silny jak na swój wiek. Poczułam, że zakrzywiony czubek noża drapie mi

gardło. Zimna stal przecięła skórę. Bardzo ostra. Nie trzeba było mocno naciskać. Staralam się wykręcić z uścisku Antoine'a, ale nie mogłam się uwolnić. Spojrzałam na matkę. Ona na to nie pozwoli... Prawda? Przecież jestem jej córką. Jestem jej córką, do cholery.

Jednak matka beznamyślnie patrzyła się prosto w ścianę.

– Mamo? – Znowu byłam oszołomioną piętnastolatką, znowu w narkomańskiej melinie w dzielnicy czerwonych latarni. – Mamo? – W moim głosie narastała panika.

– Błagałam cię, Iris, błagałam cię wiele razy. Powinnaś się trzymać od tego z daleka.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że naprawdę jestem w niebezpieczeństwie. Musiałam próbować ucieczki. Oboma łokciami dźgnęłam van Benschopa w pierś. Doprowadziłam jedynie do tego, że nóż jeszcze bardziej zagłębił mi się w szyję. Poczułam, jak coś ciepłego ścieka mi po skórze. Moje serce pulsowało na ostrzu noża.

– Rusz się. Idziemy do kuchni. Nie zrobimy bałaganu twojej matce w salonie.

Spojrzałam na matkę. Przecież musiała w końcu zainterweniować. Ciągłe nie potrafiłam uwierzyć, że pozwoli komuś mnie zabić. Powinna wkroczyć w ostatniej chwili. Tak jak zrobiła wtedy u narkomanów. Jednak zastygła bez ruchu.

Antoine pchał mnie przed sobą.

– Mamo? – błagałam, głos miałam zdławiony i płaczliwy. – Powiedz coś! Nie pozwól mu!

– Zamknij się. – Van Benschop kopnął mnie z tyłu pod kolanami. – Możesz winić tylko siebie.

Spojrzałam na matkę, przekonana, że mnie uratuje. Znowu otworzyła i zamknęła usta.

Antoine wpychał mnie do kuchni. Staralam mu się opierać, lecz on siłą zmuszał mnie, żebym przed nim szła. Pomyślałam, że łatwo będzie po prostu przesunąć ostrze po gardle, cięciem otworzyć arterie. Umrę w ciągu niecałej minuty.

Kto zajmie się Aaronem? Co się stanie z Rayem? Poczułam, że cała zaczynam się trząść.

Wreszcie, po czasie, który wydawał się tak długi jak życie, moja matka się odezwała.

– Nie, Antoine – powiedziała. Jej głos zabrzmiał płaczliwie, niezbyt przekonywająco, ale to powiedziała. – Stój.

Tylko tyle mi było trzeba. Uścisk van Benschopa zelżał na chwilę. Mocno nadepnęłam mu na stopę i zdołałam się wyslizgnąć. Potem kopnęłam go w krocze. Zgiął się wpół, rycząc jak zranione zwierzę.

Wybiegłam przez drzwi frontowe na ulicę.

Policja zjawiła się w ciągu kilku minut. Ani matka, ani Antoine nie próbowali ucieczki.

Stałam po drugiej stronie ulicy i patrzyłam, jak prowadzi ich dwójka policjantów.

W pełnym blasku dnia matka wyglądała na starą i bezbronną. Przez chwilę nasze spojrzenia się spotkały. Potem odwróciła się, w ostatnim gwałtownym geście. I właśnie wtedy zamknięto drzwi radiowozu.

– Wszystko w porządku? – zapytał stojący obok policjant. – Zaraz przyjedzie karetka i się panią zajmą. Na szyi ma pani dosyć paskudne skaleczenie.

Nie potrafiłam mu odpowiedzieć, bo szczerze mówiąc, nie wiedziałam.

# RAY

To prawie wyglądało jak moje akwarium, pięć metrów pod powierzchnią wody. Tyle że wszystko było tutaj znacznie większe i spoglądało się znacznie dalej, tak daleko, jak tylko się chciało. Pływając, w myślach zacząłem nadawać imiona oglądanym rybom.

– Hej, ty, mały danio, widzę, jak czmychasz, ale widzę cię. Nazwę cię Hank. Och, a ty papugorybo ogryzająca koralowiec, ty masz na imię Rembrandt.

Od kiedy tutaj byłem, nurkowałem codziennie. Pływałem pod wodą, dopóki instruktor nie zaczął stukać w swój zegarek, pokazując, że minął już czas i musimy wypływać na powierzchnię.

Właśnie wtedy ją zobaczyłem. Pięknego nefrytka królewskiego w najżywszym z odcieni niebieskiego i najżółtszym z żółtych, z uroczą plamą na czole, przypominającą koronę.

– A ciebie nazwę Rosita.

Pomyślałem o liście, który kazał mi napisać doktor Römerman. Nigdy nie zdołałem tego zrobić, jednak teraz, siedząc nad oceanem, dokładnie wiedziałem, co chcę powiedzieć. Niewiele tego było. Jednak czułem, że jest to prawdziwe.

„Nigdy nie chciałem, żeby tobie i Annie stało się coś złego. Zawsze będę was kochał”.

Nie miałem nic przeciwko powrotowi na brzeg. Wiedziałem, że Iris, Mo i Aaron czekają tam na mnie, na pomoście dla nurków. Potem cała nasza czwórka ruszy plażą. Aaron i ja będziemy budować zamki, takie jak kiedyś

budowałem z Anną, tyle że teraz z piasku, a nie z klocków Lego. Potem zagram w paddleballa z Mo albo popłynę z Iris Kastelein, która na pewno jest moją siostrą, do tratwy pośrodku zatoki.

Tam, na tratwie, usiedliśmy na chwilę, mając nogami w wodzie, z twarzami zwróconymi w stronę zachodzącego słońca. Już niedługo miało skryć się w wodzie. Iris mówiła, że tę porę dnia nazywa się „magiczną godziną”.

Musiałem zapytać:

– Czyli że teraz jesteśmy rodziną?

Spojrzała na mnie tymi przejrzystymi, niebieskimi oczyma z czarną obwódką, takimi jak oczy mojej matki, ale znacznie miłszymi.

– Myślę, że rodzina to bardziej ojciec i matka, i ich dzieci. Czyli że nie do końca jesteśmy rodziną. Ale jesteśmy spokrewnieni.

Spojrzałem na swoje stopy.

Wtedy Iris powiedziała:

– Hej, a po co ja tak wszystko komplikuję? Jasne, że jesteśmy rodziną. Może nie taką twoją typową rodziną, ale na pewno jesteśmy ze sobą związani. Co o tym sądzisz?

Odchrząknąłem.

– Zawsze chciałem należeć do jakiejś rodziny.

– Ja też – powiedziała. – Ja też.

# Podziękowania

*Dziękuję wszystkim wspaniałym ludziom, którzy przyczynili się do ukazania się Dziewczyny w ciemnościach. Są nimi: Patrizia Gelvatti, Sarah Miles, Michael Carlisle i Lauren Smythe z wydawnictwa Inkwell, Hester Velmans, Emily Krump z wydawnictwa William Morrow, Chris Herschdorfer and Dorien van Londen z wydawnictwa Ambo Anthos, Masie Cochran.*





[IRIS](#)

[RAY](#)

[IRIS](#)

[RAY](#)

[IRIS](#)

[RAY](#)

[IRIS](#)

[RAY](#)

[IRIS](#)

[RAY](#)

[IRIS](#)

[RAY](#)

[IRIS](#)

[RAY](#)

[IRIS](#)

[RAY](#)

[IRIS](#)

[RAY](#)

[IRIS](#)

[RAY](#)

[IRIS](#)

[RAY](#)

[Podziękowania](#)